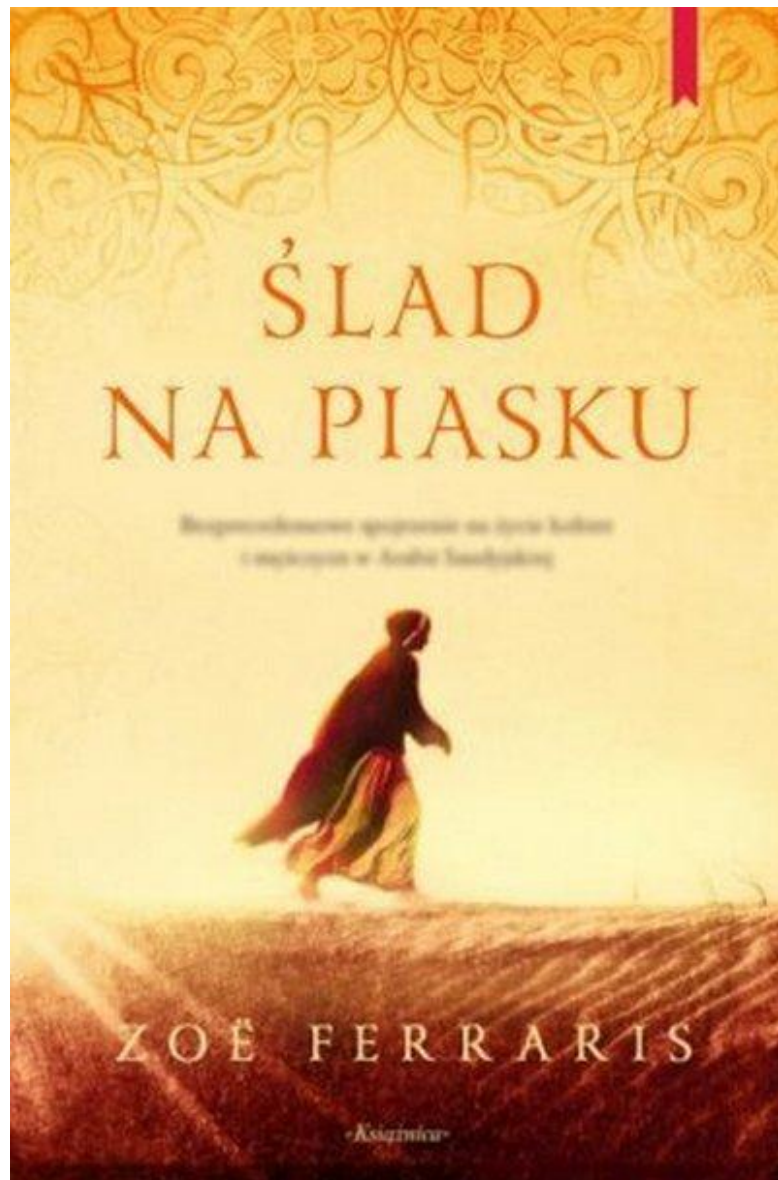




ZOË FERRARIS ŚLAD NA PIASKU

Przełożyła z angielskiego Anna Fajek

Wydawnictwo „Książnica”



TLR

Pochwalam małżeństwo.

Kto go unika, nie jest ze mnie.

MAHOMET

ROZDZIAŁ 1

Wieczorem, nim zaszło słońce, Najir nappełnił manierkę, wsunął pod pachę dywanik modlitewny i wspiał się na wydnię w pobliżu obozu. Wybrał tę, której wierzchołek wskazywał południe. Z rozstawionego u jej podnóża namiotu dobiegł wybuch śmiechu. Wyobraził sobie, że jego ludzie grają tam w karty, prawdopodobnie w grę zwaną tarnib, a flaszką siddiki krąży z rąk do rąk. Lata spędzone na pustyni nauczyły go, że nie da się powstrzymać ludzi przed tym, aby robili to, co lubią. Tu nie obowiązywało żadne prawo, i jeśli mężczyźni chcieli pić alkohol, pili. Brzydziło go, że obudzą się w piątkowy poranek, dzień święty, cuchnąc jałowcówką. Nic jednak nie powiedział. Po dziesięciu dniach bezowocnych poszukiwań nie był w nastroju, by karać i przywoływać do porządku.

Wspinał się z wolna i zatrzymał, dopiero gdy dotarł na szczyt. Roztaczał się stąd rozległy widok na pustynną dolinę, twardą i płaską, otoczoną niskimi wydmami falującymi w złotym blasku zachodzącego słońca. Jego wzrok przyciągnęła ciemniejsza plama na jasnym piasku w oddali: stado sępów przycupnęło nad truchłem szakala. Właśnie dlatego zatrzymali się akurat w tym miejscu — kolejny fałszywy trop.

Przed dwoma dniami zaniechali przeczesywania pustyni i jęli podążać śladem sępów, za każdym razem natykali się wszakże tylko na martwą gazelę albo szakala. Oczywiście, była to ulga, ale i rozczarowanie.

Wyjął z kieszeni kompas, ustalił kierunek na Mekkę i rozłożył dywanik. Otworzył manierkę i powąchał ostrożnie zawartość. Woda zalatywała metalem. Pociągnął haust, a potem przykląkł pośpiesznie na piasku i dokonał ablucji. Potarł wilgotnymi dłońmi ramiona, szyję i ręce, a kiedy skończył, zakręcił starannie manierkę, rozkoszując się krótkotrwałym uczuciem chłodu na skórze.

Stojąc nad dywanikiem, zaczął się modlić, myślami powracał jednak ciągle do Nuf. By nie uchybić skromności, próbował nie wyobrażać sobie jej twarzy ani ciała, ale im więcej o niej myślał, tym żywszy stawał się jej obraz. W wyobraźni widział, jak idzie przez pustynię, pochylając się pod naporem wiatru, a czarna abaja łopocze, owijając się wokół jej opalonych kostek. Wybacz mi, Panie, że wyobrażam sobie jej kostki, pomyślał. A potem: Przynajmniej sądzę, że dziewczyna żyje.

Gdy się nie modlił, prześladowały go też inne obrazy. Widział, jak Nuf klęczy, wpychając sobie do ust piasek w błędnym przekonaniu, że to woda. Widział ją leżącą na plecach, podczas gdy metal telefonu komórkowego wypala ślad na jej dłoni. Widział, jak szakale rozrywają jej ciało na strzępy. Podczas modlitwy starał się stłumić te obawy i wyobrazić sobie, że Nuf nadal walczy. Tego wieczoru będzie musiał mocno wysilić umysł, aby ożywić to, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa musiało być już martwe.

Zakończywszy modły, poczuł się bardziej znużony, niżli był wcześniej. Zwinął dywanik i usiadł na skraju pagórka, spoglądając na otaczające wydmy. Porywy wiatru uderzały o dno doliny, unosząc pojedyncze ziarenka piasku. Wyglądało to, jakby się pyszniły jej elegancją, podczas gdy ziemia zrzucała, kurcząc się, pomarszczoną skórę i zdawała się wznosić. Kształty wydm zmieniały się pod wpływem wiatru. Wznosiły się, tworząc pagórki, lub roztapiały, pozostawiając węzowy ślad. Beduini nauczyli go, jak interpretować kształty, aby ocenić prawdopodobieństwo burzy piaskowej albo poznać kierunek jutrzejszego wiatru. Niektórzy wierzyli nawet, iż można przepowiadać z nich przyszłość. Teraz piasek przed nim uformował się w szereg półksiężyców zmiernych ku horyzontowi. Oznaczały, że zmiana wisi w powietrzu.

Wrócił myślami do zdjęcia w kieszeni. Sprawdził, czy nikt nie podąża za nim na szczyt, a potem wyjął fotografię i pozwolił sobie na rzadką przyjemność wpatrywania się w kobiecą twarz.

Nuf asz-Szarawi stała pośrodku radośnie uśmiechnięta, krojąc urodzinowy tort młodszej siostry. Miała długi nos, czarne oczy i cudowny uśmiech. Trudno było sobie wyobrazić, że w cztery tygodnie po tym, jak zrobiono zdjęcie, uciekła — i to na pustynię! — porzucając narzeczonego, luksusowe życie i wielką szczęśliwą rodzinę. A nawet pięcioletnią siostrę, która stała obok na zdjęciu, wpatrując się w nią z poruszającym serce uwielbieniem. Dlaczego to zrobiła? zastanawiał się. Miała tylko szesnaście lat i całe życie przed sobą.

I dokąd uciekła?

Kiedy Usman zatelefonował i powiedział, że siostra zniknęła, jego głos wydał się Najirowi słabszy niż kiedykolwiek wcześniej. „Oddałbym życie — wykrztusił — gdyby to pomogło ją odnaleźć”. W ciszy, która potem nastąpiła, nietrudno było się domyślić, że Usman płacze. Nigdy przedtem przyjaciel o nic go nie prosił. Najir obiecał, że pomoże.

Od wielu lat zabierał mężczyzn z rodziny Asz-Szarawi na pustynię. I nie tylko ich. Takich rodzin były tuziny, a wszyscy ich członkowie podobni: bogaci i nadęci, zdecydowani udowodnić za wszelką cenę, że nie utracili beduińskiego dziedzictwa, choć dla większości czarne złoto wydobywane z głębi rodzinnej ziemi znaczyło zawsze więcej niż to, co się znajdowało na jej powierzchni. Usman był inny. Należał do nielicznych mężczyzn, którzy kochali pustynię równie mocno jak Najir i mieli dość rozumu, by cieszyć się przygodami, jakich była w stanie im dostarczyć. Nie wsiadał na wielbłąda, zanim ktoś mu nie powiedział, jak z niego zsiąść. Nie ulegał poparzeniom słonecznym. Nie gubił się. Złączeni umiłowaniem pustyni, szybko się zaprzyjaźnili, a przyjaźń się pogłębiła z upływem lat.

Podczas rozmowy telefonicznej Usman był tak zdenerwowany, że opowieść o tym, co się wydarzyło, rwała się co chwilę, docierając do Najira we wprawiających w pomieszanie niejasnych fragmentach. Jego siostra zniknęła. Uciekła. A może została porwana. byli bogaci, więc to możliwe, że ktoś połakomił się na okup. Uprowadzenia zdarzały się rzad-

ko, poza tym dotąd nikt nie zażądał okupu. Minał dopiero dzień, lecz to wystarczy. Najir musiał przerywać przyjacielowi, zadawać pytania, by poznać fakty. Nikt nie wiedział, kiedy dziewczyna zniknęła, jej nieobecność zauważono późnym popołudniem. Ostatnio widziano ją rano, gdy powiedziała matce, że wybiera się do pasażu handlowego, by wymienić parę butów. Pod wieczór rodzina odkryła, że brakuje też innych rzeczy: półciężarówki i nowej czarnej abai przeznaczonej na miesiąc miodowy. A kiedy się okazało, że ze stajni zniknął też ulubiony wielbłąd Nuf, doszli do wniosku, że dziewczyna uciekła na pustynię.

Jej zniknięcie zaskoczyło rodzinę.

— Była szczęśliwa — zapewniał Usman. — Miała wkrótce wyjść za mąż.

— Może to właśnie...? — zapytał delikatnie Najir.

— Nie, pragnęła tego małżeństwa.

Jeśli kryło się za tym coś więcej, zachował to dla siebie.

Najir spędził następny dzień, czyniąc przygotowania. Odmówił przyjęcia hojnej zapłaty oferowanej przez rodzinę i wziął tylko to, co mogło mu być potrzebne. Wynajął pięćdziesiąt dwa wielbłądy, skontaktował się ze wszystkimi ludźmi pustyni, których znał, a nawet zadzwonił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, by się dowiedzieć, czy służby nie mogłyby namierzyć dziewczyny przez satelitę wojskowego. Poinformowano go, iż urządzenia militarne przeznaczone są do innych celów. Udało mu się wszakże zebrać ekipę poszukiwawczo-ratowniczą złożoną z kilku tuzinów mężczyzn, wśród których część stanowili osiadli beduini. Ci ostatni nie spojrzeli nawet na zdjęcie Nuf. Powiedzieli, że go nie potrzebują, gdyż tylko jeden rodzaj kobiet mógłby uznać samotną wyprawę na pustynię za lepszą od dotychczasowego życia. Zakładali, że Nuf uciekła z amerykańskim kochankiem, aby uniknąć zamążpójścia. Trudno powiedzieć, dlaczego aż tak się przy tym upierali. Zdarzyło się co prawda kilka razy, że saudyjskie dziewczęta zakochały się w Amerykanach, i widać

odcisnęło to w zbiorowej pamięci niezatarty ślad. Ale były to odosobnione przypadki, poza tym, o ile wiedział, żadna z tych dziewcząt nie uciekła na pustynię.

Asz-Szarawi poprosili Najira, by ograniczył poszukiwania do obszaru wokół As-Sulajjilu. Zorganizowali też inne ekipy, które miały przeszukiwać teren na północy i północnym zachodzie, a jedna także na południowym zachodzie.

Najir wolałby sam wytyczyć obszar poszukiwań, miast skupiać się na wyznaczonym dla niego przez obcych, zwłaszcza iż rzadko zadawali sobie trud, by się z nim skontaktować. Zignorował więc zasady i po dwóch dniach polecił swoim ludziom, by kierowali się instynktem, nawet gdyby mieli wkroczyć na sąsiednie terytorium. Jeżeli Nuf nadal tam była, jej szanse malały z każdą godziną kończącego się dnia. Nie było czasu, by zachowywać się zgodnie z zasadami. Poszukiwania to nie ucztą weselna, gdzie biesiadnicy zajmują przeznaczone dla nich miejsca.

Poza tym jego zespół był najliczniejszy, on zaś, mimo iż rzadko uczestniczył w wyprawach ratunkowych, znał pustynię lepiej niż inni. Praktycznie na niej dorastał. Wychował go wuj Samir, który posiadał szeroki krąg przyjaciół i znajomych. Byli wśród nich uczeni i naukowcy z różnych krajów. Przybywali badać Morze Czerwone, ryby, ptaki lub sposób życia beduinów. Najir spędzał letnie miesiące, przekopując ziemię na wykopaliskach prowadzonych przez bogatych Europejczyków, którzy szukali grobu Abrahama albo resztek złota wywiezionego przez Żydów z Egiptu. Zimą zaś wędrował, trzymając się zadu wielbłąda objuczonego podzwaniającymi blaszanymi garnkami i manierkami. Stał się łucznikiem, sokolnikiem, wędrowcem zdolnym odnaleźć drogę do domu z odległych miejsc, mając do dyspozycji wyłącznie chustę na głowę, wodę i niebo. I choć w jego żyłach nie płynęła beduińska krew, czuł się nomadą, jednym z nich.

Nie zdarzyło się dotąd, by nie odnalazł zaginionego podróżnika. Jeśli Nuf uciekła, musiał założyć, że nie chciała zostać odnaleziona. Przez

dziesięć dni przeczesywali zatem teren, prowadząc poszukiwania z samochodów, samolotów i śmigłowców, o wielbłądach nie wspominając, i często natykali się na siebie nawzajem, co zawsze przynosiło ulgę, jako że trudno napotkać w morzu piasku jakąkolwiek żywą istotę. Nie znaleźli Nuf i w końcu w raportach, jakie składali Najirowi jego ludzie, jąła powtarzać się sugestia, że dziewczyna wskoczyła do nocnego autobusu zmierzającego do Maskatu, skąd odleciała samolotem do Ammanu.

Cała ta sytuacja ani trochę mu się nie podobała. Może dziewczyna spędziła noc na pustkowiu i uznała, że jest tam zbyt niewygodnie i brudno, po czym ruszyła dalej? Obawiał się jednak, że została, a teraz jest za późno. Człowiek pozostawiony samemu sobie na pustyni mógł umrzeć już po dwóch dniach. Dziewczyna z bogatego domu, która nie opuszczała dotąd zbyt często klimatyzowanych pomieszczeń, nie wytrzymałaby nawet tyle.

Zachodzące słońce oblewało pustynię ciepłym pomarańczowym światłem, a dmący samum, gorący i suchy, poruszał powietrze, budząc tęsknotę, która sięgała głębiej niż obawa o los Nuf. Ostatnio często rozmyślał o tym, czego brakuje mu w życiu. Czuł, choć było to irracjonalne, że stracił nie tylko Nuf, lecz możliwość znalezienia jakiegokolwiek kobiety. Zamknawszy oczy, zapytał po raz kolejny Boga: Jakie masz wobec mnie zamysły, Panie? Ufam ci, ale się niecierpliwie. Proszę, zdradź mi swój plan.

Z tyłu dobiegł go krzyk. Wepchnął pośpiesznie zdjęcie do kieszeni i wstał. Jeden z mężczyzn stał u stóp wzgórza, wskazując zbliżające się światła. Najir chwycił dywanik oraz manierkę i zsunął się z wydmy. Ktoś nadjeżdżał, a przeczucie mówiło mu, że nowiny nie będą dobre. Przebiegł wzdłuż podnóża piaszczystego pagórka i czekał, aż rover wjedzie do obozu. Samochód zatrzymał się przed największym namiotem.

Kierowcy Najir nie rozpoznał. Młody człowiek o ciemnej karnacji i ostrych rysach wyglądał na beduina. Na zakurzoną białą abaję narzucił krótką skórzaną kurtkę, a kiedy wysiadł, popatrzył na Najira z obawą.

Najir powitał gościa i podał mu dłoń. Zdawał sobie sprawę, że jest zbyt wysoki i potężnie zbudowany, by ktokolwiek mógł się czuć przy nim swobodnie, zrobił zatem co mógł, aby ośmielić przybysza. Zdenerwowany chłopiec przedstawił się jako Ibrahim Sulajman, syn jednego ze służących rodziny Asz-Szarawi. Mężczyźni zebrali się dookoła, czekając na wieści, lecz Ibrahim stał, milcząc. Najir uświadomił sobie, że chłopak chce porozmawiać z nim na osobności.

Wprowadził go więc do namiotu, modląc się w duchu, aby się okazało, że mężczyźni jednak w nim nie pili. Nie ma skuteczniejszego sposobu, by okryć się hańbą, jak wprowadzić gościa do namiotu cuchnącego alkoholem. Ale wejście do namiotu zostawiono otwarte, a do środka wpadał swobodnie wiatr, zasypując wnętrze piaskiem.

Najir zapalił lampę, wskazał gościowi poduszkę i zaczął przygotowywać herbatę. Powstrzymał się od zadawania pytań, choć śpieszył się z parzeniem, gdyż nie mógł się doczekać nowin. Kiedy napój był gotowy, usiadł po turecku obok gościa i czekał, aż ten pierwszy się napije.

Kiedy nalał mu po raz drugi, Ibrahim pochylił się i oparł filiżankę na kolanie.

— Znaleźli ją — powiedział, spuszczać wzrok.

— Doprawdy? — Napięcie opuściło go tak gwałtownie, że było to aż bolesne. — Gdzie?

— Mniej więcej dwa kilometry na południe od obozowiska Asz-Szarawich. Była w wadi.

— Przeszukiwali ten teren od tygodnia. To na pewno ona?

— Tak.

— Kto ją znalazł?

— Nie jesteśmy pewni. Nikt, kto pracuje dla rodziny. Wędrowcy.

— Skąd o tym wiesz?

— Kuzyn Tahsina, Madżid, przyjechał do naszego obozu i przekazał nowiny. Rozmawiał też z lekarzem sądowym. — Ibrahim upił kolejny łyk herbaty. — Powiedział, że podróżni zabrali ją do Dżuddy. Już nie żyła.

— Nie żyła?

— Tak. — Ibrahim usiadł prosto. — Zawieźli ją do biura lekarza sądowego Dżuddzie. Nie mieli pojęcia, kim była.

A więc to koniec. Najir pomyślał o czekających na zewnątrz mężczyznach, zastanawiając się, co pocują: ulgę czy rozczarowanie. Prawdopodobnie ulgę. Nie był pewny, co powinien im powiedzieć. Wydawało mu się to dziwne, przecież grupa złożona z członków rodziny oraz służących prowadziła poszukiwania w pobliżu wadi. Musieli przechodzić tuż obok, a jednak jej nie zauważyli. Podobnie jak ludzi, którzy ją znaleźli. Wędrowcy zdążyli zawieźć ciało do miasta, nim Asz-Szarawi zorientowali się, że ktoś przejeżdżał przez teren poszukiwań. Wszystko to sprawiło, że Najir poczuł się nieswojo. Tak czy inaczej należało sprawdzić informację. Nic z tego, co dotąd usłyszał, nie brzmiało sensownie.

— Jak rodzina dowiedziała się, że znaleziono Nuf? — spytał.

— Ktoś z biura lekarza ich zna. Zadzwoił, aby przekazać nowiny.

Najir nadal oszołomiony skinął głową. Czajnik był już pusty. Wstał i podszedł z wolna do piecyka. Nalał do czajnika wody i zapalił niezdarnie palnik, parząc sobie kciuk. Ostry ból otrzeźwił go, wzbudzając nagły gniew. Potrzeba, a właściwie przymus odnalezienia dziewczyny nadal był w nim bardzo silny. Wybacz mi moją pychę, pomodli! się w duchu. Powiniennem myśleć teraz o rodzinie. Nie by! jednak w stanie.

Wrócił do gościa i usiadł.

— Wiesz, jak umarła?

— Nie. — W oczach chłopca dostrzegł smutek i rezygnację. — Pewnie z powodu udaru cieplnego.

— To okropna śmierć — zauważył Najir. — Prześladowuje mnie myśl, że mogliśmy zrobić coś więcej.

— Wątpię.

— Dlaczego? — zapytał Najir. — Jak sądzisz, co się jej przytrafiło?

Beduin spojrział mu w oczy.

— To samo co wszystkim dziewczętom.

— A cóż to takiego? — zapytał Najir. Miłość? Seks? Co o tym wiesz? Mina Ibrahima świadczyła, że nie powinien był pytać, chłopiec bowiem się zaczerwienił. Najir chciał się dowiedzieć czegoś więcej, wydusić z niego informacje, wiedział jednak, podobnie jak Ibrahim, że jeśli śmierć Nuf miała coś wspólnego z miłością lub seksem, każda prawdziwa odpowiedź byłaby po prostu niestosowna. Czekał zatem skromnie, aż chłopak rozwinie temat, lecz Ibrahim popijał tylko herbatę, zdecydowany milczeć.

ROZDZIAŁ 2

Aleja Rawaszin, wilgotna i brudna, nie przywodziła na myśl dworca, skąd wyprawia się ciała do stacji Raj i Boga. Budynek mieszczący biuro lekarza sądowego stał wepchnięty pomiędzy dwa brzydkie biurowce i wyglądał raczej jak kuzyn któregoś z nich. Górną część budowli z lat siedemdziesiątych, szarej i pudełkowatej, zdobiły okrągłe betonowe występy osłaniające, przynajmniej częściowo, rząd okien z nieprzejrzystymi szybami. Fasadę przecinały żelazne kraty. Efekt przypominał potłuczoną skorupkę jajka umieszczoną w klatce. Na parterze nie było okien, a monotonię betonowej płaszczyzny zakłócały tylko pojedyncze metalowe drzwi opatrzone panelem z przyciskami. Najir spróbował wejść tamtędy, lecz starszawy ochroniarz skierował go ku klatce schodowej z boku budynku.

Niespodziewanie stwierdził, że suterena przypomina wyglądem reklamówkę Towarzystwa Odnowy Zabytków Starej Dżuddy. Pomieszczenie zajmowało całą długość budynku i szczyliło się kilkoma słynnymi oknami wykuszowymi, od których ulica wzięła nazwę. Umieszczone w płytkich wnękach łukowate rawaszin, zwieńczone poprzecznie ułożonymi cegłami, prezentowały z dumą okratowanie z tekowego drewna. Ściany odłóżąca płatami farba. Drewniane drzwi u podnóża schodów stały otworem, ukazując panującą za nimi ciemność.

Najir pomarudził chwilę na dole, dodając sobie odwagi zuciem kawałka pieprzowego miswaka, którego resztki wypluł beztrąsko na podłogę. Powiedział sobie, że musi wejść — nie da się tego uniknąć. Słońce prażyło tak mocno, że pocił się niemal boleśnie, zupełnie jakby jego skóra wydzielala nie wodę, lecz gwoździe. Nie przyszedł tutaj, żeby wyświadczyć przysługę Asz- -Szarawim, jak wmawiał sobie przez całą drogę. Teraz wiedział już na pewno, że jego wizyta oznacza kolejne zakłóce-

nie spokoju zmarłej, zamach na jej prywatność. Ale zwłoki Nuf znajdowały się w środku, a on zobowiązał się zabrać je do domu.

Przez całą noc zmagał się z poczuciem klęski. Choć ciało łaknęło tak potrzebnego snu, umysł nie chciał się wyłączyć, przetrawiając w nie-skończoność tysiące decyzji, które mógł podjąć, rozkazów, które mógł wydać. Gdyby zamiast podporządkować się poleceniom, posłuchał głosu instynktu, może zdołałby ją ocalić. Zasnął w końcu około piątej nad ranem, aby obudzić się po godzinie i przekonać, że miejsce frustracji zajęły litość oraz poczucie winy. Nie mógł zrobić już nic dla Nuf, ale choć wydawało się nieprawdopodobne, że mógłby służyć pomocą rodzinie, czuł się zobowiązany spróbować.

Poranek spędził, modląc się i medytując. Asz-Szarawi byli zbyt skromni i zamknięci w sobie, aby przyjmować kondolencje. To musi być coś użytecznego i dyskretnego. Pakując ekwipunek, ładując go na jeepa i wracając do miasta, zastanawiał się, jaki gest z jego strony byłby w tej sytuacji właściwy, jednak zmęczenie ostatnich tygodni zaczynało zbierać swoje żniwo. Dopiero kiedy na horyzoncie ukazała się Dżudda, poczuł, że wraca mu energia. Wraz z nią pojawił się pomysł, dość mglisty z początku. Ciało Nuf zapewne nadal jest u lekarza sądowego. Jej bracia wrócili dopiero co z pustyni, zaniechawszy poszukiwań. Będą zdenerwowani i wyczerpani. Prawdopodobnie wyślą po zwłoki służących lub kogoś z meczetu. Pomyślał o dotykających ciała dziewczyny obcych ludziach, o ciekawskich spojrzeniach ich oczu. Czy rodzina nie wolałaby, aby to ktoś zaprzyjaźniony sprowadził Nuf do domu?

Zadzwonił z jeepa do Usmana i spytał, jękając się:

— Nie życzylibyście sobie... jeśli byłoby to stosowne... to znaczy pomyślałem, że mógłbym pomóc, jeśli ona nadal jest u lekarza sądowego...

— Wielkie dzięki — odparł Usman cicho. — Bardzo byś nam pomógł.

Ulga w głosie przyjaciela sprawiła, że zaproponował:

— Powiedz, co mam zrobić.

Teraz, wpatrując się w ozdobne okratowanie wykuszowego okna, z ciałem znużonym, ale umysłem wyostrzającym się z każdą mijającą sekundą, zmuszony był stawić czoło mniej szlachetnym pobudkom, które skłoniły go, by tu przyjechał. Niezdrowa ciekawość. Potrzeba ostatecznego zamknięcia. Pragnienie, by udowodnić samemu sobie, że jednak coś potrafi. Egoizm ostatniego z powodów ciążył mu najbardziej.

Rodzina czeka.

Wypluł miswak do ścieku, uzbroił się wewnętrznie, wszedł do budynku... i znalazł się u podnóża kolejnych schodów. Wszedł po nich, opierając się rękami o ściany. Po oślepiającym blasku na zewnątrz ciemność, nagła i całkowita, zupełnie pozbawiła go zdolności widzenia.

Gdy oczy Najira przywykły do mroku, spostrzegł ochroniarza czytającego coś przy biurku. Widok prostego brązowego munduru i posepnej twarzy zaniepokoił go. To była prawdziwa ochrona, nie tamten staruszek przy wejściu. Prawo zabraniało krojenia i dźgania martwego ciała i choć rząd sankcjonował po cichu autopsje, należało uważać na gorliwców polujących na wszelkie przejawy zachowania niezgodnego z nakazami religijnymi.

Ochroniarz spostrzegł Najira i zmrużył oczy. Najir podszedł do biurka i spojrzał poza siedzącego przy nim mężczyznę, w dół długiego korytarza oświetlonego słabym fluorescencyjnymi lampami.

— Przyjechałem odebrać ciało. — Sięgnął do kieszeni i wyjął formularz dostarczony po południu przez służącego Szarawich. Podał dokument ochroniarzowi.

Ten przeczytał go uważnie, poskładał i oddał.

— Jest tam, w końcu korytarza — powiedział.

— Którego?

Mężczyzna uniósł brwi i wskazał za siebie, na jedyny korytarz w zasięgu wzroku. Najir skinął głową. Spróbował się odprężyć. Otarł pot z szyi i podszedł do wahadłowych drzwi w końcu korytarza. Gdy je otworzył, mieszanka zapachów omal nie zwała go z nóg: poczuł amoniak, śmierć, krew i jeszcze coś równie paskudnego.

Przełykając gorączkowo, pomyślał, że wyczuwa na języku smak siarki, której beduini używali czasami, aby oczyścić odchodzącą w zaświaty duszę. Nie, pomyślał, to tylko wyobraźnia. Pomieszczenie było jasne i sterylne. Pośrodku stał lekarz medycyny sądowej, pochylając się nad leżącym na stole ciałem. Był to kościsty mężczyzna z hełmem siwych włosów, o ton ciemniejszych niż okrywający go kitel. Podniósł wzrok.

— *As-Salam alajkum.*

— *Wa-alajkum as-salam.* — Najir poczuł, że kręci mu się w głowie, i odwrócił czym prędzej wzrok od ciała, skupiając go na szafkach zapchanych podręcznikami, gazą, pustymi szklanymi słojami.

— W czym mogę pomóc? — spytał patolog.

— Jak rozumiem, macie tu dziewczynę, która...

— Jest pan krewnym?

— Nie, nie jestem. Nie. — Choć było to niemądre, poczuł się jak zboczeniec. Czuł potrzebę, by się usprawiedliwić, wyjaśnić, że przyszedł tu z poczucia obowiązku, nie po to, by zaspokoić żądzę. W pomieszczeniu było duszno i zapach zwłok przyprawiał o mdłości. Na skraju pola widzenia Najira pociemniało nagle i zamigotało. Zaczerpnął głęboko oddechu, odwrócił się i zobaczył wiszący na ścianie fartuch poplamiony krwią.

— Nie powinien pan tu wchodzić — powiedział lekarz.

— Mam zezwolenie, aby zobaczyć ciało. Muszę je zobaczyć... to znaczy odebrać. — Przesunął dłonią po twarzy. — Przyjechałem je odebrać.

Lekarz rzucił skalpel na srebrną tacę i spojrzał zniecierpliwiony na Najira.

— Jeszcze z nim nie skończyliśmy. Będzie pan musiał poczekać.

Najir poczuł przypływ ulgi.

— Nim ją zabiorę, chciałbym się upewnić, że to naprawdę ona.

— To ona. — Patolog zorientował się, że Najir nie zamierza ustąpić, i obszedł stół. — Proszę pokazać mi dokumenty. Nuf asz-Szarawi, tak. — Wziął od Najira dokument i uważnie go przeczytał. — Tak, chodzi o nią — wskazał na stół za sobą.

Najir zawahał się, skrepowany własnym uporem.

— Chciałbym zobaczyć jej twarz.

Lekarz wbił w niego wzrok i Najir uświadomił sobie, że przekroczył oto granicę i patolog uzna go niechybnie za zboczeńca, nawet jeśli ma niezbędne dokumenty.

— Chodzi o formalność — wyjaśnił zatem.

— Została już zidentyfikowana.

Najir przeczytał plakietkę przyklepioną do fartucha lekarza: „Abd Allah Mamun, lekarz medycyny sądowej”. Już miał się odezwać, gdy drzwi za nimi otwarły się nagle i do sali weszła kobieta. Oczywiście, jeśli się zastanowić, należałoby uznać, że muszą być też niewiasty patolodzy, badające ciała kobiet, mimo to zetknięcie się z którąś na żywo stanowiło szok. Miała na sobie biały laboratoryjny kitel, na włosach zaś czarną chustę, hidżab. Nie zakryła jednak twarzy, odwrócił więc pośpiesznie wzrok, rumieniając się. Niepewny, gdzie patrzeć, utkwiał w końcu spojrzenie w

zawieszanej na szyi kobiety plakietce. „Katia Hidżazi, technik laboratoryjny”, przeczytał. Zaskoczyło go, że na plakietce widnieje też imię kobiety — winno pozostać niewiadome, zakryte jak jej włosy czy kształt sylwetki. Ujawnianie go powodowało, że sprawiała wrażenie wyzywającej.

Zaniepokojony tym, iż starszy mężczyzna uzna, że gapi się na piersi laborantki, opuścił wzrok... i zobaczył dwie zgrabne stopy w jaskrawoniebieskich sandałach. Zaczerwienił się znowu i odwrócił, na tyle tylko, by nie uznała, że się jej przygląda.

Ramiona kobiety opadły, sygnalizując, że dostrzegła skrepowanie Najira i poczuła się rozczarowana. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła nikab, owinęła nim głowę i zapięła z tyłu na rzep. Zadowolony, że to zrobiła, lecz nadal skrepowany, obserwował ją kątem oka. Kiedy zasłona była już na miejscu i Najir mógł bezpiecznie spojrzeć, ośmielił się zerknąć. Przez szczelinę w chuście widział oczy kobiety. Patrzyła wprost na niego, odwrócił zatem pospiesznie wzrok zaniepokojony jej śmiałością.

— *As-Salam alajkum*, doktorze — powiedziała, podchodząc do patologa. W jej głosie dźwięczało wyzwanie. — Nie dręczył pan pana Asz-Szarkiego, prawda?

Najir miał nadzieję, że nie widać po nim, jak bardzo zmieszany się czuje. Skąd wiedziała, kim jest? I co za kobieta wymawia nazwisko obcego mężczyzny z taką pewnością siebie? Ochroniarz musiał ją poinformować o jego wizycie. Ale dlaczego?

Patolog, poirytowany śmiałością kobiety, burknął coś niezrozumiale. Najir uznał, że ma przed sobą nową pracownicę, nieprzywykłą do obcowania ze starszym mężczyzną o tradycyjnych poglądach.

— Och, to dobrze — zauważyła kobieta — ponieważ przyjechał odebrać ciało.

Mamun obrzucił Najira podejrzliwym spojrzeniem.

— Tak też mi powiedział.

Panna Hidżazi zwróciła się do Najira. Stała tuż przed nim, nieco bliżej, niż wypadało.

— Jak zamierza pan ją przewieźć? — spytała.

Zawahał się, nie chcąc odpowiadać kobiecie bezpośrednio. Spuścił wzrok i zobaczył jej dłoń. Nosiła obrączkę, a może był to pierścienek zaręczynowy — trudno powiedzieć. To że była zameżna, czyniło sytuację nieco łatwiejszą do zniesienia, lecz tylko nieco.

— Mam przed budynkiem jeepa — odparł, zwracając się do lekarza — muszę jednak zidentyfikować ciało, nim je zabiorę.

— W porządku — odparła pani Hidżazi.

Najir pomyślał, że to bezwstydne ze strony kobiety zabierać głos, kiedy nikt się do niej nie zwraca, ale profesjonalne zachowanie laborantki zaskoczyło go. Kobiety, nawet te śmiałe, zazwyczaj postrzegały go jako stworzenie będące na wpół człowiekiem, na wpół zwierzęciem — wysokie, potężne, obdarzone głębokim, szorstkim głosem. Ta kobieta zaś czuła się przy nim swobodnie, zachowując przy tym konieczny dystans.

— Już ją zidentyfikowaliśmy — usłyszał.

Ścisnęło go w żołądku. Wszystko wskazywało na to, że kobieta zdecydowana jest zacząć rozmowę, on tymczasem wpatrywał się uparcie w Mamuna, żałując, iż nie może rozmawiać właśnie z nim. Zamiast tego stał pośrodku sali, wyglądając podejrzanie.

— Chcę zobaczyć ciało — powiedział, dodając w duchu: Choć tak naprawdę chciałbym przede wszystkim stąd wyjść.

— Jest tutaj, na stole. Może pan popatrzeć.

Podprowadziła go do metalowego stołu, na którym leżały zwłoki Nuf, i odchyliła nieco prześcieradło. Najir spojrzał w dół i poczuł kolejną

falę mdłości. Tym razem pamiętał jednak, aby głęboko oddychać. Z początku nie dopatrywał się w leżącej na stole kobiecie podobieństwa do Nuf, lecz kiedy przyjrzał się zwłokom uważniej, rozpoznał małe delikatne usta oraz wysokie kości policzkowe Asz-Szarawich.

— Myślę, że to ona. — Zakaszłał, kiedy dobiegła go woń zwłok. Biedna dziewczyna. Połowę twarzy miała spaloną od słońca, druga zaś wydawała się przerażająco szara. Musiała leżeć na boku przez wiele dni: oparzenia były znaczne. Szary policzek pobrudzony był błotem. — Dziękuję — powiedział i odsunął się.

Pani Hidżazi badała tymczasem głowę Nuf. Najir dostrzegł we włosach dziewczyny, tuż nad lewym uchem, coś zaschniętego.

— To krew? — zapytał, zwracając się do Mamuna.

Mamun wzruszył tylko ramionami, podczas gdy pani Hidżazi dalej oglądała ranę.

— Tak — odparła w końcu. — Mamy tu zasinienie. Wygląda, jakby ktoś mocno uderzył ją w głowę. I jest coś jeszcze... — Wyjęła szczypekami z rany drobny przedmiot i uniosła go do góry. — Przypomina drewniany wiór.

Najir poczuł przyływ podniecenia. Nie spuszczać wzroku z lekarza, zapytał:

— Czy to rana była przyczyną śmierci?

— Nie — odparł Mamun. — Dziewczyna utonęła.

W ciszy, jaka nastąpiła po tym zaskakującym oświadczeniu, wskazał przypięte do ściany zdjęcie rentgenowskie płuc Nuf. Oczy błyszczały mu z zadowolenia wywołanego zawodową satysfakcją. Najir przyglądał się przez chwilę zdjęciu, nie bardzo wiedząc, co powinien na nim zobaczyć.

— Utonęła?

Tak właśnie powiedziałem. Klasyczny przypadek. Piana w ustach. Płuca i żołądek wypełnione wodą.

To proste stwierdzenie otwierało drogę dla najdzikszych przypuszczeń. W końcu jeśli kobieta tonie pośrodku największej piaskowej pustyni świata, powinno znaleźć się po temu godne uwagi wyjaśnienie.

— Skoro utonęła, jak wytłumaczy pan ranę na głowie? — zapytał.

Patolog się zjeżył.

— Musiała o coś uderzyć.

— Kiedy tonęła?

— Tak, właśnie wtedy.

Podczas tej wymiany zdań pani Hidżazi nadał badała czaszkę Nuf. Najir zauważył, iż drżą jej dłonie. Ośmielił się spojrzeć kobiecie w oczy i spostrzegł, że nad czymś się zastanawia.

— Skoro rana powstała, kiedy tonęła, na ciele powinno być ich więcej.

Podziwiał jej śmiałość. Ciekawe, czy lekarz zdoła tolerować taki brak szacunku. Spojrzał znowu na plakietkę z nazwiskiem i zauważył, że kobieta jest technikiem laboratoryjnym, nie patologiem. Na czym dokładnie polega różnica? zastanowił się.

— Padało przed tygodniem, prawda? — spytał Mamun.

— Prawie przed dwoma — odparł Najir. — W dniu, kiedy zniknęła, spadł deszcz. Od jak dawna nie żyje?

— Trudno powiedzieć.

Najir czuł, że kobieta mu się przygląda, mimo to nadal zwracał się do Mamuna.

— Da się stwierdzić, czy rana na głowie powstała, kiedy dziewczyna jeszcze żyła?

— Tak — odparła kobieta.

Najir czekał, by rozwinęła temat, lecz nic takiego nie nastąpiło. W przedłużającej się ciszy pani Hidżazi zsunęła delikatnie prześcieradło z ramion Nuf. Kiedy zaczęła z uwagą oglądać szereg otarć z wybroczynami na nadgarstkach i dłoniach zmarłej, Najir pozwolił sobie patrzeć. Przetarła jedno z uszkodzeń.

— To chyba piasek — powiedziała. — Pod paznokciami także coś ma. Wygląda mi to na rany obronne.

— Nie, nie, nie. — Mamun zacmokał z dezaprobatą, odepchnął laborantkę i wskazał nadgarstek Nuf. — To ślady pozostawione przez wodze wielbłąda. Nie dostrzega pani wzoru?

Najir przyjrzał się sińcom. Nie były jednolite, poza tym Nuf miała też otarcia na czubkach palców.

— Powiedziałbym, że to rany obronne.

— A ja twierdzę, że zrobiły je skórzane lejce.

Pani Hidżazi wsunęła wacik do szklanej fiołki

i postawiła ją ostrożnie na ladzie. Odwróciła się z powrotem ku Nuf, zastanawiała przez chwilę, a potem uniosła ostrożnie skraj szarego prześcieradła zakrywającego nogi dziewczyny. Przytrzymując materiał w powietrzu, przyglądała się ciału przez dłuższy czas. Najir patrzył zafascynowany, jak przesuwając wzrokiem po ciele zmarłej tak delikatnie i z taką wrażliwością, jak robiła, posługując się dłońmi. Zaskoczyło go, iż wydaje się poruszona śmiercią obcej kobiety. Smutek w jej oczach przywodził na myśl osobistą stratę i Najir jął się zastanawiać, czy laborantka zna rodzinę Asz- -Szarawich i czy właśnie ona przekazała rodzinie Nuf smutną wiadomość.

W końcu opuściła prześcieradło. Kiedy się odezwała, jej pytający, niepewny głos pozostawał w ostrym kontraście z tym, co mówiła:

— Nie widzę dowodu, że w ogóle dotykała wielbłąda. Na ciele nie ma sierści, a na udach otarć. — Mamun próbował jej przerwać. Nie pozwoliła na to. — Nie mam zbyt dużego doświadczenia w określaniu czasu zgonu, powiedziałabym jednak, że nastąpił co najmniej przed tygodniem.

— Oczywiście! — prychnął Mamun zirytowany. — Zważywszy, jak często pada na pustyni, powiedziałabym, że umarła podczas deszczu. Wiecie, co się stało? Szła korytem wadi, kiedy trzask! zaczęło nagle padać. Wadi wypełniło się błyskawicznie wodą. Próbowała płynąć, lecz porwał ją nurt. Uderzyła się w głowę i poraniła sobie nadgarstki. *Jani*, utonęła.

— Miała przecież wielbłąda — zauważył Najir, wpatrując się w lekarza.

— I co z tego? — wykrzyknął Mamun. — Wielbłądy nie potrafią pływać!

Nie była to prawda. W świecie zwierząt nie potrafią pływać jedynie goryle. Wielbłądy, mimo iż mają rzadki kontakt z wodą, radzą sobie doskonale. Najir widział to na własne oczy w Centrum Rehabilitacji Dromaderów w Dubaju, gdzie terapeuci zachęcali swoich pacjentów, aby pływali w basenie, gdyż przyspieszało to zrastanie się złamanych kości i łagodziło bóle artretyczne. Kiedy już wielbłądy znalazły się w wodzie, baraszkowały jak dzieci i nawet złościły się, gdy je wyprowadzano. Dlaczego, zdawały się pytać, Bóg ukształtował nasze ciała tak, byśmy musiały żyć poza wodą?

— Wielbłądy pływają — powiedział. — I wielbłąd uratowałby jej życie. — Wyjął z kieszeni następny miśwak i wsunął go sobie do ust, wdzięczny za to, że ostry smak tłumi odór śmierci. Żuł przez chwilę, a potem okrążył stół. Prawa dłoń Nuf wystawała spod prześcieradła. Nad-

garstek pomazany był brązowawym błotem. Wyglądało, jakby słońce stopiło je ze skórą. — Co to takiego?—zapytał.

— Wygląda na błoto — odparła pani Hidżazi. Zeskrobała trochę substancji do słoika.

Mamun wyrwał jej naczynie.

— Ta dziewczyna utonęła, moi drodzy. Panie Asz-Szarki, jest pan przekonany, że to ona?

Najir przestał żuć.

— Owszem. Mimo to sprawa z wielbłądem nadal wydaje mi się dziwna.

Mamun wzruszył ramionami.

— Może się rozdzielili. Na przykład nim weszła do wadi.

— Nikt nie porzuca wielbłąda na pustyni. To samobójstwo.

— Nie sugerowałem, że się zabiła!

— Ja także nie.

Patolog zmrużył oczy.

— Nie chcę nawet o tym słyszeć! To śmieszne! Przypuszcza pan, że została zamordowana?

Najir uniósł brwi.

— Jak? To znaczy... w jaki sposób? — Mamun zakrztusił się śliną i rozkaszłał. — Ktoś musiałby zaczekać, aż znajdzie się w wadi sama, pośrodku pustyni i bez wielbłąda. Musiałby też spaść deszcz, i to na tyle obfity, by wypełnić koryto. A wtedy ten zabójca... na Boga, człowiek obdarzony doprawdy anielską cierpliwością... musiałby znaleźć sposób, aby utopić ją w powodzi i samemu przy tym nie utonąć. Kto by sobie zadawał tyle trudu, kiedy wystarczyłoby po prostu dźgnąć dziewczynę nożem?

Żadne z nich nie odpowiedziało. Najir zerknął na panią Hidżazi, ale z jej spojrzenia nie sposób było niczego wyczytać.

Patolog miał rację — morderstwo przez utopienie wydawało się mało prawdopodobne. Czy Nuf, znalazłszy źródło wody, umarła, próbując się napić? Może weszła do wadi, w którym płynęła już woda. Padało rzeczywiście mocno. Najir pamiętał, że był za to wdzięczny, gdyż uznał, że deszcz może uratować jej życie.

—Coś jeszcze? — zapytał zgryźliwie starszy mężczyzna, spoglądając z gniewem na Najira.

— Zastanawiałem się właśnie, czy wszystko inne jest w porządku — powiedział. — Z ciałem... to znaczy... czy nie przytrafiło się jej coś więcej?

Mamun się skrzywił. Najir uświadomił sobie, że patolog czuje się przyparty do muru. Dawało mu to dziwne poczucie mocy, nawet jeśli jego władza wynikała wyłącznie z faktu, że reprezentował wpływową rodzinę.

— Wiem, o co pan pyta — powiedział lekarz. — Nie doszliśmy jeszcze do tego. Chociaż pani Hidżazi

— wymówił nazwisko kobiety z ewidentną dezaprobatą — nie jest patologiem, przeprowadzi badanie ultrasonograficzne. — Pociągnął raptownie za prześcieradło, obnażając ciało Nuf.

Najir zbladł i spuścił wzrok, mimo to zobaczył wszystko — biodra, nogi, wzgórek łonowy. Rozglądając się rozpaczliwie za czymś, na czym mógłby zawiesić bezpiecznie wzrok, spostrzegł tubkę żelu, strzykawkę i metalowy instrument niebezpiecznie przypominający fallusa.

— Dziękuję — powiedział szorstko. — Zaczekam raczej na zewnątrz. — Odwrócił się ku drzwiom, a potem zatrzymał. Pokój wirował. Zacerpnął głęboko oddechu, pochylił się i oparł dłonie na kolanach. W głowie mu szumiało. Serce tłukło się w piersi niczym kamień w manier-

ce. Wyobraził sobie tę pojedynczą lufę pomiędzy udami dziewczyny, potem wszystko zbladło i oto leżał już na podłodze, a krew tętniła mu w skroniach.

— Panie Asz-Szarki! — Mamun klęczał tuż obok, podtykając mu pod nos fiolkę z kamforą. — Panie Asz- -Szarki, niech Bóg ma pana w opiece, jest pan przyzwoitym człowiekiem.

— Wody — zaskrzeczał Najir.

— Przyniosę! — Mamun wstał i opuścił pokój, potrząsając głową.

Najir wstał z trudem i odczekał chwilę, żeby się przekonać, czy znów nie zemdleje.

Pani Hidżazi wydawała się zdenerwowana.

— Przykro mi, panie Asz-Szarki.

Czuł się zbyt zażenowany, by odpowiedzieć, na szczęście kobieta miała dość przyzwoitości, by zająć się na powrót pracą. Wyjęła z szafki zestaw daktyloskopijny, przyciągnęła krzesło do stołu i zaczęła zdejmować odciski palców Nuf. Ciało było znowu bezpiecznie przykryte, lecz Najir nadal czuł się nieswojo i wolał odwrócić wzrok.

— Dlaczego musi pani przeprowadzić badanie ultrasonograficzne?
— zapytał, wystrzegając się, aby nie spojrzeć na twarz pani Hidżazi.

— Może powinien pan usiąść — zasugerowała.

Mówiła otwarcie, co zaskoczyło go tak bardzo, że nie odpowiedział.

— Przyjechał pan zabrać ciało — kontynuowała tymczasem лаборantka — więc niech pan to zrobi i zapomni o reszcie. Sprawa zamknięta, uznano, że to był wypadek. Jak zauważył Mamun, nie jestem patologiem. Lekarka przebywa na urlopie macierzyńskim. Jestem tutaj jedynie dlatego, że nie byli w stanie znaleźć zastępcy, a potrzebowali kobiety, aby

nadzorowała prace. Ponieważ to ważny przypadek, sprowadzili z Ri- jadu Mamuna, on zaś stwierdził, że dziewczyna utonęła. Nie ma powodu zadawać pytań. Już po wszystkim.

Sarkazm w jej głosie zaskoczył go.

— Sądzi pani, że zostało to ukartowane? — zapytał.

Kobieta wzruszyła ramionami.

Jeśli faktycznie tak było, Asz-Szarawi musieli wiedzieć. Tylko oni byli na tyle wpływowi, by coś takiego zorganizować. Najir potrafiłby podać kilka powodów, dla których Szarawi mogliby chcieć ukryć prawdę, a najważniejszy leżał oto przed nim na stole.

Zawahał się, a potem spytał:

— Nie była dziewicą?

Pani Hidżazi skończyła pobierać odciski palców i spakowała zestaw. Wstała i schowała go do szafki. Najir czekał, mając nadzieję, że coś mu powie, lecz kiedy ruszyła ku niemu, odwrócił szybko wzrok. Żałował, że nie potrafi jej przekonać, aby mu zaufała, miała jednak rację, zachowując ostrożność. Był obcym, na dodatek mężczyzną. Niechętnie pogodził się z jej milczeniem, przyjmując je za oznakę skromności, choć wydawało się wręcz buntownicze.

Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po trzeciej. Nuf musi zostać pogrzebana przed zachodem słońca. Miał niecałą godzinę, aby zawieźć jej ciało do posiadłości Szarawich. Rodzina będzie potrzebowała kolejnej godziny, by przygotować zmarłą do pochówku.

Wrócił Mamun, niosąc szklanek wody. Smakowała mydłem, lecz Najir się nie skarżył. Staruszek poklepał go po plecach i zmarszczył z sympatią brwi.

— Nie tak wyglądają, kiedy są żywe, zapewniam. Proszę nie pozwolić, by to co pan zobaczył, zepsuło panu przyjemność.

„Najlepszą z kobiet — powiada Prorok — jest ta, na którą miło jest spojrzeć i która wypełnia twoje polecenia". Zdanie plątało mu się po głowie, kiedy wyprowadzał jeepa z parkingu za budynkiem i włączał się do ruchu. Choć Prorok miał rację, wyglądało na to, że istnieje sposób, aby zachować się przyzwoicie, nie będąc posłuszną. Milczenie pani Hidżazi pod koniec wizyty ciążyło mu, pomyślał więc o tym, jak zachowywała się wcześniej. Nadał uważał jej postępowanie za zbyt bezpośrednie, ale teraz się zastanawiał, czy nie zostało spowodowane troską o Nuf. Pani Hidżazi spierała się z Mamunem o to, jak umarła Nuf, a także w kwestii wielbłąda i rany na głowie. Najir nie miał pewności, czy jej śmiałość była spowodowana chęcią ochrony Nuf, profesjonalnym egotyzmem czy wynika po prostu z charakteru kobiety. Instynkt podpowiadał mu, że chodzi o to pierwsze i że laborantka strzegła jedynie sekretów mogących zaszkodzić reputacji Nuf.

Tak czy inaczej, nie myliła się co do jednego. Rany obronne, uszkodzenie głowy, brak wielbłąda — wszystko to razem wzięte wyglądało dziwnie. Podejrzany wydawał się zwłaszcza brak wielbłąda, gdyż o ile Najir wiedział, nikt przy zdrowych zmysłach nie pozbywa się wielbłąda na pustyni.

ROZDZIAŁ 3

Jadąc nadbrzeżną autostradą na południe, przyglądał się, jak wieżowce centrum, a potem płatanina strupieszających ruder ustępują miejsca rozpościerającej się leniwie pustyni. Po lewej małe domki znaczyły pola, które leżały nagie w słońcu popołudnia, po prawej morze połyskiwało i migotało niczym szal z niebieskiej satyny. Wpatrując się w krajobraz, próbował zapomnieć o tym, że w tyle samochodu spoczywa ciało Nuf. Nie był jednak w stanie tego zignorować. Jechał powoli, brał zakręty ostrożnie i stawał na każdym świetle, mimo iż ruch był tu praktycznie zerowy. Zachowywał się tak, ponieważ czułby się strasznie, gdyby przysporzył cierpienia żywym, raniąc lub okaleczając ciało ich siostry i córki.

Zjechał z autostrady i skręcił w drogę dojazdową prowadzącą wzdłuż wybrzeża. Wspaniały meczet o białej kopule i smukłym minarecie stał samotnie przy plaży. Skręcił w prywatną drogę, opatrzoną drewnianym znakiem „Przejścia nie ma”, i jechał, aż dotarł do żelaznej bramy utworzonej przez dwie wieże, które niczym strażnicy z betonu czuwały, by nikt niepowołany nie dostał się poza ogrodzenie.

Wziął kilka głębokich oddechów i spróbował się skupić. Przed nim rozciągał się dwukilometrowej długości most. Był wąski — jego półciągarówka ledwie się na nim mieściła — i od strony brzegu wyglądał jak z gumy. Może powodował to upał, lecz nawierzchnia falowała niczym kolejka w wesołym miasteczku. Łącuchowa barierka też nie dodawała otuchy, w kilku miejscach została bowiem uszkodzona, zupełnie jakby jakiś pojazd przerwał ją i spadł. Niestety, do posiadłości można było się dostać tylko przez most. W ciągu minionych lat przejeżdżał po nim setki razy, ale nigdy się do tego nie przyzwyczyił.

Ruszył powoli do przodu ze wzrokiem utkwionym w drogę, biorąc jeden oddech po drugim, póki nie uchwycił rytmu. Próbował odepchnąć od siebie wizję prześladowającą go zawsze w tym miejscu — pęka opona,

samochód przebija barierkę i wpada do morza, pogrążając się w mroku — i wkrótce wyspa Asz-Szarawich znacznie się przybliżyła. Podnosząc wzrok, widział pomiędzy sterczącymi skałami miękki zarys pałacu o pobielonych ścianach.

Kiedy już znalazł się na wyspie, podążył przed siebie żwirową drogą, która prowadziła do rzadko używanego wejścia służbowego po zachodniej stronie posiadłości. Czekali tam na niego dwaj mężczyźni. Wyjęli z samochodu ciało Nuf, podziękowali mu krótko i powiedzieli, aby objechał dom i zatrzymał się przed głównym wejściem. Przyglądając się, jak ciało znika za bramą, poczuł, że ogarnia go dziwne poczucie straty.

Przyszło mu na myśl, aby zadzwonić do Usmana, poinformować go, że ciało jest już w domu, zawahał się jednak niepewny, czy rodzina zna przyczynę zgonu. Uświadomił sobie, iż może zostać poproszony, aby przekazał to, czego dowiedział się w biurze lekarza sądowego. Patolog powiedział, że ktoś zidentyfikował już ciało i zabrał rzeczy należące do Nuf, choć mógł to być służący lub zwykły pracownik, a nie człowiek zdolny uzyskać informacje. Najir nie był pewien, co powinien powiedzieć bliskim. Mógł wyjaśnić, że Nuf zginęła podczas powodzi, ale wolałby nie wspominać, iż mogła zostać zamordowana, na wypadek gdyby to oni zaaranżowali wersję nie zgadzającą się z dowodami. Spojrzał na dom i poczuł się zdezorientowany. Nigdy dotąd nie przyglądał się budowli z tej perspektywy; zewnętrzne ściany lśniły jak zwykle bielą, lecz okna wydały mu się mniejsze, a ich żaluzje bardziej czarne, niepodobne do zdobiących front domu drewnianych krat o wyszukanym wzorze, przez które można było dostrzec wnętrze. Ta część rezydencji musi należeć do kobiet, pomyślał.

Wsiadł do jeepa i odjechał spod bramy. Uświadomił sobie, że Nuf musiała jechać tą samą drogą. Usman powiedział, że ukradła starą toyotę pikapa z parkingu przed domem, resztę Najir musiał wyobrazić sobie sam. Na parkingu stały zawsze tuziny samochodów należących do rodziny i rzadko używanych. Zorientowanie się, że któregoś brakuje, mogło

zająć nawet kilka dni. Wszystkie kluczyki wisiały w garderobie obok frontowych drzwi. Były starannie oznakowane i Najir nie raz brał je, nie pytając o zgodę, kiedy przygotowywał samochody do wyprawy na pustynię. Nuf mogła odczekać, aż nikt nie będzie patrzył, chwycić kluczyki, wymknąć się na zewnątrz i zabrać ciężarówkę.

Z parkingu przed domem musiałyby wyjechać drogą dojazdową przez niewielką bramę dla służby oraz dostawców, a potem skierować się ku tylnej bramie. Tworzyły ją wielkie drewniane wrota, zazwyczaj otwarte. Na drodze, obramowanej drzewami i żywopłotem, raczej by jej nie zauważono. Sam dom stał zaś na tyle wysoko i był otoczony tak stromymi klifami, że drogę z trudem dawało się dostrzec nawet z tarasów. Stajnie znajdowały się tuż przy tylnej bramie. Najir wyobraził sobie, jak Nuf podjeżdża do wrót, wyprowadza z przegrody wielbłądzicę i zachęca ją — a może zmusza? — by weszła na ciężarówkę. Nie miał pojęcia, jak tego dokonała, lecz kiedy zwierzę było już na wozie, wróciła zapewne drogą dla dostawców, minęła frontowy parking i wjechała na most. Szansa, że ktoś dostrzeże ją i zatrzyma, była znikoma. Nie był to plan doskonały, dobrze wybrała jednak porę. Większość mężczyzn była w pracy, zaś kobiety rzadko opuszczały budynek i prawdopodobnie niczego nie zauważyły. Uciekinierkę mogli dostrzec tylko służący, ale Usman zdążył mu już powiedzieć, że tak się nie stało.

Wjechał na marmurowy parking przed głównym wejściem. Pokażna liczba stojących tam lincolnów, cadillaców i roverów zmusiła go, aby poszukał miejsca bliżej mostu. Nie przeszkadzało mu, że zaparkuje daleko od domu, gdzie jego brzydki przerdzewiały jeep nie będzie rzucał się w oczy, lecz kiedy szedł przez parking, przysłuchując się stukotowi podszew o marmurowe płyty, pożałował, że nie znalazł miejsca bliżej. Żar był obezwładniający, nic zatem dziwnego, że w garniturze męczył się okrutnie. Idąc, zastanawiał się po raz tysięczny, ile rodzina musiała zapłacić za nawierzchnię z polerowanego marmuru. Bił od niej blask tak ostry, że Najir, który szczycił się tym, że nie używał nigdy okularów przeciwsłonecznych, zmuszony był osłonić oczy dłonią.

Matka Usmana, Nusra, powitała go przy drzwiach. Jak wiele starszych kobiet, odrzuciła zasłonę i nosiła zwykłą czarną chustę, która osłaniała włosy ściągnięte tak mocno, że wyglądały jak mycka. Głęboko pobrużdżona twarz kobiety nie stanowiła już dla mężczyzn zagrożenia, jednak synowie i tak się skarżyli niezadowoleni, że matka zachowuje się niestosownie, wystawiając twarz na widok publiczny. Najir podejrzewał, że chodziło tu nie tyle o przyzwoitość, ile o to, że odstręczały ich jej oczy.

Straciwszy bezpowrotnie wzrok po urodzeniu pierwszego dziecka, Nusra odmówiła noszenia ciemnych okularów. Lubiła czuć na twarzy światło i zwykła mawiać, że rozjaśnia ciemność w jej głowie. Pewnego dnia, powtarzała, wzrok wróci jej tak nagle, jak utraciła go przed trzydziestoma trzema laty, a gdy tak się stanie, jakże zdoła dostrzec różnicę, mając oczy przesłonięte ciemnymi szklami?

Kiedy otworzyła drzwi, Najir odwrócił wzrok, powodowany szacunkiem, a także dlatego, że widok tych jakby polakierowanych oczu w sinawych obwódkach sprawiał, że ciarki przebiegały mu po grzbiecie. Zaskoczyło go, iż to ona otworzyła drzwi. Powinna siedzieć otoczona pocieszającymi ją kobietami, cierpiąc w milczeniu.

— Najir — zaszczebiotała. (Skąd wiedziała, że to on? Zawsze wiedziała.) — *Ahlan wa-sahlan!* Wejdz, proszę.

Wszedł przez gigantyczne drzwi i opamiętał się.

— Niech Bóg ześle ci wiele błogosławieństw, Umm Tahsin. Bardzo mi przykro z powodu twojej straty.

— Dziękuję. — Odnalazła jego dłoń, wzięła ją w swoją i pogładziła jej grzbiet, drapiąc mu skórę szorstkimi suchymi palcami. — Dziękuję za wszystko. Twoje poszukiwania niosły nam nadzieję, kiedy już niemal ją utraciliśmy.

— To był zaszczyt.

— Wejdz, proszę. — Poprowadziła Najira korytarzem, stąpając pewnie niczym dziecko. — Zawsze wiem, że to ty, gdyż powietrze w domu staje się świeższe, jakby bardziej radosne. Wyczuwam też zapach pustyni na twojej skórze.

— I czym ona pachnie? — zapytał.

— Słońcem. — Otworzyła drzwi i gestem zaprosiła go, by wszedł. — A także pyłem.

Rozejrzał się. Tłum zdążył już zrzędnać, a wśród mężczyzn nie dostrzegł Usmana. Grupki wujów i kuzynów, z których większość przybyła odziana w zawoje oraz długie białe tuniki, zdążyła się wymknąć na otaczający dom taras. Przechadzali się, szepcząc jeden do drugiego z miną wyrażającą stoicki spokój i szacunek. Najir spodziewał się, że zastanie w salonie braci Nuf siedzących w ciszy z twarzami poznaczonymi śladami łez, lecz było to śmieszne. Oczywiście nie dopuściliby do podobnej demonstracji uczuć.

— Uroczystość zacznie się niedługo — powiedziała Nusra. — Usiądź tymczasem i odpocznij.

Najir odwrócił się, aby jej podziękować, zdążyła się już jednak wysliznąć niepostrzeżenie z pokoju.

Kobiety Asz-Szarawich obmyły ciało Nuf i owinęły w kafan, który nosiła zeszłego lata podczas hadżu, pielgrzymki do Mekki. Biała płachta, długa i nieskalana dotykiem igły, otaczała smukłe ciało trzema szerokimi wstęgami. Kobiety umieściły zwłoki na drewnianej palecie pośrodku dziedzińca rodzinnego meczetu, najczystszej miejsca na wyspie.

Ciało spoczywało zwrócone głową ku Mekce. Kierunek wyznaczono precyzyjnie podczas budowy meczetu, posługując się systemem GPS. Pomieszczenie wystawało pod ostrym kątem na północny wschód od domu, zakłócając harmonię budowli, lecz budowniczy zapewniali, że

świątynia stoi dokładnie w jednej linii z Al-Kabą umieszczoną na dziedzińcu Wielkiego Meczetu w Mekce odległej o mniej więcej sto kilometrów.

Prawa strona pomieszczenia znajdowała się najbliżej Dżuddy, gór i pustyni za nimi. Tam właśnie stał Najir, czekając, aż rozpoczną się modły. Tuż przed nim stali bracia Asz-Szarawi, tak że razem tworzyli wielce szacowną grupę. Najir był jedynym jej członkiem spoza rodziny — przynajmniej jeśli chodzi o mężczyzn. Wyróżnienie cieszyło go o wiele bardziej, niż wypadało w tak smutnych okolicznościach. Za mężczyznami tłoczyły się kobiety. Kątem oka dostrzegł, że nie wszystkie są całkowicie zakryte — niektórym widać było oczy, utkwiał więc wzrok w gromadce mężczyzn.

Nagle imam przyłożył dłonie do uszu i wykrzyknął jedno z imion Boga: *Al-Hasib*, Rozliczający. Gdy rozpoczął modły, wierni złożyli dłonie na brzuchu, prawą na lewej, szepcząc własną wersję modlitwy. Po chwili modlitewny zaśpiew zyskał na sile, kobiety zawodziły teraz głośniej. Niektóre poniechały nawet tradycyjnej formy, aby wykrzykiwać spontaniczne błagania. Głos Nusry wzniósł się ponad resztę i Najir usłyszał, jak matka Nuf powtarza modlitwę: „O Panie, uczyn kres mego żywota jego najlepszą częścią, najlepsze z moich uczynków ich zwieńczeniem, a najlepszym dniem ten, w którym dane mi będzie spotkać się z Tobą”. Modliła się tak głośno, że mężczyźni zaczęli ją uciszać. Głos Nusry wibrował w otwartym pomieszczeniu, zagłuszając łoskot fal rozbijających się o skały w dole.

Ostatnie zdania wykrzyknęła, a jej głos sięgnął dachu niczym poryw gwałtownego wiatru: „Dzieła odzwierciedlają zamysł. Człowiek otrzymuje zaś to, co starał się osiągnąć”.

Nie wiadomo, dlaczego to powiedziała; z pewnością nie chciałaby odesłać córki do bram raju z równie cyniczną sentencją. Musiała być przeznaczona dla kogoś innego. Najir nie mógł się odwrócić i spojrzeć na twarz Nusry, aby się nie zhańbić, jął zatem przyglądać się twarzom jej

synów stojących karnie w szeregu. Nawet z odległości nietrudno było dostrzec, że dzielają gniew słyszalny w głosie matki, i Najir uświadomił sobie, iż rodzina wie, że Nuf została zamordowana, a morderca przebywa na wolności.

Usman podchwycił jego spojrzenie i Najir wrócił pospiesznie do modlitwy. Kiedy skończyli, wyszedł wraz z innymi z cmentarza. Nuf jako pierwsza z Asz- Szarawich miała zostać pochowana na wyspie, jednak rodzina zdążyła zbudować tu obszerny cmentarz otoczony murem z czarnego kamienia. Gruba warstwa cedrowych wiórów pokrywała ziemię wszędzie poza miejscem, gdzie grabarze wykopali grób.

Kiedy złożyli w nim ciało i wdrapali się z powrotem na górę, aby dołączyć do żyjących, rodzina ustawiła się w kolejce, by oddać ciału ostatni hołd. Każdy z żałobników sypnął na okryte płótnem ciało garść piasku, który umieścił wcześniej na grzbiecie dłoni. Trumna byłaby przejawem próżności.

Najir zaczerpnął z białej ceramicznej miski odrobinę piasku i nasypał sobie na grzbiet dłoni. Był to bardzo drobny piasek, o ton jaśniejszy niż jego skóra. Grabarze musieli go przynieść z plaży. Dotyk ziaren przywołał wspomnienie pustyni, dni, kiedy Najir wierzył, że Nuf żyje i tylko się ukrywa.

Gdy stanął przy grobie, zauważył coś dziwnego. Piasek nie zakrył ciała całkowicie i choć owinięte było teraz szczelnie w kafan, lekkie wzniesienie w miejscu, gdzie musiały się znajdować kolana, wskazywało pozycję zwłok. Rzucił piasek do dołu i wyciągnął z kieszeni kompas. Dyskretne spojrzenie na tarczę przyrządu upewniło go, że się nie myli: Nuf spoczywała w grobie zwrócona do Mekki plecami. Nie stopami, ale właśnie plecami. Wymamrotał modlitwę i odszedł.

Zaniepokoiło go poczynione spostrzeżenie. Jeśli to co podejrzewał, było prawdą, dlaczego pani Hidżazi nic mu nie powiedziała?

Rodzina chowa kobietę plecami do Mekki tylko w przypadku, kiedy zmarła spodziewała się dziecka, chodzi bowiem o to, aby właśnie ono zwrócone było twarzą ku świętemu przybytkowi.

TLR

ROZDZIAŁ 4

Najir wszedł do bawialni dla mężczyzn i stał przez chwilę, wpatrując się w dziedziniec. Ręcznie rzeźbione kraty z mahoniu rzucały koronkowy cień. Spoza ich geometrycznej sieci dobiegał plusk fontann. Pośrodku każdej kraty umieszczono religijną sentencję wyrzeźbioną na kształt kołującego jastrzębia. Litery i znaki diakrytyczne owijały się wokół siebie niczym skrzydła i pióra, chmury i słońce. Dla większości mężczyzn przebywających w pokoju obraz przedstawiał po prostu jastrzębia, jednak baczne oko mogło się dopatrzeć sentencji, którą Najir odcyfrował dawno temu: „Kto dzieli się swym bogactwem z potrzebującymi, tego nie spotka w życiu nic złego”.

Było to odniesienie do firmy założonej przez Asz- -Szarawich: Pierwszej Międzynarodowej Spółdzielni Muzułmańskiej, sieci organizacji charytatywnych pozyskujących fundusze w oparciu o zakat, starą zasadę jałmużny. Saudyjczycy przeznaczają na zakat 2,5 procent miesięcznych dochodów, do tego bowiem zobowiązuje ich prawo. Co roku 10 miliardów riali wędruje więc od bogatych do biednych. To pieniądze przeznaczone bezpośrednio dla wiernych w potrzebie, nie na szpitale, meczety czy szkoły religijne, i tylko na taki cel mogą być wydatkowane.

I tak też się dzieje. Asz-Szarawi pozyskiwali blisko jedną czwartą gotówki oraz aktywów, jakie mieszkańcy Dżuddy przeznaczali na dobroczynność. Z biegiem lat firma stała się tak znana, a rodzina zyskała taki szacunek, że darczyńcy zaczęli obdarowywać bezpośrednio Asz-Szarawich, co pozwalało im żyć na bardzo wysokim poziomie.

Jednakże aby uhonorować beduińskie dziedzictwo, wyposażenie domu pozostawało proste i eleganckie. Jeśli pominąć szklaną kulę zwisającą z sufitu w bawialni, gdzie przyjmowano gości, próżno by szukać ostentacyjnych znamion bogactwa. Dywany były tu cienkie i białe, sofy pod-

niszczone. Nawet taca do wody była prosta: ot, białe ceramiczne kubki na bambusowej podstawie. „Bóg jest piękny — powiada Prorok — i kocha piękno”.

Synowie Asz-Szarawich żyli zgodnie z zasadami wpojonymi im bezlitośnie przez ojca. Abu Tahsin był beduinem. Dorastał na pustyni, gdzie człowiek może zatrzymać jedynie to, co jest w stanie unieść. Wierzył, iż rzeczy materialne nie są warte, by je posiadać. „Nie zabierzesz ich z sobą do grobu — powiadał. — Pamiętajcie! W ostatnią podróż wyrusza się bez bagażu!”. Znany był też powszechnie z tego, że rozdawał rzeczy, nie tylko pieniądze, ale również samochody, łodzie i konie czystej krwi. Synowie postępowali podobnie, rodzina była więc niczym kanał, przez który przepływały szerokim strumieniem skarby, nie zatrzymując się na dłużej.

Właśnie dlatego, pomyślał Najir, jestem w stanie ich znieść.

Usłyszał szuranie. Drzwi bawialni otwarły się i do pokoju weszli bracia Asz-Szarawi z dwoma innymi mężczyznami, chyba kuzynami. Bracia uścisnęli Najira i ucałowali w policzki. Gdyby był niewidomy, mógłby rozpoznać ich już choćby po zapachu wody kolońskiej. Tahsin używał marki Gucci, Fahd natomiast Armatiego. Lecz kiedy obejmował Usmana, piżmowy zapach jego skóry zasugerował, że przyjaciel spociał się podczas popołudniowej drzemki.

Najstarszy brat, Tahsin, przedstawił kuzynów. Jeden uścisnął dłoń Najira i powiedział:

— Jesteś tym beduinem, o którym ciągle się mówi!

— Najir nie jest beduinem — zauważył Usman.

— Nie? A kim? — zapytał kuzyn. Ton jego głosu sugerował istnienie nowej fantastycznej rasy, która mogłaby się okazać bardziej zabawna i zacofana niż beduini.

— Palestyńczykiem — odparł Usman, uprzedzając Najira.

— Ach, Palestyńczykiem. — Kuzyn opadł na sofę i podniósł wzrok na Najira, który stał zakłopotany na środku pokoju. W Palestyńczyku nie mogło być nic zabawnego. Wszyscy zdawali się szacować wzrokiem jego źle dopasowany garnitur i Najir jął się zastanawiać po raz tysięczny, co też jest w nim takiego, że ludzie zawsze się gapią. Może wzrost w połączeniu z powściągliwym zachowaniem sprawiał, że mógł się wydawać wrogo usposobiony. Albo to, albo po prostu wygląda! na głupka pokrytego pyłem, niezachęcającego do bliższego poznania mężczyznę, który spędził zbyt wiele czasu w otepiającym upale.

— Miło cię widzieć, Najirze. Usiądź, proszę. — Tahsin zatoczył ramieniem szeroki łuk, po czym chwycił w garść skraj szaty i umościł się na sofie. Złożył wymanikiurowane dłonie na kolanach i zaczął się bawić olbrzymim pierścieniem, który miał na małym palcu. — Zaproponowalibyśmy ci poczęstunek, ale...

Najir uniósł dłoń. Byłoby nietaktem proponować żałobnikom jedzenie wcześniej niż trzy dni po pogrzebie. Usman wskazał mu jedną z wypełnionych pianką białych poduszek, którymi zarzucona była podłoga, i Najir z ulgą usiadł.

Zaryzykował i zerknął na Usmana. Jako jedyny z braci miał na sobie spodnie — pozostali nosili tradycyjne szaty — lecz nie wyglądał przez to bardziej oficjalnie. Prawdę mówiąc, jego koszula była pognieciona, a rękaw podwinięty. Zwykle starał się wyglądać i zachowywać jak bracia. Był adoptowanym synem i zapewne dlatego odczuwał potrzebę udowodnienia, iż należy w pełni do rodziny, a przynajmniej zapobiegania temu, by dało się zauważyć różnicę. Wyższy i szczuplejszy niż bracia, miał też wielkie szare oczy, niespotykane wśród brązowookich Asz-Szarawich. Tu, w bawialni, zachowywał się jak oni — chłodno, z rezerwą i nienarzucającą się powściągliwością.

Kiedy podano wodę, Najir poczuł, że przytłacza go znajomy ciężar. Znał swoje miejsce. Był pustynnym przewodnikiem, outsiderem, którego obecność wymuszała zachowanie zgodne z zasadami etykiety. Spojrzał

na Usmana, swego jedynego sojusznika. Przyjaciel wyglądał na znużonego i niezbyt zdrowego, lecz jego spojrzenie zdawało się mówić: mamy wiele do przedyskutowania.

Najir chętnie zadałby mu milion pytań, ale nie mógł tego zrobić w obecności innych. Ciekawiło go zwłaszcza, co będzie z weselem. Usman w przyszłym miesiącu miał się ożenić. Czy rodzina zdecyduje się przełożyć ślub?

Zapytał grzecznie o ojca Usmana, Abu Tahsina, który przeszedł tydzień wcześniej operację serca — niektórzy sądzili, że dostał ataku na wieść o ucieczce córki — i został równie uprzejmie poinformowany, że jeśli Bóg pozwoli, ojciec wróci za kilka dni do domu.

Nagła choroba patriarchy rodu zaskoczyła wszystkich. Najir znał go od lat i przez cały ten czas Abu Tahsin wydawał się zdrowy niczym mężczyzna o połowę młodszy. Pracował bez ustanku, zajmując się dobroczynnością, a w wolnym czasie brał udział w wyścigach wieblądów, motocykli i samochodów terenowych. Był blisko z synami i wszędzie ich zabierał. Zanim dorobi znali już swój świat doskonale i czuli się równie swobodnie w pałacach Ar-Rijadu, jak w kombinezonie nurka na dnie morza. Właśnie za sprawą Abu Tahsina rodzina przedsięwzięła dwa razy w roku wyprawę na pustynię.

— Dziękuję, że przyszedłeś, bracie — powiedział

Tahsin, zwracając się do Najira. — Po tym co zrobiłeś dla Nuf, jesteśmy twoimi dłużnikami. Mam nadzieję, że dasz nam szansę, byśmy pewnego dnia mogli odwzajemnić przysługę.

Najir chrząknął.

— Oby ten dzień nigdy nie nadszedł.

— W rzeczy samej — przytaknął Tahsin. Ilekroć Najir spotykał się z braćmi, mówił zawsze Tahsin. Był najstarszy i przywykł przejmować ster, jednak z wyglądu i zachowania wydawał się dziwnie skromny i nie-

znaczący. Nigdy nie patrzył Najirowi w oczy, trzymając wzrok skromnie spuszczonej. Mówił wyraźnie, lecz cicho, a jego twarz kojarzyła się Najirowi ze zwierzyną łowną: miał delikatne usta nienawykłe do złości i szeroko rozstawione oczy, jakby stworzone do tego, by nieustająco wypatrywać zagrożenia. Najir nie potrafił zdecydować, czy Tahsin jest rzeczywiście aż tak skromny, czy tylko udaje, gdyż jeśli czegoś chciał, zazwyczaj udawało mu się postawić na swoim.

— Żałuję, że moje poszukiwania nie przyniosły rezultatu — powiedział. Tahsin zacmokał, gotów protestować, mimo to Najir mówił dalej: — Miałem nadzieję, że zdołam ją odnaleźć.

— Jesteśmy przekonani, że miałeś jak najlepsze intencje! — zapewnił go Tahsin.

— Miałem także nadzieję — kontynuował Najir, ważąc słowa — że uda mi się zaspokoić waszą ciekawość, dowiedzieć, dlaczego Nuf uciekła. — Spojrzał na braci i przekonał się, że ich twarze przybrały nieprzenikniony wyraz. Wyglądały niczym maski. Tylko Usman wydawał się zakłopotany. Nie patrzył Najirowi w oczy.

— Nigdy nie zdołamy tego zrozumieć — powiedział Tahsin, wsuwając się głębiej między poduszki sofy. — Żeby dziewczyna taka jak moja siostra, naiwna i czysta, nieskalana przez świat, uciekła z domu?... Wiesz, że nie widziałem nigdy, by płakała? Albo się dąsała? Była aniołem w ciele dziewczęcia, cnotliwym jak jej matka, *ism Allah*. To wszystko wydaje się nierealne, nawet teraz, kiedy pogrzebaliśmy jej ciało.

— Tak — dodał Fahd nieśmiało. Spojrzeli na niego zdziwieni, że się odezwał. — Myśleliśmy, że została porwana. Nie sądziliśmy, że opuściła dom z własnej woli. Jednak kiedy się okazało, że zniknął wielbłąd, sprawa stała się... oczywista.

— Nic nie wskazywało, że coś takiego planuje — kontynuował Tahsin. — Musiała kierować nią namiętność, ale nie jestem w stanie sobie przypomnieć, aby żywiła równie gwałtowne uczucia. Absolutnie!

— A przynajmniej nikomu się z nich nie zwierzyła — zauważył Usman.

Zapadła niezręczna cisza. Nikt nie spojrział na Usmana, bracia zdawali się pogrążeni we własnych myślach.

Najir skłonny był zgodzić się z Usmanem. Oczywiście Nuf miała pasję, tylko że nikt nie wiedział jakie. Nie czuł współczucia względem braci, którzy nie znali tak naprawdę swoich sióstr. Z pewnością kobiety miały własne troski i zmartwienia. Mieszkały w innej części domu, prowadziły inny tryb życia. Jeśli pominąć posiłki, wakacje czy święta, te dwa światy niemal się ze sobą nie stykały. Rozmowa z siostrą nie była jednak zakazana. Najir wyobrażał sobie, że jeśli chodzi o kobiety, właśnie z siostrą mężczyzna może się czuć najswobodniej: rozmawiać z nią otwarcie, prosząc o wyjaśnienie kwestii które inne kobiety wstydzilyby się poruszyć. Sam nie miał rodzeństwa, ale zawsze chciał mieć siostrę. Ci tutaj mieli ich aż siedem i nic o nich nie wiedzieli! Czyżby po prostu je ignorowali? Niemożliwe. Któryś musiał rozmawiać od czasu do czasu z Nuf. Zainteresować się, przynajmniej przelotnie, tym, jak idzie jej nauka, jakie ma hobby i jakie podobają się jej buty.

Przyjrzał się im uważniej. Tahsin, żonaty ojciec dziewiątki dzieci, obarczony odpowiedzialnością za firmę, był prawdopodobnie zbyt zajęty, a przynajmniej taki się wydawał. Fahd także pracował bez ustanku. Miał żonę i trzy małe córki. Nie mieszkali na wyspie, lecz w mieście, więc chyba nie spotykał się z Nuf zbyt często. Tylko Usman mógł ją widywać regularnie. Nadal mieszkał w domu. Ale przez telefon nie potrafił powiedzieć Najirowi niczego, co mogłoby się okazać pomocne. Może był w szoku.

W tym, że bracia zachowywali się tak powściągliwie — skrywali uczucia albo dzielili się nimi tylko między sobą — nie było nic zaskakującego i w innych okolicznościach Najirowi nie przyszłoby na myśl, aby się nad tym zastanawiać. Niemniej teraz, w miarę jak upływały minuty, w jego głowie pojawiały się kolejne pytania. Skoro Nuf czuła się w domu

tak szczęśliwa, czy nie było jednak możliwe, że została uprowadzona? Porywacz mógł zabrać wielbłąda po to, by wydawało się, że dziewczyna uciekła. Czy wspominała kiedykolwiek o wyjeździe? Może rozmawiała o tym z siostrami lub z przyjaciółką? I co ważniejsze, czy rodzina wiedziała o ciąży, zanim dziewczyna uciekła? Nie miał pojęcia, jak poruszyć ten temat, a dręczony przypuszczeniami, nie był też w stanie prowadzić bląhej rozmowy. Przyglądał się po kolei każdemu z braci w nadziei, że ten przemówi, ale cisza stawała się z każdą chwilą bardziej niezręczna i nabrzmiała znaczeniem. To nie on powinien zrobić pierwszy krok. Czy któryś z braci zada wreszcie trudne pytanie: co przydarzyło się Nuf? Czy weźmie odpowiedzialność jeśli nie za jej śmierć, to przynajmniej za okoliczności, które do niej doprowadziły?

Wszedł sługa, niosąc zapaloną fajkę huka, i postawił ją obok Tahsina. Sciereczką przymocowaną do pasa otarł ustnik, podsunął go Tahsinowi, a potem skłonił się i wyszedł.

Tahsin wziął do ust fajkę. Wszyscy wpatrywali się w niego, czekając, aż się zaciągnie. Najir uświadomił sobie, iż nie może się doczekać uspokajającego bulgotu wody, cichego potrzaskiwania węgla zapalających tytoń, jakiegokolwiek odgłosu, który przerwałby wreszcie ciszę. Tahsin zaciągnął się w końcu i przez chwilę zdawało się, że długiemu wydechowi słodko pachnącego dymu towarzyszy zbiorowe westchnienie ulgi pozostałych.

Huka zaczęła z wolna krążyć. Jeden z kuzynów pochwalił tytoń i zapytał, skąd pochodzi, co stało się zaczątkiem lekkiej rozmowy. Najir uświadomił sobie, że bracia nie zamierzają rozmawiać więcej o Nuf. Oparł się wygodnie o ścianę. Fiasko poszukiwań nadal nie dawało mu spokoju. Dlaczego nie wysłał kilku ludzi, aby zbadali obozowisko i przekonali się, że poszukujący siostry członkowie rodziny wiedzą, co robią? Wypadek czy nie, śmierci Nuf można było zapobiec. Czuł, że musi dowiedzieć się, co się jej przydarzyło. Czy jestem po prostu wścibski, Pa-

nie? Robię to, by zaspokoić niezdrową ciekawość? Uznał, że jednak nie. Należało dowiedzieć się prawdy i czuł, że jest to winien Usmanowi.

Z drugiej strony, rozwiązanie zagadki wymagałoby dowiedzenia się jak najwięcej o Nuf, to zaś wydawało się niemożliwe. Jej siostry mogłyby pomóc najbardziej, lecz nie pozwolą im rozmawiać z obcym, a jemu zadawać osobistych pytań. Nie poznał nigdy najstarszej, widywał natomiast młodsze, gdy były jeszcze za małe, aby nosić zasłonę. Przed kilkoma laty, kiedy przyjechał przygotować mężczyzn do wyprawy na pustynię, dziewczęta powitały go z cichym zakłopotaniem. Stanowiły gromadkę dobrze wychowanych panien, a zważywszy, iż żadna nie odznaczała się charakterystycznymi tylko dla niej cechami, trudno mu było je rozróżnić. Może spotkał też wtedy Nuf? Pamiętał tylko niemowlę, które trzymał na rękach. Na krótką, pełną udreki chwilę mała istotka uświadomiła mu, jaki jest silny i niezdarny. Rozpłakała się, więc szybko oddał ją siostrze.

Musiało być wiele takich okazji, pomyślał. Dni, kiedy mężczyzna musi uczestniczyć w życiu kobiety — poznać szczegóły z ostatnich dni, tygodni, miesięcy jej życia; dowiedzieć się, jak spędzała czas, dlaczego i z kim, poznać jej pragnienia i sekrety. Lecz było to zadanie trudne i rozczarowujące: kobiety, przyzwyczajone do skrytości, zabierały swoje tajemnice do grobu.

Usman podchwycił jego spojrzenie.

— Przejdziemy się? — zapytał.

To była ich typowa sztuczka — grzeczna wymówka, by móc porozmawiać na osobności. Najir skinął z wdzięcznością głową, po czym wstali obaj i wyszli na otaczający dom taras.

Zaczynał zapadać już zmierzch, spowijając niebo mglistym różem. Najir podążył za Usmanem ku brudnej klatce schodowej z dwiema czarnymi ścianami po bokach. Schodzili coraz niżej, aż usłyszeli ciche pochrząkiwania zwierząt układających się do snu.

ROZDZIAŁ 5

Wyszli na dziedziniec i Najir uświadomił sobie, że bywał tu wiele razy, jednak nadchodził zawsze od innej strony. Teraz rozpoznawał niską altankę pod figowcem w pobliżu kamiennych stajni. Po lewej widniało boczne wejście do rezydencji, tylna brama, którą musiała się wymknąć Nuf. Były to olbrzymie drewniane wrota zdolne pomieścić dwie mijające się ciężarówki. Tędy dostarczano do pałacu zaopatrzenie. Najir i jego ludzie wchodzili właśnie tą bramą, by załadować wielbłądy i pozostały ekwipunek, jaki Asz-Szarawi zabierali zwykle na pustynię.

Tym razem Usman poprowadził Najira w prawo. Minęli żelazną furtkę i weszli do ogrodu otoczonego żywopłotem. Żwirowa alejka wiała się pomiędzy kępami krzewów i drzew. Ruszyli nią, zwolniwszy kroku.

— Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę — powiedział Usman.

— Przykro mi...

— Wiem, że zrobiłeś co mogłeś — przerwał mu, a potem dodał: — Dziękuję też, że przywiozłeś Nuf do domu.

— Nie ma za co — odparł Najir, zerkając na ściągniętą z napięcia twarz przyjaciela. Dotarli do pustej fontanny a potem do kamiennej ławki. Minęli ją i poszli dalej. — Patolog nie dał mi żadnych papierów. Domyślałem się, że do ciebie zadzwonił.

— Tak.

Najir powrócił myślami do biura lekarza sądowego, zastanawiając się, czy powiedzieć Usmanowi, że widział ciało i poznał okoliczności śmierci. W końcu uznał, że zaczeka, aż Usman pierwszy się odezwie. Wydawało się bowiem, że ma mu coś do powiedzenia.

Krażyli po ogrodzie, wymieniając od czasu do czasu pojedyncze uwagi, aż cisza stała się niezręczna.

— Rozmawiałem z lekarzem sądowym tuż przed ceremonią — powiedział Usman nagle. — Zaskoczyło mnie, że utonęła.

Najir skinął głową.

— On uważa, że utknęła w wadi. Woda przybiera tam bardzo szybko. Mogła nie zdążyć się wydostać.

— Słyszałeś wcześniej o czymś takim?

— Owszem, chociaż to rzadkie przypadki.

— Wydaje mi się, że powinna dostrzec niebezpieczeństwo.

— Możliwe, że była nieprzytomna — zauważył Najir. — Na przykład z gorąca. A tak nawiasem mówiąc, znaleźliście wielbłąda?

— To wielbłądzica. Tak. Jest tutaj. Chociaż nie czuje się dobrze.

— Co się stało?

— Nie wiem. O mało nie poraniła stajennego, zamknęli ją więc w ciemnym pomieszczeniu. Tylko to ją uspokaja.

— Gdzie znaleziono zwierzę?

— Jedna z ekip poszukiwawczych natknęła się na nie w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono ciało. Będziesz musiał sprawdzić to na mapie.

Minęli kolejną pustą fontannę. Odwróciła ich uwagę i rozmowa zaczęła z wolna zamierać.

— Zgadzasz się więc, że śmierć Nuf była przypadkowa? — spytał Najir, starając się, aby zabrzmiało to możliwie zwyczajnie.

Usman się zawahał, a potem powiedział:

— Cóż, morderstwo wydaje się mało prawdopodobne.

Najir zdecydował się przycisnąć nieco przyjaciela.

— Czy patolog wspomniał, że miała rany obronne na nadgarstkach i guz na głowie?

Usman nie odpowiedział.

— Obrażenia na nadgarstkach mogły powstać od wodzy — kontynuował Najir — chociaż jednemu z patologów wydały się zbyt niejednolite. Były tam sińce i zadrapania, zupełnie jakby ktoś ją chwycił, a ona się broniła.

— Obrażenia mogły powstać przypadkowo — rzekł w końcu Usman. — A jeśli nie... sam nie wiem. Ktoś mógł chwycić ją za nadgarstki, ale czy ją utopił? Nie sądzę, by można to zrobić, nie topiąc się samemu.

Miał rację: rany obronne nie oznaczały, że Nuf została zamordowana. Mogły natomiast wskazywać na gwałt albo porwanie. Najira korciło, by o tym wspomnieć, czuł jednak, że i tak posunął się daleko, toteż nie starczyło mu śmiałości.

— Mimo wszystko nie — przyznał nagle Usman. — Nie jestem pewny, czy jej śmierć była przypadkowa. Prawda wygląda tak, że moi bracia poprosili lekarza sądowego, by właśnie tak ją sklasyfikowano. Ze względu na rodzinę.

Najir się zatrzymał.

— Zapłacili mu?

— Tahsin to zrobił. — Usman wydawał się zakłopotany. — Nie ufa policji. Poza tym uznaliśmy, że matka lepiej to zniesie, jeśli nie będzie musiała wyjaśniać zbyt dużo krewnym. Choroba ojca już i tak wytrąciła ją z równowagi.

— Rozumiem — powiedział Najir — tylko że cała wasza rodzina staje się przez to podejrzana.

— Wiem. Ale mam w laboratorium kogoś, kto zbiera potrzebne dowody. Ta kobieta zamierza potraktować je tak, jakby chodziło o toczące się śledztwo.

Najir poczuł przyływ ulgi zmieszanej z zakłopotaniem — ulga brała się stąd, że rodzina chciała się jednak dowiedzieć prawdy, choć miało to zostać przeprowadzone nielegalnie, zakłopotanie zaś spowodował fakt, że Usman wspomniał o kobiecie.

— Chodzi o... panią Hidżazi?

— Tak. Poznałeś ją?

Przez chwilę trudno mu było zrozumieć, dlaczego pani Hidżazi nie wspomniała o swoim związku z rodziną Asz-Szarawich. Podejrzewał, że ich zna, lecz pamięta! również, jak ją rozgniewało, że sfalszowano orzeczenie, chociaż musiała brać w tym udział.

— Była tam — wyjaśnił. — Skąd ją znasz?

— To moja narzeczona.

Najir nie potrafił sobie wyobrazić, aby cokolwiek, co mógł powiedzieć Usman, zdołało go równie mocno zaskoczyć. W rozmowach poruszano często temat zbliżającego się wesela i Najir wiedział, że nazwisko narzeczonej brzmi Hidżazi, lecz Hidżazich było mnóstwo, a Usman nie wspomniał ani razu, jak jej na imię. Zawsze mówił: „moja narzeczona”. Wiedział też, że przyjaciel poznał ją prywatnie: przyszła z eskortą. Matka dziewczyny nie żyła, więc Umm Tahsin wcieliła się w jej rolę, pomagając w wyborze sukni czy pierścionka. Najir nie śmiał pytać o nic więcej. Nie miał zatem pojęcia, z jakiej rodziny pochodzi dziewczyna i jaki ma charakter; nie wiedział też oczywiście, jak wygląda. Założył, że jest córką bogatej rodziny, słodką i przyzwoitą. Nie przyszło mu do głowy, iż może mieć pracę, zwłaszcza taką, w której zmuszona jest stykać się z mężczyznami.

— No cóż... — wyjąkał, czując, że się rumieni.— Przepraszam, nie domyśliłem się. To kuzynka?

— Nie, nie jest z nami spokrewniona. — Usman wydawał się zażenowany. — Poznaliśmy się przez przyjaciela. Nie powiedziała ci, kim jest?

Najir potrząsnął głową. Postąpiła zapewne stosownie, nie ujawniając swej tożsamości ani tego, że jest panną, lecz nadal czuł się zakłopotany. Zastanawiał się, czy Usman dobrze ją zna. Z pewnością zauważył, jak bardzo jest śmiała. A może przy nim zachowywała się inaczej? Jak dla Najira, była zbyt bezpośrednia, by mógł czuć się przy niej swobodnie, nie był też w stanie sobie wyobrazić, że Usman może tolerować taki sposób bycia. Choć chętnie by się dowiedział, co myśli przyjaciel, nie bardzo wiedział, jak go delikatnie wypytać.

— Zaskoczyło cię to aż tak bardzo? — spytał Usman.

— Nie, nie. Ona tylko... nie wspomniałeś, że pracuje w biurze lekarza sądowego.

Usman naprawdę się zaczerwienił.

— Cóż, nie uznałem tego za konieczne.

Najir się odwrócił, lecz zachowanie Usmana wielce go zaintrygowało. Musi naprawdę ją kochać, pomyślał, skoro zgadza się, by pracowała.

— Gratuluję — rzekł w końcu, uświadamiając sobie, że powinien był powiedzieć to wcześniej.

Usman się roześmiał.

— Mówię poważnie.

— Akurat! — Usman ruszył przed siebie, nadal się uśmiechając.

— Domyślam się, że postanowiłeś przeprowadzić własne śledztwo?
— zapytał Najir, zmieniając temat. Rozmowa o pani, a właściwie o pan-
nie Hidzazi wprawiała go w zakłopotanie.

— Tak. — Usman przestał się uśmiechać. — Prawdę mówiąc, mia-
łem nadzieję, że mi pomożesz. Zatrudniłszy prywatnego detektywa.
Chce zobaczyć miejsce, gdzie została znaleziona. Mam mapę, ale gdybyś
zechtiał pomóc mu je odnaleźć...?

Najir poczuł kolejny przyływ konsternacji. Prywatny detektyw?
Powinni byli poprosić wprawdzie jego, wiedzieli przecież, jak dobrze zna
pustynię. Przemawia przede mną pycha, skarcił się w duchu. Wybacz mi
pychę, Panie. Na głos zaś powiedział:

— Oczywiście, że pomogę.

— Dzięki.

— Prywatny detektyw... To też pomysł twojego brata?

— Nie, mój. Rodzina nie zdecydowała jeszcze, czy uznać śmierć Nuf
za przypadkową. — Usman potrząsnął głową. — Myślę, że chcielibyśmy
uzyskać po prostu odpowiedzi.

Najir dostrzegł okazję, by się dowiedzieć, co Usman o tym sądzi.

— A ty? Jak myślisz, co mogło się stać?

Usman się zatrzymał. Westchnął i skrzyżował na piersi ramiona.

— Jak tylko się dowiedziałem, że zniknęła, poczułem, że ktoś ją
uprowadził. Rozmawialiśmy z Muham-
madem, to jej eskorta, powiedział
jednak, że Nuf zadzwoniła tego ranka i poinformowała go, że nie będzie
jej potrzebny, wyszedł więc z żoną do miasta. Tymczasem Nuf powie-
działa matce, że wybiera się do pasażu handlowego wymienić buty do
sukni ślubnej.

— Jak udało jej się wyjść bez eskorty? — zapytał Najir. — To znaczy zastanawiam się, jak to możliwe, by nikt nie zauważył, że Muhammad nie przyszedł tego dnia do pracy.

— Cóż, matka nie śledziła Nuf, kiedy opuszczała dom. Zwykle spotykała się z Muhammadem przy stajniach. Chodziła tam bardzo często, zazwyczaj rankiem. Lubiła spędzać czas z wielbładami. Gdy była gotowa do wyjścia, dzwoniła po Muhammada, a on podjeżdżał pod tylną bramę i zabierał podopieczną.

Najir skinął głową.

— Mogła więc zniknąć na długo przed tym, zanim ktokolwiek się zorientował, że nie ma jej w domu.

— Owszem. Powiedziała matce, że pójdzie rano do stajen i zostanie tam aż do południa, a potem Muhammad zabierze ją do miasta. Z tego co wiemy, mogła wyjść zaraz po tym, jak rozmawiały.

— Nikt ze służby nie zauważył, żeby kręciła się przy stajniach?

Usman potrząsnął tylko głową.

— Kto odkrył, że zniknęła?

— Matka. Spodziewała się, że wróci przed piątą, a kiedy się nie pojawiła, zadzwoniła do Muhammada. Powiedział jej, co usłyszał rankiem od Nuf. Natychmiast ogłoszono alarm. Bracia ruszyli do stajen, przepytaliśmy służbę, a potem matka wysłała ich, by rozejrzeli się za jej skuterem wodnym. Czasami pływała nim wokół wyspy, ale tym razem motorówka była na miejscu. Nikt ze służby nie widział ani nie słyszał nic niezwykłego.

Najir znał już odpowiedź na to pytanie, lecz pragnął się upewnić:

— Nie zostawiła listu?

— Nie.

— I nie macie pojęcia, dokąd mogła się wybrać?

— Najmniejszego. Szczerze mówiąc, spędzała mnóstwo czasu, buszując po sklepach. Przygotowywała się do ślubu. Dlatego trudno mi uwierzyć, że mogła tak po prostu uciec.

Najir przytaknął.

— Zatem matka przyzwyczajona była do tego, że Nuf mogła spędzić w pasażu handlowym pięć albo sześć godzin?

— Tak, z pewnością. Już sama droga zabiera godzinę, i to przy niewielkim ruchu.

Najir skinął w zamyśleniu głową.

— Uwierz mi — zapewnił go Usman — nie mogła się doczekać, aby wyjść za mąż. Nie wierzę, żeby zdecydowała się zaryzykować całą swoją przyszłość.

Zamknął oczy i przez chwilę wydawał się absolutnie wyczerpany. W końcu potarł energicznie czoło, a potem przesunął dłońmi po policzkach. Najir milczał, czekając, co powie przyjaciel. — Nawet gdyby marzyła po cichu, żeby uciec od takiego życia, jej postępowanie i tak nie miałyby sensu. Nie była aż tak naiwna.

— Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że ktoś mógłby chcieć stąd uciec. — Najir wskazał dom. — Musiała prowadzić bardzo wygodne życie.

Odległy ryk silnika zakłócił nagle ciszę. Zabrzmiało to tak, jakby zbliżała się motorówka.

— Kiedy zniknęła — mówił Usman — Tahsin sądził z początku, że przestraszyła się małżeństwa. Że zmieniła zdanie. Pewnie, małżeństwo to poważna sprawa, zwłaszcza dla szesnastolatki, sądziliśmy jednak wszyscy, że chce wyjść za mąż i że nie zrezygnowałyby ze swoich planów. Z

drugiej strony, po co ktoś miałby ją porywać i nie zażądać potem okupu? Nie ma w tym ani odrobiny sensu.

Silnik zaryczał głośniejsze, a potem ucichł. Najir spuścił wzrok i siedział, wpatrując się w ziemię. Usman miał oczywiście rację, mimo to nie potrafił przestać myśleć o siniakach na nadgarstkach Nuf i o tym, że straciła wielbłąda.

Zadzwoniła komórka Usmana. Przeprosił pośpiesznie, wstał i oddalił się na odległość głosu. Najir pomyślał, że pewnie dzwoni panna Hidżazi, i poczuł wyrzuty sumienia. Teraz, gdy wiedział, że jest narzeczoną Usmana, fakt, iż spotkał się z nią bez niego, miał posmak zdrady. Uświadomił sobie, że kobieta dzwoni prawdopodobnie z pałacu. To że Usman jest w stanie przeniknąć do kobiecej bawialni, już choćby tylko za pośrednictwem telefonu, wzbudziło w nim dziwną zazdrość. Co powie mu narzeczona? Przekaze, o czym dyskutowały kobiety? Czy będą rozmawiały o Nuf, jak Najir i bracia, czy też postarają się unikać tematu, by nie przysporzyć bólu Umm Tahsin?

Powrócił znowu myślami do kobiety i jął się zastanawiać, czy powinien powiedzieć przyjacielowi, że zachowywała się tak bezpośrednio w stosunku do innego mężczyzny. Usman zerknął na niego, jak mu się wydawało, z zaciekawieniem, Najir odwrócił więc wzrok zażenowany. Nie, pomyślał, lepiej zostawić to w spokoju.

Tuż obok, za żelazną furtką, dostrzegł krótką alejkę prowadzącą do tarasu z widokiem na morze. Zaintrygowany rykiem silnika wstał, minął furtkę, zszedł na taras i stanął tuż przy balustradzie. Widok zapierał dech w piersi. Morze rozciągało się aż po horyzont, a jego barwa, kobaltowa za dnia, zaczęła już przechodzić w ciepłą czerwień, jaką woda przybierała zwykle o zachodzie. Asz-Szarawi mieli szczęście, mogąc mieszkać na wyspie, z dala od kurzu i zgiełku miasta oraz jego pęczniejących przedmieść. Dżudda rozrastała się szybko, zajmując tereny wzdłuż wybrzeża i sięgając coraz dalej w pustynię, aby zapewnić miejsce do życia dwumilionowej populacji. Pewnego dnia stanie się przedmieściem Mekki poło-

zonej o dziewięćdziesiąt kilometrów na wschód. Wiedział, iż życie w metropolii o tak monstrualnych rozmiarach znużyło Asz-Szarawich. Wyspa była rajem, stanowiąc część miasta, na tyle jednak oddaloną, aby zapewnić spokój i prywatność. Wiele położonych wzdłuż wybrzeża wysp było w posiadaniu rodziny królewskiej, reszta stanowiła naturalne rezerваты rzadkich gatunków ptactwa. Ta wyspa należała kiedyś do brata króla, książę podarował ją jednak w akcie szlachetnej szczodrości Abu Tahsinowi i nikt nie był w stanie odgadnąć, dlaczego tak postąpił.

Odgłos silnika przybrał na sile i Najir spojrział w dół. Skały opadały tu stromo aż do plaży i kiedy przesunął wzrokiem wzdłuż brzegu, odkrył źródło hałasu jaskrawożółty skuter. Płynęła nim kobieta. Miała na sobie czarną abaję, chusta zsunęła jej się wszak z głowy i furkotała na wietrze, owinięta wokół szyi. Długi czarny koński ogon zwisał kobiecie na plecach.

Musiała należeć do rodziny. W pobliżu nie było innych wysp, a kobieta nie pływałaby samotnie tak daleko od lądu bez zasłony. Nie wydawało się co prawda możliwe, by Asz-Szarawi pozwolili którejś ze swoich córek szaleć na skuterze w dzień pogrzebu, ale któż inny mógłby to być? Służących nie stać było na zakup skutera, poza tym Najir wątpił, czy któryś z nich pozwoliłby swej żonie lub córce pokazać się publicznie z odkrytą twarzą.

Zerknął przez ramię, aby się upewnić, że nikt go nie obserwuje, a potem jął przyglądać się kobiecie z nieskrywanym zainteresowaniem. Trzymała się przez cały czas blisko wyspy, a po chwili skierowała pojazd ku przystani na południowym brzegu. Nawet z tak dużej odległości był w stanie dojrzeć zarys jej ciała, gdy pruć woda, przecinając fale i wzbijając pianę. Wyobraził sobie, że Nuf też tak pływała, a jeśli była to któraś z jej siostr lub kuzynek, starała się zapewne rozładować w ten sposób napięcie i ulżyć sobie w cierpieniu.

— Co u...? — Usman stał tuż za nim ze wzrokiem utkwionym w kobietę. Wydawał się zaszokowany.

— O co chodzi? — spytał Najir.

Usman wpatrywał się nieporuszony w kobietę, póki nie skręciła ku wyspie. Gdy ujrzał jej twarz, uniósł z wolna dłoń ku piersi, a drugą zacisnął kurczowo na poręczy. Pochylił się, przymknął oczy i zaczerpnął kilka razy głęboko oddechu z determinacją osoby broniącej się przed omdleniem.

Najir wpatrywał się w niego zaniepokojony.

— *Bi-ismi Allah ar-Rahman ar-Rahim* — wyszeptał. — W imię Boga Miłosiernego, Litościwego.

Usman zaczerpnął drżącego oddechu. Jego pierś uniosła się gwałtownie, a potem opadła. Najir odwrócił się, czuł bowiem, iż gapiąc się, zakłóca prywatność przyjaciela. Obserwował, jak skuter skręca na północ, a potem znika pod zwieszającymi się skałami.

Po chwili Usman położył na balustradzie obie dłonie i odepchnął się od barierki. Jego skóra miała kolor popiołu.

— Myślałem, że to Nuf— powiedział, drżąc. — To jej skuter, ale pływała nim Ab, kolejna z moich sióstr.

Najir spojrział w dół. Odgłos silnika zamierał w oddali.

Usman opuścił ręce.

— Nie powinna była wychodzić.

— Może jest wytrącona z równowagi. — Najir spojrział na przyjaciela. Twarz Usmana zaczęła odzyskiwać normalną barwę. — Ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy kogoś oplakują.

— Wiem — wymamrotał Usman. — Ale to zdenerwuje matkę.

— Twoja siostra często pływa na skuterze?

— Tak. Nie. — Usman spojrział na zegarek. Wyglądało to bardziej na nerwowy tik niż chęć rzeczywistego sprawdzenia, która jest godzina. — Odkąd Nuf zniknęła, Tahsin nie pozwala dziewczętom wychodzić ani pływać. Jeśli mi wybaczysz, lepiej pójdę i zajmę się tym.

— Oczywiście, idź. Dam radę stąd...

Usman odwrócił się, nim Najir skończył zdanie, i pospieszył ku furcie.

Najir opuścił punkt widokowy i ruszył z wolna żwirową alejką, zastanawiając się, czego właściwie był świadkiem. To że Usman omal nie zemdłał, spostrzegłszy, jak mu się wydawało, ducha siostry, stanowiło naturalną reakcję. Lecz absolutne przerażenie, które zniekształciło na moment jego rysy, kiedy dziewczyna skierowała skuter ku wyspie, stanowiło dziwny dysonans. Jednak nie owo przerażenie, tylko nagły powrót do rzeczywistości zupełnie do Usmana nie pasował. Sam to powiedziałem, pomyślał Najir ze skrucą. Ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy kogoś oplakują.

Wrócił na dziedziniec w chwili, gdy zapalały się zewnętrzne światła. Opiekun wielbłądów, Amad, stał w drzwiach stajni, zezując na przybysza krótkowzrocznymi oczami.

Najir podszedł bliżej.

— Teraz cię poznaję — powiedział Amad, ruszając ku niemu i potykając się o rozbitą cegłę. Kopnięciem odrzucił ją na bok. — Jesteś przewodnikiem. Minęło sporo czasu, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

— Tak, jestem Najir asz-Szarki. — Wyciągnął do Amada dłoń. — Dobrze cię znowu widzieć. — Zdawało mu się, że ten człowiek urodził się na pustyni. Dostrzegał w nim coś z beduina, choć nie był w stanie sprecyzować, co właściwie. Stanowczy zarys szczęki, niewzruszoną postawę, charakterystyczną rwaną wymowę? A może chodziło o to, że mężczyzna nieustannie mrugał?

— Zabierzesz rodzinę wkrótce na pustynię? Wielbłodom jej brakuje, wiesz.

— Mnie także — odparł Najir. Wrócił do miasta zaledwie przed kilkunastoma godzinami, lecz zakończona właśnie wyprawa nie usatysfakcjonowała go ani trochę. Bezowocne poszukiwania zmęczyły go, to zaś, w połączeniu z ciosem, jakim było znalezienie ciała Nuf, sprawiło, że czuł się tak, jakby wnętrzości zacisnęły mu się w twardy węzeł. Sytuację pogarszał dodatkowo fakt, iż miał za złe rodzinie, że coś przed nim ukrywa, i był wściekły na siebie, że nie udało mu się znaleźć dziewczyny. Bardzo chciał wrócić jeszcze tego wieczoru na pustynię i spędzić tam samotnie kilka dni. Dotrzyma jednak obietnicy danej Usmanowi i zaczeka, aż zadzwoni do niego wynajęty przez rodzinę detektyw.

Stali przed szerokimi drewnianymi wrotami stajni.

— Jak się ma wielbłądzica, którą znaleźli na pustyni? — zapytał. — Słyszałem, że sprawia kłopoty.

Amad się zawahał. Najir wyczuł, że poruszył niewygodny temat.

— Nic podobnego — odparł w końcu stajenny. — Wszystko z nią w porządku. Kto powiedział, że jest inaczej?

— Musiałem coś pokręcić. — Najir sięgnął do kieszeni po miswak. Amad przyglądał mu się, zezując. Istny cud, że stary obywa się bez okularów, pomyślał Najir. — Straszne, co się przydarzyło dziewczynie — powiedział.

— Tak. Przykro mi z powodu ich straty.

Najira uderzyło, iż mężczyzna zachowuje się teraz z daleko posuniętą rezerwą. Wsunął do ust miswak i rozejrzał się po dziedzińcu.

— Dziewczyna Asz-Szarawich... ta, która zaginęła... spędzała dużo czasu z wielbłędami, prawda?

Amad przyglądał się mu przez chwilę podejrzliwie.

— Lubiła zwierzęta. Często przychodziła do stajen, na ogół z eskortą. Albo z bratem. Wszystkie dziewczęta przychodzą od czasu do czasu odwiedzić wielbłądy. Ona bywała tu najczęściej — odparł wymijająco, spoglądając na bramę.

— Ale to dziwne, prawda? — zauważył Najir. — Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak udało jej się skłonić wielbłąda, by wszedł do... cóż to był za samochód? Półciężarówka? Trudne zadanie dla tak drobnej dziewczyny.

— Nie próbuj tego rozwikłać. — Amad splunął i spojrzał w górę, na dom. — Gdyby mnie kto pytał, tego rodzaju sprawę lepiej zostawić niewyjaśnioną.

— Dlaczego to powiedziałeś?

— Jednego nauczyłem się tu z pewnością: gdy wchodzisz do domu ślepcy, zamknij oczy. A teraz, jeśli mi wybaczysz, muszę wyładować paszę.

Najir przyglądał się, jak Amad wchodzi do stajni, przesuwając jedną dłońią po murze i macając gorączkowo drugą, jakby czegoś szukał.

— Trzeba naprawić to światło — wymamrotał, nim pochłonęła go ciemność.

Czując się dziwnie wyeksponowany, Najir spojrzał znowu na bramę ogrodu. Usman nie wracał. Z tyłu dobiegł go odgłos przypominający drapanie. Odwrócił się i zobaczył kobietę wychodzącą ze stajni. Była mocno zbudowana, niemal tak szeroka w ramionach jak Najir, a jej ruchy miały w sobie pewność i zdecydowanie właściwe ludziom, którzy spędzają dużo czasu na pustyni. To z pewnością córka Amada, pomyślał.

Kiedy go zobaczyła, uniosła dłoń ku twarzy — niezasłoniętej. Fala czarnych włosów opadła jej na policzek. Nie dało się nie zauważyć wielkiego siniaka nad lewym okiem, widocznego w świetle latarni, kiedy przemykała ku otworowi w kamiennym murze po prawej, gdzie zniknęła.

Może ktoś zmusił ją, by ukradła wielbłąda? Lecz po co nokautować dziewczynę, młodą i silną, skoro z jej ojcem — starym i na wpół ślepy — poszłoby napastnikowi o wiele łatwiej? Może wymusiła to konieczność. Może córka Amada natknęła się na Nuf — albo na jej porywacza. Ciekawe, czy Usman wie coś o siniaku, pomyślał Najir zaniepokojony, a jeśli tak, dlaczego o tym nie wspomniał. Żałował wielce, że nie ma sposobu, by mógł porozmawiać z dziewczyną.

Pozostawała jednak poza zasięgiem — w przeciwieństwie do wielbłądzicy. Zerknąwszy po raz ostatni na prowadzącą do ogrodu bramę, wsunął się niepostrzeżenie za otwarte drzwi stajni i czekał, aż wyjdzie z niej Amad. Zobaczył oparte o ścianę budynku pół tuzina długich desek. Obok spoczywał stos ołowianych rurek. Deski były lżejsze, niż się wydawały. Nietrudno byłoby Nuf — lub komuś innemu — wprowadzić po nich wielbłąda na ciężarówkę. Podniósł rurkę. Była wystarczająco ciężka, aby pozbawić kogoś przytomności. Przyjrzał się wszystkim po kolei, ale nie zauważył śladów krwi. Żadna rurka nie wyglądała też, jakby niedawno ją czyszczono. Ołów pokrywała warstwa drobnych miękkich wiórów zalegających na ziemi przed stajnią. Wyglądały zupełnie jak wiór, który panna Hidżazi wydobyła z rany na głowie Nuf.

Usłyszał, że Amad mamrocze coś w głębi pomieszczenia. Po chwili wyszedł, wołając córkę i podążając za nią ku otworowi w murze. Najir zaczerpnął garść cukru z worka przy drzwiach i wśliznął się do stajni.

W środku było ciemno niczym wśród fałd kobiecej abai. Wyłowił z kieszeni latarkę i zapalił, kierując światło na dłoń na wypadek, gdyby się zatrzymał zbyt blisko któregoś ze zwierząt. Nie chciał, aby się spłoszyły. Odór nawozu niemal pozbawił go tchu.

Gdy oczy przywykły mu do ciemności, podszedł do pierwszego boksu i zerknął do środka. Wielbłąd spał, leżąc na brzuchu. Najir cofnął się pospiesznie i kierując się instynktem, zaczął przemawiać cicho do zwierząt. Nie obudzą się, lecz będą wiedziały, że obcy, który wtargnął do stajni, jest przyjacielem, nie wrogiem. Szepcząc, posuwał się wzdłuż przej-

ścia, mijał boksy w większości zamknięte. W niektórych coś się poruszało. Zajrzał do jednego, zobaczył śpiące zwierzę i przekradł się ku następnemu. Szukał wielbłąda, który nie śpi i jest zbyt niespokojny, by odpoczywać. Przemierzał stajnię zirytowany po raz pierwszy tym, że Asz-Szarawi trzymają tyle wielbłądów na wyspie pośrodku morza, gdzie są bezużyteczne.

W końcu znalazł. Wielbłądzica była biała, choć w świetle latarki jej sierść wydawała się żółtawa. Zatrzymał się za drzwiami, mamrocąc uspokajająco. Wydawało mu się, że minęły wieki — prawdopodobnie było to dziesięć minut — nim zwierzę wstało, szeleszcząc wyściółką, pojękując i posyłając w jego kierunku kolejną falę smrodu.

Nie przestawał szeptać, póki nie usłyszał, że zwierzę szturcha głową drzwi przegrody. Zamilkł i wielbłąd uderzył znowu w drzwi.

Zachowując daleko posuniętą ostrożność, Najir otworzył je, po czym wbił wzrok w podłogę, mamrocąc czule, póki wielbłądzica nie potrząsnęła wreszcie głową i nie zarżała łagodnie, dając mu znak, iż może wejść.

Spojrzał na zwierzę i zobaczył stojącą na podściółce ze słomy elegancką damę o nieco koślawych przednich nogach. Gęste rzęsy podkreślały piękno brązowych oczu zwierzęcia, które zdawało się wpatrywać w Najira z mieszaniną lęku i ciekawości.

— *As-Salam alajkum* — powiedział. Wielbłądzica potarła pyskiem o jego ramię. Stajenny miał rację: zwierzę było spokojne, kto zatem powiedział Usmanowi, że jest inaczej? Najir nie sądził, aby przyjaciel skłamał. Wyglądało raczej na to, że po prostu przesadził, powtarzając plotkę.

Otworzył dłoń i pokazał kostki cukru. Wielbłądzica odrzuciła w tył głowę i parsknęła znowu wytwornie, po niewieściemu. Kiedy podsunął jej pod nos cukier, pochłonęła go błyskawicznie, a kiedy skończyła, pozwoliła Najirowi pogłaskać się po barkach, w miejscu gdzie nerwy i stawy stapiały się, tworząc niezwykle wrażliwy węzeł. Mięśnie miała napię-

te — nie tak, jak się spodziewał, wyczuwał jednak, że spędziła ostatnio trochę czasu na zewnątrz, poza stajnią. Na koniec sprawdził w świetle latarki każdy centymetr jej skóry, szukając oznak zranienia lub złego traktowania. Niczego takiego nie znalazł. Była szczęśliwa i w doskonałej formie, jakby wygrała właśnie wyścig. Delikatny niepokój, który przejawiała na początku, łatwo dał się uśmierzyć za pomocą kilku przyjaznych stów.

Pokłepał ją i zaczął gładzić, przesuwając dłonią wzdłuż karku, barków, a potem lewej przedniej nogi, gdzie wyczuł coś dziwnego. Wyglądało to tak, jakby na sierści zastygła żelatyna. Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że ślady nie powstały w wyniku zaniedbań w pielęgnacji. Skierował światło latarki dokładnie na badany punkt, odsunął na bok długie włosy i odszukał miejsce, gdzie były nieco krótsze. Tworzyły szereg linii — dokładnie było ich pięć — nie dłuższych niż jego kciuk. Wyglądały, jakby je wypalono.

Co mogły oznaczać? Zastanawiał się przez chwilę, a potem go olśniło. Wprowadził wielbłąda z powrotem do boksu, pożegnał kilkoma miłymi słowami i zbity z tropu dokonany niespodziewanie odkryciem wrócił na pusty dziedziniec.

ROZDZIAŁ 6

Katia Hidżazi siedziała na tylnym siedzeniu toyoty, podczas gdy jej kierowca, Ahmad, prowadził wóz przez pogrążone w mroku ulice. Zatrzymywał się na każdym rogu, wypijał łyk kawy z ulubionego białego kubka, sprawdzał boczne uliczki (nieodmiennie puste) i ruszał dalej zadowolony, iż może jechać w iście ślimaczym tempie. Na którymś z licznych skrzyżowań odkręcił szybę, aby wpuścić do środka chłodne powietrze, a Katia zrobiła po cichu to samo, uchylając okno ledwie na tyle, by widać było skrawek nocnego nieba.

Kontakt ze światem zewnętrznym zawsze był ryzykowny, lecz tego ranka obudziła się w szczególnie czujnym, posepnie wyczekującym nastroju. Poprzedniego wieczoru zadzwoniła do Ahmada, aby zapytać, czy będzie mógł przyjechać po nią przed świtem. Nie powiedziała, dlaczego musi wyjść z domu tak wcześnie, a on jak zwykle nie zapytał.

Ktoś jednak to zrobił. Ojciec. Wstała, kiedy w domu panowała jeszcze cisza, i wymknęła się po cichu, starając się nie obudzić ojca. Ale za ledwie samochód minął róg ulicy, przy której mieszkali, zadzwonił jej telefon i przez następne pięć minut wyjaśniała ojcu, że musi być wcześniej w pracy, że zapłacą jej za nadgodziny i że szef nie zacznie się domagać, by stale przychodziła o tak nieludzkiej porze. Kłamstwo goniło kłamstwo, mimo to Abu i tak będzie się martwić. Świadomość tego zawisła nad nią niczym chmura, wzmagając poczucie winy.

Nie chciała, by wiedział, że poświęca sprawie Nuf aż tyle czasu. Wspierał ją w dążeniu do prawdy, wołała jednak uniknąć wyjaśniania mu, iż planuje zakraść się do laboratorium i ukryć rezultat swoich badań przed szefem i współpracownikami. Ojcu by się to nie spodobało — po pierwsze dlatego, że nie podobała mu się myśl, iż Katia łamie zasady, a po drugie dlatego, że nie aprobował tego, iż patolog zamknął sprawę Nuf, nie przyjrząwszy się dowodom zbyt starannie. Tak czy inaczej miałby

córcie do powiedzenia coś przykrego, a im mniej dawała mu okazji do krytykowania jej pracy, tym lepiej.

Próbki pobrane z ciała Nuf wepchnęła do torebki, by zbadać je, kiedy nikogo w laboratorium nie będzie. Nie przychodziła przedtem do pracy tak wcześnie i nie była wcale pewna, czy wejście dla kobiet zostanie otwarte ani czy strażnik ją przepuści. Miała próbki skóry spod paznokci Nuf, wiór z rany na głowie, błoto z nadgarstków i trochę z innego miejsca na skórze oraz z włosów. A także próbkę krwi płodu. Zbadanie tego po cichu zajmie kilka dni. Dział, w którym zatrudniano kobiety, zaczynał pracę o ósmej, powinna mieć więc dość czasu, by przygotować dowody.

Gdyby jej szef się zorientował, że bada próbki ze sprawy oficjalnie zamkniętej, straciłaby pracę. Nieważne, że to Asz-Szarawi poprosili, by sprawę zamknięto, ona zaś na prośbę Usmana pracowała dla rodziny. Sytuacja stałaby się po prostu zbyt skomplikowana. Czy patolog przyznałby, że został przekupiony? A Tahsin, że mu zapłacił? Czy rodzina przyznałaby, że zatrudniła kobietę? Coś takiego nie wchodziło po prostu w grę.

Ahmad prowadził leniwie. Światła toyoty ledwie się żarzyły. Gdy zostawili za sobą stare miasto, ulice stały się szersze i sprawiały wrażenie bardziej pustych. Budynki były tu nowsze i mniej przyjazne. Kojący widok starych drewnianych krat okiennych i wymyślnie zdobionych drzwi ustąpił paradyżowi przerdzewiałych żelaznych grilli i zepsutych klimatyzatorów, które zwisały z okien niczym połamane zęby ociekające śliną. Rozmieszczone rzadko latarnie dawały mdłe szare światło.

— Wszystko w porządku? — zapytał Ahmad.

— Tak, Ahmadzie. Dziękuję.

Skreślił w lewo i nagle znaleźli się na ulicy, zdawałoby się, przeznaczonej wyłącznie dla kobiet. Składowe witryny ukazywały stosy perfum i słodkich olejków, abaje, biżuterię i różne błyskotki. Wystawy były oświetlone, lecz gdy je mijali, światło w niektórych zaczynało już migotać: wi-

domy znak, że wkrótce zostanie wyłączone i rozpoczną się poranne modły. Od czasu do czasu ulicą przemknęła odziana w czerń postać. Zazwyczaj na chodnikach widziało się mężczyzn, jednak wczesnym rankiem bywały tu kobiety, ciche i płochliwe niczym łanie, korzystające z okazji, aby pospacerować bez narażania się na molestowanie. Mężczyzna stanowiłby tu dysonans, a jego biała abaja świeciłaby z daleka niczym latarnia morska, płosząc ciemne postaci i zmuszając je, aby uciekły w noc.

Ahmad zatrzymał się na rogu. Katia poprosiła, by podjechał do skrzyżowania i tam zaczekał. W dole przecznicy widać już było najdelikatniejszą poświatę wznoszącą się niczym fala na horyzoncie. Obserwowała ją, czekając, aż pojawi się przejrzysty nieziemski blask zwiastujący świt. Ponieważ uczyła się w college'u astronomii, wiedziała, że wszystko w kosmosie ma odniesienie do modlitwy, pomagając wyznaczyć jej czas. Te obliczenia były monumentalnym zadaniem. Aby ich dokonać, trzeba było znać się na szerokościach astronomicznych, deklinacjach słonecznych, azymutach, czasie słonecznym i równaniach. Armie mężczyzn spędzały życie, obserwując niebo po to, żeby przewidzieć moment świtu i obliczyć, ile dokładnie minut oraz sekund będzie dzieliło danego dnia świt od wschodu słońca, ponieważ właśnie wtedy odmawiano modlitwę zwaną fadžr. Katia wstrzymała oddech, wpatrując się w horyzont i zastanawiając, czy muezinowi uda się rozpocząć modły dokładnie o świtaniu.

I tak właśnie się stało: odległy blask pojawił się na niebie właśnie w chwili, kiedy z głośników pobliskiego meczetu dobiegło ją pierwsze *Allahu akbar*, „Bóg jest wielki”. Doskonałe zgranie modlitwy z pojawieniem się dziennego światła sprawiło, że Katia zadrżała, przejęta i poruszona.

A potem pomyślała, że znacznie mniejszym entuzjazmem, że podczas gdy armie mężczyzn zwracają nieustająco oczy ku niebu, ona może podziwiać je tylko z dachu swego domu albo przez szparę w uchylonym oknie samochodu.

Ahmad minął skrzyżowanie, podjechał do krawężnika i chwycił dywanik modlitewny leżący na siedzeniu pasażera. Wysiadł, rozłożył dywanik na chodniku i zaczął się modlić na stojąco. Katia obserwowała go, czując się nieswojo. Przez całą noc myślała jedynie o Nuf, a teraz czuła, że przekonanie o tym, iż śmierć dziewczyny nie była przypadkowa, gaśnie w niej tak, jak gasły mrugające światła na wystawach. Wczoraj była jeszcze pewna, że Nuf została zamordowana, lecz teraz zaczęła się zastanawiać: a jeśli zadrapania na nadgarstkach i obrażenia głowy powstały rzeczywiście podczas powodzi? Albo zostały spowodowane przypadkowo? Poza tym rozumiała postawę Asz-Szarawich. Chcieli przeprowadzić śledztwo po cichu, ona zaś szanowała ich prawo do zachowania prywatności. Ale jeśli coś ukrywali?

Zapewne nie powiedzieliby jej o spreparowaniu orzeczenia, gdyby nie zadzwoniła do Usmana z informacją, że patolog schrzanił robotę. Usman natychmiast poprosił ją o pomoc. Zgodziła się, oczywiście, choć z technicznego punktu widzenia było już za późno na zbieranie dowodów — ciało Nuf zostało zabrane. Ocaliła co prawda kilka próbek pobranych podczas autopsji, lecz Usman o tym nie wiedział. Podobnie jak o tym, że jedynie zastępowała właściwego patologa. Czyżby założył po prostu, że jest w pracy wszechwładna?

Nienawidziła się za te myśli. Prowadziły bowiem nieuchronnie do pytania, czy dobrze robi, poślubiając mężczyznę, którego sama wybrała i którego jej ojciec nie lubił.

Podniosła wzrok i zobaczyła dwie młode kobiety szykujące się do opuszczenia sklepu. Spostrzegły modlącego się Ahmada i zawróciły, obawiając się być może, iż należy do mężczyzn, którzy ujrawszy kobietę po dokonaniu ablucji, muszą je powtórzyć. Katia chętnie by je zapewniła, że Ahmad nie będzie miał nic przeciwko temu, aby go minęły, poza tym był najbardziej ślepyim mężczyzną na ziemi — miał bowiem szczególną umiejętność patrzenia na kobietę tak, jakby nie widział jej twarzy. Ale nie mogła do nich podejść: kobiety były już za kotarą, a przez okna o za-

ciemnionych szybach nic nie dało się z zewnątrz zobaczyć. Obserwowała zatem, jak Ahmad odwraca w bok głowę i szepcze swój taslim: „Niech pokój i miłosierdzie Boże będą z tobą”. Absolutna łagodność oraz pogoda ducha, jakie malowały się przy tym na jego twarzy, nieodmiennie budziły w niej podziw.

Ten wyraz dobroci, spokoju i bezpieczeństwa sprawiał, że jej ojciec mu ufał. Mężczyźni zaprzyjaźnili się w dzieciństwie, kiedy mieszkali jeszcze w Libanie, a do Arabii Saudyjskiej przeprowadzili się, gdy mieli po dwadzieścia jeden lat. Właśnie dla uhonorowania żony Ahmada, pięknej, chociaż od dawna nieżyjącej rosyjskiej emigrantki, dano jej na imię Katia. Nie poznała swej imienniczki, widziała tylko jej fotografię zrobioną w górach Syrii i przechowywaną w schowku na rękawiczki. Śnieg na kapeluszu i chusta, owinięta kilkakrotnie wokół szyi, stanowiły idealne atrybuty bladej jasnowłosej kobiety o chłodnym typie urody. Katia nie była w stanie wyobrazić jej sobie w innym otoczeniu. Ahmad chyba też nie. Każdą opowieść o żonie zaczynał słowami: „Pamiętam, wybraliśmy się kiedyś na urlop do Syrii... Jakże kochała chłód...”. Od czasu do czasu Katia przypominała sobie, iż żona Ahmada też mieszkała w Dżuddzie. Umarła tutaj na raka latem roku 1968.

Podczas gdy ojciec Katii rozpoczął w nowym kraju satysfakcjonującą karierę chemika, Ahmad zadowolił się prowadzeniem taksówki. Z czasem został też opiekunem kobiet, stanowiąc ich eskortę i przekonując się, że zajęcie to, choć nie zawsze pozwala opłacić rachunki, daje mu przynajmniej satysfakcję płynącą z faktu, że ochrania młode kobiety przed złymi mężczyznami, z policją religijną włącznie. Przebywając z Ahmadem, Katia czuła się trochę tak, jakby towarzyszyła jej rozwodniona wersja ojca. Był kimś, kto naprawdę troszczy się o jej bezpieczeństwo, nie popadając przy tym w ojcowską przesadę. Przez większość czasu traktował ją jak królową, lecz mimo jego usłużności i uprzejmości doskonale zdawała sobie sprawę, że w jej małym światku to on jest królem. Gdyby nie Ahmad, nie mogłaby nigdzie się ruszyć. Oczywiście w mieście były

też taksówki dla kobiet, prowadzone przez miłych emigrantów, ale ojciec za nic by się nie zgodził, żeby do takiej wsiadła.

Daleko w dole ulicy mężczyźni zaczęli wychodzić już z domów, odpowiadając na wezwanie na modlitwę. Pora podnieść szybę w oknie, pomyślała. Odwróciwszy się, spojrzała po raz ostatni na jaśniejące różem niebo, mając nadzieję, że poczuje znów podziw i wzruszenie, jakie ogarnęły ją przed kilkoma minutami. Tymczasem czuła tylko wyrzuty sumienia spowodowane tym, że skłamała ojcu, nie odmówiła fadżru i skłoniła Ahmada, by przyszedł do pracy przed świtem. Na dodatek zwątpiła w Usmana. Przynajmniej z jednego powodu nie zamierzała czuć się winna — chodziło o pracę nad sprawą Nuf.

Jej matka zwykła była mówić, że sałat to szczodre słowo. Oznacza: modlić się, błogosławić, czcić, powiększać, lecz przede wszystkim „zwracać się ku”. Zatem kiedy nie mogła się modlić, gdyż była chora lub miała okres, nadal powinna była zwracać się myślą ku Bogu. I czyż nie robiła tego teraz, podziwiając cuda stworzenia? Zwłaszcza że odnosiły się do czasu modlitwy i Nuf. Przynajmniej w tej sprawie Bóg był po jej stronie, w Koranie powiedziane jest bowiem: „Jeśliby to było tylko tyle, co ciężar ziarnka gorczycy, i byłoby w skale albo w niebiosach, albo na ziemi, to Bóg to wprowadzi. Zaprawdę, Bóg jest Przenikliwy, Świadomy!”.*¹

Wiedziała jednak, że oszukuje samą siebie. Nie odmówiła modlitwy.

Ahmad zwinął dywanik, strzepnął pył z jego skraju i wsiadł do samochodu. Siedzieli razem w milczeniu, czekając, aż skończy się czas modłów. W dole ulicy mężczyźni śpieszyli tłumnie do meczetu. Niektórzy modlili się na chodniku przed swoimi sklepami. Ahmad wziął do rąk kubek i pociągnął łyk kawy. Obserwowała w lusterku jego miłą twarz, żałując, że nie może zwierzyć mu się z wątpliwości dotyczących się Usmana i jego rodziny. Powiedziała by o wszystkim jej ojcu, a nie życzyła sobie,

¹ Werset 31,16.

by Abu wiedział, że nie jest pewna swego wyboru. Modły wreszcie się skończyły i mężczyźni wyszli gromadnie z meczetu.

Ahmad włączył silnik i skręcił na następnym rogu. Co dzień wybierał inną drogę do laboratorium, aby pokazać Katii coś nowego. I choć po jakimś czasie nieuchronnie zabrakło im tras, ulice zmieniały się tak szybko, że za każdym razem było tak, jakby jeszcze tamtędy nie przejeżdżali. Nie dalej jak przed dwoma tygodniami jechali tą właśnie ulicą ozdobioną palmami, prawdziwymi i sztucznymi. Prawdziwe szumiały na wietrze, gawędząc ponad głowami swych mniejszych plastikowych braci. W pobliżu prowadzono prace budowlane i pełno tu było robotników, głównie Jemeńczyków oraz Azjatów. Obok pustego placu pracowała głośno betoniarka, a po przeciwległej stronie ulicy wyburzano apartamentowiec. Teraz została już właściwie tylko pusta działka ze sterczącymi dookoła kablami. Robotnicy spryskiwali grunt olejem, by wiatr nie zwiewał piasku na ulicę.

Po dziesięciu minutach Ahmad podjechał pod wąskie metalowe drzwi, które wyglądały, jakby służyły kiedyś dostawcom. Teraz wchodziły tędy pracownice laboratorium. Katia podziękowała Ahmadowi, sprawdziła, czy nikab zakrywa jej dokładnie twarz, i szybko wysiadła. Rozejrzała się błyskawicznie, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu, podeszła do drzwi i przesunęła przez zamek swój identyfikator. Rozbłysło zielone światelko i drzwi stanęły otworem. Odetchnęła z ulgą.

W korytarzu nie było strażnika — może po prostu gdzieś spał — przemknęła więc szybko obok jego stanowiska i ruszyła korytarzem oświetlonym szarym fluorescencyjnym światłem. Jej nowe sandały zakrzypiały, kiedy obróciła się, aby otworzyć drzwi laboratorium. Znalazszy się w środku, zapaliła światło i podeszła do swego zwykłego miejsca pracy: małego białego biurka w rogu, na którym utrzymywała nieskazitelny porządek. Postawiła torebkę na blacie i zaczęła grzebać w niej w poszukiwaniu woreczków zawierających próbki skóry i substancje śla-

dowe, a także dwóch fiolek z próbkami pobranymi z płodu. Wsunęła woreczek z próbkami skóry do kieszeni.

Ręce trzęsły się jej ze zdenerwowania, gdy otwierała szufladę i chowała pozostałe przedmioty, wpychając je pod stos starannie ułożonych chustek, by nie walały się luzem. Przedsięwzięła środki ostrożności, oznaczając każdą próbkę fałszywym numerem identyfikacyjnym i kryptonimem jednej ze spraw, nad którymi właśnie pracowała. „At-Talib, Ibrahim”. Robotnik budowlany, którego otruto. „Roderigo, Thelma”. Pokojówka zmarła w wyniku ciosu tępym narzędziem w głowę. Zatrzasnęła szufladę i zamknęła ją na klucz.

Przygotowanie próbki skóry spod paznokci Nuf zajęło jej kilka minut i właśnie wsuwała ją pod mikroskop, gdy usłyszała dobiegający zza pleców hałas.

— *Sabah al-chajr!*

Było to zwykle „dzień dobry”, lecz szok, ostry ton głosu i jego natężenie sprawiły, że omal nie krzyknęła. Jakoś udało jej się nie upuścić próbki. Odwróciła się i zobaczyła swoją współpracownicę Salwę.

— *Sabah an-nur* — wykrztusiła, co znaczyło: „Niech spłynie na ciebie światło poranka”.

— Kim jesteś? — spytała Salwa. Mówiła zawsze tak głośno, że Katia czuła się przyłapaną na gorącym uczynku, nawet jeśli nie miała nic na sumieniu.

Teraz uświadomiła sobie, że nie zdjęła jeszcze nika- bu. Uniosła go więc, odsłaniając twarz.

Salwa zmarszczyła brwi. Samozwańcza szefowa kobiecego działu laboratorium była niską przysadzistą kobietą o szybkich ruchach, chodziła z ołówkiem założonym za ucho i uniesionym nikabem, który spoczywał na jej skroniach niczym korona — i Salwa nosiła ją w iście królewski sposób. Kiedy w laboratorium pojawiał się mężczyzna, co zdarza-

ło się niezmiernie rzadko, reszta kobiet natychmiast rzucała się zakrywać, mamrocząc przeprosiny i odwracając twarze. Salwa natomiast, choć miała nikab zawsze w gotowości, wpatrywała się buntowniczo w intruza. Jeśli uznała, że mężczyzna może donieść na nią szefowi, wyciągała ołówek zza ucha i niechętnie odwijiała nim nikab, tak jak średniowieczny mułła mógłby rozwijać pergamin, aby odczytać tekst niepiśmiennemu królowi.

Ale nawet jeżeli zakryła twarz, nie zamierzała zniżyć potężnego głosu, jakim pobłogosławił ją Bóg. Był to głos zdolny poruszać stoły i sprawiać, że zlewki śpiewały. Pozostawał też w ciągłym użyciu, wzmacniany przez czyste linie i płaskie powierzchnie budynku. Pewnego razu zagłuszył nawet wołanie muezina wzywającego na modlitwę. Katia podejrzewała czasami, że Salwa stara się mówić możliwie najgłośniej, ponieważ tyle osób z jej otoczenia pragnęłoby ją uciszyć.

— Co robisz w pracy tak wcześnie? — spytała, podchodząc bliżej z wyrazem podejrzliwości na twarzy. — Zdejmij abaję. Chcę zobaczyć twoje ramiona.

Katia poczuła przyływ irracjonalnej paniki.

— Mam zdjąć abaję?

— Tak. Zrób to.

Rozpięła więc długą czarną pelerynę i wyśliznęła się z niej, odsłaniając białą, zapinaną na guziki koszulę i długą czarną spódnicę. Salwa podeszła bliżej i posługując się ołówkiem, uniosła rękawy koszuli. Katia uświadomiła sobie, że szuka siniaków.

— Wszystko ze mną w porządku — zapewniła.

Salwa opuściła rękawy koszuli i spojrzała Katii w oczy.

— Kobiety przychodzą tutaj tak wcześnie tylko z jednego powodu: by uciec przed mężem lub ojcem.

Katia poczuła, że się rumieni. Pomimo rzekomej troskliwości Salwie udało się sprawić, że poczuła się jak kobieta maltretowana.

— Nikt mnie nie bije — powiedziała.

— Więc co tu robisz?

Katia opuściła rękawy i narzuciła na powrót abaję.

— Nie mogłam spać.

Salwa wpatrywała się w nią z satysfakcją bardziej matczyną niż żądną kary.

— Chodzi o zbliżający się ślub?

Katia zdawała sobie sprawę, że lepiej nie wtajemniczać Salwy w osobiste sprawy. Teraz, gdy ich szefowa, Adara, przebywała na urlopie macierzyńskim — drugi raz w tym roku — Salwa zdawała się sądzić, że już tak zostanie. Pracowała tu dłużej niż którakolwiek z pozostałych kobiet, choć nie robiła nic poza zastraszaniem innych. Mogła sobie na to pozwolić, ponieważ kierownik oddziału, Abd al-Aziz, był jej szwagrem. A skoro byli rodziną, mogła rozmawiać z nim osobiście. Dawało to korzyści, jakich nie miały inne pracownice. Jeśli ktoś dobrze wywiązywał się z obowiązków, przypisywała jego zasługi sobie. A jeśli zrobiła coś źle, umiała dopilnować, by obwiniono o to inną osobę. Wobec szwagra była unizona, stawiając się w jego gabinecie, ilekroć tego zażądał, i przynosząc podarki dla jego dzieci co najmniej raz w tygodniu. Najwidoczniej musiała jednak odbić sobie tę uległość, w laboratorium tyranizowała zatem kobiety, zmuszając je, aby spełniały jej żądania. Laborantki upchnięte w najmniejszym, odosobnionym skrzydle budynku pracowały zatem w ciągłym stresie wywołanym jej zmiennymi nastrojami. Frustracja. Dławiąca uprzejmość. Prywatnie nazywały ją Córką Saddama.

Teraz Katia musiała coś powiedzieć.

— Denerwuję się — przyznała. — Naprawdę nie mogłam spać i pomyślałam, że w tej sytuacji praca to dla mnie najlepsze lekarstwo.

Salwa wetknęła ołówek za ucho i zamyśliła się. Uznawszy wreszcie wyjaśnienie za prawdopodobne, choć nie do końca satysfakcjonujące, wyprostowała się i powiedziała:

— Doskonale. Mam dla ciebie mnóstwo roboty. Ale nie zapłacę ci za nadgodziny, chyba to rozumiesz.

— Oczywiście — odparła Katia, tłumiąc niechęć. Jakby oczekiwała dodatkowego wynagrodzenia, a pieniądze stanowiły jedyny problem.

— Nad czym pracujesz? — spytała Salwa.

— Badam komórki skóry ze sprawy Roderigo.

Salwa spojrzała na mikroskop, jakby był to brudny pies.

— Dobrze, odłóż to. Są dwie inne sprawy, które mają wyższy priorytet.

Katia skinęła głową. Usiadła do mikroskopu, wyjęła szkiełko i położyła je na stole. Przeklęła w duchu pecha i jęła się zastanawiać, co sprawiło, że Salwa pojawiła się w pracy tak wcześnie.

Nigdy nie robiła nic sama, jeśli mogła się wyręczyć kimś innym. Może to ona uciekała od maltretującego ją mężczyzny. Albo co bardziej prawdopodobne, od domowych obowiązków: męża inwalidy, trójki małych dzieci i — przynajmniej według tego, co sama mówiła — najbardziej bezczelnej indonezyjskiej służącej na ziemi. Może dla niej praca była naprawdę ucieczką.

Mimo to nie mogła się powstrzymać, by nie podziwiać pewnych cech jej charakteru. Salwa była na tyle silna, by domagać się podwyżek dla kobiet. Kiedy Abd al-Aziz był nieobecny i wiedziała, że ujdzie jej to płazem, przydzielała swoim podwładnym zadania przeznaczone dla mężczyzn. Wysłała Katię, by zastąpiła Adarę podczas badania ciała Nuf. I to

ona, kierując się ideą, aby uczynić kobiety bardziej równorzędnymi w miejscu pracy, zachęcała ją, by nie nosiła nikabu. „Mężczyźni przestają cię szanować, jeśli przestrzegasz przez cały czas reguł. Czasami musisz zwrócić się do nich bezpośrednio i pokazać twarz, nawet jeśli potem znów ją zasłonisz”, mawiała.

Katia zaczęła się zastanawiać, co zrobiłaby Salwa, gdyby znalazła na ramieniu podwładnej siniaki. Czyby ją zwolniła? Pocieszyła? Wysłała do przychodni? Najprawdopodobniej poinformowałaby o tym Abd al-Aziza, a nie wiadomo, co on by zrobił. Egzystował gdzieś na obrzeżach życia Katii jako chłodny, nieprzystępny autorytet, człowiek, którego zawodowe decyzje — jeśli naprawdę to on je podejmował — od czasu do czasu budziły w niej sprzeciw.

Salwa wróciła i rzuciła na biurko Katii dwa opasłe skoroszyty z próbkami.

— Przyjrzyj się temu najszybciej, jak się da. — Nim Katia zdążyła zareagować, odwróciła się i wyszła, mamrocząc coś o tym, iż musi odkurzyć biuro Abd al-Aziza, nim szef stawi się do pracy. Katia podejrzewała, że Salwa zamierza skorzystać raczej z włoskiego ekspresu do kawy szefa i przysiąść na jego wartym tysiąc riali fotelu do masażu, by pooglądać wiadomości, a może i powtórkę programu „Oprah”, nim zacznie się dzień pracy. Katia i jej koleżanka Maddawi zajrzały kiedyś do biura Abd al-Aziza, wiedziała zatem, co się w nim znajduje.

Otworzyła skoroszyty i przejrzała ich zawartość. Ogrom pracy wprowadził ją w przygnębienie. Uporanie się z nią zajmie kilka dni. A zapewniła przecież Usmana, że zrobi wszystko co możliwe. Nie wspomniała o związanym z tym ryzyku, a on nie zapytał. Czekał jednak na odpowiedzi. Rodzina czekała. Tymczasem nawet gdyby mogła przeprowadzić badania otwarcie, analiza DNA i tak zajęłaby kilka dni.

Zerknęła na drzwi. Salwa nie wracała. W pomieszczeniu nie było okien, nie mogła więc sprawdzić, czy ktoś nadchodzi. Aczkolwiek sama

także pozostawała niewidoczna. Odwróciła się tyłem do lady, odsunęła skoroszyt, wzięła ze stołu próbkę Nuf i już miała wsunąć ją pod mikroskop, kiedy otwarły się drzwi i weszła Salwa. Pokręciła się chwilę po sali, nucąc z cicha, i podeszła do Katii, aby się upewnić, że podwładna robi, co jej kazała.

Katii jakoś udało się ukryć próbkę Nuf. Zaczęła demonstracyjnie przeglądać otrzymane materiały, lecz kiedy przysunęła fotel na kółkach do mikroskopu i przystąpiła do przygotowywania próbki, zerknęła na zegar na ścianie — był kwadrans po szóstej — i uświadomiła sobie, że czeka ją długi dzień.

TLR

ROZDZIAŁ 7

Najir zuł miswak, wpatrując się przez lornetkę w pustynię. Na południe rozciągał się szeroki pas piasku, tak twardego, że można było jechać po nim samochodem. Miejscami grunt był jednak nierówny i wyboisty, co groziło przebiciem opon. Na północy majaczyły w oddali wzgórza Al-Hidżazu, połyskując żółtawo na tle jaskrawego błękitu czystego porannego nieba.

Opuścił lornetkę. O metr od niego stał, przesłaniając doskonale widoki natury, Sulejman Suhajł, prywatny detektyw i właściciel Agencji Detektywistycznej Ben-son&Hedges. Najir spodziewał się, że podczas godzinnej jazdy do miejsca, w którym się obecnie znajdowali, detektyw zapali choć raz papierosa, lecz najwidoczniej nie był palaczem, mimo że na takiego wyglądał, był bowiem chudy i zaszuszony.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

Na początku podróży wręczył Najirowi mapę, mówiąc: „Proszę obejrzeć tę beduińską mapę i powiedzieć, czy potrafi pan ją odczytać”. Najir miał ochotę poinformować go, że „beduińską mapą” to oksymoron, beduini nie posługują się bowiem mapami ani ich nie potrzebują, lecz szybko się zorientował, o co chodziło detektywowi.

Miał przed sobą topograficzną mapę zachodniej części pustyni, gdzie jedynym rozpoznawalnym dla zwykłego użytkownika elementem było wybrzeże Morza Czerwonego. Ktoś naniósł na marginesie współrzędne GPS. Obok widniały słowa „ciało dziewczyny”, data oraz godzina. Najir miał nadzieję, że notkę naniósł beduin, choć wydawało się mało prawdopodobne, by któryś z nomadów posłużył się dla określenia miejsca współrzędnymi GPS. Równie prawdopodobne jak to, że beduin mógłby posiadać tego rodzaju profesjonalną mapę. Przypominała część atlasu, jaki widział w torbie podróźnej Usmana, kiedy udali się pewnego

razu na pustynię: teczka wypełniona różnego rodzaju poważnymi mapami. Otrzymał je od czasu do czasu w charakterze prezentu od kogoś z ministerstwa wydobywania ropy lub od geologa z Aramco. Było to coś, co inny mężczyzna mógłby oprawić i powiesić sobie nad biurkiem, Usman natomiast, będąc Usmanem, chciał po prostu używać. Zapewne to on dostarczył detektywowi mapę, zapisując współrzędne, kiedy beduini pokazali mężczyznom z rodziny, gdzie znaleźli ciało. Co dziwne, był tam też niewielki znak wyobrażający zapewne platformę wiertniczą. Najir znał tę część pustyni całkiem dobrze — na tyle dobrze, by wiedzieć, że w pobliżu nie prowadzi się wierceń — lecz może platforma pojawiła się niedawno. Będzie musiał zadzwonić do Aramco i dowiedzieć się.

— To miejsce zaznaczone przez beduinów — powiedział, sprawdzając współrzędne z własnym GPS- -em.

Podniósł wzrok i zobaczył, że od zachodu nadjeżdża ku nim ciężarówka Mutlaka, ciągnąc za sobą chmurę pyłu. Mutlak był najlepszym spośród beduińskich tropicieli, którzy uczestniczyli w poszukiwaniu Nuf. Przyjeżdżając, wyświadczał Najirowi przysługę i choć Najir ufał mu całkowicie, nie był pewien, jak zareaguje detektyw. Mutlakowi zdarzało się zachowywać dziwnie, a Suhajl nie wyglądał na człowieka, który żywiłby szczególny szacunek wobec beduina czy też miał do niego cierpliwość.

— Myślałem, że zginęła w wadi. — Suhajl popatrzył na pustynię przez okulary słoneczne. — Gdzie jest wadi?

Przed nimi rozciągało się płytkie zagłębienie biegnące z południa na północ tak daleko, jak byli w stanie sięgnąć wzrokiem. Najir wskazał je detektywowi.

— To wszystko jest wadi? — wykrzyknął Suhajl. Najir zauważył, że koszula od garnituru przesiąkła mu już potem. — Widzi pan miejsce przestępstwa? — parsknął wymuszonym śmiechem i przyłożył sobie palec do skroni. — To są miejskie oczy i te oczy nie widzą tu miejsca prze-

stępstwa. — Popatrzył na słońce. Krople potu spływały mu po czole. Twarz miał niebezpiecznie zaczerwienioną. Zapewne nie opuszczał zbyt często swego przytulnego klimatyzowanego biura.

— Działają tu telefony komórkowe? — zapytał.

— Czasami.

Suhajl sięgnął przez okno do wnętrza jeepa i wyjął komórkę. Nie działała. Rzucił ją na siedzenie.

— A tak przy okazji, mam tu jej rzeczy — powiedział, wyjmując z bagażnika czarną plastikową torbę i podając ją Najirowi. — Beduini znaleźli je przy zwłokach. Może dostarczą jakichś poszlak.

Najir wziął torbę zaskoczony, że Asz-Szarawi oddali rzeczy Nuf detektywowi. Byłoby lepiej, gdyby mógł porozmawiać osobiście z ludźmi, którzy znaleźli ciało, lecz zniknęli, gdy tylko dostarczyli je do biura lekarza sądowego. Zerknął do torby. Zawierała brudną białą abaję — męską abaję. Wyjął ją i rozwinął. Pociemniała z jednej strony, prawdopodobnie od zbyt długiego pozostawania na słońcu, i pachniała jak gabinet patologa. Na lewym rękawie widniała niewielka plama krwi, zapewne krwi Nuf. Poza abaję w torbie znajdował się jeszcze złoty zegarek na rękę wysadzany diamentami i damski but jaskraworóżowego koloru. Wyjął go i obejrzał. Była to szpilka na dwunastocentymetrowym obcasie. Choć but nosił ślady pobytu w wodzie, przy pasku nie brakowało żadnego cekina, a podeszwa nie była zdarta.

— Z pewnością nie jest to but do chodzenia — zauważył Suhajl z uśmiechem. — Wiadomo, co można robić w tego rodzaju obuwiu. — Najir spojrział na detektywa i ten dodał pośpiesznie, chichocząc: — Przepraszam, ale uważam, że martwi nie powinni psuć żywym przyjemności. Proszę mnie źle nie zrozumieć. To okropne, że dziewczyna zginęła. Powiadam tylko: lamenty nie zakłócą spokoju odciętej głowy.

Najir, zdenerwowany i nieco urażony, uznał, że lepiej go nie zachęcać. Zajrzał po raz ostatni do torby. Na dnie spoczywał pomięty kawałek żółtego papieru. Wyjął go i spróbował rozłożyć, szybko uświadomił sobie jednak, że kartka nie jest po prostu zmięta, lecz została celowo poskładana. Sądząc po zagnieceniach, miał to być ptak — być może bocian, zważywszy na długie cienkie nogi. Dziwaczny przedmiot. Jak zdołał przetrwać powódź? Nuf musiała go trzymać blisko ciała — może w bucie, w tym, który naprawdę nosiła, gdyż nikt nie wybiera się na pustynię bez butów. Są niezbędne już choćby po to, żeby osłonić stopy przed słońcem.

— Znalazł pan coś? — zapytał Suhajl.

— Nie. — Najir przełożył torbę do jeepa i zapakował do własnego bagażu. Suhajla to najwidoczniej nie obeszło. Wpatrywał się uważnie w Najira.

— Niech pan się trochę rozpogodzi — powiedział. — Naprawdę uważa pan, że postępujemy źle, mówiąc w ten sposób o dziewczynie? Obrazamy honor rodziny? Och, daj pan spokój. Chyba pan w to nie wierzy, co? — Wydawał się naprawdę zmartwiony, lecz Najir zachowywał niewzruszony wyraz twarzy. — Wybacz mi, bracie — kontynuował z niedowierzaniem detektyw. — Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś tak prawomyślny. Ja też jestem muzułmaninem, ale w Syrii nie przestrzegamy tak surowo zasad. I chyba jesteśmy dzięki temu szczęśliwsi.

— Jestem Palestyńczykiem — rzekł Najir, jakby to wyjaśniało wszystko.

— Naprawdę? Wyglądasz jak beduin.

— Nie jestem beduinem.

Odszedł od jeepa, próbując pozbyć się uczucia niesmaku. Oczywiście zdarzało mu się pracować z wieloma beduińskimi plemionami. Nie dało się robić tego, co on robił, nie korzystając z ich wskazówek, rad i ratującego życie wsparcia. Swego czasu sprawiało mu przyjemność, kiedy

go brano za beduina. Pragnął uchodzić wtedy za szorstkiego, pozbawionego ogłady człowieka pustyni, niezainteresowanego zwyczajnym miejskim życiem. Nosił strzelbę na ramieniu i rzeźbiony sztylet u pasa. A nawet zwijał swoją szumagę w turban. Ale w głębi duszy wiedział, że to tylko udawanie. Beduini byli gościnni, lecz bardzo związani ze swoim klanem i choć otwierali przed Najirem drzwi, zawsze był u nich tylko gościem. Bolało go zwłaszcza, że nigdy nie pozwolią, by spotkał się z ich córkami, siostrami lub żonami. Prawda wyglądała tak, że spędzał większość czasu w Dżuddzie, zatem im częściej brano go za beduina, tym bardziej przypominało mu to, że nie jest też Saudyjczykiem. „Musisz być beduinem” znaczyło tak naprawdę: „Nie możesz być Saudyjczykiem”. I ludzie mieli rację. Nie był Saudyjczykiem. Nie przynależał nigdzie i jak większość Palestyńczyków był w gruncie rzeczy bezpaństwowcem.

Ciężarówka Mutlaka podjechała ku nim z szumem opon, spowita obłokiem kurzu. Po chwili mężczyzna wysiadł, otrzepując abaję mocnymi ruchami dłoni i wytrząsając piasek z sandałów. Zobaczył Najira i w jego ciemnych oczach zabłysło rozbawienie.

— Za dużo tu pyłu.

Najir uśmiechnął się i uściśnął przyjaciela. Mutlak powitał go tradycyjnym pocałunkiem w nos. Był to jedyny beduiński gest, jaki Najir ośmielił się naśladować. Mutlak, wysoki i barczysty, prezentował się imponująco. Operował dłońmi z wielką precyzją i miał też najdumniejszą twarz, jaką Najir widział kiedykolwiek. Golił ją starannie i był w tym tak obsesyjny, że woził w samochodzie szczypczyki, aby wyrywać zbędne włoski podczas postoju na czerwonym świetle (jeśli w ogóle się zatrzymywał). Kiedyś Najir zapytał go, dlaczego jak inni beduini nie nosi brody. Mutlak wskazał na lusterko i powiedział: „To twarz mojego dziadka, niech Bóg ma go w opiece. Nie powinno się jej zakrywać”.

Kiedy skończyli powitalny rytuał, Najir się odsunął.

— Dziękuję, że przyjechałeś.

— Nie ma sprawy, bracie.

— Jeśli wierzyć mapie, znaleziono ją tutaj. — Wskazał wadi za nimi.
— Ale nie rozglądaliśmy się jeszcze. Nie wiem zresztą, co moglibyśmy znaleźć. Deszcz musiał wszystko zmyć.

— Owszem, chociaż woda płynęła zapewne tylko wadi. — Mutlak machnął energicznie ręką, wskazując północ. — To że padało tam, nie znaczy jeszcze, że nie da się znaleźć śladów stóp tutaj.

Suhajl podszedł bliżej i Mutlak zeszywniał. Przywitał się z detektywem, ściskając mu zdecydowanie dłoń, po czym obrzucił go uważnym spojrzeniem, odnotowując każdą fałdkę zmiętego ubrania i każdą kroplę potu. Najir przedstawił ich sobie, lecz Mutlak zerkał już detektywowi przez ramię, wpatrując się w pozostawione przez niego ślady butów. Suhajl odwrócił się i spojrzał z obawą za siebie, jakby się spodziewał zobaczyć dziką bestię.

— Co on robi? — zapytał, gdy Mutlak się oddalił.

— Przygląda się odciskom pańskich stóp — odparł Najir.

— Przecież po nich depcze.

— To bez znaczenia. I tak je zapamięta.

— Czy on tropi mnie? — zapytał Suhajl.

— Proszę pomyśleć o tym jak o zdejmowaniu odcisków palców. Jeśli odciski pańskich stóp miesza się z innymi, będzie wiedział, które należą do pana. — Najir poczuł przemożną chęć, aby się przechwalać. Powiedzieć, że Mutlak nigdy nie zapomina odcisku. Może zapomnieć nazwisko albo okoliczności spotkania, lecz jeśli za pięć lat natknie się na zapyłonych ulicach Dżuddy na odcisk, przypomni sobie twarz — oraz obuwie — osoby, która go zostawiła.

Uznawszy jednak, że detektyw mógłby uznać zdolności beduina za nieprawdopodobne, wyjaśni! tylko, iż Mutlak pochodzi z plemienia Mur-

ra słynącego z tego, że jego członkowie są doskonałymi tropicielami. Suhajl zdawał się wiedzieć, co to znaczy być Murrą. Machnął niecierpliwie dłonią, ucinając dalsze wyjaśnienia, i jał się przyglądać Mutlakowi z nowym zainteresowaniem.

Mutlak skończył badać ślady Suhajla i skupił całą uwagę na wadi.

— Znalazł ślady dziewczyny? — zapytał Suhajl.

— Jeszcze nie — rzucił Mutlak przez ramię. — Rozpoznam je, kiedy zobaczę.

Suhajl otarł czoło i zerknął z powątpiewaniem na Najira.

Mutlak odwrócił się i spojrzał na nich.

— Na pustyni jest wiele dziewcząt, niemniej założę się, że tylko jedna uciekała przerażona, mając na nogach miejskie buty!

— W porządku — powiedział po chwili Suhajl. — Ale skąd wiesz, że ślady należą do dziewczyny? Mogła mieć stopę podobną do męskiej.

Mutlak uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Zamiast tego podszedł do swojej ciężarówki i zaczął szukać czegoś energicznie na pace. Najir przyglądał mu się wyczekująco. Wiedział, że można poznać płeć po odcisku stopy, dotąd jednak nie miał okazji zobaczyć, jak się to robi.

— Widziałem już wszystko — rzekł Mutlak. — Ludzie próbują zamaskować swoje ślady, posługując się najprzeróżniejszymi sztuczkami. Kobiety nakładają męskie buty, a mężczyźni damskie. Posługują się starymi oponami albo tekturą. Zamiatają odciski miotłą, zapominając, że miotła również zostawia ślad. Po jakimś czasie uczysz się, jaka jest różnica pomiędzy stopą a butem. Możesz zmienić buty, ale nie zmienisz sposobu, w jaki stopy niosą cię przez świat.

Najir musiał przyznać, że Mutlak potrafi sprawić, by pożałował, że nie jest beduinem. Doskonałym tropicielem znającym kobiety na tyle dobrze, aby odróżnić je od mężczyzn po odcisku stopy.

Z pewnością gdyby miał wybór, wolałby zostać Mur-
rą. Każdy po-
sterunek w kraju i każdy oddział antyterrorystyczny miał w swoich szere-
gach przynajmniej jednego tropiciela, najczęściej właśnie z plemienia
Murra. Mutlak pracował swego czasu dla policji w Dżuddzie, ale płacono
tam nędznie. Zarabiał teraz więcej jako właściciel sklepu obuwniczego w
centrum handlowym Corniche i wracał chętnie na pustynię, gdy tylko by-
ło to możliwe. Był mistrzem firsasy, starożytnej sztuki rozpoznawania po-
krewieństwa po stopie. Przed laty wydawało się Najirowi, że to wątpliwa
umiejętność, lecz Mutlak udowodnił, że jest inaczej. Kiedy pracował dla
policji, wykorzystywał swoje zdolności, by tropić złodziei, terrorystów i
zaginione osoby, pomagać w sporach o spadek i ratować niewinnych
przed oskarżeniem o cudzołóstwo. Kiedyś zwrócił nawet prawowitemu
właścicielowi zbłąkanego osła. Czasami trudno było uwierzyć, że potrafi
dokonać aż tyle, badając ślad na piasku, z drugiej strony, pomyślał Najir,
w kraju pokrytym niemal w całości pyłem zawsze znajdzie się gdzieś ja-
kiś odcisk.

Mutlak wyjął z ciężarówki naręcze cienkich drewnianych palików.
Podeszli razem do wadi i Najir zauważył coś osobliwego: eksplozję kolo-
ru. Najpierw stłumione róże i fiolety, a potem plamę jaskrawej żółci. Za-
trzymawszy się na skraju zagłębienia, ujrzeli wspaniałe dywan utkany z
roślin. Porastały koryta w różnych kierunkach, wypuszczając młode zie-
lone pędy i przepychając się ku słońcu. Za tydzień lub dwa zakwitną, ale
już teraz dało się dostrzec rodzący się błękit, karmazyn, róż oraz perłową
biel, drobniutkie pączki i kule ostu, mięsiste liście i kłujące zielone łody-
gi. Najir widział już kwitnącą pustynię, lecz nigdy tak obficie jak tutaj.

— Zadziwiające — powiedział.

— To — powiedział Mutlak, wskazując wadi — jest ślad deszczu.

Zszedł ochoczo do koryta, a Najir podążył za nim, pochylając się, by
lepiej widzieć. Znalazł pędy ogórecz-
nika rosnące obok kępy fioleto-
wych irysów i pewien szczególnie gatunek mięty, którego beduini używa-
ją, by leczyć dolegliwości żołądkowe. Z chwytającą za serce mieszanką

wstydu i przyjemności przypomniał sobie, jak młoda beduinka i jej ojciec zabrali go pewnego razu na pustynię, by zbierać lecznicze rośliny. Dziewczyna, której imienia nigdy nie poznał, gawędziła z nim swobodnie, ukryta za nikabem ozdobionym złotymi monetami. Kiedy się pochyliła, by zerwać łądygę mlecza, nikab opadł i przez mgnienie oka Najir widział jej twarz. Wpatrywał się w nią niespieszony. Poruszył go wyraz niewinności, jaki się na niej malował, odzwierciedlający jego uczucia względem dziewczyny. Beduinka spostrzegła jednak, że się jej przygląda, wstała i odwróciła się. Potem ignorowała go do końca wyprawy.

Wpatrywał się w kwiaty z podziwem zabarwionym wspomnieniem Nuf. Woda zdążyła już spłynąć, pozostawiając dziką obfitość roślinnego życia — świadectwo tego, jak duży był opad. Spowodowana nim powódź mogła się okazać śmiertelnie niebezpieczna.

Brzegi wadi nie były strome. Oznaczało to, że jeśli Nuf dostrzegła zbliżające się zagrożenie, powinna była wydostać się bez problemów z koryta rzeki. A najprawdopodobniej by je dostrzegła. Musiała być więc nieprzytomna, kiedy napłynęła woda. Mocno nieprzytomna, ponieważ ryk nadciągającej powodzi obudziłby umarłego.

Spojrzał na rośliny. Nie były na tyle rozwinięte, by Nuf mogła je zobaczyć. Co zatem sprawiło, że zeszła w ogóle do wadi?

Suhajl wygramolił się z koryta i wrócił do jeepa napić cię wody. Najir podążył za Mutlakiem wzdłuż wadi, stąpając ostrożnie, by nie zdeptać kwiatów, i zatrzymując się od czasu do czasu, żeby przyjrzeć się co dziwniejszej roślinie. Przebyli w ten sposób mniej więcej kilometr, Mutlak trzymając się skraju koryta w poszukiwaniu śladów, a Najir idąc po jego dnie, by nie wchodzić tropicielowi w paradę.

— Masz coś ciekawego? — zapytał.

— Ślady lisa, kilku myszy. Nic niezwykłego. A to co? — Wdrapał się na brzeg i zaczął krążyć. Najir chętnie by do niego dołączył, bał się jednak, że poruszy piasek. Mutlak podszedł do skraju wadi. — byli tu be-

duini. Jedna ciężarówka. Czterech młodych mężczyzn. Żadnych wielbłądów. — Przyglądał się przez chwilę kwiatom w wadi. — Tam — powiedział, wskazując miejsce tuż przy lewej stopie Najira.

Najir spojrział w dół, ale nie dostrzegł nic poza kępą gęstej roślinności. Mutlak zszedł na dno koryta, przykucnął tuż obok Najira i zaczął rozchyłać łodygi, przyglądając się bacznie gruntowi.

— Tu ją znaleźli — powiedział. Wstał i zaznaczył palikami obrys leżącego ciała.

— Czy rośliny nie zniszczyły śladów? — zapytał Najir.

— Nie, nie. Odcisk był głęboki. Widzisz, ciało zostało tu zniesione przez wodę. Kiedy przestało padać, woda wsiąkła w podłoże, a ciało zagłębiło się w miękki grunt. Podejdź bliżej.

Najir przykucnął obok i rzeczywiście, było tam wiele mówiące zagłębienie.

— Masz rację.

— Ślady w miękkim piasku najłatwiej odczytać. Spójrz tutaj, widać nawet odcisk jej palców.

Nie mylił się: zarys dłoni był bardzo wyraźny. Nuf leżała na boku, a kiedy przyjrzeni się miejscu, gdzie musiała się znajdować jej twarz, zobaczyli zarys szczęki. Najirowi ciarki przebiegły po grzbiecie. Jeśli powódź była tak silna, jak przypuszczał, Nuf została zniesiona w dół rzeki. Mogła przebyć sporą odległość, zanim dotarła aż tutaj.

— Potrafisz powiedzieć, ile było wody? — zapytał.

Mutlak zastanawiał się przez chwilę, w końcu potrząsnął głową.

— Chcesz wiedzieć, jak daleko zniosła ją powódź?

— Tak.

— Trudno powiedzieć. — Wstał i spojrzał wzdłuż wadi. — To by zależało od ilości wody. Będziemy musieli pójść wzdłuż koryta, żeby się dowiedzieć, jak daleko woda mogła ją znieść.

Zaznaczyli miejsce palikiem i ruszyli brzegiem wzdłuż koryta. Suhajl włókł się za nimi, potykając na piasku. Zatrzymali się dwukrotnie, by sprawdzić, czy wypił dość wody, upierał się jednak, że wszystko z nim w porządku. W końcu Mutlak odesłał go do jeepa. Wyczerpany upałem detektyw chętnie posłuchał.

Wędrowali powoli korytem przez mniej więcej godzinę. Sądząc po tym, jak wyglądał piasek na brzegach, w tej części pustyni nie padał ostatnio deszcz. Uznawszy, że będą musieli pójść dalej, niż im się pierwotnie zdawało, wrócili po swoich śladach do samochodów, aby podjechać w górę wadi, a potem ruszyć znowu piechotą. Słońce stało w zenicie. Ich ciała rzucały krótki cień, kiedy szli po gorącym piasku, poruszając się coraz wolniej i bardziej ociężale.

— Zmęczone stopy — zauważył Mutlak — pozwalają określić porę dnia. — Najir jał się zastanawiać, czy badając odciski, mogliby się też zorientować, w jakim nastroju była Nuf, kiedy trafiła na pustynię.

Wrócili do jeepa i stwierdził zaskoczony, że Suhajl zasnął. Wsunął rękę przez okno i dotknął czoła mężczyzny. Detektyw przebudził się gwałtownie i półprzytomny zapatrzył się w Najira. Najir cofnął dłoń.

— Lepiej niech się pan napije.

— Już to zrobiłem.

Najir wypluł miswak i poszedł na tył samochodu. Nagły poryw wiatru sypnął mu piaskiem w twarz. Odszukał w torbie chustę i owinał sobie nią głowę, zasłaniając luźnym końcem usta. Wyjął kanister z wodą i napełnił manierkę, przyglądając się przez cały czas wadi. Nieźle nas wytrzęsie, pomyślał, lecz spróbujemy dotrzeć jak najdalej. Beduini znaleźli

ciało dziewczyny w tym miejscu, ale nie tu umarła. Prawdziwe miejsce zbrodni znajduje się gdzie indziej.

Najir jechał za ciężarówką Mutlaka, zastanawiając się, jak przyjaciel jest w stanie dostrzec cokolwiek w chmurze unoszącego się dookoła pyłu. Suhajl wysunął głowę przez okno, wypatrując posłusznie śladów deszczu. Jechali, póki Najir nie dostrzegł w oddali kępy akacji. Stanęli tyłem do wadi. W pobliżu spoczywał wielki głaz otoczony półkolem drzew.

Widok wydał się Najirowi znajomy. Był tu niedawno z Usmanem. Przypomniał sobie to miejsce z powodu głazu i nie dającej się wyjaśnić obecności drzew tam, gdzie poza nimi znajdował się jedynie żwir i piasek. Planowali zrobić sobie tygodniową wyprawę, lecz Usman był bardzo zajęty i nie mógł wyjechać na dłużej niż dwie doby, rozbili zatem niewielkie obozowisko i spędzili oba popołudnia, wędrując wzdłuż wadi w poszukiwaniu śladów życia. Zauważyli lisa, a przynajmniej tak im się wydawało.

Podjechał teraz bliżej drzew i dał Mutlakowi znak, by się zatrzymał. Wszyscy wysiedli.

— Co to takiego? — zapytał Suhajl.

Najir podszedł bliżej, aby się przyjrzeć kamieniowi i drzewom. Tak, to było to miejsce. Głaz miał charakterystyczne wgłębienie, w którym można było wygodnie usiąść, ale mieściła się tam tylko jedna osoba. Obaj woleli siedzieć na piasku. Mutlak stanął za nim i jał wpatrywać się w ziemię.

— Te odciski wyglądają na twoje.

— Bo są moje — odparł Najir, przyglądając się plątaninie śladów na piasku. Mimo iż dobrze znał Mutlaka, i tak był pod wrażeniem.

— Kto był z tobą? — zapytał Mutlak.

— Usman asz-Szarawi. Brat ofiary.

— Ach... tak. — Mutlak przyjrzał się śladom, obchodząc kamień, a potem podążył za nimi, trzymając przed sobą wyciągniętą dłoń niczym różdżkę. — Nerwowy facet.

— Usman?

— Tak. Lecz idzie za tobą.

Najir nie potrafił wyczytać niczego ze śladów. Był zgrzany i zmęczony. Przysiadł na głazie, wdzięczny za odrobinę cienia. Otworzył manierkę, powąchał za wartość, upił solidny łyk wody i utkwiał wzrok w wadi. Mutlak dostrzegł widać zakłopotanie przyjaciela, gdyż odszedł dalej, pozostawiając go samego.

Najir napił się jeszcze wody. To że ciało Nuf zostało znalezione w pobliżu miejsca, gdzie obozowali kiedyś z Usmanem, zaskoczyło go. Czy mógł to być przypadek? Potem nie wybrali się już na pustynię do czasu zaginięcia Nuf.

Dostrzegł zbliżającego się Suhajla. Niósł but. — Leżał pod tymi kwiatami — powiedział, podchodząc.

Był to solidny but o mocno zdartej podeszwie. Najir obejrzał go starannie. Niewielka plama wyblakłego koloru wskazywała, że mógł zostać zmoczony, a potem wyschnąć. Był rozmiaru 36, tak jak szpilka.

— Mógł należeć do niej — powiedział. — Straciła go w powodzi. Pokażę but rodzinie, zobaczymy, czy go poznają.

Suhajl skinął głową i oddalił się, a do Najira podszedł Mutlak.

— Mogę zobaczyć? — zapytał.

Najir podał mu but i Mutlak oglądał go przez chwilę starannie, nic jednak nie powiedział. Oddał but Najirowi.

Następnych kilka minut spędzili, krążąc wokół miejsca, gdzie Suhajl znalazł but, szukając śladów stóp, zwierząt, czegokolwiek. Jeśli nie liczyć paru tropów pozostawionych przez ptaki, grunt był nienaruszony.

— Spójrzcie — powiedział Mutlak podekscytowany. — Była tu hubara.

Najir dostrzegł na piasku wiele mówiące ślady łap i pazurów. Na myśl, że coś przetrwało na tym pustkowiu, zrobiło mu się lżej na duszy.

— Więc jak poznajesz, czy ślady pozostawiła kobieta czy mężczyzna? — zapytał.

Mutlak podniósł głowę i spojrzał na przyjaciela.

— To znaczy — Najir machnął ręką — przypuszczam, że kobiety miewają na ogół mniejsze stopy, ale poza tym...?

— Nie chodzi tylko o rozmiar — odparł Mutlak.

— Ani o inną pojedynczą cechę. — Upił łyk z manierki i spojrzał przed siebie, na falujący od żaru horyzont.

— Zajmuję się tym od tak dawna, że nie pamiętam już zasad. Polegam na instynkcie. Kiedy widzę ślady kobiety, wiem po prostu, że została je kobieta.

— Chodzą inaczej niż mężczyźni? Mutlak zmrużył oczy.

— Cóż, tak. Ich ciała różnią się od naszych. Mają inne biodra. Uważam jednak, że nie tylko dlatego inaczej się poruszają.

Wrócili do samochodów i ruszyli dalej. Przejechali zaledwie kilka kilometrów, gdy Mutlak zatrzymał się, wychylił przez okno i zawołał do Najira:

— Deszcz spadł tutaj, nie ma więc po co jechać dalej.

Najir wysiadł rozczarowany, pozostawiając śpiącego Suhajla. Beduin miał rację: piasek został tu wygładzony przez deszcz. Mutlak wysiadł i dołączył do Najira. Podeszli do skraju wadi i spojrzeli w dół. Koryto nie było głębokie — różnica poziomów wynosiła najwyżej trzy metry. Ktoś mógł zepchnąć Nuf w dół, uderzywszy wpierw w głowę. Jeśli się ocknęła, ruszyła zapewne dnem wadi nieświadoma, że nadciąga ulewa... A może wcale się nie obudziła. Sprawdzili po raz ostatni okolicę w poszukiwaniu śladów, a potem ruszyli powoli wzdłuż wadi. Pięćdziesiąt metrów w dół wyschniętej rzeki spostrzegli kłęb materiału zaczepiony o krzak. Okazało się, że to męska chusta. Sądząc po tym, jak była wyblakła i zakurzona, musiała pozostawać w wadi o wiele dłużej niż Nuf. Poza tym nie było tam śladów jakiegokolwiek aktywności.

— Obawiam się, że to wszystko, co mogłem zrobić — powiedział Mutlak. — Podejrzewam, że but, który znaleźliście, należał do niej. Jeśli zdołasz to potwierdzić, chętnie pomogę szukać dalszych śladów. Musiała je gdzieś zostawić.

Kiedy wrócili do jeepa, Suhajl nie spał i majstrował coś przy GPS-ie. Drżały mu palce i wyglądało na to, że koordynacja dłoni—oko nie funkcjonuje u niego jak powinna. Najir przyjrzał się skórze mężczyzny i stwierdził, że już się nie poci. Wsunął rękę przez okno i chwycił Suhajla za nadgarstek.

— Co pan robi?

Najir policzył puls. 135 uderzeń na minutę.

— Coś nie tak? — zapytał Suhajl.

— Owszem. Umiera pan.

Suhajl prychnął lekceważąco. Mutlak wrócił na tył swojej ciężarówki i wyjął dwugalonowy pojemnik z wodą. Podeszedł do jeepa, otworzył pojemnik i wylał wodę na Suhajla.

— Do diabła! — wrzasnął Suhajl, wycierając twarz. — To była porządna koszula!

Najir dał mu butelkę z wodą i kazał popijać małymi łykami, póki nie wróca do Dżuddy.

Słońce zachodziło, gdy żegnał się z Mutlakiem. Uruchomił silnik i ruszył w drogę powrotną. Pobyt na pustyni rzadko przyprawiał go o depresję. Tego dnia wróciła frustracja, jaką odczuwał, szukając Nuf. Pustynia zdawała się z niego naigrawać.

Dopiero gdy znalazł się na autostradzie, uświadomił sobie, że Suhajl jest nieprzytomny. Cóż, nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko dostarczyć go możliwie szybko do szpitala w Dżuddzie. Wielki mi detektyw, pomyślał. Trzeba mężczyzny znacznie większego formatu, by znaleźć mordercę Nuf. Ta krewetka nie znalazłaby nawet wody w lodówce.

ROZDZIAŁ 8

Choć wuj Najira, Samir, poświęcił życie nauce i sprzeciwiał się przesądom, które uznawały opętanie przez dżinny za przyczynę wszelkich chorób — nazywał to „pożałowania godnym dziedzictwem” — jedno przekonanie pozostało w nim nietknięte: wierzył w siłę złego oka.

Było to coś o wiele groźniejszego niż złośliwe spojrzenie. Skutkowało rozlicznymi dolegliwościami — od niewinnej czkawką po śmiertelne choroby w rodzaju zatoru, i to u zdrowego młodego mężczyzny. Ponieważ był chemikiem, przyjaciele i sąsiedzi uważali go za eksperta we wszystkim, co wiązało się z wykształceniem — medycynie, prawie, filozofii religii — i często zasięgali jego rady. Z upływem lat przekonali się, że nie jest zbyt dobry w składaniu złamanych kości czy objaśnianiu niuansów prawoznawstwa, ale wie niemal wszystko o tajnikach ludzkiego spojrzenia — zna jego historię, moc, nawet kulturowe osobliwości. Wieść niosła, że zna się na tym najlepiej ze wszystkich, i nie minęło wiele czasu, a mógł liczyć na trzy do czterech wizyt w tygodniu. Odwiedzali go zazwyczaj obcy, a większość skarżyła się na „złe oko”.

Samir zadawał każdemu, kto zapukał do jego drzwi, wnikliwe pytania, jakie lekarz zadałby pacjentowi. I jeśli uważał za ironię losu, że on, naukowiec, prowadzi badania w dziedzinach, w których nietrudno o szalbierstwo, takich jak czary, telekineza czy wiara w uzdrowicieli, nie dzielił się tym przekonaniem z gośćmi. Nagrywał ich skargi i uważnie się im przyglądał, aby wysledzić początki choroby. I choć nie był w stanie zaoferować odwiedzającym wiele więcej niż tylko amulet czy imię dobrego beduińskiego egzorcysty, udawało mu się, za sprawą uprzejmego tonu i otaczającej go aury profesjonalizmu, ulżyć im w cierpieniu. Zajmowanie się ulubionym hobby nie kosztowało zbyt dużo i był z tego zadowolony.

Jak lekarz wytwarza w sobie odporność, wystawiając się nieustająco na zarazki, tak Samir nigdy nie cierpiał z powodu złego oka — on sam twierdził, że dzieje się tak, ponieważ doskonale potrafi się obronić. Nosił pod koszulą amulet z niebieskiego szkła, lecz co ważniejsze, oddalał zagrożenie za pomocą subtelного znaku pięć. Znak skutkował użyty w dowolnej formie. Drapał się zatem pięć razy po brodzie. Mrugał pięć razy. Przesuwał pięć razy dłonią w dół ramienia. Od czasu do czasu ochraniał też Najira, poklepując go pięć razy po ramieniu lub powtarzając pięciokrotnie jego imię.

Najir nigdy nie nabrał tego nawyku. W głębi duszy nie pochwałał niepotrzebnych gestów: zwracały uwagę i przyciągały kolejne zło. Łagodniejsza, bardziej refleksyjna część jego natury skłaniała się jednak ku przekonaniu, że złe oko nie jest tylko mitem.

Siedział w gabinecie wuja po zawietrznej olbrzymiego dębowego biurka, w miejscu, gdzie podmuch sufitowego wentylatora pieścił delikatnie skórę. Odpoczywali po późnym obiedzie, a ich ubrania wydzielały jeszcze piżmową woń jagnięciny. Czuł, że schowany w kieszeni miswak kłuje go w udo, lecz go nie wyjął: w domu Samira nie było gdzie wypluć pogryzionych resztek. Zamiast żuć, spoglądał zatem na ściany, mapę świata i pieczołowicie opisane gablotki z larwami różnych gatunków jedwabnika. Po prawej wisiała półka wypełniona podręcznikami różnego kształtu i rozmiaru, poświęconymi niemal wyłącznie problemom chemicznym, którymi nauka dawno przestała się zajmować, i pokrytymi cieniutką warstewką kurzu.

Po drugiej stronie biurka siedział Samir, paląc zachodnią fajkę: był to solidny brązowy przedmiot, który w 1968 podarował mu brytyjski archeolog. Samir wydmuchiwał dym w kierunku wentylatora — który nawiewał go ku Najirowi — i postukiwał ustnikiem w czyrakowaty nos.

— Jak było na pustyni? — zapytał.

— Dobrze — odparł Najir, a potem zapanowało przyjazne milczenie.

Po tym jak rodzice Najira zginęli w wypadku, kiedy był jeszcze dzieckiem, Samir przyjął go pod swój dach i wychował. Był bratem ojca Najira, jedynym członkiem rodziny, którego stać było na to, by przyjąć chłopca. Walczył o ten zaszczyt z instytucjami opiekuńczymi państwa. Alternatywą było pozostawienie go w Palestynie u siostry Samira, Aiszy, która wychowywała siedmioro dzieci, nie mając męża ani pieniędzy. Samir lubił przypominać Najirowi, że Palestyna to straszne miejsce i że gdyby tam został, teraz byłby zapewne martwy lub siedział w izraelskim więzieniu.

Samir znalazł sobie przed laty bezpieczną niszę, pracując z archeologami na całym Bliskim Wschodzie. Badał artefakty i uczył archeologów, jak się posługiwać najnowszym sprzętem do analiz chemicznych. Najir zapamiętał dzieciństwo jako szereg następujących po sobie wykopalisk. Trwały miesiącami i często opuszczał wtedy szkołę, by towarzyszyć Samirowi. A ponieważ wuj dużo pracował, Najir na ogół musiał troszczyć się o siebie sam. Wyrósł na samotnika, ale i poszukiwacza przygód — już jako chłopiec często wymykał się samotnie na pustynię.

Pomimo niezależności, a może dlatego, że miał jej zbyt wiele, od dzieciństwa tęsknił bardzo za rodziną. Tęsknota nie opuściła go do dzisiaj, choć zdawał sobie sprawę, że nie zostanie zaspokojona. Dręczyła go obawa, że nigdy się nie ożeni. Małżeństwa aranżowali rodzice. Rodzice mieli braci i siostry, ci zaś mieli dzieci, które trzeba było pożenić lub wydać za mąż. Organizowali skomplikowane wizyty, podczas których mężczyzna mógł poznać potencjalną narzeczoną — oczywiście podczas takiej wizyty kobieta twarz miała przez cały czas zasłoniętą, mógł przyjrzeć się jej dłoniom i stopom (o ile nie nosiła skarpet i rękawiczek) i czegoś się dowiedzieć na podstawie wyglądu tych mniej ważnych części ciała. (Naturalnie prościej było przyjrzeć się uważnie twarzy jej brata). Samir nie mógł mu tego zapewnić — nie miał kuzynek, które bratanek mógłby poślubić. Przynajmniej tu, w Arabii Saudyjskiej. Zresztą nawet gdyby był w stanie zaaranżować dla niego małżeństwo, i tak by tego nie zrobił, żywił bowiem mocne przekonanie, że mężczyzna powinien „czegoś się doro-

bić", zanim się ustatkuje. On sam, mając sześćdziesiąt pięć lat, nadal się dorabiał.

Najir często napomykał, że Koran zaleca małżeństwo, a nawet je nakazuje, napisano tam bowiem: „Żeńcie samotnych...”.*² Lecz Samir replikował, cytując inny werset: „I niech starają się żyć we wstrzeźliwości ci, którzy nie mają możliwości małżeństwa, aż wzbogaci ich Bóg swoją łaską”.*³ Na to Najir nie miał już argumentu.

Czasami czuł, że w dzieciństwie najbardziej brakowało mu obecności kobiety. Matki, ciotki, nawet siostry.

Samir poznał swego czasu bliżej jedną czy dwie kobiety — cudzoziemskie kobiety, które nie uważały przyjaźni z nieżonatym mężczyzną za niestosowną — ale te związki nie trwały długo. Podczas wykopalisk spotykało się głównie mężczyzn. Na pustyni kobieta była rzadkim zjawiskiem, rzadszym jeszcze niż w Dżudzie. Najir żartował z przyjaciółmi, że wszystko co wie o kobietach, pochodzi z plotek, Koranu i przemycających z Zachodu seriali telewizyjnych, takich jak „Happy Days”, „Columbo” czy „WKRP in Cincinnati”. Choć przyjaciele się śmiali, była to smutna prawda i Najir żył z przygnębiającą świadomością, że świat kobiet pozostanie przed nim na zawsze zamknięty.

To Samir zapoczątkował jego karierę przewodnika, wyprawiając bratanka z Asz-Szarawimi na pustynię. Znał ich, ponieważ przeznaczali wielkie sumy pieniędzy na badania archeologiczne. Wkrótce usług Najira zażyczyły sobie też inne rodziny i teraz pracował już na okrągło, towarzysząc turystom i bogatym Saudyjczykom w wyprawach do najdzikszych zakątków kraju. Rola przewodnika bardzo mu odpowiadała — zapewniała bowiem poczucie wspólnoty i pozwalała dobrze żyć. Mieszkał na łodzi i zdaniem Samira, nader często wyrażanym, przypominał w tym

² *Werset 24, 32.

³ *Werset 24, 33.

„nastolatka wegetującego w blaszanej puszcze". Jego praca dla Asz-Szarawich miała być z założenia rozrywką, nie zawodem, i choć tak bardzo mu odpowiada, czas pomyśleć o przyszłości. „Kiedy uświadomisz sobie w końcu — mawiał wuj — że nie masz już szesnastu lat, będziesz musiał kupić dom i zdobyć prawdziwą pracę, taką z książkami, biurkiem i oprawnymi w ramki dyplomami". Najir wolałby raczej cierpieć na nieustającą czkawkę i zator, niż pójść do „prawdziwej" pracy, lecz nie wspominał o tym wujowi.

Tego popołudnia przyniósł kilka próbek pobranych z ciała Nuf, w nadziei że wuj pomoże mu je zbadać w domowym laboratorium.

Samir przerwał ciszę, pokaszując delikatnie.

— Uważasz zatem, że dziewczyna Asz-Szarawich nie uciekła? — zapytał. Rozmawiali o Nuf podczas obiadu, ale krótko.

— Trudno powiedzieć — odparł Najir. — Wszystkie dowody wskazują na uprowadzenie. Została uderzona w głowę. Rodzina sądzi, że Nuf zmusiła córkę opiekuna wielbłądów, by jej pomogła. Widziałem tę dziewczynę... — Przycisnął palec do policzka, aby powstrzymać nagły skurcz mięśnia. — Dorównuje mi wzrostem, a może i siłą, a Nuf była drobna. I jak mogłaby odjechać sama? Musiałaby się zorientować w płataninie dróg, wybrać właściwą i dotrzeć w końcu na pustynię. Umiała prowadzić skuter wodny, lecz ciężarówkę? Doprawdy... — Potrząsnął głową.

— Znaleźli ciężarówkę?

— Jak dotąd nie. No i jeszcze ten wielbłąd. Nie puściłaby go luzem, przecież brak wielbłąda oznacza śmierć. — Odchylił się na krześle i westchnął. — Może została uprowadzona z wielbłądem, żeby to wyglądało na ucieczkę. Porywacz zepchnął ją do wadi, rąbnął w głowę, a wielbłąd sam się oddalił.

— I co dalej? — zapytał Samir.

— Może porywacz wrócił do Dżuddy? Nie wiem. Znalazłem na nodze wielbłąda znak chroniący przed złym okiem. Został zrobiony dwa tygodnie temu, jeśli nie później. Możliwe, że Nuf zrobiła go na pustyni. To by oznaczało, że nie była wówczas sama. Próbowwała się ochronić, tyle że pięć kresek nie ochroni cię przed pustynią czy słońcem, jedynie przed ludzkim okiem.

— To nie do końca prawda — zauważył Samir. — Wyrecytuj, proszę, sury ochronne.

Najir westchnął. Odkąd pamiętał, Samir kazał mu recytować w trudnych chwilach dwie ostatnie dwie sury Koranu.

— Znam je — powiedział.

Samir jął recytować:

— „Szukam schronienia u Pana jutrzeńki przed złem tego, co On stworzył, przed złem ciemności, kiedy się szerzy, przed złem tych, którzy dmuchają w węzły, i przed złem człowieka zawistnego, w chwili kiedy żywi zawiść”,... Słyszałeś? „Przed złem ciemności, kiedy się szerzy”. — Zignorował niecierpliwe sapnięcie Najira i mówił dalej: — „Szukam schronienia u Pana ludzi, Króla ludzi, Boga ludzi, przed złem kusiciela wycofującego się skrycie, który podszeptuje pokusę w serca ludzi — spośród dżinnów i ludzi”.^{*4} A dżinny mogą przybierać różną formę, nie tylko ludzką. To niewidzialne siły zła.

Najir powściągnął zniecierpliwienie. To były piękne sury. Stanowiły także jedyną naprawdę skuteczną broń przeciwko złemu oku, ponieważ odwoływały się wprost do Boga.

— Zatem dlaczego Nuf nie wyrecytowała po prostu tych sur? — zapytał. — A skoro już o tym mowa, dlaczego ludzie posługują się amuletami czy symbolami, skoro zawsze mogą odmówić surę?

⁴*Sury 113 i 114.

Samir westchnął i usiadł wygodniej, nieomylny znak, iż zamierza wygłosić wykład. Najir wyprostował się na krześle.

— Poproszę krótszą wersję.

Samir się roześmiał.

— Większość symboli ochronnych odwołuje się do cyfry pięć. Pięć palców. Pięć słów. Niektórzy recytują nawet pięciokrotnie te dwie sury.

— Wiem o tym. — Najir machnął ręką. — Pięć filarów islamu. Pięć modlitw w ciągu dnia.

— Idealna Al-Kaba znajdująca się w niebie została zbudowana z kamieni zebranych z pięciu świętych gór: Synaju, Al-Dzudi, Al-Hiry, Oliwnej oraz Libanu. — Samir wyglądał tak, jakby miał zamiar wyrecytować długą listę przykładów, a w najlepszym razie wymienić ich pięć, lecz Najir się niecierpliwił.

— W porządku — prychnął — znam magiczne znaczenie cyfry. Nie daje to odpowiedzi na moje pytanie.

— Aby wyszeptać modlitwę, potrzebujesz chwili czasu, a znak jest przez cały czas z tobą, czuwa, nawet kiedy ty tego nie robisz.

— Czyż nie jest to rolą Boga? — zapytał Najir.

— Owszem, jednak symbole pomagają. Niosą pociechę. Może dziewczyna Asz-Szarawich też jej potrzebowała. Może się bała. Próbowała się ochronić przed złym okiem. Myślę, że tak naprawdę dręczy cię pytanie, kto był z nią na pustyni.

— Porywacz, obcy, nikt bliski. Ktoś, komu nie ufała. Albo nie wiedziała, czy może zaufać. Jeśli rzeczywiście uciekła, była z kimś, komu ufała na tyle, by wybrać się z nim na pustynię, lecz nie ufała całkowicie. Mogła zrobić ten znak na wszelki wypadek.

— Uważasz zatem, że nie została porwana.

— Nie wiem.

— Po co ktoś miałby ją porywać? — zapytał Samir.

— Nie zażądano okupu.

— Może po to, by ją uciszyć. Była w ciąży.

Samir przytaknął.

— Nie uważasz, że krewni zachowują się podejrzanie?

— Chcą rozwiązać sprawę sami. Postępują jak każda bogata rodzina. Nie znaczy to jeszcze, że są winni.

— Musisz wziąć jednak pod uwagę, że kobieta taka jak Nuf nie powinna znać mężczyzn innych niż bracia.

Najir spochmurniał.

— Nie bądź śmieszny. Znasz jej braci. Nie zrobiliby czegoś takiego.

— Bronisz ich, jakbyś się obawiał, że mogą być winni.

Najir się zjeżył. Oczywiście bał się, iż mogą być winni. Ktokolwiek ukradł wielbłąda, musiał znać posiadłość na tyle, by móc to zrobić. On sam nie znał jej aż tak dobrze — dlatego się napatoczył na córkę stajennego.

Rysy twarzy Samira wyostrzyły się z napięcia, ale po chwili jego twarz przybrała wyraz cierpliwego spokoju.

— Znam mężczyzn z tej rodziny od wielu lat. Masz rację, kazirodzstwo do nich nie pasuje. Nie zmienia to faktu, że kobieta taka jak Nuf, z dobrej rodziny, powinna znać tylko braci.

Najir siedział, patrząc na wuja, fajkę, czub siwych włosów i dyplomy wiszące z tyłu na ścianie. W polu widzenia pojawił się przejrzysty obłoczek dymu. Nie potrafił się pozbyć wrażenia, że wciąż jest małym chłopcem pobierającym nauki od cierpliwego starszego mężczyzny.

— Możemy sprawdzić próbki? — zapytał zniecierpliwiony.

Kąciki ust Samira uniosły się. Odłożył fajkę na stojak i wstał, potykając się z lekka. Bez biurka, którego mógłby się przytrzymać, wydał się nagle Najirowi kruchy. Przyglądał się chwilę bratankowi z namysłem.

— Cieszę się, że robisz coś pożytecznego.

Najir ugryzł się w język.

Suterena była kiepsko oświetlonym pomieszczeniem z niskim sufitem i zakurzonymi kamiennymi ścianami. Ostatnio Samir spędzał tu sporo czasu w chłodzie i odosobnieniu, prowadząc badania w dziedzinie, której Najir nie pofatygował się poznać ani zrozumieć. Laboratorium stanowiło dziwaczną mieszankę starego z nowym: spektrometr masowy stał obok etażerki z rozpadającymi się książkami, zaś rzędy wysterylizowanych fiołek i pipetek dzieliły miejsce z aparatem do podgrzewania, który mógł stanowić zabytek z epoki osmańskiej. Ponad tym wszystkim wisiał wyblakły plakat przedstawiający Jerozolimę w nocy.

Właśnie tu Samir spędził popołudnie, badając próbki dostarczone przez Najira. Było tam kilka próbek z ciała Nuf: błoto z nadgarstka, piasek oraz inne ślady ze skóry i rany na głowie. Najir otrzymał je dzięki uprzejmości firmy Benson&Hedges, ona zaś od Usmana, któremu zapewne przekazała je panna Hidżazi.

— Próbki są interesujące — powiedział Samir. Podał wydruk Najirowi, a ten odłożył kartkę na stół.

— Po prostu powiedz mi, co odkryłeś.

— Pierwsza zawiera błoto.

— Tak, dzięki.

— I nawóz. — Samir przyjrzał się bratankowi uważnie. — Próbka była zanieczyszczona przez krew i piasek, lecz nawóz to nawóz.

Ciemna substancja na nadgarstku Nuf zawierała ślady nawozu?

— Możesz określić, czy nawóz pochodzi od wielbłąda?

— Tylko jeśli jadł Apocynaceae. Znalazłem ślady glikozydów naser-cowych, kwasu pruskiego i rutyny, czyli czynnych trucizn obecnych w roślinie Nerium znanej jako oleander.

— Co takiego?

— Kwitnąca roślina. Raczej rzadka w Dżuddzie, choć jestem pewien, że dałoby się ją tu znaleźć.

— Wiem, co to oleander. Jestem po prostu zaskoczony.

— Ach tak. Cóż, oleandry nie potrzebują dużo wody. To odporne rośliny, lubią piasek i słońce, lecz raczej nie rosną na pustyni. — Samir zdjął z półki książkę i przerzucał przez chwilę jej kartki. — Wyglądają tak.

Najir zerknął z grzeczności na czarno-biały rysunek.— Zatem cokolwiek zjadło tę roślinę, zrobiło to w Dżuddzie.

— Tak. W piaszczystym miejscu, gdzie prawie nie ma wody.

— Z pewnością zawęzi to poszukiwania.

Samir nie lubił sarkazmu, zmarszczył więc mocno brwi.

— To niebezpieczna *roślina*. Silnie trująca.

Najir przyjął informację z umiarkowanym zainteresowaniem.

— Druga próbka może się okazać bardziej pomocna — kontynuował Samir. — Przyjrzałem się piaskowi znalezionemu w ranie na głowie. Był ostry, niemal jak żwir. Ciemnopomarańczowego koloru.

— Nie widziałem takiego w wadi — powiedział Najir. — Jak bardzo ciemny?

— Cóż, próbka była bardzo niewielka, ale na pewno ciemniejszy niż bywa zazwyczaj piasek. Znalazłem w nim też ślady gliny.

— Zatem piasek i błoto?

— Na to wygląda. — Samir jął wylączać po kolei urządzenia. Przeszedł przez pokój i zaczął wybierać rzeczy, które jego zdaniem mogły się okazać przydatne: pudełko gumowych rękawiczek, sterylne waciki, torebki i twarde plastikowe pojemniki. — Będziesz tego potrzebował — powiedział, podając bratankowi stos przedmiotów. —; Trzeba zebrać więcej próbek.

Zamyślony Najir pozwolił, by Samir pakował mu przedmioty do każdej kieszeni zdolnej je pomieścić.

— Dzięki, wystarczy.

— O co chodzi? — zapytał wuj.

— Jakie zwierzę je trujące rośliny?

Samir zastanawiał się przez chwilę.

— Musiałyby być zdesperowane.

ROZDZIAŁ 9

Następnego ranka Najir stał w kabinie swojej łodzi, nazwanej „Fatima”, próbując zapomnieć sen, który nawiedził go tej nocy. Śnił znów o Fatimie. Nie widział jej od czterech lat, lecz we śnie wydawała się niezwykle żywa. Była jedyną kobietą, o którą zabiegał kiedykolwiek.

Przedstawił ich sobie Bilal, jego przyjaciel z pustyni, wyjaśniając, że Fatima należy do tych kobiet, które chcą same wybrać sobie męża. Najir trochę się wahał, ale kobieta była kuzynką Bilala i jak zapewniał, dobrą muzułmanką. Od razu się przekonał, że tak jest naprawdę. Dziewczyna żyła skromnie w dwupokojowym mieszkaniu, dzieląc je z matką. Odbywała co rok pielgrzymkę do Mekki, a rytm jej dnia wyznaczały codzienne modły. Spokojne usposobienie i słodki, delikatny śmiech, jakim reagowała na anegdoty, upewniły go, że jest dziewczęciem skromnym i przyzwoitym.

Przez kilka tygodni poznawali się nawzajem. Spotykali się w jej bawialni, chłodnym cichym pomieszczeniu wychodzącym na dziedziniec. Na stoliku do kawy leżał wielki, oprawny w skórę Koran, otwarty co dzień na innej surze. Chociaż obecność matki Fatimy działała mu na nerwy, z początku zadowolony był, że mają przyzwoitkę. Sprawiało to, że wizyty wydawały się mniej niestosowne. Kiedy już poznał Fatimę i uświadomił sobie, jak jest cnotliwa, obecność matki zaczęła się wydawać zbędna. Fatima lubiła dyskutować o zawiłościach religii, roztrząsając na przykład, czy zasłona powinna zakrywać kobiecie twarz czy tylko włosy. Cytowała swobodnie Koran, nie zaglądając nawet do księgi. Pewnego dnia wyrecytowała czterostronicową surę An-Nur, Światło, dotyczącą zasłon. Powiedziano w niej, że wierzące kobiety winny zasłaniać pierś i nie obnosić się ze swą urodą przed nikim prócz męża. Fatima uważała, że zakrywanie piersi zostało w Koranie rzeczywiście nakazane, lecz reszta jest

kwestią interpretacji. Twierdziła, że zakrywa głowę, gdyż nakazuje to skromność, a potem żartowała, że jej twarz nie jest na tyle urodziwa, by kusić mężczyzn, nosi więc zasłonę, aby ich nie straszyć. Najir uśmiechnął się, choć miał odrębne zdanie. Twarz dziewczyny nie była co prawda urzekająco piękna, ale i tak mu się podobała. Właściwie zdawała się pięknieć z każdym mijającym dniem. Fatima sięgała mu ledwie do piersi, a sądząc po zakrytych czarną materią kształtach, figurę miała zmysłową.

Zaczęli spotykać się częściej, czasami dwa razy w ciągu dnia. Była dla niego niczym cud: pierwsza kobieta, którą bliżej poznał, i absolutnie doskonała. Po trzech miesiącach znajomości nie był już w stanie sobie wyobrazić, że mógłby jej nie widywać. Spotykała się jednak także z innymi mężczyznami i pewnego dnia oznajmiła, że wybrała już sobie męża: lekarza.

Przyjął to zadziwiająco spokojnie. Wyszedł, przystanął na ulicy, spojrzął na przesłonięte żaluzjami okna jej mieszkania i uświadomił sobie, że nigdy już tam nie wróci. Fatima zostanie żoną innego mężczyzny. Pragnął ocalić coś, cokolwiek, z ich przyjaźni, ale byłoby to niestosowne. Dziwne, lecz był też z siebie dumny. Zupełnie jakby rozsądek miał mu pomóc przetrwać trudny okres. Przez kilka następnych tygodni modlił się godzinami, sądząc, iż może Bóg przeznaczył mu życie w samotności — nie był co prawda w stanie odgadnąć, jakiemu większemu celowi miałyby to służyć, należało jednak wierzyć, że tak jest w istocie.

Ból pojawiał się stopniowo, z upływem lat. Najir zaczął rozmyślać o dziewczynie z rosnącym smutkiem, a ilekroć to robił, rana otwierała się na nowo. Fatima prześladowała go w snach. Pojawiała się dokładnie tak, jak kiedyś w rzeczywistości — widział ją w bawialni zadającą pytania, miłą, odzianą w czerń, z otwartym Koranem na stoliku. Czasami uprawiała seks z odwiedzającymi ją panami, podczas gdy Najir patrzył. Rozbierała się dla nich, kusiła. Pragnął jej i próbował ją posiąść. Obejmował ją, płacząc i błagając, aby zwróciła się ku niemu, lecz nigdy tego nie zrobiła. Mężczyźni dostrzegali porażkę Najira i śmiali się z niego. Sny były

tak realistyczne, że budził się z uczuciem, iż wędrował za sprawą magii przez noc jako duch i widział prawdziwą Fatimę. Wstawał zniesmaczony swoją tęsknotą, a potem także świadomością, że dał się ogłupić.

Teraz stał, kołysząc się lekko w rytm ruchów wody i wpatrując w malutką szafę mieszczącą ubrania, których nigdy nie nosił. Większość leżała po prostu na dnie, choć kilka pozostało na wieszakach, a pomiędzy nimi jedno szczególne: brązowy garnitur, który często wkładał, udając się na spotkanie z Fatimą. Zdjął go teraz z wieszaka i pomyślał o swoim śnie, próbując odpędzić uczucie wstydu. W Koranie powiedziano, że ciało jest jak ubiór dla duszy: dobre i czyste. Człowiek grzeszy, nie zachowując umiaru, a on z pewnością nie grzeszył, chyba że uznać jego czystość i wstrzeźliwość za nadmierne.

Powąchał garnitur: załatywał stęchlizną. Ani śladu zapachu kadzidła, które Fatima paliła czasem w bawialni. Sięgnął do kieszeni i znalazł miśwak, zapasowy klucz do łodzi i stary misjar. Wyjął go, odczuwając przypływ bolesnej nostalgii. Był to fałszywy akt małżeństwa podpisany przez szejka. Miejsca na nazwiska państwa młodych pozostawiono puste — w ten sposób ludzie uprawiający seks pozamałżeński zabezpieczali się przed wykryciem. Gdyby ich złapano, okazaliby akt policjantowi. Kara za cudzołóstwo była bowiem surowa: areszt, oskarżenie o prostytutkę i nieprzyzwoite zachowanie w miejscu publicznym, proces bez obrońcy, a jeśli strony zostały uznane za winne, publiczna egzekucja przez ścięcie. Oczywiście szanse na to, by ktoś ich przyłapał w prywatnym mieszkaniu Fatimy, były równe zeru, lecz Najir zawsze marzył, że zabierze ją gdzieś indziej, może na pustynię albo spokojną plażę. I właśnie na taką okoliczność kupił misjar.

Dokument nie wyglądał teraz najlepiej, pomarszczony od potu i zniszczony od składania i upychania w kieszeni. W miejscu przeznaczonym na nazwisko pana młodego wpisał już dawno: Najir Ibn Sulajman asz-Szarki, starając się zrobić to jak najstaranniej. Rubryka dla panny

młodej pozostawała pusta, odkąd kupił dokument od egipskiego szajcha dorabiającego sobie jako rzeźnik w starej dzielnicy miasta.

Ileż to razy o mało nie wpisał w pustą rubrykę imienia Fatimy! Jak bliski był poślubienia jej! Musiał oszaleć, skoro zawierzył kobiecie, której nie miał powodu ufać. Ale z bolesną dokładnością wspominał teraz chłód jej bawialni. Właśnie z tego powodu kupił sobie wtedy garnitur. Bez względu na pogodę w pokoju Fatimy panował zawsze chłód, jakby nie żyła w tym zabójczo gorącym świecie, gdzie wszystko inne wędnie i umiera.

Poprzednią noc spędził, rozmyślając o Nuf. Skoro już zabrał detektywa na pustynię, nie miał prawa interesować się dalej tą sprawą. Pragnął uzyskać jednak odpowiedzi na pytania, które nie dawały mu spokoju.

Dlaczego Nuf zginęła tak blisko rodzinnego obozowiska? Skoro sama tam pojechała, dlaczego nie znaleziono ciężarówki? Gdzie poszukiwacze natknęli się na wielbłąda? Dlaczego Usman sądził, że zwierzę jest przestraszone? Każde pytanie dotyczące się Usmana prowokowało tuzin następnych: Czy bracia naciskali na niego, by milczał? Czy coś ukrywał nawet przed rodziną? A może nie ufał jemu, Najirowi?

Zadzwoniła jego komórka. Przez chwilę wpatrywał się w telefon zaskoczony, a potem odebrał połączenie.

— Co zrobiłeś mojemu detektywowi? — zapytał Usman zamiast powitania. W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie. — Wyszedł już ze szpitala i pojawił się tu dziś rano, aby przeprosić. Wycofuje się. Próbowałem mu to wyperswadować, lecz nie chciał słuchać.

— Uparty jegomość.

— Wolałbym, żeby był tak uparty, jeśli chodzi o pracę — odparł przyjaciel. — Co teraz robisz?

— No... gapię się na swoją szafę.

— Mam dziś wolne przedpołudnie, bo odwołano spotkanie, ale muszę kupić ubrania na posag dla mojej narzeczonej. Kurtki! Możesz w to uwierzyć? Teraz chcą mieć kurtki.

Najir był za bardzo zakłopotany, żeby przyznać, iż słyszał o weselnym kurtkach.

— Czy sprzedają je wraz z instrukcją, jak sobie radzić w przypadku udaru ciepłego?

Usman się roześmiał.

— I nie chodzi tu o jedną kurtkę, ale o kilka. Myślę, że załączają do nich obietnicę podróży do krajów o chłodniejszym klimacie.

— Aha.

— Prawdę mówiąc, mnie też przydałaby się kurtka. Nie mogę znaleźć parki, w której się wyprawiałem na pustynię.

Najir zajął kolejny raz do szafy, zastanawiając się, co też się stało z parką, którą Usman podarował mu kiedyś na urodziny. Zabrał ją pewnego razu na pustynię, lecz okazała się niepotrzebna. Od tamtej pory już jej nie widział.

— Wiem, gdzie sprzedają dobre kurtki — powiedział. — Jeden bazar z tego typu ubraniami jest przy Haradź al-Sawarich, a drugi, lepszy, na południu.

— Byłeś na bazarze z kurtkami? — W głosie Usmana dało się wyczuć rozbawienie. — Nie wyglądasz mi na takiego.

Najir roześmiał się zażenowany. Najwidoczniej fakt, że nosiło się abaję podczas upału, oznaczał dla niektórych, że nie nosi się nic innego.

— Przeciwnie, to do mnie podobne.

— To co, spotkamy się na przystani za godzinę? — zapytał Usman.

Najir się zawahał.

— Jasne. Zdążę odprawić poranne modły.

Rozłączył się i jał zastanawiać, czy postępuje słusznie. Przez telefon łatwo było udawać, że wszystko jest jak zawsze. Przy osobistym spotkaniu nie będzie to już takie proste. Podniósł brązowy garnitur. Co za brzydactwo, pomyślał, wyblakłe i zakurzone. W jednym miejscu oderwała się podszywka. Nawet gdyby garnitur nie przypominał mu o Fatimie, i tak był za bardzo zniszczony i niemodny, aby go nosić. Wrzucił marynarkę i spodnie do kosza na śmieci i poszedł się umyć.

Bazar z kurtkami znajdował się na rogatkach miasta, pośrodku większego targowiska, gdzie sprzedawano CD, kasety, ozdoby do włosów i okulary słoneczne. Najir sądził, że między towarami musi istnieć jakiś związek, lecz nie potrafił się go doszukać. Cały obszar targowiska otaczał wysoki plot z prętów, połączonych zwojami czerwonego drutu z luźno umocowanymi zielonymi światełkami.

U wejścia, mimo że było południe, widniał zapalony neon głoszący: bazar królewski, zawsze mamy resztę.

Przyjechali wozem Usmana, srebrnym porsche. Choć Najirowi podobał się wygląd samochodu, pojazd był dla niego po prostu zbyt mały. Trudno rozkoszować się jazdą, siedząc z kolanami przyciśniętymi do brody. Przez większą część drogi milczeli. Na przystani Najir pokazał Usmanowi but, który znaleźli w wadi, i Usman go rozpoznał. Wprawilo to obu mężczyzn w przygnębienie.

Usman krążył po niewybetonowanym parkingu, skręcając ostro, aż żwir przyskał im spod opon, a za samochodem unosiła się chmura pyłu. Jeździł, póki nie znalazł dogodnego miejsca w cieniu czyjogoś SUV-a. Najir wysiadł, czując się jak skorupiak, który próbuje się wygramolić z ciasnej muszli.

Gdy szli przez parking, usłyszeli nawoływanie do modlitwy. Zatrzymali się i spojrzeli jeden na drugiego. Za sprawą królewskiego rozporządzenia wszystkie sklepy na czas modlitwy musiały zostać zamknięte, a kupca nie przestrzegającego zakazu sprzedaży czekało aresztowanie i wyprawienie z powrotem tam, skąd przybył: na Filipiny, do Singapuru czy Palestyny bez możliwości powrotu.

— Chcesz się modlić? — zapytał Usman.

— Dopiero co to robiłem.

— Ja też.

Ruszyli ku niewielkiej drewnianej budce, w której gdyby była otwarta, mogliby kupić lodowato zimną mi-rindę. Teraz lokal miał im do zaoferowania tylko skrawek cienia. Stali w ciszy, zmagając się z upałem. Najir żałował, że nie jest w stanie żartować, wiedział jednak, że Usman tego nie lubi. Miał dość przymusowych po gawędek. Wyznał kiedyś Najirowi, że lubi pustynię za to, iż uszlachetnia ciszę.

— Detektyw powiedział, że nie znaleźliście zbyt wiele w wadi — zauważył.

Najirowi ulżyło, gdyż wolał sam nie poruszać bolesnego tematu. Wyjaśnił, czego się dowiedział od Samira — że piasek z wadi nie pasuje do znalezionej na zwłokach.

Usman wydawał się przejęty.

— To jak myślisz, co się jej przytrafiło?

— Chciałbym wiedzieć.

— Muszę porozmawiać jeszcze raz z jej opiekunem. Już próbowałem, ale nie chciał się przede mną otworzyć. Upiera się przy swej historii, lecz jestem pewien, że wie więcej, niż mówi.

— Twierdzi, że rozmawiał z nią tylko przez telefon — podsunął Najir.

— Tak. Zadzwoiła w dzień swego zniknięcia i powiedziała, że go nie potrzebuje. Niczego nie widział. Nie jesteśmy w stanie się dogadać. Zawsze tak było, od dzieciństwa. Może byłby bardziej szczery z kimś innym.

— Chętnie z nim porozmawiam — zaoferował się Najir. Choć nie był z tego dumny, fakt, że Suhajl okazał się tak bezradny i Usman nadal go potrzebuje, sprawił mu przyjemność. Rozmowa zdawała się rozprasać jego wątpliwości.

— I tak zrobiłeś już dużo — zauważył Usman.

— Nie ma sprawy. Wiem, że chcesz się dowiedzieć, co zaszło. A tak nawiasem mówiąc, wielbłąd, którego widziałem w stajni, nie był ani trochę przestraszony.

— Ach tak. — Usman wydawał się zdziwiony. — Cóż, sam go nie oglądałem, rozmawiałem tylko ze służącym. Znalazłeś coś jeszcze na pustyni?

Najir się zawahał.

— Znam to miejsce. Obozowaliśmy tam przed kilkoma miesiącami.

Rewelacja została powitana długim ciężkim milczeniem.

— Nasze obozowisko? — zapytał w końcu Usman. — To z głazem?

— Tak. Właśnie to.

— Jesteś pewien?

— Tak.

Najir przyglądał się uważnie twarzy przyjaciela i z ulgą zauważył, iż wyraża jedynie pomieszczenie. Usman nie miał najwidoczniej pojęcia, jak mogło dojść do podobnego zbiegu okoliczności.

— Nie tam znaleziono ciało — powiedział Najir. Wyjaśnił, że choć nie znaleźli nic w obozowisku, domyślił się, że woda zniosła ciało ku miejscu zaznaczonemu na mapie.

Usman wbił wzrok w ziemię u swoich stóp.

— Nie znalazłeś przypadkiem mojej kurtki?

— Twojej kurtki?

— Zginęła. Ta, którą zabierałem zwykle na pustynię. Aż do dziś nie sądziłem, że to podejrzanę, ale w kieszeni były mapy z naszej ostatniej wyprawy. A także kieszonkowy GPS, tabletki soli i takie tam... Może Nuf wzięła kurtkę. Wyjaśniałoby to, w jaki sposób trafiła do obozowiska lub w jego pobliże.

Najir skrzyżował ramiona. Możliwe, że Nuf ukradła kurtkę, najbardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że Usman miał ją na sobie. Kto inny by o niej wiedział? Czyżby Nuf miała zwyczaj grzebać w jego szafie? Skąd wiedziałaby o mapach? Zakrawało na ironię, że starając się być szczerym, Usman skierował na siebie kolejne podejrzenia.

Niech Bóg wybaczy mi, że mam tak wątpiący umysł, pomyślał Najir.

— Kiedy kurtka zginęła? — zapytał.

— Zauważyłem to dopiero wczoraj.

— Kto jeszcze o niej wiedział?

— Mnóstwo ludzi mnie w niej widziało, ale kto mógł wiedzieć, co jest w kieszeniach, nie mam pojęcia.

Modły się skończyły i Usman ruszył na bazar. Prześliznęli się pod sznurem światełek i oblani fluorescencyjnym blaskiem wylądowali w

sklepiku z zabawkami — jedynym tutaj. Sprzedawano tam ręczniki plażowe z podobiznami bohaterów „Gwiezdných wojen”, balony z GI Joe i plastikowe parasolki Barbie. Skręciwszy w lewo, minęli rząd straganów oferujących pirackie kasety z nagraniami egipskiej pieśniarki Umm Kulsum. Najir nie poświęcał zbyt wiele uwagi otoczeniu, prowadząc Usmana ku bazarowi z odzieżą.

Gdy tam dotarli, zobaczyli tuziny stoisk, a w nich stosy kurtek. Usman się roześmiał.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Najir musiał przyznać, że kupowanie wierzchnich okryć w jednym z najgorętszych miejsc na świecie jest cokolwiek dziwaczne. Sprzedawcy zdawali się nie dostrzegać, że ich towary nie mają w tym klimacie zastosowania, i podchodzili do swego zajęcia z pasją, która mocą dorównywała pasji ich kolegów z targowiska po drugiej stronie miasta, gdzie handlowano kominkami oraz instalacjami do centralnego ogrzewania. Kupcy wystawili niezliczone stojaki, na których wisiały futra z soboli, norek, królików i lisów. Trendy nie wychodziły nigdy z mody, podobnie jak szerokie dołem płaszcze uszyte z koła, szare i czarne kurtki skrojone na wzór marynarskich i usztywnione włóknem szklanym oraz wełniane garnitury w najprzeróżniejszych rozmiarach: od bardzo małych do groteskowo obszernych. Każdy z kupców miał płaską ladę zwróconą przodem ku alejce. Kurtki wisiały ponad nią w równym szeregu niczym stado sło- ni.

Choć było tu wielu sprzedających, Najir zdążył poznać tylko braci Kahtanich. Lubił do nich zaglądać. Mieli największy wybór i nigdy nie narzekali, kiedy przymierzał rzeczy, których potem nie kupował, ograniczając się do wędrowania pomiędzy stojakami w poszukiwaniu czegoś nieosiągalnego.

Kiedy zbliżali się do stoiska Kahtanich, grupa kawalerów — bogatych Saudyjczyków w białych abajach pierwszorzędnej jakości — opadła stragany z damską odzieżą. Rozproszyli się niczym żołnierze zajmujący wrogie terytorium i jęli obmacywać i fwymanikiurowanymi dłońmi towary. Najir przyglądał się im z niesmakiem, zastanawiając się, czy kupują okrycia dla swoich narzeczonych. Usman podszedł do grupki kawalerów i Najir poczuł się nieswojo. Przyjaciel wyglądał bowiem i zachowywał się jak oni. byli hipokrytami jeden w drugiego, ponieważ doskonale wiedzieli, że obietnica podróży — obowiązkowy punkt każdej małżeńskiej propozycji — to tylko mrzonka. Żaden z tych bufonów nie zabierze nowo poślubionej żony w podróż, chyba że nie da się tego uniknąć. Ciekawe, co Usman obiecał pannie Hidżazi?

Najir ruszył w swoją stronę. Przerzucał płaszcze, zastanawiając się, który z nich byłby odpowiedni dla jego przyszłej żony. Rosyjskie futro? Zbyt ostentacyjne. Kurtka lotnicza z amerykańskimi insygniami? W jakimże świecie fantazji mógłby zabrać swoją kobietę do Ameryki? Nie, nie kupiłby narzeczonej płaszcza. Gdyby chciała go mieć, musiałaby kupić sobie sama.

— Beduinie! — Isa wyszedł zza kasy, aby się przywitać. Jego brat Szaban, siedzący na składanym krześle przed ladą, podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Miło cię widzieć! — powiedział Isa. — Dawno do nas nie zaglądałeś. Powiedz, nie przyszedłeś chyba dlatego, że zaczyna się sezon na śluby?

— Nie. — Najir parsknął krótkim śmiechem. — Nie, dzięki.

— Co, nie chcesz się ożenić? — zapytał Szaban, wstając. — Dlaczego?

Najir wzruszył ramionami. Isa i Szaban wymienili spojrzenia.

— Żona doprowadza mnie do szału — powiedział Szaban — ale nie mógłbym bez niej żyć. Kto by się o mnie zatroszczył?

— Jesteś leniem, Szabanie. — Isa zwrócił się do Najira: — Nie umie nawet zaparzyć sobie herbaty. Co możemy zrobić dla ciebie, bracie?

— Jestem tu z przyjacielem. Kupuje ubrania dla narzeczonej.

Isa uniósł brwi.

— Cóż, skoro musisz czekać, pozwól, że pokażemy ci nasz ostatni nabytek. — Wśliznął się za kasę i wyjął torbę z pralni. Przez plastik prześwitywało coś, co było bez wątpienia najbrzydszą kurtką na świecie. Uszyta z garbowanej skóry i dopasowana w pasie, rozszerzała się ku dołowi, gdzie była obszyta frędzlami. Przeszycie na piersi z czymś się Najirowi kojarzyło.

— Kowboj — podsunął Isa. — To prawdziwa kurtka ranczerska.

Szaban dostrzegł widać na twarzy Najira zwątpienie, klepnął bowiem brata w ramię i powiedział:

— Mówiłem ci, że jest brzydka.

— Nieprawda! — Isa podniósł wyżej torbę i jął z upodobaniem obmacywać frędzle. — Spójrz, co za jakość. Wczoraj jedną sprzedałem. Tu chodzi o ciebie, nie o kurtkę.

— Szukam raczej czegoś innego — powiedział Najir.

Isa odłożył kowbojską kurtkę na kontuar i wskazał szerokim gestem rząd płaszczy.

— Proszę bardzo. Wybieraj.

Najir ruszył znowu pomiędzy stojaki. Zatrzymał się przy płaszcach przeciwdeszczowych i podziwiał przez chwilę ich kolory, a potem podszedł do stojaka z trenczami. Jego spojrzenie przyciągnął zwłaszcza jeden płaszcz — beżowy, lekki, klasycznie skrojony.

Isa zauważył to i położył sobie dłoń na brzuchu.

— Spójrz, Szabanie, płaszcz Columbo.

— Ten mu się spodobał?

— Jak go nazwałeś? — spytał Najir.

— No wiesz, Peter Falk... — Isa złożył dłoń w kształt pistoletu. — Bang, bang, detektyw. — Przez chwilę udawał, że strzela, podczas gdy Najir wkładał trencz. — Taaak! — zawołał, zobaczywszy go w płaszczu. — To ty! Stuprocentowy mężczyzna! — Ostatnie zdanie wygłosił po angielsku i wszyscy się roześmieli.

Najir podszedł do kasy i stanął przed lustrem. Płaszcz leżał doskonale. Wsunął dłoń do kieszeni. Namacał jedwabną podszewkę i kilka ziaren piasku. Miały pozostać tam już na zawsze, wciśnięte w róg. Zapiął płaszcz, a potem rozpiął, podniósł kołnierz i przesunął dłońmi po klapach, żeby wygładzić zagniecenia.

Do stoiska z uśmiechem na twarzy podszedł Usman.

— Kupujesz coś? — zapytał.

Najir odwrócił się od lustra.

— Jest niezupełnie w moim stylu.

— Jasne — prychnął Isa. — Co to: Dzień Robienia z Isy Idioty?

— Isa ma rację. — Szaban potrząsnął dłońmi, wskazując Najira. — Wyglądasz jak Columbo!

— Sam nie wiem. — Zsunął płaszcz z ramion.

— Nie! — Isa chwycił płaszcz i naciągnął mu go z powrotem. — Daj spokój, jest jak dla ciebie uszyty! Wygląda wspaniale. Z początku tak nie myślałem, lecz tak to już jest z rzeczami, które cię zaskakują: jesteś przekonany nie dlatego, że ktoś ci to nakazuje, tylko dlatego, że sam do tego

doszedłeś. — Zetknął palce czubkami i dziabnął nimi powietrze. — Jest twój. To twoja ukryta wyspa. Twoja Ameryka! Wiesz, ubrałbym cię w płaszcz od Armaniego, może w zimie w rosyjski, nigdy w trencz porucznika Columbo. Ale teraz, kiedy zobaczyłem na własne oczy, jak w nim wyglądasz, widzę, że się myliłem. To płaszcz dla ciebie — zapewniał, podczas gdy jego brat przytakiwał energicznie, najwidoczniej zbyt podkscytowany, żeby powiedzieć cokolwiek.

Najir spoglądał to na jednego, to na drugiego, zaskoczony ich niezwykłym ożywieniem.

— Tak naprawdę nie przyszedłem tu po płaszcz.

— W porządku. — Twarz Isy przybrała wyraz stanowczości. — Wiem, że jesteś człowiekiem skromnym, ale dam ci dobrą cenę.

Najir potraktował ich zapewnienia z rezerwą. To śmieszne, żeby kupować akurat płaszcz. Po co? Dla efektu? Czyż noszenie ubrań z próżności nie jest jednym z największych grzechów? Nie mógłby go nosić na pustyni. Ani w mieście, jeśli nie liczyć tych dwóch lub trzech dni w roku, kiedy temperatura spada do dwudziestu paru stopni i rzeczywiście robi się chłodno. I czy tak naprawdę nie był to płaszcz przeciwdeszczowy? W Dżuddzie padało raz w roku — przez pięć minut, jeśli mieli szczęście. Płaszcz jednak mu się podobał. Chciał go mieć. Poza tym w Koranie powiedziano, że ubrania zostały człowiekowi dane, by mógł okryć swój wstyd, a także po to, by go zdobiły. „O synowie Adama! My zesłaliśmy wam ubranie, aby zakrywało waszą nagość i ozdoby; lecz szata bogobojności jest lepsza”⁵.

Usman podszedł bliżej.

— To skromny płaszcz. I jest ci w nim dobrze.

⁵ *Werset 7, 26.

Najir odwrócił się z wahaniem ku swemu odbiciu. Usman miał rację: to był zwyczajny płaszcz.

Usman położył swoje zakupy na ladzie. Było tam pół tuzina damskich kurtek, od skórzanych po futrzane. A także pustynna parka. Przyjaciel jął pokazywać mu kurtki, rozwodząc się nad każdą.

— Naprawdę nie wiem, czy będą na nią pasować — powiedział na koniec.

Najir miał ochotę zapytać, czy tak naprawdę ma to znaczenie, zatrzymał jednak tę uwagę dla siebie. Wybór go zadziwił. Gdyby kurtki miały stanowić jakąś wskazówkę, młoda para zamierzała spędzić miesiąc miodowy na Antarktydzie.

— To co, kupujesz płaszcz Columbo? — zapytał Isa.

— Tak — burknął Najir. — Dlaczego nie?

Bracia skasowali go na pięćdziesiąt riali. Kiedy stał przy kasie, czekając, aż wydadzą mu resztę, poczuł się głupio. Kupował płaszcz. Upał rzucił mu się na mózg. Rozejrzał się dookoła, szukając najbliższego kiosku z napojami, i krew odpłynęła mu z twarzy na widok tego, co zobaczył. Za najbliższym straganem stała kobieta. Sama. Rozsunięte poły jej okrycia ukazywały nagie kształtne ciało. Było niczym delikatny karmelowy pudding, połyskujący od potu w blasku neonu. Uśmiechnęła się do Najira, a potem wtopiła błyskawicznie w tłum.

Najir zamarł. To co przed chwilą zobaczył, próbował zastąpić innym obrazem: ślepymi oczami Umm Tahsin, Samirem bekającym przy obiedzie — ale i tak widział jedynie kobietę, jej połyskujące, lekko rozchyłone uda, długi smukły palec gładzący krocze. Rozejrzał się dookoła: wszystko wydarzyło się tak szybko, że nikt niczego nie zauważył. Policzki mu płonęły. Sięgnął instynktownie, by zakryć podbrzusze. Gdyby miał na sobie abaję, mógłby po prostu pochylić się w przód i oszczędzić sobie

zażenowania, jednak przekłete spodnie nie zakrywały niczego. Nie mógł ich nawet podciągnąć niezauważenie.

— Co się stało? — zapytał Usman. — Wyglądasz, jakby ci się zrobiło niedobrze.

Najir umknął pośpiesznie w cień za kasą i machnął ręką, wskazując tłum:

— Właśnie zaatakował mnie ekshibicjonista.

Usman rozejrzał się dookoła zaszokowany.

— Mężczyzna?

— Nie, kobieta. — Ledwie to powiedział, przypomniał sobie pełen zadowolenia wyraz jej oczu, widoczną w nich próżność i samouwielbienie. Kusiło go, by wezwać policję.

Tymczasem na twarzy Usmana rozbawienie zastępowało z wolna szok. Zaczął się śmiać.

— Przykro mi. — Próbował się powstrzymać, lecz nie był w stanie, a im bardziej się starał, tym mocniej czerwieniały mu policzki. Wreszcie zauważyli to Isa i Szaban. Najir parsknął wymuszonym śmiechem.

— Przepraszam — powiedział Usman, zaczerpnąwszy oddechu.

— Nie ma sprawy.

Podziękowali braciom i wyszli, przeciskając się przez tłum, który gęstniał wokół nich niczym śmietana. Z nieba lał się żar, przystanęli zatem, by kupić sobie po mirindzie, ale nim zdążyli otworzyć puszki, napój był już ciepły. Wtopili się z powrotem między kupujących, odnaleźli sklep z zabawkami i przeszli pod sznurami światełek. Kiedy dotarli na parking, obraz pieszczącej się kobiety zaatakował znowu Najira z całą mocą, wywołując atak jeszcze silniejszego gniewu. Nie mógł uwierzyć,

że to się stało, i teraz, kiedy opuszczali targowisko, pożałował, że nie wezwał jednak policji.

Nagle obraz kobiety zbladł zastąpiony wspomnieniem Nuf leżącej na noszach, z prześcieradłem zsuwającym się z ud. Gniew Najira znikł równie nagle, jak się pojawił.

Usman także spoważniał.

— Nie bierz tego do siebie — powiedział. — Słyszałem, że takie rzeczy zdarzają się tu dość często.

— Mówisz o tej kobiecie?

— Tak.

— Aha.

Usman zacisnął wargi.

— Pomyśl, wszyscy ci ludzie przymierzający płaszcze... Czy może być lepszy kamuflaż dla ekshibicjonistki?

— Muszą wybierać jakoś ofiary — powiedział Najir, czerwieniejąc ponownie. — Mają pewnie dodatkowy zmysł. Podpowiada im, który mężczyzna poczuje się najbardziej zgorszony.

— Nigdy cię to wcześniej nie spotkało?

— Nie.

— Zatem był to przypadek. Choć z drugiej strony sędzę, że kiedy ludzie na ciebie patrzą, widzą dobrego człowieka.

Najir obrzucił przyjaciela sceptycznym spojrzeniem.

— Nie to miałem na myśli.

— Bracie... — Usman się uśmiechnął. — Nie przyszłoby mi do głowy oskarżać cię o próżność lub dumę.

Najir przytaknął. Czuł się zażenowany i nie był w stanie przestać się zastanawiać, czy zachęcił w jakiś sposób kobietę, dając jej poznać, że poczuje się bardziej zgorszony niż większość mężczyzn, stanowiąc tym samym łatwą zdobycz. A może był to znak? Ostrzeżenie, iż posuwa się za daleko i kupując płaszcz, popełnia grzech próżności?

Rozmyślał o tym przez całą drogę powrotną do domu i jako antidotum na rosnący wstyd wyrecytował modlitwę, którą odmawiał zawsze Prorok, kiedy nakładał nową szatę: „Bądź pochwalony, Panie. Odziałeś mnie w tę szatę. Proszę, ześlij na mnie dobro z nią związane i uchron przed złem, jakie mogłaby mi uczynić. Chwała Bogu”.

Powtórzył modlitwę dwukrotnie, ponieważ im dłużej przyglądał się płaszczowi, tym bardziej mu się podobał.

ROZDZIAŁ 10

Tego popołudnia pojechał do Kilo Seven i zaparkował przed domem, który opisał mu Usman. Ulica była niemal pusta, a słońce zalewało żarem wąską bitą drogę, odbijając się od budynków. Jego jaskrawy blask widoczny był nawet przez zamknięte powieki. Na rogu przysiadła na derkach grupka sudańskich kobiet. Sprzedawały nasiona dyni w plastikowych pojemniczkach ważących mniej niż dziesiątak, za który można było je kupić.

Miał na sobie płaszcz. Z początku nie czuł się w nowym nabytku zbyt swobodnie, ale włożył go, idąc na zakupy do supermarketu, i odkrył, że przydaje mu powagi oraz znaczenia. Był w tym element grzesznej pychy, przypomniał sobie jednak, że działa w dobrym celu i że pycha szybko zniknie. Zawsze tak się działo.

Znalazł dom, którego szukał, lecz kiedy zapukał, nikt nie odpowiedział. Odgłos stukania rozbrzmiewał za drzwiami, gdzie prawdopodobnie znajdował się pusty dziedziniec. Zapukał ponownie, a potem się odsunął i spojrzał w górę. Z dachu spoglądała na niego zasłonięta nikabem twarz.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły. Stał w nich młody mężczyzna. Wyglądał na nieco ponad dwadzieścia lat. Tygodniowa szczecina pokrywała mu policzki, sprawiając, że wydawał się zaniedbany. Miał na sobie pomiętą białą koszulę i luźne lniane spodnie. W oślepiającym słonecznym blasku trudno było odczytać wyraz jego twarzy.

— Szukam Muhammada Ramadaniego — powiedział Najir.

— Kim pan jest? — zapytał mężczyzna załamującym się młodzieńczym głosem.

— Nazywam się Najir asz-Szarki. Czy mieszka tu Muhammad?

— Kto panu to powiedział?

— Ty jesteś Muhammad?

Mężczyzna się nie poruszył.

— Czego pan chce?

— Porozmawiać o Nuf asz-Szarawi. Powiedziano mi, że służyłeś jej za eskortę.

Twarz mężczyzny przybrała wyraz niepewności.

— Rodzina pana przysłała?

— Nie.

— Jest pan z policji?

— Nie, badam po prostu tę sprawę.

Muhammad zamrugnął nerwowo, po czym obrzuciwszy Najira długim szacującym spojrzeniem, odsunął się, zapraszając go gestem, by wszedł.

Najir minął dziedziniec i znalazł się w dosyć mrocznym przedpokoju. Na kołku wisiała abaja, a pod ścianą stało z tuzin par butów. Poczł dziwny, pocieszająco znajomy zapach. Nawóz.

— Macie zwierzęta? — zapytał.

— Nie.

— Żadnych? Nawet kurcząt?

— Nie. Dlaczego? — zapytał Muhammad skonfundowany.

Najir uświadomił sobie, że pytania mogły się wydać chłopakowi z lekka obraźliwe.

— Nieważne — powiedział.

Muhammad poprowadził go wąskim korytarzem. Po chwili znaleźli się w bawialni. Tuż obok drzwi zobaczył wejście do głównej części do-

mu. Nad drzwiami przymocowano chamkę, symbol ochrony przed złym okiem w kształcie dłoni.

Stos podniszczonych poduszek piętrzył się w kącie, na podłodze rozłożono trzy bambusowe maty. Muhammad wskazał gościowi najczystsza z nich i zawołał, by przyniesiono herbatę. Usiedli, krzyżując nogi.

Czekali w ciszy. Żaluzje były opuszczone, ale i tak wsączał się przez nie upał. W przyległym pokoju zaczęło płakać dziecko.

Muhammad się odprężył. Nastąpiło to z zaskakującą szybkością. Najir uzmysłowił sobie, że chłopak jest zapewne z natury zrównoważony i cechuje go spokojna pewność siebie. Nic dziwnego, że zatrudniano go jako eskortę.

Ktoś zapukał do drzwi. Muhammad wstał i wyszedł na korytarz. Najir usłyszał kobiecego szept:

— Zabrakło nam daktyli! Mam tylko gulasz. Tak mi wstyd! Podać go?

— Nie, herbata wystarczy, habibati. Dziękuję. — Muhammad wrócił do pokoju, niosąc tacę z zastawą do herbaty. Zamknął drzwi nogą. — Moja żona, Hind — wyjaśnił, uśmiechając się nerwowo. Usiadł i napełnił filiżanki wielkości naparstka. Podał jedną Najirowi, a drugą postawił obok siebie na podłodze. Dziecko pisnęło cienko, lecz Muhammad to zignorował.

Najir sączył herbatę i zastanawiał się nad tym, że Muhammad zwracał się do żony tak zwyczajnie. Nie musiał też wyjaśniać, kim jest, a co dopiero mówić Najirowi, jak ma na imię. Stawiało to Muhammada w jednym szeregu z młodymi ludźmi, którzy tracą wkrótce wiarę. Przemięły dni, kiedy nazywało się czyjąś żonę „matką Muhammada”; dziś kobiety miały imiona, nazwiska, posady i Bóg wie co jeszcze. Ciekawe, ilu mężczyzn znało imię Nuf, pomyślał.

Odstawił filiżankę i Muhammad napełnił ją ponownie.

— Wyrazy współczucia z powodu Nuf — powiedział Najir.

— Dziękuję.

— Wiem, jak to jest, cierpieć z powodu straty.

— Jestem zrozpaczony. — Muhammad przeczesał dłonią włosy.

Najira doleciała znów woń nawozu.

— Jak długo pracujesz dla rodziny? — zapytał.

— Odkąd byłem chłopcem. Mój ojciec pracował u Abu Tahsina jako kierowca, kiedy był w moim wieku. — Muhammad potrząsnął głową. — Umarł w zeszłym roku.

— Niech Bóg ześle mu spokój.

— Dziękuję.

— Był zadowolony z posady?

— Tak. Asz-Szarawi dobrze go traktowali. Dorastałem w poprzedniej posiadłości, tej, w której mieszkali, zanim przeprowadzili się na wyspę. Wtedy się ożeniłem, mam więc własny dom. — Wskazał gestem na gie ściany. — Choćby i brzydki. Swego czasu żałowałem, że nie zostałem na wyspie, lecz teraz jestem z tego zadowolony.

— Tak? — Najir spojrzał na gospodarza.

— Nie byłem tam szczęśliwy. Chyba że z Nuf. Ona była inna.

— W jakim sensie?

Muhammad wzruszył ramionami. Zmrużył oczy.

— Jest pan blisko z rodziną?

— Tylko w sprawach zawodowych. Służę im jako przewodnik po pustyni.

— Aha. Chyba o panu słyszałem. To pan jest tym beduinem.

Najir zacisnął wargi.

— Rodzina zatrudniła mnie, bym znalazł Nuf, kiedy uciekła.

Muhammad pokiwał z namysłem głową.

— Więc teraz nikt panu nie płaci?

— Nie.

— To dlaczego pan przyszedł?

— Nie satysfakcjonuje mnie wyjaśnienie, że jej śmierć była wypadkiem.

Muhammad wskazał gestem płaszcz Najira i uśmiechnął się słabo.

— Z pewnością wygląda pan jak detektyw. Muszę jednak przyznać, że nie uważam śmierci dziewczyny za podejrzaną. To tragiczne wydarzenie, ale nic nie wskazuje na morderstwo.

— Morderstwo?

— Och. Czy nie dlatego pan tu jest?

Najir przyjrzał się gospodarzowi.

— Myślisz, że została zamordowana?

— Nie. To znaczy założyłem, że pan tak uważa.

— Niezupełnie.

Muhammad otarł pot ze skroni.

— Więc po co pan przyszedł?

Najir milczał przez chwilę.

— Powiedz mi, co się wydarzyło tego dnia, gdy zaginęła. Musiałeś się z nią widzieć.

Chłopak potrząsnął głową.

— Zadzwoiła i powiedziała, że mnie nie potrzebuje.

— Czy było to normalne?

— Cóż, trudno powiedzieć. Robiła tak już wcześniej, jeśli o to pan pyta.

— Powiedziała matce, że wybiera się wymienić ślubne buty. Nie zawiozłeś jej do pasażu handlowego?

— Nie.

Najir pochylił się ku swemu gospodarzowi.

— To jak opuściła dom i wyspę?

— Nie wiem. Kiedy mnie nie ma, wychodzi zwykle z matką lub szwagierką i z którymś z ich opiekunów. — Rozłożył ręce. — Proszę posłuchać, powiedziałem już wszystko Tahsinowi i Usmanowi. Przerabialiśmy to z tuzin razy.

— Chciałbym usłyszeć twoją wersję. Kiedy się dowiedziałeś, że uciekła?

Muhammad zamrugął, aby powstrzymać strużkę potu zalewającego mu oczy.

— Wieczorem zadzwoniła do mnie matka Nuf. Powiedziałem jej wszystko, co było mi wiadome. Przyjechałem od razu na wyspę, ale oczywiście nic nie mogłem zrobić...

Najir czekał, lecz ciąg dalszy nie następował.

— Co robiłeś wcześniej tego dnia?

Muhammad się skrzywił.

— Wyszedłem z żoną do miasta. Załatwialiśmy różne sprawy.

— Była z tobą przez cały dzień?

— Tak. Jej siostra również.

Najir zdawał sobie sprawę, że powinien porozmawiać z żoną Muhammada oraz z jej siostrą, byłoby to jednak niewłaściwe. Odstawił filiżankę.

— Zastanawiam się, z jakiego powodu dziewczyna taka jak Nuf miałaby uciekać. Nie wydaje się to prawdopodobne, czyż nie? Miała wszystko: pieniądze, dobrą rodzinę, narzeczonego... Może pomógłbyś mi dostrzec w tym sens. Znałeś ją.

Muhammad nalał Najirowi kolejną filiżankę herbaty, ale w dzbanku było już mało naparu i do naczynia wpadły liście. Odstawił go pośpiesznie i przycisnął palce do oczu. Na długą chwilę w pomieszczeniu zapadła cisza. Kiedy opuścił dłoń, twarz miał zaczerwienioną i spuchniętą.

— Proszę mi wybaczyć. Miałem ją c h r o n i ć.

Najir widział, że chłopak cierpi, lecz zastanawiał się, jaka część tego bólu jest natury czysto profesjonalnej.

— Proszę posłuchać — powiedział Muhammad — to oczywiste, że Nuf uciekła, bo miała absolutnie dość swego życia. — Zmusił się, by spojrzeć Najirowi w oczy. — Może mi pan nie wierzyć, ale nie tylko ona tak czuła. Większość dziewcząt nienawidzi wyspy. Wychodzą na zakupy, ilekroć nadarzy się okazja, albo jeżdżą na skuterze wodnym. *Jani*, nie sądziłem jednak, że może naprawdę to zrobić. Nie tak. Nie w taki sposób.

Najir widział łzy w oczach Muhammada. Sięgnął do kieszeni i wyjął nowy miswak.

— Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli...? — zapytał.

— Nie. Proszę bardzo.

Paznokciem kciuka Najir zdrapał wierzchnią warstwę kory i rzucił wiórki na tacę. Wsunął miswak do ust.

— Powiadasz, że kobiety na wyspie cierpią — zauważył. — O ile wiem, tylko jedna cierpiała tak bardzo, że uciekła na pustynię i straciła tam życie. Co ją do tego skłoniło?

Muhammad przełknął mocno.

— Nie wiem.

— Powiedziałeś, że była inna. Co miałeś na myśli?

— Nie wiem. — Muhammad westchnął. — Chciałem powiedzieć... no, to była Nuf. — Nie mógł znaleźć miejsca dla rąk, pot spływał mu po twarzy strugami, mocząc kołnierzyk.

Znowu zapadła cisza. Najir nie spuszczał z chłopaka wzroku.

— Znałeś Nuf od ilu lat... szesnastu? Wystarczająco długo, żeby się czegoś o niej dowiedzieć.

— Tak, oczywiście. byliśmy praktycznie rodziną.

Rodzina. Słowo zawisło w powietrzu.

— Zналиście się na tyle długo, żeby się... zaprzyjaźnić? — Oczywiście Najir miał na myśli prawdziwą więź, pozbawioną dławiących swobodę reguł pokrewieństwa oraz małżeństwa. Jakże łatwo byłoby Muhammadowi zakochać się w Nuf. Była ładna. Bogata dziewczyna, która miała wszystko, czego jemu brakuje. Znał ją lepiej niż ktokolwiek, a przecież była dla niego niedostępna.

Muhammad wbił wzrok w podłogę, mrugając gwałtownie. Twarz miał przerażająco szarą.

— Nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią — powiedział.

— Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem — kontynuował Najir. — Jeśli to prawda, że sama odjechała z wyspy, jak nauczyła się prowadzić?

Muhammad nadal wpatrywał się w podłogę.

— Ja ją nauczyłem. Robiliśmy to dla zabawy. Pozostałe dziewczęta też umieją jeździć, nawet Zajnab, a ma dopiero sześć lat. Wiem, że to szaleństwo, ale i tak by próbowały, uznałem więc, że lepiej, bym je nauczył, jak jeździć bezpiecznie, i wprowadził kilka zasad. Miały ćwiczyć na polnej drodze za domem, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć.

— W porządku. Załóżmy, że uciekła. Musiała się jakoś do tego przygotować. Zdecydować, dokąd się uda. Miała mapy? GPS? Skąd mogłaby wziąć takie rzeczy? Ukradłaby je? A może ktoś jej pomógł?

— Na pewno nie ja.

— Dlaczego? Nauczyłeś ją prowadzić samochód, a to o wiele bardziej niebezpieczne niż kradzież. No i nielegalne.

Muhammad wydawał się przestraszony.

— Tak, ale to nie jest...

— Skąd wiedziała, gdzie szukać kluczyków do ciężarówki? I jak wprowadziła do niej wielbłąda? To poważne zadanie, wymaga odrobiny mięśni. Poza tym ktoś uderzył córkę stajennego w głowę, a jest potężnie zbudowana. Jak Nuf zdołałaby ją powalić? Uważam, że ktoś jej pomagał, ktoś, kto wiedział, że dziewczyna ucieka.

— Ja Allah, Allah, Bi-ism Allah. — Muhammad wyglądał, jakby miał się rozplakać.

— Jak się dostała na pustynię?

Muhammad kołysał się w przód i w tył, zacisnąwszy dłonie.

— Nie wiem.

— I jej... stan...

— Na Boga! Za nic bym jej nie tknął!

— Ktoś to zrobił. A o ile wiem, byłeś jedynym mężczyzną, z którym regularnie się widywała.

Ramiona Muhammada drżały niepoohamowanie.

— Nie, nie. Proszę posłuchać. Był jeszcze ten facet. Eric. Eric Scarsberry. Zabierałem ją, by się z nim spotykała. Chciała wyjechać do Ameryki, a on miał jej w tym pomóc.

Najir się wyprostował.

— Do Ameryki? Jak?

— Dała mu milion riali. Miał wynająć jej w Nowym Jorku mieszkanie, załatwić zieloną kartę i nie wiem co jeszcze. Tego zawsze chciała. Wyjechać.

Najir wpatrywał się zaskoczony w gospodarza. Nuf zamierzała uciec z Amerykaninem? Jak to możliwe? Kobietom nie wolno było opuszczać kraju bez wizy wyjazdowej podpisanej przez męża lub ojca. Z pewnością Abu Tahsin nie pozwoliłby córce wyjechać. Do tego potrzebowałyby męża, ale i tak nie mógł zostać nim Eric. Muzułmankom nie zezwalano poślubić niemu-żółtanów.

— Jak zamierzała to przeprowadzić? — spytał.

— Chciała uciec podczas miesiąca miodowego. Mieli pojechać do Nowego Jorku z Kadim.

— To jej narzeczony?

— Tak. Planowała zostawić go w hotelu i spotkać się gdzieś z Erikiem.

— Zamierzała poślubić Kadiego, a potem uciec z Amerykaninem?

Muhammad przestał się trząść i ukrył twarz w dłoniach. Wymamrotał coś niezrozumiałego.

— Co powiedziałeś?

Chłopak opuścił ręce.

— Wiem, że to moja wina. Nie powinienem był do tego dopuścić. Wiedziałem, że Nuf postępuje źle, ale tak bardzo tego pragnęła...

— Czego właściwie? — Najir wstrzymał oddech.

— Chciała... chciała zamieszkać w Ameryce. — Spostrzegłszy wyraz twarzy Najira, wyjaśnił pospiesznie: — Pewnego razu obejrzała w telewizji program o kobiecie, która badała życie dzikich psów w Afryce. Chciała być jak ta kobieta, choć ona żyła wśród psów. Psów! Była brudna. Przebywała w Afryce od trzech miesięcy i uwielbiała swoje życie. Myślę, że wywarło to na Nuf niezatarte wrażenie. Kobieta mogła żyć jak pies i być szczęśliwa. A już na pewno szczęśliwsza niż Nuf. — Przełknął mocno. — Wszystkie jej przyjaciółki ze szkoły latają do Londynu i Nowego Jorku. To bogate dzieciaki, takie jak Nuf, i jeżdżą, dokąd im się podoba. Jednak rodzice nie pozwoliliby Nuf opuścić kraju, a już na pewno nie po to, aby poleciała do Ameryki! A ona chciała tylko się uczyć, studiować zoologię, a potem żyć gdzieś w dziczy. Może w Afryce. Nie mogła robić nic podobnego tutaj, ojciec by na to nie pozwolił. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego i ja... nie potrafiłem jej odmówić! — Łzy zaczęły wreszcie płynąć.

Najir odwrócił wzrok, ale szloch Muhammada i tak wytrącał go z równowagi.

— Przykro mi — powiedział, nie wiedząc, jak zareagować.

Muhammad otarł gniewnym gestem policzki.

— Bi-ism Allah — syknął. — Czuję się prawie tak, jakbym ją zabił!

— Powiedz mi — zażądał Najir — jak się kontaktowała z Erikiem?

— Spotykali się w centrum handlowym Corniche. Nie wiem, gdzie Eric mieszka.

— Chodziłeś z nią na te spotkania?

— Tak.

— Kiedy widziałeś Erica po raz ostatni?

— Jakieś trzy tygodnie temu. Dał jej klucz i adres swojego mieszkania w Nowym Jorku.

— Swojego mieszkania?

— Tak. — Muhammad sięgnął do kieszeni i wyjął gruby pęk kluczy. — Mam tu drugi egzemplarz. Dorobiła go i dała mi na wypadek, gdyby zgubiła swój lub zdarzyło się coś niespodziewanego. Zamierzała zostać tam jakiś czas, póki jej mieszkanie nie będzie gotowe.

— Mogę pożyczyć ten klucz?

— Nie jest pan...

— Nie pokażę go rodzinie.

Muhammad zdjął klucz z kółka i podał Najirowi.

— Proszę posłuchać, musi mi pan uwierzyć — powiedział. — Mało nie oszalałem z poczucia winy. Wydawało mi się, że Eric może mieć coś wspólnego z jej śmiercią, ale nie miałem pojęcia, gdzie go szukać. Nie wiem, gdzie mieszka, dla jakiej firmy pracuje i czy przebywa jeszcze w kraju. — Na moment w jego spojrzeniu zabłyśło szaleństwo.

Najir wolałby nie zadawać następnego pytania, nie miał jednak wyboru.

— Jak myślisz, czy zaangażowała się w znajomość z Erikiem na tyle poważnie, by...

— Utrzymywać z nim intymne kontakty? — Muhammad wydawał się zde gustowany, a zarazem urażony. — Kiedy się spotykali — postukał

palcem w policzek — nie spuszczałem jej ani na chwilę z oczu. Eric nie widział nawet jej twarzy.

Najir próbował zdecydować, czy Muhammad mówi prawdę. Czuł, że tak jest istotnie, choć wydawało się to nieprawdopodobne.

Muhammad opuścił dłoń.

— Zamierza pan powiedzieć rodzinie?

— Na razie — odparł Najir — zatrzymam twój sekret dla siebie. Lecz pozwól, że zapytam: Nuf zniknęła na trzy dni przed weselem. Jeśli mówisz prawdę, po co miałyby rezygnować ze swoich planów i uciekać przed ślubem? Nie mogłaby wyjechać z kraju bez Kadiego.

— Eric musiał obiecać, że ją wywiezie. Nie wiem jak, ale nie było to niemożliwe. Miał znajomości w dokach, a nawet własną łódź! Mógł przeszmuglować Nuf.

— Wspominała o czymś takim?

— Nie. — Muhammad się zamyślił. Zamknął oczy. — Zakładałem, że jeśli będzie miała wyjechać na zawsze, przyjdzie się pożegnać.

Nutka rozpaczy w głosie chłopaka sprawiła, że Najirowi ścisnęło się serce, stłumił jednak współczucie. W końcu Muhammad współpracował z dziewczyną w przygotowaniu planu ucieczki. Pomagał jej spotykać się z Erikiem i nie wspominał o tym rodzinie. Jakkolwiek na to patrzeć, nie sprawdził się jako opiekun.

Szczegóły jego opowieści nie dawały Najirowi spokoju. Dlaczego Nuf chciała zamieszkać w Ameryce? Czemu nie w Europie? Albo w Egipcie? W Kairze mogłaby się cieszyć porównywalną swobodą bez utrudnień spowodowanych barierą językową. Lecz może Egipt znajdował się zbyt blisko i wyjazd tam nie miał w sobie dramatyzmu wielkiej wyprawy do Ameryki, kraju niewiernych. Widać chciała opuścić rodzinę na zawsze, i to z hukiem. Dla prawowiernej muzułmańskiej rodziny, takiej

jak Asz-Szarawi, ucieczka Nuf do Ameryki byłaby nie tylko policzkiem — byłaby prawdziwym nokautem.

Uświadomił sobie, że postukuje miswakiem o grzbiet dłoni, i przestał.

— Czy Nuf zdarzało się zaglądać do męskiej części domu? Do sypialni braci? Albo do ich poprzednich sypialni? Do biur?

— Nie sędzę. Dlaczego miałyby to robić?

— Nie widziałeś nigdy, żeby wchodziła do męskiej sypialni?

— Prawdę mówiąc, ja też tam nie wchodziłem, trudno mi więc powiedzieć. Dlaczego miałyby się interesować ich sypialniami?

— Wspominała kiedyś o ubraniach braci? Na przykład o kurtce?

Muhammad zastanawiał się przez chwilę, w końcu potrząsnął głową.

— Rzadko wspominała o braciach. Nie czuła się przy nich swobodnie. Nie okazywali jej uczucia.

— A jak się zachowywali?

— Z dystansem.

— Jeszcze jedno — powiedział Najir, słysząc dobiegający z korytarza hałas. — Czy Nuf była przesądna?

Muhammad zrobił sceptyczną minę.

— Nie, raczej nie.

— Wielbłąd, którego zabrała na pustynię, miał na nodze znak chroniący przed złym okiem. Po co miałyby go robić?

— Nie wiem — odparł Muhammad. — To dziwne.

— Zauważyłem na framudze chamse — wskazał gestem korytarz i Muhammad odwrócił się gwałtownie. — Jesteś przesądny?

— Żona to powiesiła...

Nagle drzwi się otwarły i do pokoju weszła żona Muhammada. Trzymała na ręku śpiące niemowlę. Jej włosy zakrywał hidżab, zaś twarz pozostawała niezastłonięta. Uśmiechała się promiennie, szelmowsko. Najir odwrócił wzrok. Muhammad wstał, pocałował żonę w policzek, wziął od niej dziecko i odwrócił się, aby pokazać je Najirowi, który zdążył się już podnieść.

— Moja córka — powiedział rozpromieniony. — Zwykle robi tyle hałasu, co rozbijający się samolot, ale możemy ją pokazywać, kiedy śpi.

Najir pogładził policzek dziecka.

— *I sm Allah, ism Allah.*

Chętnie by zapytał żonę Muhammada, co robili w dniu zaginięcia Nuf, lecz było to nie do pomyślenia. Nie odwracał przezornie wzroku od buzi dziecka, zastanawiając się, czy żona Muhammada poznała kiedyś Nuf i co o niej myślała.

— Proszę, niech pan nie wychodzi — powiedziała kobieta. — Zaraz podam obiad.

— Och, nie, dziękuję. — Choć małżonkowie mogli czuć się przez to niezręcznie, i tak zwracał się tylko do Muhammada. Jego żona wyczuła widać zakłopotanie gościa, wzięła bowiem dziecko i wysliznęła się z pokoju.

Muhammad odprowadził Najira do drzwi.

— Proszę dać mi znać, jeśli znajdzie pan Erica.

Na ulicy nie było już sudańskich kobiet. Najir wsunął do ust kolejny miswak i wrócił do samochodu, który zdążył się pokryć następną warstwą pyłu. Otworzył drzwi, aby przewietrzyć wnętrze, i oparł się o zde-rzak zakłopotany i zdenerwowany tym, czego dowiedział się o Nuf. To że chciała wyjechać do Ameryki, obalało jego wcześniejsze przekonanie, iż

była przestraszona panną młodą uciekającą przed zaaranżowanym małżeństwem. Choć wiedział już od jakiegoś czasu, że okłamywała rodzinę, nowa Nuf, którą poznał tego dnia, była istotą podstępna, knującą, by zaspokoić swoje pragnienia i dać nauczkę krewnym. Nie była przestraszona, lecz ambitna. Zamierzała przestraszyć rodzinę, a może i zniszczyć jej reputację, i to z jakiego powodu? By żyć wśród psów? Z trudem był w stanie w to uwierzyć i uświadomił sobie, że dotąd postrzegał Nuf jako ofiarę.

Nowa wersja wydarzeń prowokowała nowe pytania. Skoro Muhammad znał ją lepiej niż bracia i tak bardzo mu ufała, czy nie próbowałyby się z nim pożegnać? Czyjego także oszukiwała?

Kiedy Najir wsiadał do jeepa, jedna myśl nie dawała mu spokoju: czy to nie dziwne, że Muhammad zachował się niezgodnie ze swymi przekonaniami, by pomóc dziewczynie w ucieczce, ale nie zrobił nic, by znaleźć jej zabójcę?

ROZDZIAŁ 11

Jest wiele powodów, by kochać przystań. Budzenie się rankiem po to, by poczuć zapach morza i nacieszyć oczy widokiem bezkresnego błękitu. Spędzanie dnia na powietrzu w miejscu, gdzie woda i wiatr łagodzą upał. Obserwowanie ulicznych handlarzy zachwalających dywaniki modlitewne oraz miswaki, miedziane garnki i bawełniane sandały z Chin. Pod bramą przystani stała zawsze ciężarówka-bar i punktualnie o szóstej rano z jej okien rozchodził się po okolicy zapach świeżej pity, fasoli z czosnkiem i najlepszej kawy na świecie. O szóstej piętnaście bok ciężarówki unosił się niczym łapa psiej mamy i mężczyźni czekający w kolejce, by zjeść śniadanie, rzucali się ku sprzedawcy jak miot głodnych szczeniąt. Sąsiedzi czuwali, w okolicy nie było więc przestępstw. Nikt nie walczył o miejsca parkingowe. A w nocy usypiające kołysanie, stanowiąc zaledwie sugestię ruchu, wywierało efekt wręcz magiczny. Ale najwspanialszą rzeczą był delikatny chlupot fal i ciche postukiwania łodzi uderzających o nabrzeże: przypomnienie, że nie jesteś uwięziony w murach i wystarczy zrzucić cumy, włączyć silnik i odpłynąć, zabierając swoje życie i unosząc się swobodnie na grzbietach fal.

A jednak ludzie nieodmiennie wypytywali go, jak to się stało, że człowiek kochający pustynię nawiązał tak namiętny romans z morzem. Nie potrafił odpowiedzieć. Nauczył się kochać pustynię jako chłopiec, lecz kiedy dorósł, zapragnął poznać inne oblicze dzikiej natury. Morze przypominało mu pustynię. Znalazł tu przestrzeń, spokój, ukryte życie, prowokujący paradoks monotonii i niepewności. A także możliwość ucieczki od sąsiadów. Gdyby się okazało, że nie jest już w stanie znosić ciągłego wypytywania o karierę, rodzinę, możliwość ożenku, mógł przenieść się po prostu w inne miejsce i proszę! Nowy zestaw obcych oczu, nie dość jeszcze ośmielonych, by szpiegować, obserwowałby go dyskretnie zza iluminatorów. Odkąd przeniósł się na łódź, ani razu nie zmienił miejsca postoju, niemniej sama świadomość, iż może to zrobić w każdej

chwili, dawała mu poczucie olbrzymiej wolności, czyniąc sąsiedztwo mniej uciążliwym.

Tego ranka stał na pokładzie, wpatrując się w niebo na zachodzie, z płaszczem udrapowanym na ramieniu. Próbował pozbyć się przygnębienia, rozmyślając o tym, jak dobrze mu się żyje, i chętnie robiłby to dalej, gdyby nie jego sąsiad Madzid.

— *Salam!* — zawołał z drugiej strony mola, stojąc na dziobie swej łodzi i spoglądając z ciekawością na Najira.

— *Sabah al-chajr* — zawołał w odpowiedzi, uświadamiając sobie zbyt późno, że skoro sterczy samotnie z dziwaczną częścią garderoby przerzuconą przez ramię, zachęca wręcz, by go zagadnąć.

— Co słysząc?

— *Al-Hamdu li-Allah* — odparł Najir.

Madzid był kolejnym sfrustrowanym kawalerem mieszkającym na łodzi, co stanowiło zarówno pociechę, jak ostrzeżenie. Podobieństwo sytuacji życiowej, wzmocnione dodatkowo tym, że byli w podobnym wieku, podobnego wzrostu i postury, ich twarze miały niesamowicie podobny układ kostny, a w żyłach płynęła palestyńska krew — wszystko to sprawiało, że za sobą nie przepadali.

Różnica między nimi polegała na tym, że Madzid był najmłodszym synem bardzo licznej rodziny — liczba samych jego kuzynek szła w tuziny — mimo to udało mu się dotąd uniknąć ożenku. Był skrajnie pobożny i najwidoczniej żadna kobieta nie mogła mu w tym dorównać.

Zszedł na nabrzeże.

— Wychodzisz? — zapytał.

— Tak. Mam parę spraw do załatwienia.

— Co to takiego? — wskazał gestem płaszcz. — Zobaczmy. Kupiłeś sobie płaszcz? — Wyciągnął rękę i obmacał guziki. — Przeciwdeszcz-

wy? — Uśmiechnął się. — Powiedz, dokąd się wybierasz, że spodziewają się tam deszczu?

— Nigdzie się nie wybieram.

Madżid uśmiechnął się szeroko.

— To znaczy, że ma padać tutaj?

Złośliwy uśmieszek przypomniał Najirowi, że on i Madżid różnią się jak pies i kot. Najir wiedział, że sąsiad należy do tych mężczyzn, którzy odprawiają ablu- cje dokładnie pięć razy dziennie i truchają potem do meczetu za przystanią, żeby pomodlić się właśnie tam. Jeśli Madżid podczas krótkiego spaceru przez ulicę natknął się na kobietę, wrzeszczał na nią co sił w płucach, po czym wracał na łódź, otwierał z hukiem drzwi, schodził do kabiny i odprawiał ablucje ponownie, parszkając i rozchlupując demonstracyjnie wodę. Wyłaniał się potem czystszy na duszy i ciele i rozglądał przez chwilę po nabrzeżu, jakby miał nadzieję ujrzeć w oddali następną kobietę. Gdyby dostrzegł ją za ledwie kątem oka, nie byłoby to dokładnie to samo, co gdyby ją zobaczył. Nie ujrzawszy żadnej niewiasty, nakładał na nos okulary słoneczne i maszerował w dół pirsu. Najir nie zauważył dotąd, by sąsiad wpadł na kobietę dwa razy podczas tego samego wyjścia — zwykle wrzask, jaki wtedy podnosił, wystarczył, by przepędzić każdą niewiastę, a przy okazji wszystkie ptaki w zasięgu słuchu. Dopiero wtedy dumnie wyprostowany ruszał do meczetu.

Najir spojrział sąsiadowi w oczy. Były to bez wątpienia oczy osoby skorej do wydawania sądów, dlatego opłacało się być dla Madżida uprzejmym.

— A co u ciebie? Jak praca?

Madżid wzruszył ramionami.

— Nic nowego. A jak tam pustynia?

— Dobrze. — Najir ruszył pirsem, rzucając przez ramię: — Życzę dobrego dnia. — Jednak protekcjonalny ton głosu Madżida, gdy wypytywał o płaszcz, prześladował go przez całą drogę do jeepa.

Potem było już tylko gorzej. Wszędzie korki. Zatrzymał się, by wypić kawę i zjeść jajka w przydrożnym barku, ale powietrze było tak gęste od wyziewów ropy i benzyny, że ledwie dało się oddychać, wrócił zatem do samochodu i po prostu odjechał, zapominając

wszystkim, co miał na ten dzień w planach, gnany pragnieniem znalezienia się jak najdalej od ryczących klaksonów i smrodu paliwa. Lecz nawet za miastem trudno było o odrobinę spokoju. W końcu zjechał na nieutwardzoną drogę, dostępną jedynie dla samochodów terenowych, a potem na piasek. Kiedy szosa była już tylko odległą nitką na horyzoncie, zatrzymał się, zjadł śniadanie, po czym sprawdziwszy rozkład modlitw, wyjął dywanik i rozłożył go na piasku.

Dopiero gdy się pomodlił i usiadł w cieniu jeepa, gniew ustąpił, a on był w stanie zastanowić się nad przyczynami swego przygnębienia. Rozmowa z Muhamma- dem uświadomiła mu okropną prawdę: Nuf zamierzała uciec. Do Ameryki. Umarła na pustyni, ale gdyby jej się powiodło, byłby to po prostu inny rodzaj śmierci.

właśnie to budziło w nim lęk. Fakt, że Ameryka reprezentowała wszystko co swobodne i ekscytujące, że stanowiła cel wart tego, aby przekreślić dotychczasowe życie, a to miejsce, to miasto, ta pustynia i otaczające ją morze nie stanowiły obiektu dziewczęcych marzeń.

Kadi asz-Szarawi odłożył podkładkę na biurko, podszedł do okna i stanął obok Najira. Miał cichy głos, a dźwięki dobiegające ze sklepu piętro niżej zmuszały go, by mówił głośniejszym głosem niż był przyzwyczajony.

Znajdowali się w gabinecie Kadiego w domu towarowym jego ojca. Było to przeszklone pomieszczenie, za którego szybą piętrzyły się stosy pudeł. Niektóre sięgały tak wysoko, że pudła z wierzchu mógłby zdjąć jedynie dźwig.

Kadi był niemal tak wysoki jak Najir, lecz o połowę szczuplejszy. Miał na sobie czystą białą abaję i nieskazitelnie wyprasowaną szumagę, którą przytrzymywał na głowie nowy czarny igał — krążek z koziego włosia. Kiedy szedł, Najir zauważył wystające spod abai podniszczone sandały. Było to dziwne, zważywszy, iż ojciec Kadiego prowadził największy w Dżuddzie skład importowanego obuwia, który Kadi, jako najstarszy syn, miał pewnego dnia odziedziczyć. Buty wszakże wyglądały na wygodne, a fakt, że Kadi je nosił, sugerował, iż pomimo demonstrowanej na zewnątrz elegancji i wyrafinowania jest człowiekiem ciężkiej pracy.

— Widziałem ją tylko raz — powiedział. — I wszyscy tam wtedy byli: wujek, kuzyni, mój ojciec. A także służący. Nie pozwolono jej unieść nikabu, nie widziałem więc twarzy.

— Rozmawiałaś z nią? — zapytał Najir.

— Zapytałem, czy jest podekscytowana zbliżającym się ślubem, a ona powiedziała, że tak. I na tym koniec.

— A wydawała się podekscytowana?

— Nie wiem. Myślę, że była zdenerwowana. — Kadi spojrzał w dół na swoich pracowników i zamyślił się.

— Nie miałaś zatem pojęcia, jak dziewczyna wygląda? — zapytał Najir.

— Cóż, widziałem zdjęcie. Usman mi je pokazał.

— I jaka była?

Kadi uśmiechnął się zakłopotany.

Kiedy tylko Najir zobaczył chłopaka, poczuł przyływ uczuć opiekuńczych. Otaczała go atmosfera czujności i bezbronnego wdzięku. Był niczym żyrafa na sawannie: uszy cały czas postawione w przewidywaniu

niebezpieczeństwa. I jak u żyrafy w jego postawie dawało się wyczuć smutek i dziwną wrażliwość.

Najir wpatrywał się smętnie w widok za oknem, zastanawiając się, co też skłoniło chłopaka, by zechciał starać się o rękę Nuf. Nacisk ze strony rodziny? Pieniądze? Miłość? Nie wydawał się typem mężczyzny, który rzuciłby się na oślep w małżeństwo, jeśli coś byłoby nie w porządku. Z czystymi brązowymi oczami i kwadratową szczęką był też uderzająco przystojny. Nietrudno było sobie wyobrazić, że kobiety ustawiają się w kolejce, aby go poślubić. Musiał istnieć jakiś powód, że wybrał Nuf.

— Wie pan, co się z nią stało? — zapytał Kadi.

— Jak powiedziałem, dopiero badamy sprawę.

— Sądziłem, iż policja uznała, że to był wypadek — wyszeptał.

— Rzeczywiście.

Jakiś pracownik otworzył drzwi biura, dostrzegł, że Kadi nie jest sam, przeprosił i wycofał się.

— Nic nie szkodzi, Da'ud — zawołał za nim Kadi. — Daj mi kilka minut.

— Przepraszam, że zajmuję ci czas — powiedział Najir.

— Nie ma o czym mówić — zapewnił go Kadi, unosząc dłoń. — Na pewno nie napiłby się pan kawy?

— Nie, dziękuję.

— Więc proszę usiąść. Mam dla pana tyle czasu, ile pan potrzebuje.

Najir wrócił do biurka, a Kadi za nim. Młodzieniec odsunął na bok podkładkę i oparł łokcie na blacie, jakby chciał powiedzieć: „Śmiało, proszę pytać”.

— Nie rozmawiałeś już potem nigdy z Nuf?

Kadi zacisnął wargi i utkwiał wzrok w blacie biurka. Jego spojrzenie mówiło: „Cofam to, co powiedziałem — proszę zapytać o coś innego”.

— Zawarcie małżeństwa to poważna decyzja — powiedział Najir. — Jesteś młody.

— Mam dziewiętnaście lat.

— Gdybym ja miał się żenić, i to tak wcześnie, starałbym się dowiedzieć o kobiecie jak najwięcej, zanim podejmę tego rodzaju zobowiązanie. — Zauważył, że Kadi się skrzywił. — To decyzja na całe życie. Chciałbym się upewnić, że postępuję słusznie, a potem upewnić się ponownie, zwłaszcza gdybym nie znał dziewczyny zbyt dobrze.

— W pewnym sensie ją znałem — odparł Kadi.

— Bawiliśmy się razem jako dzieci.

— I jaka wtedy była?

Wzruszył ramionami.

— Lubilem ją. Była piękna.

— To wszystko?

— Cóż... — Kadi uśmiechnął się z tęsknotą. — Pamiętam, jak pokonała mnie w grze w piłkę. byliśmy na dachu domu mego ojca. Mogła mieć wtedy ze sześć lat. Tak czy inaczej, przewróciła mnie na cement i zaczęła okładać pięściami. Zaskoczyła mnie. Jestem o trzy lata starszy, nie chciałem zrobić jej krzywdy. Wrzeszczała, że mnie zabije, jeśli jeszcze raz dam jej wygrać. — Roześmiał się. — Sądziła, że przegrałem umyślnie.

— A tak było?

— Nie. Pozwoliłem jej tak myśleć, lecz potem znowu mnie pokonała, a wtedy... — Spoważniał. — Cóż, byliśmy dziećmi, ale mogłem się obronić, jedynie rzucając ją na ziemię i okładając. — Potrząsnął głową.

— Krew pociekła jej z nosa. Do dziś nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem. Powiedziała mi później, że nie ma żalu.

— Była silną dziewczynką — zauważył Najir. Kadi nie zareagował, mówił więc dalej: — Ludzie zmieniają się z wiekiem. Gdyby chodziło o mnie, chciałbym się dowiedzieć, co z niej wyrosło.

Kadi zagryzł wargę.

— Posłuchaj — rzekł Najir — rodzina nie poprosiła mnie, bym tutaj przyszedł. Chciałem po prostu z tobą porozmawiać. Jej bracia... cóż, byli starsi. Nie znali jej tak dobrze. Miałem nadzieję, że będziesz w stanie powiedzieć mi coś więcej. Przy tobie zachowywałyby się inaczej, prawda?

— Nie prosili, by pan tu przyszedł?

— Nie. I nic im nie powiem. Masz moje słowo.

— No dobrze — powiedział Kadi cicho. — Zadzwoń do niej raz czy dwa. — Spojrzał na Najira.

— Nie było tak, jak pan myśli.

— I jaka była podczas tych rozmów?

— Była... sam nie wiem. Słodka? — Na jego twarzy pojawił się na moment tajemniczy wyraz. Przemknął po niej cień uśmiechu. — Zapytała, czy lubię psy, a ja powiedziałem, że tak. I chciała wiedzieć, czy zabiorę ją do Nowego Jorku na miesiąc miodowy. Skłoniła mnie, żebym jej to obiecał. — Roześmiał się cicho. — Z początku trochę mnie to zmartwiło, bo wydawała się bardzo podekscytowana, lecz potem powiedziała, że zawsze marzyła, by tam pojechać, i że chciałaby, abym był przy niej, gdy to marzenie wreszcie się spełni.

Najir miał nadzieję, że wyraz jego twarzy nie zdradza tego, co czuje. Sprawa zaczynała go przerastać — ten wysoki rozważny, troskliwy mężczyzna miał wyruszyć do Nowego Jorku z nowo poślubioną żoną, nie domyślając się, że ta zamierza go opuścić... Wydawało się niemożliwe,

by mógł ją zabić. Nawet jeśli podejrzewał, że jest wykorzystywany, nie byłby to dla niego wystarczający motyw.

— O czym jeszcze rozmawialiście? — zapytał.

— Głównie o Nowym Jorku: co będziemy robili, gdzie się zatrzymamy... Ciągle mnie wypytywała, czy to będzie w porządku, jeśli zostawi twarz odsłoniętą i będzie nosiła jedynie chustę.

— I co odpowiedziałeś?

— Zapewniłem, że to nie problem. Chciałem, by zobaczyła Nowy Jork. Nie tylko przez otwór w nikabie.

Najir spuścił wzrok, by ukryć, że aż się skrzywił. Sytuacja z każdą chwilą stawała się bardziej nieprzyjemna. Czuł, że gniew powraca, a wszelkie współczucie, jakie miał dla Nuf, wydaje się żałośnie chybione. Musiał przypomnieć sobie, że została prawdopodobnie zamordowana i że jeśli ktokolwiek ma prawo czuć się przez nią upokorzony, to tym kimś jest Kadi.

— Mam świadomość, że była piękna i pociągała cię jej uroda. Ale dlaczego chciałeś ją poślubić? — zapytał. — Musiało być w niej coś szczególnego.

Kadi uśmiechnął się ciepło i skinął głową.

— Tak, była piękna i to mnie w niej pociągało. A kiedy zacząłem bliżej ją poznawać, wydała mi się radosna. — Podniósł wzrok. — Spośród moich kuzynek tylko ona śmiała się tak beztrosko i nie paplała w kółko o tym co słuszne, a co nie. Opowiadała o swoich psach, spacerach po plaży i jeźdźeniu na skuterze wodnym dla zabawy. Nie była przy tym wcale głupiotka, raczej... doskonale wyważona. — Przycisnął dłonie do ust.

Najir widział, że chłopak głęboko przeżywa stratę i nadal bardzo cierpi. Powstrzymując łzy, Kadi przeprosił i wszedł do przyległej łazien-

ki. Zaskoczony Najir uświadomił sobie, że bardzo mu współczuje. Kadi rozmawiał z dziewczyną kilka razy przez telefon, widział ją zaledwie raz, i to w nikabie, a przecież był do niej głęboko przywiązany. Do niej albo do obrazu, jaki stworzył sobie w wyobraźni. Dlaczego miałoby być inaczej? Znali się jako dzieci. Miała zostać jego żoną. Z pewnością już myślał o niej jak o żonie.

Kadi wrócił po chwili. Czerwone obwódki wokół oczu świadczyły, że płakał. Usiadł za biurkiem i przeprosił za to, że zostawił gościa samego. Najir dał mu trochę czasu, nim zadał kolejne pytanie.

— Kiedy się dowiedziałeś o jej... postępku?

Kadi złożył na kolanach niespokojne dłonie.

— Ojciec powiedział mi podczas pogrzebu.

— Rozumiem. Dość późno. Nie miałeś przedtem o niczym pojęcia?

Kadi zmarszczył brwi.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Możesz mi powiedzieć, gdzie byłeś tego ranka, kiedy zniknęła?

— Byłem... cóż, u nich w domu.

— U Asz-Szarawich?

— Tak. Podrzuciłem kolejną część posagu. — Zerknął nerwowo na Najira i dodał: — Byłem tam zaledwie piętnaście minut. Usman może potwierdzić.

— O której?

— Około południa. Nie sądzi pan chyba, że mam z tym coś wspólnego?

— A dokąd pojechałeś później?

— Wróciłem tutaj. Lecz najpierw się zatrzymałem, żeby zjeść obiad, i trochę pojeździłem. — Siedział spięty, z założonymi na piersi rękami. — Nie miałem nic wspólnego z jej ucieczką, chyba pan o tym wie.

— Jak długo cię nie było?

— Około godziny. Jak co dzień w porze obiadu. Może pan zapytać kogokolwiek.

— Zatem nikt nie jest w stanie dać ci alibi na czas, kiedy Nuf zniknęła.

Kadi westchnął i pochylił się w przód.

— Nie — powiedział. — Sądziłem, że po prostu chce pan się dowiedzieć o niej czegoś więcej.

— Bo tak jest — odparł Najir łagodnie. Wywieranie na chłopaka presji nie sprawiało mu przyjemności, choć Kadi najwidoczniej dobrze to znosił. — Musisz jednak przyznać, że to ty tracisz najwięcej z powodu jej postępuku. Gdyby ktoś się dowiedział, co zamierzała zrobić, mógłby ci o tym powiedzieć...

— Tylko po co?

— Żeby cię powstrzymać przed poślubieniem jej.

Kadi potrząsnął ze smutkiem głową.

— A ja w odpowiedzi miałbym ją porwać? To szaleństwo. — Spojrzał Najirowi w oczy. — Gdybym chciał odwołać ślub, tobym to zrobił. Po prostu.

Miał rację — byłoby to proste, a gdyby ktoś zapytał, dlaczego zmienił zdanie, mógłby wymyślić tysiąc powodów. Nie był gotowy. Dziewczyna przestała mu się podobać. Nikt by nie winił dziewiętnastolatka za to, że się zawahał. Narzeczoney, który by porwał Nuf, musiałby być męż-

czyzną aroganckim i dumnym, kimś, kto by się poczuł jej postępkom głęboko urażony. Kadi taki nie był.

TLR

ROZDZIAŁ 12

Ledwie Katia otworzyła drzwi, jazgot włączonego blendera niemal ją ogłuszył. Westchnąwszy, zdjęła buty, rozwiązała chustę i odłożyła abaję oraz torebkę na stolik do kawy. Niemal natychmiast dokuczliwy dźwięk ucichł.

— Wróciłam!—zawołała.

Ojciec pojawił się w drzwiach kuchni, trzymając w dłoni oszronioną szklankę z jakimś napojem.

— To dla mnie? — spytała.

— Jeśli masz ochotę.

Opadła na sofę i wyciągnęła rękę. Zupełnie jak pisklę w gnieździe, pomyślała. Ojciec podszedł i spoglądając na córkę z góry, podał jej szklankę.

— Jak było w pracy?

— Dobrze — odparła. Skinął głową i wrócił do kuchni.

— Dziękuję, abi — zawołała za nim.

— Usman dzwonił po południu.

Czekała. Napój chłodził jej dłonie. Abu milczał. Wstała więc i ruszyła do kuchni. Stała w progu. Ojciec odkręcił kran i zaczął myć naczynia.

— Co dziś robiłeś? — spytała. Nie odpowiedział. Spróbowała ostrożnie napoju. Był dziwny i smakował ziemiście, jakby dodano do niego trawy. Mimo to przełknęła. — Co na obiad? — spytała.

Wzruszył ramionami.

— Lodówka jest prawie pusta, mamy jednak kilka jajek.

Była tak głodna, że mogłaby zjeść sama karton jaj, lecz gdyby poprosiła, żeby je ugotował, powiedziała: „Zrób to sama”.

Frustracja spowodowana zmęczeniem zaczynała dawać się jej we znaki. Kiedy zaczynała ponad roku temu pracę, fakt, że ma posadę, dostarczał jej tyle radości, że nigdy nie czuła się zmęczona, a jeśli nawet, było to miłe zmęczenie połączone z uczuciem głębokiej satysfakcji. Dziś natomiast była po prostu wyczerpana. Wstała przed szóstą rano i nie miała już siły, by iść do sklepu czy ugotować obiad. Ojciec powinien był to zrobić.

Jest na emeryturze, pomyślała sfrustrowana. Ma do dyspozycji cały czas. Kiedy na niego spojrzała, uświadomiła sobie, że choć czasu ma dużo, z pewnością brakuje mu energii. Coś go dręczyło, i nie chodziło tylko o Usmana.

Po śmierci matki Katii zrezygnował z pracy w zakładach chemicznych i odszedł na emeryturę. Niemal w ciągu jednej nocy jego szpakowate włosy zupełnie zbieleły, bystre czarne oczy przestały być tak bystre, a ciało, kiedyś wysokie i krzepkie, zaczęło się kurczyć i jakby zapadać. Może chodziło o to, że nie nosił już dobrze skrojonych garniturów, a tylko domową abaję. Sprawiało to, że wydawał się zaniedbany.

Skoro nie pracował, brakowało im pieniędzy. Emerytura nie wystarczała na pokrycie wydatków. Na szczęście mieli na własność mieszkanie, apartament z dwoma sypialniami w domu bez windy położonym w starej części miasta. Zdarzyło się jednak, że nie byli w stanie zapłacić rachunków, a kiedy odłączono im telefon, Katia uznała, że czas rozejrzeć się za pracą.

Od lat udzielała korepetycji z chemii uczennicom pobliskiej szkoły średniej dla dziewcząt. Przychodziły parami z eskortującymi je opiekunami — zwykle byli to bracia albo kuzyni — którzy czekali, aż skończy się lekcja. Co jakiś czas, kiedy dziewczęta wychodziły, zdarzało jej się

słyszeć, jak opiekunowie zartują sobie; z nich, pytając: „Po co się uczysz chemii? Pomoże ci w gotowaniu? Bo nie pójdiesz przecież do pracy!”. Takie uwagi sprawiały jej przykrość — nie mniejszą niż uczennicom. Lubiła tę pracę: zachęcanie dziewcząt, by stały się kimś więcej niż tylko dobrymi kucharkami, było dla niej ważne. Poza tym zajęcie było nieźle płatne i mogła wykonywać je w domu. Od lat marzyła jednak o tym, by znaleźć posadę, która by jej pozwoliła lepiej wykorzystać posiadane umiejętności.

Uzyskała tytuł magistra biologii molekularnej na Uniwersytecie Króla Abd al-Aziza, alejak wszystkim jej koleżankom — i to nie tylko na tym wydziale — zdobyciu dyplomu towarzyszyła gorzko-słodką świadomość, że choć tak dużo osiągnęła, perspektywy zatrudnienia nie rysują się różowo. Brakowało zajęć dostępnych dla kobiet, zwłaszcza wykształconych. Pozwalano im pracować tylko w miejscach, gdzie nie musiały stykać się z mężczyznami, a przynajmniej nie na tyle często, aby zdążyły ściągnąć na siebie uwagę. W praktyce ograniczało to możliwości zatrudnienia do pracy w szkołach dla dziewcząt albo w szpitalach dla kobiet.

Tuż po zakończeniu edukacji podjęła pracę jako nauczycielka. Wytrwała w niej rok. Zbyt dużo pracy za zbyt marne pieniądze, poza tym po prostu nie potrafiła wzbudzić w sobie motywacji. Wolała spokojne zajęcia w laboratorium, gdzie nie musiała współdziałać przez cały czas z innymi i gdzie mogła doświadczać podekscytowania, które wiązało się z badaniami przeprowadzanymi w cichym, spokojnym i dobrze zorganizowanym otoczeniu. Wydawałoby się, że tego typu zajęć powinno być w kraju mnóstwo. Tylko że wszelkie posady związane z nauką dostawali w pierwszej kolejności mężczyźni. Sfrustrowana i coraz bardziej rozżalona Katia przez prawie dwa lata udzielała korepetycji z chemii oraz biologii.

A kiedy stało się jasne, że nie ma wyboru i musi znaleźć lepsze zajęcie, miejskie laboratorium kryminalistyczne otwarło przed kobietami drzwi. Złożyła podanie. Przyjęto ją natychmiast. Widocznie to, że była tak wykształcona, wywarło wrażenie. Perspektywa pracy w laboratorium

napelniała jej serce radością, nie wiedziała tylko, jak powie o tym ojcu. Nie podobało mu się, że uczy, a przecież odbywało się to w ściśle kobiecym otoczeniu. W laboratorium zaś, choć obowiązywała segregacja płci, istniała możliwość, iż przyjdzie jej zetknąć się od czasu do czasu z mężczyznami.

Przekazała mu nowinę z drzeniem serca. Siedzieli przy kuchennym stole, obierając marchew i popijając herbatę. Lodówka była pusta, piec nie działał, oboje czuli się przygnębieni. Gdy powiedziała mu o pracy, poderwał raptownie głowę i zmrużył oczy.

— Daj spokój, nie jesteśmy aż tak biedni — powiedział.

Sprawiło jej to przykrość tak dojmującą, że omal się nie rozplakała. Pozwolenie, aby kobieta pracowała, stanowiło akt desperacji skutkujący obniżeniem pozycji. Twarz Katii musiała wyrażać wielkie rozczarowanie, gdyż ojciec się wycofał.

— Zaczekaj — powiedział. — Czy właśnie coś takiego chciałabyś robić?

Skinęła głową, nie ufając sobie na tyle, by otworzyć usta.

— Skoro tak, to może... na jakiś czas... — Ledwie był w stanie to powiedzieć: — Weź tę pracę.

Uśmiechnął się smutno, kiedy łzy popłynęły jej po policzkach. Otarła je gniewnym ruchem dłoni zawstydzona, że nie zdołała zapanować nad uczuciami.

— Jeśli nie wyjdzie — dodał — zawsze możesz zrezygnować.

Skinęła ponownie głową, czując, jak zalewa ją fala ulgi. Choć tak naprawdę nie mieli przecież wyjścia, była mu wdzięczna, że wykazał dość siły charakteru, by nie dbać o to, co powiedzą inni. Zajęcie wykonywane poza domem musiało być ekscytujące, ale kryła się w tym też

kropla goryczy spowodowanej świadomością, że musiała iść do pracy z powodu biedy. Zawstydzalo to ojca.

Potem był już ostrożny. Powiedział jej, że jest dumny, iż znalazła tak dobrze płatne zajęcie, a także z tego, że jest biologiem molekularnym. Katia podejrzewała jednak, że głęboko w duszy nadal czuje wstyd. Objawiało się to niechęcią do wykonywania prac domowych. Każdego ranka zatrzymywał ją, gdy wychodziła. „Kto gotuje dziś obiad?” — pytał.

Obiecała, że nadal będzie gotować, utrzymywać dom w czystości, prac i robić zakupy, jak kiedyś jej matka. Wydawało się to rozsądne, bo mimo że podział zajęć był w oczywisty sposób niesprawiedliwy, z ojcem lepiej było postępować ostrożnie, krok po kroku. Na razie poparł jej decyzję i to wystarczało.

Poszła zatem do pracy. Chociaż przyzwyczajenie się do przebywania w pobliżu zmarłych wymagało czasu, cieszyło ją, że pomaga w wykrywaniu przestępstw. Z czasem ojciec uświadomił sobie, że córka nie ma dość sił, by robić wszystko sama, i przejął część domowych obowiązków. Teraz to on sprzątał i robił pranie. A także zakupy. Gotował jednak tylko wtedy, kiedy był naprawdę głodny, a choć miał dopiero sześćdziesiąt cztery lata, nie zdarzało się to zbyt często. Ma apetyt starca, myślała Katia, a ja mogłabym jeść za nas oboje.

Zdawała sobie sprawę, że ojciec jest przygnębiony — kto by nie był? Utracił przecież żonę, z którą przeżył trzydzieści lat, i porzucił miejsce pracy, gdzie spędził całe zawodowe życie. Miała nadzieję, że czas uleczy smutek albo przynajmniej sprawi, że stanie się on łatwiejszy do zniesienia. Czasami wracała do domu i czekał tam na nią cały posiłek — jagnięcina, ryż, oberżyna i chleb — a czasami było jak dziś: jajka w lodówce i eksperymentalny napój.

Ścisnęła szklanekę i zaczerpnęła głęboko oddechu.

— Rozmyślałam o sprawie Nuf przez cały dzień. — Ojciec odwrócił się i spojrzał na nią. Nadgarstki miał pokryte pianą z płynu do zmywania. — Zaczynam podejrzewać, że została porwana, tak jak mówił Usman.

Ojciec zmarszczył brwi. Widziała, że zмага się z sobą.

— Zastanawiam się, ile wie jej rodzina — powiedział.

Wzruszyła ramionami i odstawiła szklankę na blat.

— Usman powiedział mi wszystko, co było mu wiadome.

— Niech zgadnę: nie było tego za wiele.

— Stara się zapanować nad smutkiem. I jest taki zajęty w pracy... — Umilkła i machnęła dłonią, sygnalizując gestem, że mówiła już o tym nie raz. — Umyję się przed obiadem.

Wyszła z pokoju, mając nadzieję, że zapobiegnie w ten sposób nieuchronnemu krytykowaniu Usmana. Ojciec nie pochwalał jej planów małżeńskich. Przyjmowało to formę nieustannego cichego gderania, dziecinnej niemal dezaprobaty dotyczącej się narzeczonego i jego rodziny. Widziała, że martwi się o nią, o to, że Usman tak naprawdę wcale jej nie kocha albo że zmieni zdanie, odwoła ślub i porzuci ją, ponieważ jest bogaty i jeśli trafi mu się coś lepszego, będzie mógł zrobić, co zechce. Może ojciec nie potrafił po prostu uwierzyć, że osoba taka jak Katia — kobieta z klasy średniej zbyt stara na to, żeby w ogóle wyjść za mąż — warta jest miłości bogatego mężczyzny. Na myśl o tym robiło jej się nieswojo, ponieważ ją także dręczyły czasem wątpliwości. Czy Usman naprawdę ją kocha? Nie jest rozczarowany tym, że przyszła żona ma aż dwadzieścia osiem lat? A może zmieni zdanie, gdy będą już małżeństwem, i ją porzuci?

Lecz w obecności narzeczonego wątpliwości znikają. Może źródłem niepokoju ojca był on sam, a także staromodne przekonanie, że małżeństwo powinno zostać zaaranżowane przez rodziców. A on nie mógł się

równać z Asz-Szarawimi. Fakt, że młodzi sami się odnaleźli i zaręczyli, dodatkowo obniżył jego status, odbierając mu kartę przetargową.

Poznała Usmana za pośrednictwem swojej najlepszej przyjaciółki Maddawi, która wyszła za jego bliskiego kuzyna i sama była daleką kuzynką Asz-Szarawich. Wesele odbywało się zgodnie ze ściśle przestrzegana zasadą segregacji w należącym do rodziny wielkim podmiejskim domu. Katia wymknęła się na wąski balkon, by uciec od kakofonii głosów pięciuset gości, i natknęła się tam na Usmana. Kiedy zobaczył jej odkrytą twarz, nie odwrócił wzroku. Spojrzał Katii w oczy i uśmiechnął się — jak sądziła, ze smutkiem. Przedstawił się, zapytał, jak Katia się nazywa, i uściśnął jej dłoń. Jego opanowanie i spokojna pewność siebie wywarły na niej wrażenie. Z początku trochę się denerwowała, nie wiedząc, czego się spodziewać, ale nawiązali rozmowę w sposób tak naturalny, jakby byli rodziną, i przegadali dwie godziny, nim musiał wyjść. Zastanawiała się potem, jak to możliwe, że śmiali się jak starzy przyjaciele i opowiadali sobie o krewnych historie, których z całą pewnością nie zdradzili przedtem nikomu innemu.

Zaczęli się spotykać i trwało to kilka miesięcy. Jeździli jego samochodem, gdyż mogli w nim rozmawiać, nie obawiając się policji religijnej. Spotykali się także w zatłoczonych centrach handlowych. Klimatyzacja umożliwia w miarę przyjemny pobyt, a w tłumie klientów szansa na to, że natkną się na kogoś znajomego, była doprawdy znikoma. Z początku uznała, że Usman jest atrakcyjny w cichy, nie narzucający się sposób, a po jakimś czasie przekona się, że nie ma wobec niej seksualnych zamiarów. Był typem mężczyzny, który potrafi patrzeć kobiecie w twarz, uściśnąć jej dłoń i przedstawić się, nie podniecając się przy tym ani trochę. Był serdeczny, zabawny i cudownie się z nim rozmawiało, podejrzewała jednak, że tak naprawdę jest oziębły. Aczkolwiek niechętnie, musiała spojrzeć w końcu prawdzie w oczy: ten nowoczesny wykształcony mężczyzna, który mógł się spotkać z kobietą w miejscu publicznym i nie uważać jej za dziwkę, nie miał w sobie dość ognia, by stworzyć związek oparty na namiętności.

Kiedy po czterech miesiącach znajomości zabrał Katię na przejażdżkę, zatrzymał samochód na pustym kawałku autostrady i wreszcie ją pocałował, pomyślała, iż może się myli. Miał w sobie namiętność, ale był mężczyzną ostrożnym i powolnym w działaniu. Polubiła go za to jeszcze bardziej. A kiedy po kilku tygodniach zaproponował jej małżeństwo, przyjęła oświadczyzny.

Oczywiście spotkanie się z nieżonatym mężczyzną w miejscach publicznych było skandalem. Nie wspomniała o tym ojcu, nawet gdy ujawniła mu swoje plany małżeńskie. Powiedziała po prostu, że poznała Usmana podczas wesela, spodobała mu się i podtrzymywali później znajomość przez telefon. Czuła, że ojciec jej nie wierzy, lecz nie była w stanie się zmusić, aby powiedzieć prawdę. Pod niektórymi względami ojciec był bowiem nadal rozpaczliwie staromodny: nalegał, żeby nosiła zasłonę, gdy odwiedzali go przyjaciele (znani mu od czterdziestu lat), i czynił niemiłe uwagi na temat dwóch kuzynek, które same wybrały sobie mężów. Ale czasy się zmieniały i wraz z nimi zmieniał się ojciec, acz niechętnie: poparł jej plany zawodowe, a nawet wykonywał domowe obowiązki. Miała nadzieję, że niechęć względem Usmana wynika po prostu z przywiązania do tradycji.

Czasami podejrzewała również, iż tylko fakt, że miała już dwadzieścia osiem lat, powstrzymał go przed tym, aby zabronić jej wprost zamążpójścia. Zdaniem ojca — i niemal wszystkich znajomych — miała szczęście, znalazłszy w tym wieku mężczyznę, który nie miał już trzech żon i szesnastki dzieci.

Weszła do łazienki i przymknęła drzwi. Odkręciła kran, spięła włosy i już miała się pochylić nad umywalką, gdy zobaczyła w lustrze odbicie twarzy ojca.

— Szkoda dziewczyny — powiedział, otwierając kosz i wyjmując brudną bieliznę. — Mówiłaś, że była inteligentna. Podejrzewam, że miała przed sobą wspaniałe życie.

— Ja też tak uważam. — Umywalka napełniła się wodą, Katia zamknęła więc kran i wyciągnęła sitko pokryte włosami i mydłem. Oczyszczyła je, wyrzuciła kłęb włosów do kosza i umyła szybko ręce.

— Jak myślisz, kto ją uprowadził? — zapytał ojciec.

— Nie mam pojęcia.

— Żadnych podejrzanych?

— Na razie żadnych — odparła. — Z tego co wiemy, po prostu uciekła.

— Ty tak nie uważasz.

Katia nie odpowiedziała.

Ojciec oparł się o framugę, zarzuciwszy sobie na ramię stertę brudnych ręczników.

— Chyba ta ucieczka musiała się wiązać z faktem, że Nuf była w ciąży. Kogo najbardziej wytrąciłoby to z równowagi? Jej matkę? Ojca? Ja sędzę, że samą Nuf.

Katia przytaknęła. Pytanie ojca dotknęło czającego się w głębi serca lęku, który prześladował ją od chwili, gdy się dowiedziała, że dziewczyna była w ciąży: a jeśli została zgwałcona? Nie w dniu zniknięcia — ciąża była przecież zaawansowana — lecz przed kilkoma tygodniami. I jeśli odkrycie, iż będzie miała dziecko, okazało się dla niej na tyle przerażające, że skłoniło ją do ucieczki? Katia widziała Nuf na dwa tygodnie przed zniknięciem. Musiała być już wtedy brzemienna. Wyglądała jak zawsze, być może skrywała jednak rozpacz i cierpienie.

Na ciele nie było co prawda śladów gwałtu — zaleczonych ran i siniaków.

— Może masz rację — powiedziała. — Nuf byłaby zdenerwowana. Ale nie wydawała się typem samobójczyni, a zadrapania na nadgarstkach świadczą, że nawet jeśli uciekła, przedtem z kimś walczyła.

— Możliwe — zgodził się z nią ojciec. — Tyle że nie podoba mi się, jak w tej rodzinie wychowuje się dzieci. Wiesz o tym, nie będę się więc powtarzał, powiem tylko, że być może Nuf stała się ofiarą takiego wychowania.

— Co masz na myśli?

— Może chciała ukarać się bardziej, niż zrobiliby to inni. Asz-Szarawi mają bzika na punkcie tego, by wszyscy uważali, że przestrzegają reguł z żelazną konsekwencją. Muszą tak postępować, to ich zawód. Biorą od wszystkich pieniądze w imię Boga, muszą więc być cnotliwi i absolutnie bez skazy. Może to stwarzać niemałą presję, zwłaszcza u dziewczyny o buntowniczej naturze.

Katia wpatrywała się w duże brązowe oczy ojca. Miał rację: w pewnym sensie Asz-Szarawi żyli rzeczywiście pod presją. Jednak prostota, z jaką opisał właśnie Nuf, zafascynowała ją. Czy ojciec naprawdę sądzi, że Nuf była zwyczajną dziewczyną o buntowniczej naturze? Zabrzmiało to tak, jakby uważał ją za czarującą i w gruncie rzeczy niewinną.

I mówił to ten sam mężczyzna, który w innych okolicznościach nazywał Nuf łobuzicą i złą dziewczyną. Emerytura sprawiła najwidoczniej, że złagodniał. Katia pamiętała, jaki był rozgniewany, gdy przez kilka tygodni aranżował dla niej małżeństwo, a ona odmówiła poślubienia mężczyzny, którego dla niej wybrał. Nie rozmawiał z córką przez cały dzień, a kiedy się wreszcie odezwał, nagromadzona frustracja wybuchła z całą siłą, skłaniając go do wygłoszenia płomiennej tyrady, w której nazywał ją „paskudną niewdzięcznicą” i ostrzegał, że stanie się „kobietą bezużyteczną”. Ciekawe, jak by określił mnie dzisiaj, pomyślała.

— Może masz rację — powiedziała.

Po minucie, gdy osuszała twarz ręcznikiem, spostrzegła, że ojciec nadal stoi w drzwiach, spoglądając na nią ze smutkiem w oczach.

— Nie przyrządzisz mi jajek? — spytała.

Wyprostował się i zrobił srogą minę, lecz potem się uśmiechnął.

— Robię pranie — powiedział. — Twoja kolej gotować.

Wróciła do kuchni, zdjęła pierścionek zaręczynowy i położyła go ostrożnie na parapecie. Dokończyła zmywanie, zastanawiając się, jak porozmawiać z ojcem o Nuf i nie wspomnieć przy tym o Usmanie. Ta sprawa rzeczywiście nie dawała jej spokoju. Z kim Nuf walczyła przed zniknięciem? Z osobą, która uderzyła ją w głowę? Dlaczego znaleźli na jej nadgarstku nawóz?

I wióry w ranie na głowie? Wskazywało to na coś więcej niż tylko przypadkowe utonięcie i Katia czuła się w obowiązku powiązać wszystkie fakty — jeśli nie po to, by udowodnić, że popełniono morderstwo, to przynajmniej po to, aby przekonać siebie — i Usmana — że był to naprawdę wypadek.

Jakkolwiek by się jednak starała, każda teoria na temat Nuf spowodowałaaby ojca do poruszenia tematu jej narzeczeństwa albo co gorsza, pracy.

Po kilku minutach ojciec dołączył do niej w kuchni. Przechylił się przez blat i wziął do rąk szklanę z napojem.

— Nie smakował ci?

— Był w porządku — odparła. Nastrój ojca poprawił się wyraźnie, odkąd wróciła, i zaczęła się zastanawiać, jak bardzo musiał się czuć samotny, gdy była w pracy. — Jak minął ci dzień? — spytała ponownie.

Wzruszył ramionami.

— Dobrze. — Podszedł i stanął obok niej przy zlewie. — Ten kolega już ci nie dokucza, prawda?

— Nie, wszystko w porządku — odparła. Miał na myśli Kasima, technika laboratoryjnego z męskiej sekcji, który wszedł pewnego dnia do kobiecej części laboratorium i zażądał, by pracujące tam kobiety zaczęły nosić skarpetki. Widok tyłu odsłoniętych kostek nie pozwalał mu czuć się swobodnie.

— Mężczyźni często zachodzą do sekcji dla kobiet? — zapytał ojciec.

— Nie, abi, to nie tak. I nie przejmuj się. Zakładają nam zamek w drzwiach.

— Nie stykasz się więc z mężczyznami?

— Nie. — Pomyślała z poczuciem winy o Mamunie i Najirze. Tak, stykała się z mężczyznami, ale Mamun był zrzedliwym starym patologiem, a Najir jakby się nie liczył. Był na usługach Asz-Szarawich, a sądząc po tym, co mówił o nim Usman, był też kimś w rodzaju świętego

beduińskiego przewodnika. Co kilka miesięcy zabierał Usmana na pustynię, by jednoczyli się tam z naturą.

Otworzyła lodówkę i zajrzała do wnętrza. Rzeczywiście nie było w niej nic prócz jajek. Wyjęła z opakowania cztery, postawiła na kuchence patelnię, włączyła palnik i nalała na patelnię sporą porcję oliwy. Musiała przyznać, że nim poznała Najira, intrygowało ją to, co mówił o nim Usman. Opisywał go bowiem jako postać czystą i szlachetną, romantycznego beduina. Tymczasem okazał się niczym surowy mufti. Nie był w stanie odezwać się do niej, by się nie zarumienić, nie patrzył jej w oczy i zasłabł na widok ciała Nuf, jakby zobaczył samego diabła. Najir należał ewidentnie do mężczyzn, którzy zatrzymują kobiety na ulicy, zarzucając im, że nie noszą rękawiczek i że zbyt duży fragment twarzy widać im przez nikab.

Spotkanie z Najirem powinno było ją skłonić, by doceniła tym bardziej Usmana, tymczasem podsyciło tylko jej obawy. Czy Usman rzeczywiście tak beztrósco dobiera sobie przyjaciół? I czy Najir tak bardzo różni się od Usmana? Może jest istotnie wzorem duchowości inspirującym jej narzeczonego? W pewnym sensie napawało ją to rozgoryczeniem — tylko mężczyźni mogli sobie pozwolić na luksus niezastanawiania się, czy ich przyjaciel jest człowiekiem religijnym i prawomyślnym.

Ojciec stał tuż obok. W milczeniu czekali, aż jajka się usmażą. Kiedy były gotowe, zsunęła je sprawnie na talerze, odstawiła patelnię do zlewu i zgasiła palnik. Ojciec popatrzył na jej ręce i powiedział:

— Przypominasz swoją matkę. Trzymasz patelnię tak samo jak ona.

Smutek ścisnął Katię za gardło, uniemożliwiając odpowiedź. Matka nie żyła od z górą dwóch lat, a ona nadal nie potrafiła myśleć o niej bez bólu. Kiedy pozwalała sobie dłużej ją wspominać, to że nie będzie na jej ślubie, budziło w sercu Katii nieuchronny żal. Matka, która nie była w stanie urodzić więcej niż jedno dziecko, pragnęła wnuków — i to wielu.

Wierzyła, iż małżeństwo stanowi cel istnienia kobiety, i niechęć Katii do zamążpójścia stanowiła dla niej źródło głębokiego niezadowolenia.

Zjedli we względnej ciszy, a po posiłku usiedli razem na patio z widokiem na ulicę. Ojciec spojrział z lekką naganą na odsłoniętą twarz córki, a ona wymamrotała coś o tym, iż jest zbyt zmęczona, by wejść do domu i poszukać nikabu.

Na ulicy nie było już tłumów, sprzedawcy zwinęli kramy i odjechali. Teraz spacerowali po niej tylko miejscowi. Niektórzy pozdrawiali jej ojca, wykrzykując powitania albo machając do niego, inni odwracali pośpiesznie wzrok, by nie zobaczyć odsłoniętej twarzy Katii. Liczyła ich — mężczyzn, którzy nie przywitali się z przyjacielem, ponieważ była tam ona, a spojrzenie na nią było równie niebezpieczne jak wpatrywanie się w tarczę słońca — i doliczyła się czterech, zanim wróciła przygnębiona do wnętrza.

Schroniła się w swojej sypialni i postanowiła zadzwonić do Usmana. Chciała go powiadomić o odkryciu, iż skóra i krew pod paznokciami Nuf nie należały do niej, ale do innej osoby. Odkładała rozmowę, ponieważ nie była pewna, jak mu powiedzieć, że Nuf z kimś walczyła. Musiała już poinformować go o śmierci siostry, a później o tym, iż była w ciąży. Nie chciała, by zaczął ją kojarzyć z okropnymi nowinami. Teraz ilekroć wspomniała Nuf, natychmiast milkł. Wiedziała, że śmierć siostry głęboko go poruszyła i że Usman nie jest osobą ujawniającą swoje uczucia, martwiło ją wszakże, iż zupełnie nie chce o tym rozmawiać. Wyobrażała sobie, że cierpi bardziej, niż chciałby przyznać.

Gdy odebrał telefon, miał zmęczony głos. Przeprosił, że nie zadzwonił, ale uczestniczył przez cały czas w spotkaniach.

— Chcę się z tobą zobaczyć — powiedział. — Moglibyśmy spotkać się jeszcze w tym tygodniu?

Zgodziła się z ulgą. Rozmawiali podczas pogrzebu, lecz nie widzieli się. Przedtem spędził dziesięć dni na pustyni, szukając Nuf. Ona zaś czuła się jak zombie — prawie nie spała, zamartwiając się o niego.

Chwilę trwało, nim zdobyła się na odwagę, aby powiedzieć mu o tym, co znalazła pod paznokciami Nuf. Zamilkł, jak się spodziewała, a ona natychmiast poczuła się winna. Mogłam poczekać z tym do jutra, pomyślała. Potem usłyszała, że Usman wzdycha.

— Przepraszam — powiedział. — Myślałem o tym przez cały dzień. Naprawdę doceniam, że nam pomagasz.

— To żaden kłopot.

— Cóż, i tak to doceniam.

— Domyślasz się, z kim mogła walczyć?

— Nie — zaprzeczył stanowczo. — Absolutnie.

— Jeszcze jedna sprawa — powiedziała — i dam ci na dziś spokój. Chciałabym dostać próbkę DNA jej opiekuna. Możesz z nim porozmawiać?

— Po co ci DNA?

— Uważam, że jeśli ktokolwiek ją porwał, to musiał być on. Chciałabym porównać jego DNA z próbkami spod paznokci.

— Dobry pomysł — rzekł Usman. — Ale on mnie nie lubi, wiesz o tym. Lepiej by było, gdyby rozmawiał z nim Najir. I tak zamierza to zrobić. Może już u niego był. Pozwól, że dam ci numer jego komórki.

Zapisała niechętnie numer, choć miała ochotę zaprotestować. Nie chciała dzwonić do Najira. Należał z pewnością do tych mężczyzn, którzy nie rozmawiają z kobietami przez telefon.

— Zadzwoń do niego — powiedziała jednak tylko — skoro uważasz, że to w porządku.

— Oczywiście. Jest może odrobinę staromodny, lecz jeśli wyjaśnisz mu, czego potrzebujesz, z chęcią nam pomoże.

Była pewna, że tak się nie stanie, nie pozostało jej wszakże nic innego, jak tylko spróbować.

— Jeśli nie odbierze — dodał Usman z wahaniem — będziesz musiała pójść do niego na łódź. Albo wysłać kierowcę.

— Och, nie mogłabym.

— Uwierz mi, wszystko będzie w porządku. Ufam ci.

Cieszyło ją, że Usman uważa, iż jest cnotliwa, lecz nie na tym polegał problem.

— Najir się przestraszy, jak mnie zobaczy — powiedziała. Pomyśli, że absolutnie brak jej przyzwoitości.

— Wiem, że to nie do końca stosowne, Najir czasami nie odbiera jednak telefonu przez kilka dni z rzędu. To bardzo frustrujące, jeśli chce się z nim porozumieć.

Katia milczała.

— Idź po prostu z eskortą — nalegał Usman — i w hidżabie. To powinno wystarczyć. Najir jest bardzo beduiński, jeśli chodzi o kobiety, ale to dobry człowiek. Zrozumie.

Chciała wyjaśnić, jak okropnym przeżyciem byłoby dla niej pójść na łódź Najira — zawsze uważała za poniżające, kiedy mężczyźni ją ignorowali, nie patrzyli jej w oczy i traktowali ją, jakby była prostytutką tylko dlatego, że ośmieliła się coś powiedzieć. Lecz Usman cenił przyjaciela tak bardzo, że nie chciała źle p nim mówić.

— Zadzwonię do Najira — obiecała.

Tej nocy śniła o pieczeniu ciasteczek, ciepłych i bardzo słodkich, jakie piekła często jej matka. Kiedy zaczęła jeść, matka stanęła w drzwiach

kuchni i ostrzegła ją, by nie zjadła zbyt wiele. „Mężczyźni nie lubią, kiedy kobieta jest tłusta — powiedziała — przynajmniej nim nie urodzi kilkorga dzieci. Jeśli kobieta jest gruba już przedtem, uważają, że je za dużo. Pochłonie wszystko,

nienażarte babsko, nawet jedzenie dla dzieci, i będą chude, opóźnione w rozwoju, przynosząc wstyd ojcu. Co z niej będzie za matka?”. W końcu Katia zaczęła płakać.

TLR

ROZDZIAŁ 13

Najir wrócił na przystań po tym, jak spędził ranek, szukając Erica Scarsberry'ego. Odwiedził trzy amerykańskie osiedla, lecz na próżno. W drodze między jednym a drugim rozmyślał nieustająco o tym, czy Nuf miała amerykańskiego kochanka. Wspominał także, jak jego ludzie roztrząsali tę kwestię na pustyni. Pewnego wieczoru przy ognisku jęli zastanawiać się głośno, co powinien powiedzieć mężczyzna, chcąc uwieść dziewczynę taką jak Nuf: „W Ameryce możesz chodzić na zakupy, kiedy tylko zechcesz” i „w Ameryce możesz mieć własny samochód!”. Ale Najirowi utkwiło w pamięci inne zdanie: „W Ameryce mężczyzna nie może wziąć sobie drugiej żony”.

Każda wzmianka o drugiej żonie natychmiast przyciągała jego uwagę. Wyobrażał sobie, że dziewczynie fakt, iż pozostanie jedyną żoną, wydawał się zapewne nieodparcie pociągający, a rozpatrując sprawę pod tym kątem, Nuf mogła mieć powód, aby nie chcieć saudyjskiego małżeństwa. On sam odrzucał ideę wielożeństwa. Koran zezwalał na posiadanie czterech żon pod warunkiem, że będą traktowane dokładnie tak samo. Zdaniem Najira był to po prostu inny sposób zabrania poligamii, bo czyż mężczyzna byłby w stanie traktować cztery kobiety dokładnie tak samo? Poświęcać każdej co dzień tyle samo uwagi, dawać tyle samo pieniędzy, sprawić, by miała tyle samo dzieci? Zapewnić takie same pocałunki? Seks? Mężczyzna obdarzony podobną siłą żywotną prawdopodobnie nie mógłby się zajmować niczym innym. Kiedy znalazłby czas na pracę? Na wychowywanie dzieci? Na modlitwę? Było to śmieszne, a przecież spotykał co i rusz takie rodziny, mężczyzn lawirujących pomiędzy czterema żonami i dwudziestką dzieci. Widywał, jak urządzają pikniki w Corniche. Dzieci biegały dookoła niczym dzikie plemię, a żony przygadywały sobie, rozkładając olbrzymie plody i rozstawiając kuchnię z piecykami i tuzinami przenośnych lodówek. Siadywał na ławce i przyglądał się opatulonym od stóp do głów żonom, próbując zgadnąć, czy

mąż rzeczywiście traktuje wszystkie tak samo. W większości przypadków siadywał na osobnym kocu z innymi mężczyznami, z dala od rodzinnego zgiełku. Jeśli dzieci zbliżały się do niego, czyniły to z drzeniem. Kobiety nigdy doń nie podchodziły, chyba że po to, by przynieść jedzenie. On zaś ignorował je wszystkie. Jednakowo.

Nieważne, jak często takie rodziny widywał, jak bardzo zwyczajne się wydawały — za każdym razem widok mężczyzny z czterema żonami wielce go irytował. Uważał, że to niesprawiedliwe, by niektórzy mogli mieć cztery żony, podczas gdy inni nie mają żadnej.

Wyczerpany południowym upałem wprowadził samochód na parking przy marinie. Zwykle parkował w cieniu, choć był go tam tylko skrawek wędrujący wraz z porą dnia. Mieszkał na przystani dłużej niż inni, dlatego zazwyczaj zostawiano dla niego miejsce w cieniu walącej się szopy. Nie liczyło się, że samochód stał w cieniu zaledwie przez godzinę ani że był najstarszym gratem na parkingu. Życzliwość sąsiadów nieodmiennie go poruszała. Dzisiaj wszakże inny wóz zajął miejsce przeznaczone dla jeepa Najira. Była to czarna toyota z nowymi tablicami i Koranem na desce rozdzielczej.

Stał przez chwilę, przyglądając się z zaciekawieniem samochodowi. Może miał nowego sąsiada. Biznesmena albo weekendowego żeglarza.

Kiedy szedł po chwiejącym się molu, stare drewno trzeszczało pod ciężarem jego ciała, a łódki kołysały się w rytm jego kroków. Idąc, przyglądał się rzędom łodzi, szukając jednostki nowego sąsiada, lecz zamiast tego dostrzegł na pomoście kobietę. Nie mógł zobaczyć, kim jest, miała bowiem na sobie czarną abaję i zasłonę na twarz. Widać było tylko jej oczy.

Kiedy spostrzegła Najira, wyprostowała się i wiedział już, że to panna Hidżazi. Nie znał innych kobiet, a ona go poznała. Co tu robiła? Omal się nie potknął o zwój lin. Gdy podszedł bliżej, rozpoznał jej oczy i kształt ramion. Czekala, aby przemówił pierwszy.

— Panno Hidżazi — powiedział.

— Panie Asz-Szarki — odparła, nie wyciągając ku niemu dłoni. Wpatrywała się przez chwilę w płaszcz Najira, mierząc go spojrzeniem, lecz nic nie powiedziała.

— *Ahlan wa-sahlan* — powitał ją, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Jeśli zobaczą ją sąsiedzi, zaczną się plotki, kto wie, mogą nawet wezwać policję religijną, nie miał jednak gdzie jej ukryć, a zaproszenie kobiety do łodzi nie wchodziło w grę. Byłoby jak zaproszenie jej do łóżka. Już to, że stał tuż obok, sprawiało, że czuł się winny.

— Gdzie Usman? — zapytał, zerkając na łódź Madżida.

— W pracy.

— Wie, że pani tu jest?

— Tak, dał mi adres.

— Naprawdę?

— Przepraszam. Próbowałam zadzwonić, lecz pański telefon nie odpowiadał.

Wyjął komórkę z kieszeni. Była wyłączona.

— Nie ma pani eskorty?

— Mam kierowcę — odparła z lekka zaniepokojona.

— Gdzie on jest?

— Poszedł na spacer.

Nie powiedział nic więcej. Kobieta spuściła wzrok.

— Nie przyszłam tu z niewłaściwych powodów, panie Asz-Szarki. Opiekun i kierowca zna mnie od dzieciństwa. Ufa mi.

Usłyszał dobiegający z sąsiedniej łodzi hałas. To pobudziło go do działania.

— Proszę za mną — powiedział, ruszając w dół pirsu. — Moja łódź jest tam.

Z odległości czterdziestu metrów „Fatima” przedstawiała się imponująco. Był to jacht typu Catalina, dziewięciometrowy, z jaskrawoczerwonym grotem i kliwrem o barwie morskiego błękitu zwiniętymi ciasno wokół masztów. Kiedy się zbliżyli, Najir uświadomił sobie nagle, jak brudno jest w porcie. Strzępy gazet i innych śmieci unosiły się na wodzie. Poprowadził pannę Hidżazi w dół bocznej rampy. Wskoczył na górny pokład i podał jej dłoń, ale zignorowała to i przeskoczyła na łódź sama.

— *Tfaddalu* — powiedział Najir, wskazując wejście do kabiny. Przeskoczenie na łódź to jedno, a zejście po chwiejnej drabince to coś zupełnie innego. Zszedł pierwszy i odwrócił się, by pomóc panie Hidżazi, lecz nie chciał jej dotykać ani sprawiać wrażenia, że zagląda jej pod spódnicę, odsunął się więc na bok.

Zeszła z wdziękiem pod pokład.

— Proszę usiąść — powiedział, wskazując sofę w kabinie. Zdjął z niej pośpiesznie stos map i wrzucił je do sypialni, ale kiedy wrócił, odkrył z przerażeniem, że na meblu leży coś, co wygląda jak kawałek zaschniętego łąjna. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to ogryzek starego cygara, który pozostał tam bez wątplenia po ostatniej wizycie jego przyjaciela Azima. Wsunął cygaro ukradkiem do kieszeni.

— *Tafaddali*. Proszę usiąść. — Wskazał sofę. Przyzwoita kobieta nie zjawiałaby się u niego w ten sposób. Jeśli zobaczą ją sąsiedzi, kto wie, co może się wydarzyć? Na Boga, mogą ich nawet aresztować. Panna Hidżazi weszła ostrożnie do kajuty. Wyglądała, jakby wstrzymywała oddech.

— Coś nie tak? — zapytał.

Nie odpowiedziała.

Czuł się winny z powodu jej zakłopotania, choć zarazem był za nie wdzięczny, świadczyło bowiem o tym, iż kobieta zdaje sobie sprawę, że narzuca mu swoją obecność i że jest to z gruntu niewłaściwe. Przypomniał sobie o manierach, wszedł więc do kuchenki i zaproponował jej kawę, słodczyce oraz daktyle. Odmówiła. Mimo to nastawił wodę na kawę, a gdy się parzyła, spróbował daktyla. Miał konsystencję świeżo wylanego betonu i podobnie smakował. Wypluł kęs dyskretnie do zlewu i wyrzucił resztę owocu do kosza.

Przyniósł kawę, nalał panie Hidżazi filiżankę i wrócił do kuchenki, by mogli rozmawiać, zachowując bezpieczny dystans.

— Nie powiedziała mi pani, że zna Asz-Szarawich — zauważył.

— Nie chciałam, by patolog wiedział, że jestem z nimi powiązana — odparła. — Szukał tylko pretekstu, żeby odsunąć mnie od sprawy.

Najirowi zrobiło się głupio, że o tym nie pomyślał.

— Przyszłam tu w sprawach zawodowych, panie Asz- -Szarki. Mam nadzieję, iż zdaje pan sobie z tego sprawę.

Choć uwaga została wypowiedziana z należąą skromnością, i tak skłoniła go, aby pomyślał o innych powodach, dla których mogłaby go odwiedzić. Było to w pewnym sensie oskarżenie: „Masz brudne myśli”. Poczul przyływ oburzenia.

— Przebadałem już próbki — powiedział.

— Które?

— Prywatny detektyw dał mi próbki z rany na głowie. Wygląda na to, że Nuf nie została ogłuszona na pustyni. Piasek z rany był ciemnopomarańczowy, zmieszany z gliną. Nie pasuje do tego z wadi.

— Dobrze. — Skinęła głową. — To próbki, które przekazałam Usmanowi. Nie miałam czasu jeszcze się nimi zająć. — Wydawała się zde-

nerwowana. Mięła palcami skraj rękawa. — Usman powiedział, że wie pan, iż była w ciąży.

Skinął głową, nie patrzyła jednak na niego, musiał więc odpowiedzieć:

— Tak.

— Miałam nadzieję, że pomoże mi pan zebrać kilka próbek DNA. Potrzebuję ich, aby ustalić, kto był ojcem dziecka. — Mówiąc, wpatrywała się w podłogę, podczas gdy Najir utkwiał wzrok w piecyku. — Trzeba pobrać je od każdego — kontynuowała — od narzeczonego Nuf, od jej kuzynów, eskorty, od wszystkich mężczyzn w domu. Chciałabym je także porównać z komórkami skóry i krwią uzyskanymi spod paznokci Nuf i z jej nadgarstków. Ten kto spłodził dziecko, miał najsilniejszy motyw, żeby ją porwać.

— Nie może pani pobrać próbek od braci sama?

Wydawała się zaskoczona i uświadomił sobie, co sugerowało jego pytanie. Zaczerwienił się zawstydzony.

Panna Hidżazi, ewidentnie wzburzona, nie odzywała się przez dobrą minutę. W końcu westchnęła i zapytała:

— Co będzie pan teraz robił?

Rozejrzał się dookoła.

— To znaczy?

— Ma pan plany na popołudnie?

— Tak, jestem zajęty. A co z panią? Myślałem, że pani pracuje.

— Wzięłam dziś wolne — odparła. — Rozmawiał pan już z opiekunem Nuf?

Czy Usman mówi tej kobiecie wszystko?

— Panie Asz-Szarki — wstała — zdaję sobie sprawę, że wprawiam pana w zakłopotanie.

— Skąd, nic podobnego — skłamał.

— Ależ tak. Robię to dla Nuf. Nie chodzi tu o mnie ani o pana, lecz o kobietę, która umarła. Trzeba odkryć, jak to się stało. Usman ufa jedynie panu i może liczyć tylko na pana.

Najir skrzyżował ramiona i nic nie odpowiedział. Niemniej świadomość, że Usman mu ufa, złagodziła nieco jego nastawienie.

— Zapytałam o to, gdyż miałam nadzieję, że powie mi pan coś więcej o mężczyźnie eskortującym Nuf. Ten człowiek wydaje się głównym podejrzanym.

— Nie sędzę. — Przekazał jej w skrócie, co Muhammad powiedział mu o Ericu Scarsberrym. Jeśli pominąć delikatne usztywnienie ramion, nie wydawała się zaskoczona. Nic też nie powiedziała. — Ufam, że nie powtórzy pani nikomu tego, co tu usłyszała — zakończył Najir.

— Oczywiście.

— Szukałem przez cały ranek mieszkania tego Erica — powiedział. — Sędzę, że znajduje się w którymś z amerykańskich osiedli, wydzielonych i ogrodzonych. Wiem o sześciu. Sprawdziłem dotąd trzy, lecz nie znalazłem właściwego.

Przez chwilę się nie odzywała.

— Chciałabym pojechać z panem — powiedziała wreszcie, wstając.

— Nie. Nie, nie. Mogę zrobić to sam. Pani tylko...

— Nie musi mnie pan zawozić. Mam własny transport.

Zawahał się. Z jednej strony wszystko się w nim buntowało przeciwko temu, by eskortować narzeczoną przyjaciela — i to do amerykańskiego osiedla! — z drugiej wiedział, że kobieta ma rację: robili to dla Nuf i

najwidoczniej zgodnie z wolą Usmana. Nie było wszakże potrzeby, by z nim jechała. zaproponowała to, gdyż była po prostu uparta albo starała się wyrzucić na Usmanie wrazenie. Bardziej wspaniałomyślna część jego natury podpowiadała jednak Najirowi, że panna Hidżazi szczerze zaangażowała się w sprawę. Na pewno niełatwo jej było badać dowody w sprawie uznanej oficjalnie za wypadek. Działała prawdopodobnie wbrew poleceniom szefa, narażając się na kłopoty. Acz niechętnie, musiał przyznać, że podziwia jej upór w dążeniu do prawdy.

— W porządku — powiedział. — Skoro ma pani własny transport...

TLR

ROZDZIAŁ 14

Podążając w ślad za toyotą panny Hidżazi, zastanawiał się, kim też są jej rodzice, skoro pozwalają córce pracować w mieszanym otoczeniu. Na pewno są zeuropeizowani. Wyobrażał sobie jej ojca w garniturze, mówiącego doskonale po angielsku; matka zaś była zapewne jedną z tych kobiet, które pisują listy do króla i ministrów, skarżąc się na prawo dyskryminujące kobiety. (Dlaczego nie możemy prowadzić samochodu? Pojechać do Mekki bez zgody męża?). Trudno mu było sobie wyobrazić, co mogło łączyć tego typu ludzi z Asz- -Szarawimi. Już to, że panna Hidżazi miała wejść do rodziny ortodoksyjnie przestrzegającej zasad islamu, było niezwykle. Dziwiło go, że Usman pozwala narzeczonej pracować: oznaczało to bowiem nie tylko, że panna Hidżazi w pracy styka się z mężczyznami, ale że potrzebuje pieniędzy. Asz-Szarawim to by się raczej nie spodobało.

Dojechali do bramy amerykańskiego osiedla. Po lewej zobaczył błękitny neon z pseudoarabskimi literami. club jed, głosił napis. Strażnik podszedł do toyoty i rozmawiał przez kilka chwil z kierowcą. Wreszcie machnął dłonią, pozwalając obu samochodom przejechać.

Wewnątrz osiedla wszystko wyglądało inaczej. Domy zbudowano co prawda w stylu saudyjskim, z nieodzownymi stiukami, ozdobnymi żaluzjami i płaskimi dachami, jednak ogrody wydały się Najirowi dziwnie obce, amerykańskie. Pełno tu było kwiatów, których nie rozpoznawał. W osiedlu mieszkali nie tylko Amerykanie, lecz także osoby innych narodowości pracujące w Arabii Saudyjskiej na dwu-, trzyletnich kontraktach. Większość zjechała tutaj skuszona wysokimi, wolnymi od podatku zarobkami. Niektóre spółki opłacały nawet pracownikom przelot do Ameryki — raz lub dwa razy w roku. Państwo potrzebowało zagranicznych pracowników, wielu Saudyjczyków było bowiem na tyle zamożnych, że nie musieli pracować. Najir podejrzewał, iż ci ludzie uważają, że praca

byłaby poniżej ich godności. Jednak pomimo nieustającego zapotrzebowania nadal bardzo mu się nie podobało, że Amerykanie mogą przyjechać tutaj i tworzyć swoje małe światy, prywatne osiedla, gdzie żyją jak w Ameryce.

Podążał za samochodem panny Hidżazi krzyżującymi się pod kątem prostym ulicami, póki nie wjechali na parking, zatłoczony pikapami i SUV-ami. Wysiedli. Po prawej zobaczył ścieżkę. Prowadziła na szczyt niewielkiego wzgórza.

— Strażnik powiedział, że jest tam klub — poinformowała Najira panna Hidżazi, wskazując budynek na szczycie. Chociaż był niski i zaniedbany, marmurowa balustrada przydawała mu odrobiny wyrafinowania.

— Możemy zapytać w nim o Erica.

— To klub dla kobiet? — zapytał.

— Dla wszystkich. Bar.

— Bar? — Alkohol był w Arabii Saudyjskiej absolutnie zakazany, nawet na terenie zamkniętego osiedla.

— Bezalkoholowy oczywiście — zapewniła go.

— Dalej, zajrzyjmy do środka. Może zastaniemy tam Erica albo kogoś, kto go zna.

— Pani kierowca z nami nie idzie? — zapytał Najir.

Zawahala się.

— Nie ma powodu, skoro pan jest ze mną — odparła. Coś w tonie jej głosu sugerowało: „Chyba że pomyliłam się co do pana”.

Klub był pusty, jeśli nie liczyć paru zmęczonych klientów. Lampy umieszczone pod sufitem nie wystarczały, aby oświetlić należycie salę. Bezruch klienteli i dziwny sposób, w jaki światło przepoławiało ich ciała,

sprawiły, że w pomieszczeniu panowała atmosfera przygnębiającej pustki nasuwająca skojarzenia z gabinetem figur woskowych. Powietrze przesyciła stęchła woń. Minęli stolik, przy którym rozmawiały trzy kobiety. Jedna się uśmiechnęła do Najira, ale odwrócił pospiesznie wzrok.

Panna Hidzazi wydawała się przygaszona, a może i trochę zdenerwowana. Uniosła zwyczajnym gestem zasłonę. Najir próbował nie patrzeć na jej twarz, lecz nie mógł się powstrzymać: jaśniała niczym księżyc. Zauważył, że jest ładna, choć w nieco dziwny sposób

— nos miała odrobinę za długi, a usta cokolwiek skrzywione. Gdyby miała też w sobie odrobinę przyzwoitości, opuściłaby natychmiast zasłonę w obecności tylu obcych. Uświadomił sobie jednak, że nikt z obecnych się nie gapi.

Minęli oszklone drzwi i wyszli na patio. Rozstawiono na nim kilka żelaznych stolików. Był tam też wąski pas trawy, gęstwina nieznanych Najirowi roślin oraz — największe z szaleństw — basen kąpielowy. Powierzchnia wody lśniła, kusząc chłodem, ale powietrze przesyczone było zapachem chloru.

Obok basenu opalały się dwie kobiety. Nie mógł ich zignorować, podniósł więc dłoń do oczu, udając, że razi go słońce. W rogu siedział na ogrodowym krześle opalony na brąz pomarszczony mężczyzna. Sączył wodę z lodem, czytając gazetę. Zobaczył, że się zbliżają, i opuścił pismo.

Najir podszedł ku niemu i kierując się instynktem, zapytał o Erica Scarsberry'ego.

— Chodzi panu zapewne o Scarberry'ego — powiedział mężczyzna. — Taaa, znam go. Mieszka tutaj.

— Zna pan adres? — zapytał Najir. — Badamy okoliczności przestępstwa i chcielibyśmy zadać mu kilka pytań.

— Pewnie. To tam, na Peachtree. — Podał im numer domu i udzielił wskazówek, jak trafić. — Nie widziałem go od jakiegoś czasu. Wpakował się w tarapaty?

— Nie, ale mógłby nam pomóc. — Zauważył, że panna Hidżazi cofnęła się do drzwi. Nikab miała znów opuszczony.

Najir podziękował mężczyźnie i pożegnał się. Wrócił do panny Hidżazi.

— Chyba go mam — powiedział. — Może pani zaczekać z kierowcą, jeśli pani chce.

Nie odpowiedziała, lecz podążyła za nim, kiedy okrążał basen i przecinał bardzo zielony trawnik. Trawa robiła wrażenie gumowej. Dotarli do białego ogrodzenia, pochyłili się, by przejść pod pergolą, i znaleźli na chodniku spokojnej ulicy. Ruszyli nim, przyglądając się budynkom.

— Facet twierdzi, że to gdzieś tutaj — rzekł Najir, wskazując na lewo. Skręcili w boczną uliczkę. Najir otarł pot z karku. Panna Hidżazi wydawała się teraz znacznie spokojniejsza. Szła obok ani trochę nie wytrącona z równowagi faktem, że jest sam na sam z Najirem. Może to zamerykanizowane otoczenie sprawiało, że czuła się tak swobodnie. On był nadal spięty.

— Chciałabym o coś zapytać — powiedziała. — Dlaczego nigdy nie zabrał pan Nuf na pustynię?

— Jej ojciec by na to nie pozwolił. Uważał, że nie jest tam bezpiecznie.

— A nie byłoby?

Nie wiedzieć dlaczego — może spowodował to powiew wiatru — dotarł do niego jej zapach. Był ciepły, świeży i sprawił, że Najir natychmiast poczuł w ciele mrowienie. Musiała to wyczuć, ponieważ cofnęła się

gwałtownie. Uświadomił sobie, że jest zakłopotana i nie wie, co zrobić z rękami.

— Ze mną byłaby bezpieczna — powiedział, rozglądając się dookoła. Nie była to saudyjska ulica: nie było tu policji religijnej, nikt ich nie zatrzymywał, żądając okazania świadectwa ślubu, mimo to czuł, iż jeża mu się włosy na karku.

Znaleźli znak wskazujący, gdzie jest Peachtree, i skręcili w lewo do kompleksu mieszkalnego połyskującego w słońcu bielą. Panował tam absolutny spokój, toteż głośny stukot podeszew o płyty chodnika skłonił ich, by zeszli na trawę.

Dotarli do szeregu budynków i znaleźli mieszkanie numer 229B osłonięte kamiennym murem. W szczelinach pienię się pnące, a do muru przywarła samotna jaszczurka, bardziej nieruchoma niżli tworzące go kamienie. Przeszli pod kolejną pergolą. Dom był bliźniakiem, lecz wyglądało na to, że nikogo w nim nie ma. Mieszkanie po prawej miało z tyłu niewielkie patio zagracone przedmiotami. Była tam piłka do bejsbola, plastikowy basen, potłuczony talerz. Skierowali się więc ku apartamentowi po lewej. Podeszli do oszklonych przesuwanych drzwi, zajrzeli przez szybę i zobaczyli pusty pokój. Najir zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Szarpnął więc za drzwi i okazało się, że są otwarte.

Weszli do domu. W rogu pokoju stała brązowa sofa, a na pudle niewielki odbiornik telewizyjny.

— Cuchnie — zauważył Najir. — Co to za smród?

— Zwierzę. — Pociągnęła nosem. — Może kot albo pies?

Przechodzili w milczeniu z pokoju do pokoju. Nie było tam wiele do oglądania. Jedynym pomieszczeniem zdradzającym ślady użytkowania okazała się sypialnia. Na podłodze leżała bielizna, pościel była rozrzuciona, na toaletce stały puste butelki po wodzie. Na ścianach nie było zdjęć ani obrazów.

— Muszę powiedzieć — wyszeptała panna Hidżazi — że nie wydaje mi się, aby bywała tu kobieta.

Przeszli do gabinetu — rzut oka na blat biurka ujawnił liczne dokumenty będące własnością Erica Scarberry'ego: grzbiet książeczki czekowej, formularz ubezpieczenia i tym podobne. Nie było tu książek ani komputera, słowem, żadnego dowodu, że Eric zachodził do gabinetu po coś więcej, niż tylko żeby opłacić rachunki.

— Myśli pan, że był tu już ktoś przed nami? — spytała.

— Nie. Zapewne sam tak nabałagał.

Przeszli do kuchni, gdzie pozostały jedynie papierowe talerze i plastikowe sztućce. Kosz na odpadki opróżniono. Zajrzeli do lodówki i znaleźli talerz ze spleśniałym serem oraz karton mleka przeterminowanego od miesiąca. Panna Hidżazi weszła do saloniku.

Rozglądając się po kuchni, Najir znalazł wetkniętą pomiędzy lodówkę a szafki książkę kucharską zatytułowaną „1001 przepisów z Arabii”, wydaną przez American Ladies of Jeddah. Przerzucając kartki, spostrzegł kilka tłustych plam. Ktoś korzystał z książki, zważywszy wszakże, jak była zakurzona, musiało to być przed wiekami.

— Znalazłam źródło zapachu — zawołała panna Hidżazi.

Najir wszedł do saloniku i zobaczył, że przykucnęła przy stojącej na stoliku do kawy klatce dla ptaków. Ptak wewnątrz był martwy. Sądząc z rozmiaru, musiała to być papużka. Poidło było puste. Najir zajrzał do karmidła i przekonał się, że całe ziarno zostało wyjedzone — zostały jedynie łuski.

— Nie żyje od jakiegoś czasu — powiedział. — Dziwne, że taki bałaganiarz trzymał ptaka.

— Dużo się mówiło ostatnio o tym, że ptaki mogą ostrzec przed atakiem chemicznym. Umierają pierwsze. Dlatego Amerykanie je trzymają.

Rozejrzał się dookoła.

— Widzi pani tu gdzieś maskę gazową?

Panna Hidżazi zmarszczyła brwi.

Najir przecisnął dłoń przez otwór w klatce i wyjął fragment gazety wyściełającej dno. Strząsnął odchody i rozłożył papier. Była to strona tytułowa „Arab News” datowana na miesiąc przed zniknięciem Nuf.

Odłożył papier.

— Eric opuścił mieszkanie, zanim Nuf zniknęła?

Panna Hidżazi spojrzała na gazetę.

— Może wrócił i zapomniał zmienić wyściółkę. Chyba nie dbał za bardzo o dom.

Wyjęła papugę z klatki i weszła z nią do łazienki. Najir wpatrywał się w pustą klatkę, zastanawiając się, czy Eric uciekł, czy skończył jak jego ptak. Tak czy inaczej znajdzie się sposób, by go wytropić.

ROZDZIAŁ 15

Kiedy wrócili na parking, kierowca panny Hidżazi cierpliwie czekał. Najir na poły spodziewał się, że będzie zdenerwowany, znudzony albo powali go atak serca, tymczasem mężczyzna siedział jakby nigdy nic w samochodzie, podczytując Koran. Silnik wozu pracował. Klimatyzacja musiała zostać ustawiona na pełną moc, kiedy bowiem Najir otworzył przed panną Hidżazi drzwi, lodowaty powiew musnął mu pierś, zapewniając chwilowe wytchnienie od upału.

Nie wsiadła od razu. Wyglądało to tak, jakby nie miała ochoty się pożegnać, i Najir uświadomił sobie z zaskoczeniem, że teraz postrzega ją nieco inaczej. Nie była tak do końca skromna, ale i nie nazbyt śmiała. Była czymś pośrednim, zmiennym niczym pustynny miraż. Przypomniawszy sobie, że jest narzeczoną Usmana, i w jego umyśle wyrósł natychmiast mur oddzielający go od kobiety. Zdecydowanym gestem wskazał jej wnętrze samochodu.

— Zanim wrócę do pracy, chciałabym zrobić coś jeszcze — powiedziała. — Mój kierowca jest umówiony gdzie indziej, więc może mnie tam tylko podrzucić, a nie sądzę, bym mogła załatwić to sama.

— A cóż to takiego?

— Umm Tahsin powiedziała mi, że zadzwonił do niej optometrysta. Nuf zamówiła okulary, zanim uciekła. Umm Tahsin nie miała o tym pojęcia. Zamierzała wysłać służącego, by je odebrał, zaproponowałam jednak, że to zrobię. Wyczułam, że będzie to dla niej wiele znaczyło. Chyba chciałaby mieć te okulary.

Najir uznał, że to okropnie smutne, iż Umm Tahsin chciałaby mieć okulary, które jej córka nosiłaby, gdyby nie zginęła.

— Mogę pani towarzyszyć — powiedział.

Skinęła z wdzięcznością głową i wsiadła do swego samochodu.

Jadąc za toyotą do centrum, przekonywał sam siebie, że wyświadcza Usmanowi przysługę, towarzysząc jego narzeczonej, lecz w głębi duszy czuł, że to nieprawda. Popemniał grzech zina, przebywania w towarzystwie niezamężnej kobiety, na dodatek narzeczonej przyjaciela, który mu zaufał.

Chociaż wizyta panny Hidżazi na łodzi była wielce niestosowna, zdawał sobie sprawę, że stanowiła też okazję. Kobieta mogła powiedzieć mu o Nuf rzeczy, których inaczej nie zdołałby się dowiedzieć — takie, o których nie wiedział nawet jej brat. Mogła znać też szczegóły autopsji, które patolog zataił, aby uprawdopodobnić wersję o wypadku. Najir musiał też przyznać, że ma ochotę jej towarzyszyć. Nie wiedział tylko dlaczego.

Kiedy toyota wjechała na ruchliwą śródmiejską ulicę i zatrzymała się, podjechał bliżej i zaparkował. Wysiadł z jeepa i rozejrzał się szybko, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma funkcjonariuszy policji religijnej. Zobaczył paru mężczyzn, nie wyglądali jednak podejrzanie. Znajdowali się zaledwie o kilka kwartałów od biura lekarza sądowego.

Panna Hidżazi przyglądała się, jak jej samochód odjeżdża.

— Myślę, że to gdzieś tutaj — powiedziała i zaczęła szukać czegoś w torebce. Była to pojemna torba, wielkości małego holownika, toteż grzebanie między kosmetyczkami, kluczami, kalendarzykami i drobnymi monetami musiało zająć trochę czasu. Zniecierpliwiona uniosła nikab i zaczęła szukać od nowa. Starając się nie patrzeć na odsłoniętą twarz kobiety, Najir utkwiał wzrok w torebce. Zobaczył ładowarkę do telefonu komórkowego, rozkład modlitw, dodatkowy nikab i ku swemu zaskoczeniu, buteleczkę lakieru do paznokci.

— Maluje pani paznokcie? — zapytał z podszytym zgrozą niedowierzaniem.

Podniosła głowę i wpatrywała się w niego, póki zakłopotany nie odwrócił wzroku. Zaczęła grzebać znowu w torebce.

Akurat w chwili, gdy ktoś położył na ramieniu Najira spoconą dłoń. Najir odwrócił się gwałtownie.

— Przepraszam — powiedział obcy mężczyzna, wpatrując się w Najira i wskazując ruchem głowy pannę Hidzazi. — W imieniu Boga niech pokój będzie z tobą. Proszę mi wybaczyć, ale pańska żona nie jest stosownie zasłonięta.

Najir poczuł przyływ paniki, mimo to wbił w mężczyznę lodowate spojrzenie. Był starannie ogolony, z przyciętymi krótko włosami. Nosił spodnie z zaszewkami i krawat z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma imionami Boga. Ubiór natręta nie wskazywał, by mógł być policjantem, mimo to jego czarne oczy, widoczne poprzez grube szkła okularów, płonęły słusznym oburzeniem.

Najir zmarszczył brwi.

— Patrzysz na moją żonę? — zapytał. Mężczyzna otworzył usta, lecz Najir nie dał mu dojść do głosu. — To moja żona — wrzasnął. — Lepiej, żebyś miał dobry powód, aby się na nią gapić!

Mężczyzna cofnął się o krok.

— Wybacz, bracie. Rozumiesz, chodzi o przyzwoitość.

— To żaden powód. — Najir podszedł bliżej, utkwivszy w twarzy mężczyzny wściekłe spojrzenie. — Nie masz własnej żony, żeby jej pilnować?

Mężczyzna zaczerwienił się, odwrócił i odszedł, znikając za najbliższym rogiem. Poczucie winy zalało Najira niczym fala i przeprosił natychmiast w duchu za to, że skłamał. Nic takiego by się nie wydarzyło, gdyby nie popełniał grzechu zina. Odwrócił się i zobaczył, że panna Hidzazi opuściła nikab.

— Poszedł? — wyszeptała.

— Tak. — Położył sobie dłoń na piersi, by uspokoić serce. — Tak, poszedł.

— Czy to policjant?

— Nie. Członek straży obywatelskiej.

— Skąd ta pewność?

— Miał na sobie ciuchy od Armaniego.

— Ach — westchnęła z ulgą, podając mu niewielką wizytówkę. — Znalazłam.

— *Al-Hamdu li-Allah*. — Chwycił wizytówkę, odczytał adres i ruszył.

Doktor Ahad Dżahiz był kiedyś najlepszym optometrystą w Egipcie. Jego biznes — początkowo niewielki sklepik przy śródmiejskiej alei — rozrósł się w trzykondygnacyjne oszklone centrum optyczne za sprawą wielu lat upartej ciężkiej pracy oraz umiłowania sztuki optycznej. Ahad Dżahiz miał własne urządzenia do badania oczu, przycinania soczewek i polerowania oprawek. Sprzedawał okulary progresywne włoskiej produkcji, które kosztowały więcej niż przeciętny samochód, i prowadził program edukacyjny, w ramach którego wysyłał miejscowych kmiotków do najlepszych klinik optycznych w Europie pod warunkiem, że po Powrocie będą pracowali dla niego.

Ale wojujący islam rozprzestrzeniał się w muzułmańskim świecie niczym plaga piaskowych pcheł i Kair, ta nazbyt swobodna, rozwiązała siostra, stał się areną częstych aktów przemocy. W wyniku jednego z nich pewnego razu przez frontową wystawę siedziby Dżahiz&Co. wjechał chevy sedan, po czym wybuchnął, posyłając do raję dwunastu klientów, pięciu członków personelu i trójkę niemieckich turystów.

Doktor Dżahiz, który przebywał wtedy w Mali, przekazując biednym ciężarówkę nie sprzedanych okularów, wrócił do Kairu i zastał budynek firmy zrujnowany, spustoszony i oskubany do czysta tak, jak banda głodnych dzieciaków mogłaby oskubać tort pozostawiony bez opieki dorosłych. Dorobek całego życia spoczywał rozrzucony po trzech sąsiadujących kwartałach (niektóre oprawki znaleziono nawet w Nilu). Zginęli ludzie. Dobrzy muzułmanie byli wściekli, źli, żądni zemsty, a Dżahiz uznał, że pora zacząć od nowa. Odebrał ubezpieczenie i wyruszył do Arabii Saudyjskiej, kraju Proroka — pokój niech będzie z nim — gdzie znajdowało się najświętsze miejsce islamu. Miał nadzieję, że nowa ojczyzna nie okaże się tak krótkowzroczna jak jego ukochany Egipt.

Lecz jeśli Kair był krótkowzroczny, to Arabia Saudyjska ślepa. Dżahiz założył, że najbogatsi mieszkańcy Bliskiego Wschodu docenią jego umiejętności oraz oddanie, jego wspaniałą wizję centrum optycznego, gdzie pewnego dnia można będzie naprawić albo zrekompensować wszelkie wady wzroku, jego założenia jednak okazały się mylne. Saudyjczycy chodzili bowiem do saudyjskich optometrystów. Może działo się tak dlatego, zgadywał Dżahiz, że tylko saudyjscy optometryści rozumieli, iż Saudyjczycy znani są w świecie z tego, że mają doskonały wzrok. Bardzo niewielu Saudyjczyków nosiło okulary. Nigdy nie były tutaj w modzie i nie będą. Konieczność używania szkieł była kwestią niezmiernie delikatną, gdyż jak szybko się przekonał, każdy beduin szczycił się tym, że potrafi dostrzec wszystko z każdej odległości i na każdym etapie życia. I choć czasy nomadów przeminęły, a wraz z nimi niektóre pustynne obyczaje — takie, jak plucie co pięć minut, podróżowanie nocą czy obmywanie dzieci wielbłądzim moczem — mieszkańcy Arabii nie byli w stanie wyzbyć się błędnego przekonania, że zostali pobłogosławieni doskonałym wzrokiem.

Zatem jego interes rozwijał się ledwie umiarkowanie i chociaż Dżahiz się nie wyzbył umiłowania sztuki poprawiania błędów natury, czuł, że jego pasja się kurczy niczym urodzinowe balony w tydzień po uroczystości. Starzał się. Łatwo tracił cierpliwość i musiał odkrztuszać fleg-

mę. A co najgorsze, gardził klientami. byli śmieszni — cóż innego można powiedzieć o bogatym społeczeństwie, które ukrywa połowę populacji za zasłoną i udaje, że druga połowa jest w stanie przebić wzrokiem cegłę?

Tego ranka Dżahiz zabijał czas, polerując okulary słoneczne Calvina Kleina ułożone w gablotce pod oknem wystawowym. Okulary słoneczne były ostatnio w modzie — sprzedawał nową partię w tydzień. Powstrzymywało go to przed bankructwem i powierzeniem żalostnego życia wszystkimidzącemu Bogu.

Panna Hidżazi i Najir weszli, przystanęli na skraju wielkiego perskiego dywanu i pozdrowili Dżahiza, który schował pośpiesznie szmatkę do kieszeni i powitał ich tak, jak witał każdego klienta:

— Niech spłynie na was pokój Boga i jego nieustająca łaska.

Najir wyjaśnił, po co przyszli, i Dżahiz wzdychając, ruszył na zaplecze po zamówione okulary.

— Para okularów, model Sophia Loren, rozmiar dwanaście, fiołkoworóżowa inkrustacja, mosiężne ozdoby. Plastikowe szkła zerówki, brak recepty.

Najir zmarszczył brwi.

— Nie było recepty?

— Tak mam tu napisane. — Dżahiz wskazał drżącą dłonią swoje notatki. — Zadzwoiła w zeszłym miesiącu i zażyczyła sobie szkieł bez recepty.

— Nie było recepty? — Najir potarł szczękę i ściągając brwi, spojrział na pannę Hidżazi. — Żadnej?

Nie dała po sobie poznać, że słyszała, o czym rozmawiają. Nikab miała opuszczony, a dłonie wetknięte w rękawy abai.

— W porządku — powiedział. — Skoro tak ma pan tam zapisane...

— Niech pan poprosi żonę, aby usiadła przy biurku.

— Nie są dla niej — rzekł Najir — ale dla przyjaciółki, która zmarła.

— Och. — Ramiona Dżahiza opadły. — Przykro mi to słyszeć.

— Dziękuję. — Najir przyglądał się, jak Dżahiz wsuwa okulary do twardego skórzanego futerału. Podał futerał Najirowi.

— Widzę, że mruży pan oczy — zauważył. — Proszę powiedzieć, spędza pan dużo czasu na pustyni?

— Cóż... tak — odparł Najir zaskoczony.

— Wie pan, pustynia to bardzo jasne miejsce. Światło słoneczne odbija się od piasku, co jest szkodliwe dla oczu. Przemywa je pan regularnie?

— Oczy?

— Tak, trzeba przemywać je starannie raz na tydzień, zwłaszcza na pustyni. Drobinki piasku dostają się pod powieki, drażnią spojówki, powodując krwawienie, opuchliznę, a w końcu infekcję. Może to prowadzić nawet do choroby. Ma pan trudności z odczytywaniem znaków drogowych?

— Nie... cóż, może czasami, w nocy.

— Nocne widzenie wysiada pierwsze. Uważam, że w pańskim najlepiej pojętym interesie byłoby, gdyby się poddał pan badaniu choćby po to, aby się przekonać, że z pańskimi oczami wszystko jest jak należy.

— Och, nie — zaprotestował Najir. — Mam doskonały wzrok.

— Bez wątpienia — przytaknął przypochlebnie Dżahiz. — Oczywiście. Jednak czasami pył może podrażnić oczy i nie wiadomo, jak się to skończy. Mam najlepsze urządzenia. Wysokiej klasy, importowane z Europy. Moglibyśmy przeprowadzić badanie teraz. Nie zajęłoby nawet pół godziny.

Najir zerknął na pannę Hidżazi. Udawała, że wygląda przez okno.

— Jestem teraz zajęty.

— Więc może umówimy się na inny termin?

Najir odmówił, lecz Dżahiz nie dał się zniechęcić. W końcu zaproponował mu upust na parę okularów słonecznych Gucciego, które otrzymał dopiero co z Rzymu.

— Wie pan — powiedział, klepnąwszy się lekko dłońmi po oczach — czasami nawet sokół potrzebuje odpoczynku od przytłaczających widoków tego świata.

Najir się zawahał.

— Nie noszę zazwyczaj okularów — powiedział.

Dżahiz westchnął zirytowany. Najir zapłacił za okulary Nuf, podziękował optykowi i wyprowadził pannę Hidżazi ze sklepu. Zatrzymali się na chodniku.

— Dlaczego kupiła okulary, skoro ich nie potrzebowała? — zapytał.

— Może na pokaz?

Skinął bez przekonania głową, podał jej futerał i uświadomił sobie, że kobieta nie patrzy na jego dłonie.

— Proszę je wziąć — powiedział.

Wzięła futerał, lecz wydawała się zatopiona w myślach. Przez jedną niezręczną chwilę Najir stał na chodniku, starając się nie patrzeć na pannę Hidżazi i nie wiedząc, jak się pożegnać.

— Dziękuję, Najirze — rzekła w końcu. — Stąd mogę już pójść sama.

Zaskoczyła Najira tak bardzo, wymieniając jego imię, że odpowiedział za późno, po tym, jak zdążyła się już odwrócić. Zmieszany i zakłopotany wrócił do swego jeepa.

TLR

ROZDZIAŁ 16

Umieszczony przy wejściu napis na kawałku tektury głosił: TYLKO DLA KOBIET. Drzwi były jednak szeroko otwarte, a ludzie wchodzili i wychodzili — głównie kobiety, uśmiechnięte i z odsłoniętymi twarzami. Dwaj arabscy mężczyźni weszli beztrąsko do pomieszczenia. Obaj mieli na sobie garnitury i rozmawiali po angielsku, choć jeden przesuwiał w palcach różaniec.

Najir zapiął płaszcz i podążył śladem mężczyźni.

Sala konferencyjna hotelu była przestronna. Grube dywany i ciężkie zasłony tłumiły dźwięki: odgłosy rozmów i przenikliwy śmiech, który można było usłyszeć wszędzie tam, gdzie pojawiła się grupa Amerykanów. Niemniej wyglądało na to, że impreza zbliża się do końca. Kilku indonezyjskich pomywaczy zbierało resztki jedzenia oraz naczynia z dwunastu stołów bankietowych, podczas gdy goście kręcili się w pobliżu, niechętni rezygnować z zabawy. Kiedy Najir przechodził, kilka osób obdarzyło go przelotnym spojrzeniem.

Bazar ciągnął się przez środek sali niczym kolejka. Było tam trzy tuziny stolików, na których wyłożono ręcznej roboty pamiątki, przybory malarskie, książki, wypieki, dziecięce ubranka. Najir jął się przeciskać ku stoisku z książkami. Wziął do rąk tom zatytułowany: „Jak przetrwać rok w Arabii Saudyjskiej. Poradnik dla rozwiedzionych żon”, a potem „Szyć jak beduin: autentyczne wzory makram, haftów oraz wzory tkackie"! Nie ma wątpliwości, że jest to zebranie American Ladies of Jeddah, pomyślał. Przejrzał książki na innych stoiskach, przyglądając się kątem oka sprzedawcom, i już miał poprosić o „1001 przepisów z Arabii”, gdy inny stragan przyciągnął jego uwagę. Był w porównaniu z sąsiednimi nieduży i sprzedawano na nim wyroby artystyczne z papieru. Niewielkie rozmiary stoiska zdawały się przypominać, iż czasem szukając tego co oczywiste i rzucające się w oczy, znajdujemy coś znacznie subtelniejszego.

Wyłowił z kieszeni bociana z żółtego papieru, którego znalazł wśród rzeczy Nuf. Ukrył lekko zmiętego ptaka w dłoni i podszedł do stoiska zadowolony, że stojące w pobliżu osoby zasłaniają jego masywną sylwetkę przed wzrokiem urzędującej za ladą kobiety. Była drobna, ubrana w podkoszulek i dżinsy. Siedziała zajęta pracą na wysokim smukłym krześle. Najir potrzebował chwili, by przezwyciężyć szok spowodowany tym, że znalazł się tak blisko kobiety, w dodatku ubranej w obcisłe rzeczy, z odkrytą twarzą i ewidentnie nie noszącej stanika. Natychmiast — no, prawie natychmiast — powrócił do starych przyzwyczajęń i utkwiał wzrok w jej dłoniach. Sprawiały wrażenie zręcznych i szybkich, gdy wycinała małymi nożyczkami niewielkie kwadraty z arkusza czerwonego papieru. Wreszcie odważył się i spojrzał jej w twarz. Zobaczył zielone oczy, zarumienione policzki, cienkie zmarszczki w kącikach oczu i ust, dziwnie nie na miejscu w tej młodej elfiej twarzyczce.

Gotowe już dzieła leżały przed nią na stoliku, ujawniając charakter kobiety oraz jej poczucie humoru w jeszcze większym stopniu niż strój czy brak zasłony. Z delikatnie kolorowanego papieru wyczarowała be-
duiński czajnik, świętą Kaabę, wielbłąda, kilka owiec i całą romantyczną scenkę pustynną z haftowanymi poduszkami i fajką huka. Pomiedzy nimi dostrzegł ciemniejszy przedmiot: wycinankę przedstawiającą otyłego księcia na tronie z tacą na wpół zjedzonych papierowych hamburgerów na kolanie, zarzuconą opakowaniami z McDonalda. Grube uda zwisały z boku krzesła. Wyglądał, jakby powstrzymywał beknące. Inna scenka ukazywała mężczyznę stojącego na dywaniku modlitewnym z wbudowanym systemem GPS oraz napisem: „Przy modlitwie zawsze zwracaj się ku Mekce”. „Niedobrze mi się robi, gdy widzę, jak ci niewierni zawłaszczają naszą kulturę!” krzyczał do telefonu komórkowego. Kolejna scenka, najgorsza ze wszystkich — sprawiła, że Najir wręcz się zarumienił — przedstawiała szereg mężczyzn w białych abajach trzymających się za ręce niczym laleczki z papieru. Artystka naszkicowała nawet ich uśmiechnięte lubieżnie twarze. Napis poniżej głosił: „Mężczyźni zapewniają lepszą zabawę”.

Najir zastanawiał się, czy kobieta wykpiwa w podobnie złośliwy sposób własną kulturę.

Inni klienci odeszli, pozostawiając go kontemplującego dzieła artystki w milczeniu, które nagle stało się nie do zniesienia. Kobieta przerwała pracę.

Przemógł się i spojrzał na jej twarz. Zachęcała do tego, by na nią patrzeć. Amerykanie już tacy byli. Przywołał znajomość angielskiego nabytą podczas wypraw z przyjaciółmi Samira i potem, kiedy zabierał turystów na pustynię, i powiedział:

— To pani dzieła. — Nie był pewny, czy zabrzmiało to jak stwierdzenie czy też pytanie, póki nie odpowiedziała.

— Taaa.

Bocian, którego ścisnął w spoczonej dłoni, był już tylko pomiętym skrawkiem papieru. Postawił go na stole i spróbował wyprostować.

Kobieta się pochyliła, wzięła ptaka i przyglądała mu się przez chwilę, wygładzając zagniecenia.

— Ptak miłości — powiedziała. — Na płodność. Wygląda na moją robotę. Skąd pan go ma?

— Zna pani mężczyznę nazwiskiem Eric Scarberry?

Spojrzała na płaszcz Najira i odparła:

— Taaa. Pewnie. A kto pyta?

— Ja.

Uświadomiła sobie, że Najir mówi poważnie, i parsknęła dźwięcznym słodkim śmiechem.

— Cóż, w porządku.

Poczuł nagłą chęć, by zaspokoić ciekawość: zapytać kobietę o imię, o to, jak się tu znalazła, czy jest mężatką, czy ma dzieci i czy są podobne do niej: jasnowłose i chłopięce? Co kobieta taka jak ona, nie prawdziwa, ale na wpół męska, robi w Arabii? Czy w Ameryce uchodzi za normalną czy też budzi zażenowanie? Zapytał jednak tylko:

— Wie pani, że on zaginął?

Odłożyła nożyczki, przygryzając z namysłem dolną wargę.

— Jest pan gliną?

— Nie.

— A kim?

— Detektywem.

— Policyjnym?

— Nie, badam pewną sprawę dla przyjaciela.

Skinęła głową i zamyśliła się, by zaraz obdarzyć go niespodziewanie łobuzerskim uśmiechem.

— Skoro tak, powinien pan wytłumaczyć się z tego płaszcza.

Spojrzał na dłonie kobiety.

— Co pani na to: jeśli pani odpowie na moje pytania, ja zaspokoję pani ciekawość. Chciałbym wiedzieć, czy może pani pomóc mi znaleźć Erica.

Zaryzykował, spojrzał kobiecie prosto w oczy i przekonał się, że nie jest w stanie wytrzymać jego spojrzenia. Wzięła do rąk nożyczki i zaczęła wycinać, nie przestając przygryzać wargi. A kiedy znowu na niego spojrzęła, było tak, jakby zasłoniła twarz nikabem.

— To nie jest uczciwy układ — powiedziała. — Jeśli odpowiem na pańskie pytania, będzie to miało więcej implikacji, niż kiedy pan odpowie na moje.

— Skąd pani wie?

Przyjrzała mu się.

— Najpierw pan — zażądała.

— Tylko jeśli obieca pani, że nie będzie się śmiała.

Uśmiechnęła się przelotnie.

— W porządku. Nie będę.

— Doskonale. Kupiłem płaszcz, bo chciałem mieć... talizm?

— Talizman.

— Coś, co by mi pomagało, kiedy... — Spojrzał na sufit, niezdolny opisać coś, czego nie sprecyzował jeszcze w myślach.

Kobieta odłożyła nożyczki, pochyliła się ku Najirowi i wyciągnęła dłoń.

— Jestem Juliet — powiedziała. — A pan?

Wpatrywał się przez chwilę w wyciągniętą dłoń, by

wreszcie ująć ją tak samo ostrożnie jak przedtem bociana.

— Najir asz-Szarki.

— Miło mi pana poznać. — Jej uśmiech był teraz ciepły, pełen zaciekawienia, nie tak seksowny. — Dałam bociana Ericowi — powiedziała. — W zeszłym roku. Zwykle nie robię bocianów, są tak banalne, ale tak to już jest, kiedy się człowiek zakocha. Nic nie wydaje się głupie ani banalne... — Strząsnęła z kolan skrawki papieru i wstała. — A ja naprawdę chciałam mieć z Erikiem dzieci. Mnóstwo dzieci. Dziesięcioro. Albo dwadzieścioro. — W jej oczach dostrzegł smutek.

— Jestem już za stara na dwudziestkę, ale mogłabym urodzić dziecięcioro, gdybym szybko zaczęła.

Najir uśmiechnął się uprzejmie.

— Nie wiem, gdzie jest Eric — powiedziała żywo. — Straciliśmy kontakt, kiedy ze sobą zerwaliśmy. Mieszkał zwykle w osiedlu Club Jed, słyszałam jednak, że się wprowadził do swojego chłopaka... — Zamarła i spojrzała na Najira. — Czy stanowi to odpowiedź na pańskie pytanie?

— Tak, dziękuję.

Spojrzał w bok i zobaczył dwóch arabskich mężczyzn ubranych w garnitury w stylu George'a Busha. Rozmawiali z jasnowłosą Amerykanką w sukience tak skąpej, że mogłaby służyć równie dobrze za bieliznę. Było jasne, że kobieta rozkoszuje się zainteresowaniem i że mężczyźni, choć odrobinę niezręczni i zakłopotani, starają się wyczuć, jak daleko mogą się posunąć. Przetestować Amerykanów. Przeprowadzić kulturowe studium. I nagle Najir poczuł się zawstydzony tym, że sprawia mu przyjemność rozmowa z kobietą poznaną przed dziesięcioma minutami, z kobietą, która równie łatwo mogła zawrzeć bliższą znajomość z mężczyznami w garniturach. Była śmiesznie wręcz swobodna ta Panna Uściśnij Mi Dłoń i Patrz, Jak Podrygują Moje Piersi, panna Dam Ci Dzieścięcioro Dzieci, a tak nawiasem mówiąc, jak masz na imię?

— Nie wie pani zatem, gdzie jest Eric?

Nie odpowiedziała.

— Nie jest pani ciekawa... — zaczął, wskazując bociana.

— Nie. — Uniosła raptownie głowę. — Chybabym tego nie zniosła. — Machnęła ręką.

Stara rana, a nadal rozpulchniona niczym dojrzała figa, pomyślał.

Wziął bociana ze stolika.

— Cóż, kobieta, która go miała, nie żyje.

Juliet spojrzała na niego.

— Kto taki?

— Nazywała się Nuf asz-Szarawi. Znała ją pani?

— Nie — odparła, nie spuszczając z Najira wzroku.

— Zmarła niedawno na pustyni. Miała wtedy przy sobie ptaka, ale był w lepszym stanie. Zgniotłem go niechcący.

— I myśli pan, że Eric... że to on ją zabił?

Najir wzruszył ramionami.

— Mógł ją znać. Po prostu go szukam.

Wbiła wzrok w podłogę, ewidentnie zmagając się z emocjami.

— Jestem pewna, że nie miał nic wspólnego z jej śmiercią. — Zaśmiała się nerwowo. — Jeśli ściga go pan za przestępstwo natury seksualnej, proszę mi wierzyć, szuka pan niewłaściwego człowieka.

— Chciałbym mu po prostu zadać kilka pytań.

— Nie zamierza go pan aresztować ani nic takiego?

Potrząsnął głową.

— Nie mam takiej władzy.

Zaczęła obgryzać paznokiec kciuka.

— Proszę posłuchać — perswadował Najir — jeśli jest niewinny, wezmę od niego próbkę DNA, sprawdzimy ją i zostanie oczyszczony z podejrzeń.

— Jak pan mnie znalazł? — spytała.

Opowiedział, jak znalazł książkę kucharską. Gdy mówił o mieszkaniu Erica, przyglądała mu się podejrzliwie, lecz uczucie to ustąpiło wkrótce rezygnacji.

Zebrała pośpiesznie swoje prace. Złożyła je na płask, pochowała do foliowych skoroszytów i wsunęła do walizeczki. Pozostałe — scenki, caddillaca — schowała do pudełek. Chętnie by jej pomógł, ale nie śmiał tego zaproponować. Byłoby to jak dotykanie jej skóry.

— Eric nie mieszka już w osiedlu — powiedziała. — Zatrzymał apartament, choć w nim nie bywa. Mieszka na starym mieście z przyjacielem.

Słowo „przyjaciół” wymówiła ze znaczącym naciskiem.

— Gdzie mieszka ten przyjaciel?

Dała mu adres. Najir podziękował. Pograżona w myślach kobieta odpowiedziała machinalnie.

— Proszę nie wspominać, że ma pan adres ode mnie — dodała na pożegnanie. — I proszę nie skrzywdzić Erica. Ufam, że potraktuje go pan z szacunkiem.

— Oczywiście — odparł Najir i nie były to słowa rzucone na wiatr.

ROZDZIAŁ 17

Olbrzymie drzwi z orzechowego drewna otworzył mężczyzna po czterdziestce, z siwiejącymi blond włosami i niebieskimi oczami o bystrym spojrzeniu. Zmierzył Najira wzrokiem od stóp do głów.

— Czym mogę służyć?

— Szukam Erica Scarberry'ego.

— Ja jestem Eric.

— Nazywam się Najir asz-Szarki. Jestem przyjacielem Asz-Szarawich. Chciałbym z panem porozmawiać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Eric się zawahał, lecz w końcu powiedział:

— Cóż, każdy przyjaciel Asz-Szarawich jest moim przyjacielem. Proszę wejść.

Najir wszedł do chłodnego holu.

— O co chodzi? — zapytał Eric.

— O śmierć Nuf asz-Szarawi.

Eric skinął sztywno głową i poprowadził Najira eleganckim korytarzem ku olbrzymiej bawialni pośrodku domu.

Wysoki sufit zdobiły tu szerokie cedrowe belki. Podłogi z ciemnego drewna kontrastowały z białą sofą i fotelami, a ukośny świetlik wpuszczał do wnętrza delikatną smugę słonecznego blasku. Pokój wyglądałby przytulnie, gdyby nie książki. Było ich tysiące, a wszystkie zakurzone i wystrzępione, jakby przebywały przez dłuższy czas na pustyni. Tłoczyły się na ścianach, stołach, fotelach. Stały w stosach na podłodze, wydziela-

jąc woń grzyba. W niektórych miejscach górowały nad pokojem, grożąc sejsmiczną niemal katastrofą.

— Proszę usiąść — powiedział Eric. — Zaraz wracam.

Najir spojrzał na książki. Wszystkie traktowały o archeologii. Nie widział dotąd tak wielu w jednym miejscu. Kiedy torował sobie drogę przez intelektualne świadectwa czyjeś obsesji na tle wszystkiego co martwe, deski podłogi trzeszczały pod nim złowróżbnie.

Nagle uwagę Najira przyciągnął dziedziniec. Wyszedł przez przeszklone drzwi i znalazł się w chłodnej grocie ocienionej drzewami cytrynowymi oraz palmami. Podłoga mieniła się żywym błękitem średnio-wiecznych kafelków tworzących pośrodku patia okrągłą fontannę. Najir zanurzył dłonie w wodzie i ochlapał sobie szyję. Ile wody wyparowuje tu w ciągu dnia? Całe litry, pomyślał. Tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na takie marnotrawstwo. Otarł szyję rękawem i rozejrzał się dookoła. Większość domów w stylu osmańskim, położonych w starej części miasta, należała do członków rodziny królewskiej albo dzuddańskiej elity. Nieliczne, które trafiały na rynek, kosztowały miliony. Ten wszakże, jak się wydawało, był własnością Amerykanina bądź też został przez niego wynajęty.

Najir przypomniał sobie, że Juliet wspomniała o „przyjacielu” Erica, i jął się zastanawiać, czy Eric jest gejem. Wydawało się to niemożliwe i niemądre: amerykański gej mieszkający w Arabii Saudyjskiej. Czy wiedział, że w królestwie karą za łamanie prawa religijnego jest śmierć? Przyjaciel Najira, Azim, utrzymywał co prawda, że w okolicy Corniche mieszka wielu gejów, zachowują się jednak bardzo dyskretnie i władze zostawiają ich w spokoju. Kiedy policja chce aresztować dla przykładu przestępcę geja, wybiera cudzoziemca.

Eric pojawił się w progu i stanął wsparty o framugę, gibki i smukły niczym kobieta. Najir nie odrywał wzroku od mozaiki tworzącej geometryczną symfonię na południowej ścianie, obserwując równocześnie Erica

kątem oka. Mężczyzna miał na sobie spodnie khaki i białą płócienną koszulę. Jego włosy, szesane do tyłu niczym żagle na wietrze, błyszczwały, chociaż stał w cieniu. Delikatne zniecierpliwienie wyczuwalne w jego pozie sprawiło, że Najir poczuł się nieswojo.

— Herbaty? — zapytał Eric. — A może kawy?

Najir odwrócił się i spojrzał na niego. Z trudem

przychodziło mu dopasować omdlewającego Erica do swego wyobrażenia mężczyzny, który mieszkał w ciasnej ruderze w Club Jed, wracał tam jedynie po to, aby zapłacić rachunki, i dopuścił, by jego ptak zdechł z powodu zaniedbania.

— Chętnie napiję się herbaty. Dziękuję.

Eric skinął głową i zniknął. Najir pomyślał, że zupełnie nie pasowali do siebie z Juliet. Dziewczyna wydała mu się przesadnie szczera i przyjacielska, lecz była w niej też prawdziwa słodycz. Najir nie znał zbyt wielu Amerykanów, ale potrafił rozpoznać szakala, kiedy go widział.

Wrócił do bawialni akurat w chwili, gdy wszedł tam Eric, niosąc dzbanek mrożonej herbaty i dwie szklaneczki. Postawił wszystko na stole do kawy i wskazał Najirowi wyściełany fotel, który wyglądał tak, jakby zapewniał wygodę porównywalną z łapką na muchy. Sam wrócił do kuchni. Najir przycupnął ostrożnie na skraju mebla, przyglądając się ze zdziwieniem, jak Eric wraca z olbrzymim półmiskiem mięs, pasty z fasoli, chleba, szpinakowych pasztecików wyglądających jak pączki róży, pieczonych papryk i plasterów oberżyny ułożonych na kształt liści. Zauważył, że Eric ma zaczerwienione przedramiona. Sprawiały wrażenie, jakby przed chwilą je wyszorował.

Eric nalał herbatę, usiadł w fotelu naprzeciwko i gestem zachęcił Najira, by się częstował.

Najir nie był pewien, jak postąpić. Odmowa poczęstunku byłaby czymś niezręcznym i dowodzącym braku dobrych manier. Chętnie by to

zrobił, już choćby po to, żeby zobaczyć reakcję Erica. Zmusił się jednak, by skosztować przekąsek.

— Zawsze uważałem, że gości trzeba traktować po królewsku — powiedział Eric głębokim miękkim głosem stłumionym przez jedzenie. — To jedna z rzeczy, które tak mi się podobają w tym kraju.

— Jest pan archeologiem?

— Nie, analitykiem w firmie poszukującej ropy. Mój współlokator nim jest. — Wskazał książki.

— To dziwna kombinacja.

— Cóż, łączy nas pustynia.

— Gdzie dokładnie pan pracuje? — zapytał Najir.

— Głównie w górach. Na tarczy arabskiej. Prowadzi się tam w kilku miejscach poszukiwania.

Najir przypomniał sobie, że beduińska mapa wskazywała potencjalne miejsce wierceń niedaleko od wadi.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie dokładnie znajdują się te odwierty, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Eric się zawahał.

— Dlaczego?

— Nuf została znaleziona na pustyni niedaleko miejsca, gdzie poszukuje się ropy.

— Sądzi pan, że mam z tym coś wspólnego?

— A ma pan?

— Oczywiście, że nie!

Najir przyglądał się przez chwilę twarzy mężczyzny i uznał, że jego oburzenie jest szczere.

— Jak zetknął się pan z Asz-Szarawimi?

— Finansowali w przeszłości badania mojego współlokatora. Są bardzo szczodrymi mecenasami.

— I tak poznał pan Nuf?

Jeśli pytanie zaniepokoiło Erica, świadczyło o tym jedynie przelotne zakłopotanie na jego twarzy.

— Nie znałem jej zbyt dobrze.

— Wiem z pewnego źródła, że pomagał jej pan ułożyć plan ucieczki do Nowego Jorku.

Eric odłożył chleb na stolik.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi — wycodził przez zęby.

— Jak zrozumiałem, spotykał się pan z nią na Cor-niche, aby ustalić warunki tej pomocy.

Eric się wyprostował. Najir zauważył, iż drżą mu dłonie.

— Proszę posłuchać, panie... Asz-Szarki, tak? Jest pan z policji?

— Robię to dla rodziny.

— Tak, w porządku. Zatem z szacunku dla niej powiem panu, że nie mam zwyczaju zalecać się do dziewcząt z wpływowych rodzin. Jeśli uważa pan jej śmierć za podejrzaną, radzę wejrzeć w jej życie rodzinne, gdyż tylko takie znała.

— Moje źródła twierdzą, że spotykał się pan z dziewczyną w różnych miejscach, aby zaaranżować jej pobyt w Nowym Jorku. Miał pan pomóc jej uzyskać wizę, znaleźć mieszkanie, może dostać się na uniwersytet. Jednym słowem, zadbać o jej potrzeby.

— A dowodem na to jest...?

Najir sięgnął do kieszeni i wyjął papierowego bociana.

— Widział pan to już wcześniej?

— Widziałem tuziny takich.

Najir odłożył bociana na stolik.

— Dał go pan Nuf.

— Przypuszczam, że potrafi pan to udowodnić — prychnął Eric.

Najir sięgnął z niewzruszoną miną do kieszeni i wyjął klucz otrzymany od Muhammada.

— A to? Wygląda znajomo?

Eric zbladł.

— To klucz do pańskiego mieszkania w Nowym Jorku. Dał go pan Nuf, podobnie jak ptaka, i powiedział, że może się tam zatrzymać, póki jej lokal nie będzie gotowy. — Eric milczał, Najir mówił więc dalej: — Sądzę, że jej pan pomagał. Potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej się urządzić, i musiał to być Amerykanin. Prawdopodobnie imponowało panu, że zwróciła się akurat do pana. Były w tym też pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Kto wie, może nawet się panu podobała? Była młoda i słodka. Plan sprawdzał się doskonale, póki nie odkrył pan, że dziewczyna jest w ciąży.

Eric parsknął z niedowierzaniem, lecz Najir to zignorował.

— To byłby dla pana kłopot, prawda? Nawet w Ameryce. Nagle znajomość zaczęła panu zagrażać i postanowił pan pozbyć się Nuf.

— Nie zrobiłem nic podobnego. — Eric wstał. — Rozmowa skończona.

— Jeśli ma pan na względzie dalsze finansowanie badań swego współlokatora — warknął Najir — to pan usiądzie.

Eric osunął się niechętnie na fotel. Skrzyżował ramiona i czekał.

— Nuf została prawdopodobnie porwana i zawieziona na pustynię. Zaryzykowałbym twierdzenie, że któryś z pańskich odwiertów znajduje się w pobliżu miejsca, gdzie ją znaleziono, a to czyni pana głównym podejrzany.

Eric nie odpowiedział.

— Albo powie mi pan prawdę i zaufa mojej dyskrecji, albo przedstawię sprawę rodzinie — zagroził Najir. — Jestem pewien, że zechcą poznać wszystkie szczegóły, nawet gdyby miało to wpłynąć na ich relacje z pańskim... współlokatorem?

— No dobrze. — Eric westchnął z widocznym drżeniem. — Pomagałem jej. Nie miała nikogo, byłem jedynym ogniwem łączącym ją z wolnością. Ale nie miałem absolutnie nic wspólnego z jej śmiercią. Po co miałbym ją zabijać? Miała mi zapłacić blisko pół miliona riali. — Marszcząc brwi, spojrzał na gościa. — Teraz nie mam nic.

— Zadał pan sobie tyle trudu i nic panu nie dała? Nawet depozytu?

— No nie... Dała mi trochę pieniędzy na mieszkanie i opłaty wstępne na uniwersytecie. Nie było tego dużo.

— Milion riali — powiedział Najir. — To dla pana niedużo? — Muhammad powiedział, że było to milion riali. Do tej pory Najir skłonny był sądzić, że kwota została zawyżona, lecz Eric wydawał się zmieszany. — Zapłaciła panu. Nie pół miliona. Milion. To niezła sumka, a z drugiej strony dobry motyw zabójstwa. Proszę mi powiedzieć: zmieniła zdanie i zażądała zwrotu pieniędzy?

Eric parsknął drwiąco.

— Oczywiście nie zechciałby pan ich oddać — kontynuował Najir — zważywszy, że nie spisaliście formalnej umowy, a o sprawie wiedział tylko eskortujący ją opiekun. Mogła jednak zagrozić, że poskarży się braciom. A nawet wymyślić historyjkę o tym, że ją pan okradł. Byłoby to jej słowo przeciwko pańskiemu, a komu by uwierzyli? Własnej siostrze czy panu?

Ostatnie słowo wypowiedział z nieskrywaną pogardą, co jeszcze bardziej wytrąciło Erica z równowagi. Uczynił wysiłek, aby wyglądać godnie, lecz kiedy się odezwał, głos mu drżał.

— Przepraszam bardzo, ale nic takiego się nie wydarzyło. To prawda, mogła zdradzić braciom nasz plan, tylko że wcale tego nie chciała.

Najir wpatrywał się w gospodarza, szukając dowodu, że kłamie. Eric wydawał się przestraszony, że go przyłapano, choć trudno było stwierdzić, czy boi się ujawnienia finansowych machlojek czy oskarżenia o morderstwo.

— Ile panu zapłaciła? — spytał Najir.

— Pół miliona.

— Jak?

— Gotówką. Głównie w złocie. Jak większość kobiet w tym kraju wołała przechowywać oszczędności w ten sposób. Zamrożone, że się tak wyrażę.

— Skąd młoda dziewczyna mogła mieć tyle pieniędzy?

— Och, niech pan da spokój, to bogata rodzina. Ktoś, nie wiem kto, dał jej olbrzymią sumę na wesele, a reszta była prawdopodobnie jej własnością.

Najir zastanawiał się przez chwilę, kto też mógł dać Nuf pieniądze i czy osoba ta nie odkryła aby, że nie zostaną wydane na wesele.

— Kiedy ostatni raz ją pan widział? — zapytał.

— Dwa dni przed tym, zanim zniknęła. I przysięgam, że jej nie tknąłem. Nie wiedziałem nawet, że jest w ciąży.

— Co się wtedy stało?

— Nic — stwierdził Eric stanowczo. — Omawialiśmy po raz kolejny szczegóły. Dałem jej klucz.

— Zamierzaliście zrealizować plan?

— Tak. Wszystko doskonale się układało.

Najir czuł do faceta silną niechęć, nie było to jednak to samo, co wiedzieć, że jest winny. Wytarł dłonie w serwetkę.

— Gdzie pan był w dniu, kiedy zniknęła?

— Tu, w Dzuddzie.

— W pracy?

— Najprawdopodobniej.

— Ktoś może to potwierdzić?

— Tak.

— Będę więc potrzebował telefonu do pańskiego biura i dokładnej lokalizacji odwiertu. A skoro twierdzi pan, że jest niewinny, nie będzie pan miał zapewne nic przeciwko temu, żeby mi najpierw dać próbkę swojego DNA. — Nie był w stanie określić natychmiast, jaki efekt wywarło to żądanie. Eric siedział bowiem nieporuszony, wpatrując się w niego z zaciekawieniem.

— Oczywiście, może pan pobrać próbkę — powiedział po chwili.

Najir starał się przybrać swobodną pozę, lecz czuł się coraz bardziej skrepowany. Próbował zrozumieć, dlaczego nie lubi Erica aż tak bardzo. Dostrzegwał w nim próżność, ale i snobizm. Był jednym ze złych Amery-

kanów, chciwym człowiekiem, który przybywa do Arabii Saudyjskiej i gotów jest zrobić wszystko dla pieniędzy. Sieje spustoszenie w miejscowej społeczności — w tym przypadku mieszając w głowie niewinnej dziewczynie — i zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że niszczy komuś życie. Najir przeczuwał, że gdyby Eric zamordował Nuf własnymi rękami, obawiałby się schwytania, choć nie żałowałby swego czynu ani przez chwilę.

Tymczasem Eric uśmiechnął się zakłopotany.

— Jak chce pan ją pobrać?

— Potrzebuję włosa — burknął Najir, wyjmując z kieszeni foliową torebkę.

Eric wyrwał sobie pasemko włosów.

— A bocian? — spytał Najir, sięgając po ptaka i podnosząc go.

— Dałem go jej — przyznał Eric. — To było jak przypieczętowanie kontraktu.

— Bocian?

— Obietnica bardziej płodnej przyszłości. — Machnął ze znużeniem dłonią, jakby wiedział, że coś takiego jak bardziej płodna przyszłość nie istnieje. — Jak pan powiedział, nie mogliśmy spisać formalnej umowy, mogłaby przecież wpaść w niepowołane ręce.

— Oczywiście — zgodził się z nim Najir. Lekceważący gest Erica zirytował go, sugerował bowiem, że Nuf była głupia, wierząc, iż jej marzenia mogą się kiedykolwiek ziścić.

— Jak pan ją poznał? — spytał. — Nie wierzę, że przedstawiła was sobie rodzina.

— Bo tak nie było. — Eric najwidoczniej nie poczuł się urażony słowami Najira. — Prawdę mówiąc, był to przypadek. Pewnego popołu-

dnia wybraliśmy się z moim współlokatorem do Asz-Szarawich. Poszliśmy na spacer po plaży i patrzcie tylko, kto się objawił na jaskrawożółtym skuterze wodnym? Piękna młoda dziewczyna. Była oczywiście skromna: kiedy nas zobaczyła, owineła głowę szalem i zakryła twarz. Ken, mój współlokator, rzucił grzecznościową uwagę. Wydawała się onieśmielona, rozmawiając z nami, spytała jednak, czy jesteśmy Amerykanami, więc potwierdziliśmy. Wtedy raptownie się oddaliła. Sądziliśmy, że odeszła, ponieważ uważa nas za brudnych niewiernych, lecz kiedy wychodziliśmy z domu, podszedł do nas młody służący, prosząc o numer telefonu. Okazało się, że to jej eskorta i że wysłała go, by skontaktował się z nami, kiedy jej bracia nie będą patrzyli.

— I dał mu pan swój numer?

— Dlaczego miałbym tego nie zrobić? Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi... — Eric ważył teraz słowa. — Byłem przy tym absolutnie przekonany, że nie jest to sprawa... jak by to powiedzieć? Niemoralnej natury.

Najir nie mógł się pozbyć wrażenia, iż Eric sądził z początku, że jest dokładnie na odwrót i pobudki Nuf są właśnie niemoralnej natury. Wyobraził sobie, że musiał się poczuć rozczarowany, kiedy się okazało, że dziewczynie chodzi o coś zupełnie innego. Najir uświadomił sobie, że był wobec Erica niemący.

— Jeszcze jedno — powiedział. — Czy kiedy przebywał pan w domu Asz-Szarawich, dotarł pan dalej niż do bawialni? Na przykład do męskiej sypialni?

— Nie — prychnął Eric i widać było, że tym razem czuje się dotknięty. Szyja poczerwieniała mu z gniewu. Najir nie zrozumiał, dlaczego pytanie aż tak wyprowadziło gospodarza z równowagi, póki nie uświadomił sobie, iż sugerowało, że Eric uprawiał w domu Asz-Szarawich seks.

— Miałem na myśli... — zamierzał spytać o zaginioną kurtkę Usmana, lecz zrezygnował. Wstał i powiedział wzburzony: — Mniejsza z tym.

Wyglądało na to, że Ericowi ulżyło, kiedy zobaczył, że wizyta zbliża się ku końcowi. Najir podziękował i wyszedł.

Na zewnątrz powietrze było chłodne niczym noc na pustyni. Odechnął głęboko i włożył płaszcz, który pachniał jak dom, który przed chwilą opuścił. Podziękował Ericowi za posiłek, ale jeszcze goręcej Bogu za to, że jest wolny i może pójść, dokąd chce.

Gdy dotarł do domu Muhammada, nadal było wczesne popołudnie. Muhammad był w domu i chętnie dał Najirowi próbkę swoich włosów. Najir zapakował ją i pojechał prosto do biura lekarza sądowego. Nie zadał sobie trudu, aby odszukać pannę Hidzazi — zostawił po prostu próbki strażnikowi, który obiecał, że je przekaże. Kiedy zapytał Najira, czy chce zostawić też wiadomość, zaprzeczył.

Zrobił to, co robił zawsze, kiedy chciał przestać myśleć. Jeździł. W kółko. Nie miał zbyt wielu możliwości. W kraju nie było barów, nocnych klubów, dyskotek ani kin. Przynajmniej legalnie działających. Oczywiście w domach elit oraz niektórych członków rodziny królewskiej znajdowały się tajne bary, gdzie można było kupić szklaneczkę wina albo whiskey. Były też burdele, miejsca, gdzie mężczyzna mógł znaleźć prostytutki — same niemuzułmanki, ponieważ sypianie z muzułmańską dziewczyną było zabronione. Najira nie interesowały bary ani burdele. Na samą myśl o tym, co musiało się dziać w takich miejscach, przechodził go dreszcz. Ale jednego rodzaju rozrywki mógł zażywać do woli: przy cenie benzyny wynoszącej pół riala za litr mógł jeździć, ile chciał. I tak właśnie robił, podobnie jak miliony innych nudzących się mężczyzn. Tyle że natężenie ruchu było spore, musiał więc zataczać coraz szersze kręgi.

W mieście nie było dużych skrzyżowań, wyłącznie ronda. Rozgałęziały się w dziesięciu, dwunastu kierunkach. Pośrodku każdego znajdowała się rzeźba skutecznie rozpraszająca uwagę kierowców wielkością i — często zaskakującą — formą. Monstrualna beduińska filiżanka. Latający samochód uwięziony w bryle betonu. Części ciała: pięść, gigantycz-

na stopa. Lecz większość z czterystu rzeźb zdobiących ronda Dzuddy była abstrakcyjna albo przeciwnie, idiotycznie konkretna, choć bez odniesienia do ludzkiego ciała, co było w islamie zakazane.

Jak wielu mieszkańców miasta, Najir zabijał czas, wyszukując ronda i nadając stojącym na nim rzeźbom pejoratywne nazwy. Przejął ten nawyk od Azima — Azima, który wyruszył przed siedmioma tygodniami do Palestyny na pogrzeb ciotki i słuch po nim zaginął. Najir wjechał na rondo, gdzie zaczynała się Medina Road. Pośrodku stał Olbrzymi Rower z kierownicą umieszczoną trzy razy wyżej, niż wynosił wzrost przeciętnego mężczyzny (Najir nazwał go Made in China). Objechał rondo dwukrotnie i skręcił na wschód, przemknął przez drugie, na którym ustawiono pierwszy w Arabii Saudyjskiej odrzutowiec (Boże, Pobłogosław Amerykę za Technologię Niewiernych) i kontynuował jazdę, póki nie dotarł do zatłoczonych uliczek wokół Przyborów Matematycznych — cyrkli i węgielnicy, nad którymi wznosił się łukowy kątomierz wysokości postawionego na ogonie boeinga. Okrążał rondo kilka razy, przyglądając się rzeźbie z różnych stron, lecz jakoś nie przychodziła mu do głowy odpowiednia nazwa. Arabskie Wynalazki? Przybory Używane, Kiedy Jeszcze Robiliśmy Coś Użytecznego? A cóż takiego mianowicie? Zapomniał.

Czul się wyzuty z energii, ale nie był w stanie zjechać z ronda. Dookoła było zbyt wiele samochodów. Wyobraził sobie, że krąży tak bez końca, i poczuł przyływ paniki. Skręcił rozpaczliwie w prawo i wyrwał się z zaklętego kręgu żegnany głośnym trąbieniem.

Nagle ogarnęła go przemożna chęć, aby wyjechać z miasta. Skupił się zatem, by dotrzeć jak najszybciej do autostrady. Tam czekało osiemdziesiąt kilometrów wolności. Pojedzie w dół wybrzeża, ucieknie od miasta i popatrzy na gwiazdy. Może nawet prześpi się na plaży. Czasami rozmyśla! o tym, czy nie wyprowadzić się z Dzuddy. Mógłby zamieszkać w małym domku na skraju pustyni. Niestety, miasto było mu potrzebne: tu mieszkali jego klienci, starzy i nowi, tu nawiązywał kontakty. Nie mógł też zostawić wuja, zwłaszcza teraz, gdy Samir się starzał. Poza tym

życie na łodzi było prawie tak dobre jak na pustkowiu, a żeglował wystarczająco często, by zapewniało mu to poczucie swobody.

Postanowił, że zjedzie z szosy i poszuka spokojnego miejsca. Już sama myśl o tym, że znajduje się blisko pustyni, uspokajała go. Zebrał się w sobie i włączył radio. Znalazł stację Radio Dżudda i słuchał, jak imam rozwodzi się beczącym głosem na temat właściwego postępowania z kobietami. Zwykle nie lubił tego rodzaju agresywnego hałasu, lecz dzisiejszego wieczoru wydawał mu się dziwnie kojący.

— Dotykanie — grzmiał imam — to cudzołóstwo popełniane ręką. Nie wolno wam patrzeć na żadną kobietę, która nie jest z wami spokrewniona, gdyż jest to cudzołóstwo popełniane wzrokiem.

Najir pomyślał o pannie Hidżazi, przypomniał sobie, jak szli uliczką amerykańskiego osiedla. Przez jedną żenującą chwilę, gdy poczuł to okropne łaskotanie w żołądku, było w jej oczach coś — czyżby podziw? Dlaczego miałyby go podziwiać? Wyobraził sobie, jak Usman opowiada jej o nim, malując obraz... jaki właściwie? Prawego muzułmanina? Człowieka, który modli się pięć razy dziennie, odbywa doroczną pielgrzymkę do Mekki, daje jałmużnę i zachowuje skromność w każdym aspekcie życia? Wątpił, by mogło to wywrzeć wrażenie na kobiecie takiej jak panna Hidżazi. Może postrzegала go jako bohaterskiego pustynnego przewodnika. Mężczyznę, który potrafiłby zastrzelić szakala.

Minał Blackpool Lights, gdzie sprowadzone z Anglii wiktoriańskie latarnie wydawały się całkowicie nie na miejscu pośród palm i wydm. Zaczął się przyglądać budowlom: meczetom, których baniaste kopuły migały za oknem samochodu, i umieszczonym pomiędzy nimi pociskom Patriot, smukłym i groźnym niczym osy. Nagle sceneria się zmieniła na zwyczajniejszą. Teraz otaczały go puste pola, których monotonię zakłócały jedynie brzydkie kompleksy mieszkalne. Wyglądały w zapadającym zmierzchu, jakby opuścili je mieszkańcy. Powrócił myślami do Erica. Co w nim mogło się spodobać kobiecie takiej jak Juliet? Był dla niej za stary,

zbyt arogancki. Czy z sobą sypiali? Nagle nawiedziło go wspomnienie Nuf, lecz potrząsnął głową i odpędził je.

Dlaczego Eric zdecydował się pomóc dziewczynie? W nadziei na usługi seksualne? Z powodu swoich przekonań? Najir podejrzewał, że prawdziwym motywem była chciwość. Ericowi nieźle się powodziło, skoro mieszka! w tak luksusowym otoczeniu. Najir domyślał się jednak, że Eric nie czuł się tam bezpieczny — dom nie należał do niego i był tam na dobrą sprawę tylko gościem. Zatrzymał mieszkanie w amerykańskim osiedlu. Może pieniądze uzyskane od Nuf miały stanowić zabezpieczenie na wypadek, gdyby współlokator postanowił go wyrzucić.

— Nawet głos! — wdarła się w jego myśli perora imama. — Jego delikatny dźwięk może sprowokować cudzołóstwo ust, zębów i każdego oddechu, jakim powinniśmy chwalić Boga!

Najir jął się zastanawiać, jak brzmiał głos Nuf. Czy podobnie jak niektóre kobiety wkładała do ust monety, by stłumić jego słodycz? Mówiła przez nikab czy też była na tyle nowoczesna, aby pokazać Ericowi twarz?

Eric był Amerykaninem, a w obecności Amerykanów zasady zdawały się zanikać; kiedy rozmawiało się z którymś, zachowywanie się tak, jak zachowywali się oni, wydawało się absolutnie w porządku. Najir doświadczył tego z Juliet, gdy patrzył wprost na jej twarz. Nuf, wystarczająco zbuntowana, aby porzucić narzeczonego, prawdopodobnie pokazała się Ericowi bez ni- kabu. Ucisnęła mu dłoń i patrzyła prosto w oczy, starając się udowodnić, że też może być Amerykanką.

Głos imama, płaczliwy i dziwnie judzący, rozpraszał go, wyłączył więc radio i opuścił szybę, pozwalając, by szum wiatru wypełnił mu uszy. Próbował sobie przypomnieć głos panny Hidzazi. Jak na tak śmiałą kobietę przemawiała zadziwiająco łagodnie. Podejrzewał, że próbowała zamaskować w ten sposób ostrość swoich słów, wydać się skromną, choć

wcale taka nie była. Jej głos nie brzmiał jednak szczególnie śpiewnie ani słodko, uznał więc, że nie popełnił grzechu, słuchając go.

Gdzieś w głębi głowy kołatała mu się poważniejsza myśl, domagając się, aby poświęcił jej uwagę. Eric nie wiedział zapewne nic o kurtce Usmana, a nawet gdyby wiedział, po co miałby ją kraść? Śmieszny pomysł. Ktoś taki jak on bez wątpienia miał własny GPS i mapy. Najirowi było głupio, że w ogóle o to zapytał. Teraz widział jasno, że po prostu unikał stawienia czoła faktom: to ktoś z posiadłości Asz-Szarawich uprowadził Nuf. Ta myśl od początku nie dawała mu spokoju. Samir sądził podobnie. Wszystkie nowe dowody na to wskazywały. Mimo to uparcie ją ignorował.

Co się teraz stanie? Panna Hidżazi zbada próbki, ale czy do niego zadzwoni? A może postąpi choć raz jak należy i porozmawia wpierw z narzeczonym? Jeśli się okaże, że próbki ujawniły tożsamość ojca, Najir prawdopodobnie nie zobaczy więcej panny Hidżazi. I dobrze, nie będzie bowiem musiał się zastanawiać, czy zachowuje się właściwie, kiedy przebywa w jej pobliżu. Tylko że na razie jakoś nie czuł się lepiej.

Wrócił do rzeczywistości i uświadomił sobie, iż okrąża rzeźbę, na którą nie zwracał do tej pory zbytnej uwagi. Była abstrakcyjna, ot, wysoki stalowy pał przycięty w kształt kręgosłupa. Był złamany w połowie i górna część zwisała nad jezdnią, najwidoczniej zgodnie z zamierzeniem artysty. Nim zdążył się zastanowić, na myśl przyszły mu dwa słowa odmalowujące to, co miał przed sobą: „Poproszę viagrę”. Zawstydzony przedarł się przez sznur samochodów i skręcił w mroczną aleję po to je-dynie, aby zatrzymać się po chwili z piskiem hamulców.

Ulica okazała się bowiem ślepa.

ROZDZIAŁ 18

Był to najgorszy rodzaj południa: zbyt jasnego, parnego, ze słońcem, które zdawało się wypełniać każdy skrawek nieba. Duszne powietrze bez cienia wiatru spływało z nieba niczym płynna lawa, wywołując zmarszczki gorąca, ostre błyski światła oraz miraże zdolne wprowadzić do piekielnej otchłani całą armię. Katia czekała na Ahmada w zwykłym miejscu za budynkiem mieszczącym biura lekarza sądowego, lecz podczas pięciu minut, które tam spędziła, podeszwy jej sandałów zmiękły, przywierając jak ciepła guma do chodnika.

Kiedy Ahmad wreszcie się pojawił, zobaczył, że podopieczna tańczy na palcach niczym jogin próbujący przebiec po rozżarzonych węglach. Wygramolił się z samochodu, podarł swą cenną gazetę na pasy i ułożył je na asfalcie, sprawdzając bosą stopą, czy Katia będzie mogła przedostać się po nich bezpiecznie do samochodu. W pobliżu stał jakiś nieznajomy: Jemeńczyk w długiej szarej abai i marynarce. Pospieszył z pomocą, drąc własną gazetę i przeklinając upał słowami, które przywołały uśmiech na usta Ahmada. Przyjazne zachowanie nieznajomego przekonało Katię, iż może podziękować mu bezpośrednio, a kiedy to zrobiła, uśmiechnął się do niej i nisko uklonił.

Ahmad trzymał w schowku rękawicę kuchenną przeznaczoną na okazje takie jak ta, kiedy dotknięcie gołą dłonią klamki mogło spowodować oparzenie trzeciego stopnia, a operowanie kierownicą wymagało nie lada determinacji. Wysiadając, zabrał rękawicę ze schowka — była duża, wykonana z niebieskiego plastiku i uformowana na kształt czegoś stworzonego przez rosyjski program kosmiczny. Chwycił przez nią klamkę i otworzył delikatnie drzwi, ostrzegając Katię, żeby nie dotykała ramy okiennej.

Jemeńczyk roześmiał się, kiedy zobaczył rękawicę.

— Wygląda jak coś, co mogłoby się przydać w porze kocenia się owiec.

Ahmad uśmiechnął się łagodnie.

— Należała do mojej żony. Niestety, jeśli chodzi o kocenie się, przydała się jedynie podczas gotowania owczego mięsa.

— Ach. — Jemeńczyk uniósł znacząco brwi. — Przykro mi — powiedział.

Katia poczuła się nagle tak, jakby wymiana zdań odbywała się w innym świecie. Nie było nic dziwnego w tym, że zwyczajna rozmowa zeszała tak szybko na kwestię kobiecej płodności. Zastanawiała się, ile takich rozmów słyszała, nie zdając sobie sprawy, czego tak naprawdę dotyczy.

Wśliznęła się ostrożnie do toyoty. Ahmad zostawił włączony silnik i klimatyzacja działała pełną parą. Na wypadek szczególnie dokuczliwego upału woził też w samochodzie przenośną lodówkę, a w niej wilgotne ręczniki. Jeden z nich leżał teraz na tylnym siedzeniu. Ale pomimo tych luksusów pięć minut spędzone na chodniku wystarczyło, by upał wdarł się w każdą komórkę ciała Katii, i względny chłód samochodowego wnętrza nie tyle poprawiał sytuację, ile ją stabilizował.

Zatrzymali się przy pierwszym sklepie z obuwem, jaki udało im się znaleźć. Ahmad wysiadł, by kupić jej sandały, i wracał dwa razy, wpytując o rozmiar i cenę. Sandały, które kupił, były bez obcasa, mocne i zapinane na rzepy — z pewnością najbrzydsze buty, jakie nosiła kiedykolwiek — podejrzewała jednak, że zdołają przetrwać w konfrontacji ze słońcem. Wdzięczna, czym prędzej je nałożyła.

Drogi były zatłoczone. Nastala pora obiadu i wszyscy porzucili miejsca pracy, ale nie chcieli opuszczać chłodnego wnętrza samochodu. Wydostanie się z miasta zajęło im blisko godzinę, a kiedy znaleźli się wresz-

cie na drodze prowadzącej do posiadłości Asz-Szarawich, Katia oparła się wygodnie i zamknęła oczy.

Praca dawała się jej we znaki. Przychodziła do laboratorium wcześnie, lecz Salwa zawsze tam była, oczekując, że Katia zrobi wszystko, co było akurat do zrobienia. Tak więc zjawiając się wcześniej, tylko przysparzała sobie pracy. Teraz powinna analizować próbki ze sprawy przemocy w rodzinie. Zona zabiła męża, podpalając jego łóżko. Katia nie wiedziała o tej kobiecie prawie nic, podejrzewała jednak, że było tak, jak w większości podobnych przypadków: kobieta obawiała się o swoje życie.

Żałowała, iż nie może bardziej zaangażować się w śledztwo — a przynajmniej dowiedzieć się czegoś więcej o morderczyni — jej zadaniem było analizować dowody, nie badać tropy. Na ogół mogła mówić o szczęściu, jeśli udało jej się odkryć choćby cień motywu. W wydziale obiecywano, że pewnego dnia kobiety też będą mogły prowadzić dochodzenie. W końcu było sporo podejrzanych kobiet. Czy nie powinna przesłuchiwać ich kobieta? Tyle że zawsze znalazła się wymówka. W wydziale brakowało funduszy. Gubernator nie wyraziłby zgody. W tych dniach wszyscy obserwowali z zaciekawieniem nowy zespół kobiet oficerów policji wysłanych po raz pierwszy do boju. Nie zdążyły się jeszcze wykazać, ale czego można się spodziewać po grupie kobiet, którym nie wolno prowadzić samochodu ani roweru i które nie mają prawa zatrzymać mężczyzny na ulicy?

Samochód podskoczył na wyboju i Katia otworzyła oczy. Po prawej połyskiwało błękitem Morze Czerwone i poczuła nagły nieodparty impuls, by wysiąść, zbiec na plażę i zanurzyć się w wodzie, choćby i w ubraniu.

— Moglibyśmy zatrzymać się na chwilę? — spytała.

Ahmad wzruszył nerwowo ramionami.

— Muszę być w mieście o drugiej.

Katia zerknęła na zegarek. Nie mieli dość czasu na kąpiel. Zaczekaj, pomyślała. A potem: Na co? Na dzień wolny od pracy, kiedy temperatura spadnie poniżej czterdziestu stopni, a ojciec będzie w dobrym nastroju i zabierze ją na plażę? Zanim poznała Usmana, latami czekała, by wyjść wreszcie za mąż. To mąż powinien zabierać ją na plażę. Zawozić do pracy i asystować jej podczas zakupów. A teraz miała co prawda narzeczonego, lecz nadal czekała na zamążpójście. Nie ustalili jeszcze daty ślubu.

Ahmad otworzył lodówkę, wyjął butelkę lodowatej wody i podał Katii. Uniosła nikab i uśmiechnęła się.

— Dziękuję, Ahmadzie.

— Dowiedziałaś się czegoś nowego na temat śmierci dziewczyny Asz-Szarawich? — zapytał.

Spojrzała mu w oczy widoczne w lusterku wstecznym, próbując odgadnąć, czy to jej ojciec skłonił go, by o to zapytał.

— Jedną czy dwie rzeczy — odparła. — Nic decydującego.

— Sądziłem, że przywozisz rodzinie jakieś nowiny.

— Nie, to tylko wizyta. — Wiedziała, że Ahmad się zastanawia, dlaczego nie zaczęła z odwiedzinami, aż skończy pracę, tyle że wieczorem mężczyźni wrócą już do domu i kobiety mogą być zajęte. — Nie widziałam ich od pogrzebu — powiedziała. — Chcę się po prostu upewnić, że sobie radzą.

Ahmad skinął głową ewidentnie usatysfakcjonowany, a Katia zganiała się w duchu za to, że kłamie. Oczywiście chciała się przekonać, czy u kobiet wszystko w porządku, lecz miała też na względzie inny cel, znacznie ważniejszy.

W ciągu kilku ostatnich dni udało jej się ustalić, że DNA spod paznokci Nuf odpowiada DNA ojca jej dziecka. Dziewczyna musiała więc

widzieć się z kochankiem, zanim umarła. Może pospieszyła do niego, aby powiedzieć o ciąży, a on się przestraszył. Walczyli...

Dalej sytuacja mogła się rozwinąć na tuzin różnych sposobów. Czy walczyli, ponieważ on nie życzył sobie dziecka? Był żonaty i nie chciał brać drugiej żony? A może wiedział, że Nuf zaręczona jest z innym mężczyzną? Nuf wcale nie musiała się domagać, aby się z nią ożenił. Wkrótce i tak miała wyjść za mąż. Mogła udawać, że dziecko jest Kadiego — chyba że zostało spłodzone z mężczyzną innej rasy. Jasnowłosej, czarnoskórej albo dalekowschodniej. A jeśli nie chciała poślubić Kadiego? Jeśli wolałaby wziąć sobie za męża ojca dziecka, a on powiedział: nie? Coś takiego mogło wytrącić ją z równowagi na tyle, by uciekła. Przepychanka z kochankiem wyjaśniałaby obecność skóry pod paznokciami oraz zadrapań na ramionach, ale nie ranę na głowie. Nie była śmiertelna, lecz wystarczająco poważna, żeby pozbawić dziewczynę na jakiś czas przytomności. Czy byłaby potem w na tyle dobrym stanie, żeby odjechać?

A jeśli to Kadi był ojcem? Czyby się zdenerwował? Zapewne nie. Mieli się pobrać — więc co za różnica?

Pomimo iż bardzo się starała rozpatrzyć uczciwie wszystkie ewentualności, jedna wydała jej się szczególnie prawdopodobna. A jeśli Nuf powiedziała ojcu swojego dziecka o planowanej ucieczce do Ameryki, a on próbował ją powstrzymać? Coś takiego wytrąciłoby z równowagi każdego mężczyznę, z Kadim włącznie. Czy odważyłaby się powiedzieć kochankowi, co planuje?

Westchnęła sfrustrowana. Nie знаła Nuf zbyt dobrze. Spotykały się głównie w kobiecej bawialni, która była miejscem dość oficjalnym i dostępnym dla wszystkich kobiet. Rozmawiały ze sobą zaledwie kilka razy, ale to wystarczyło, by Katia się zorientowała, że Nuf jest bardziej energiczna i pełna życia niż jej siostry. Śmiała się często i z byłe powodu i rozprawiała z podekscytowaniem o swoich chartach. Pewnego dnia zwie-

rzyła się Katii, że kocha psy bardziej niż dzieci i gdyby mogła, wolałaby mieć rodzinę złożoną właśnie z tych zwierząt.

Podobnie jak inne kobiety Asz-Szarawich, bywała też pełna rezerwy i czasami milkła w środku rozmowy, na ogół w chwili kiedy już miała się otworzyć. Katii nie udało się odgadnąć, co prowokowało takie zachowania — zwykle poprzedzały one grzeczne pożegnanie i odejście. Nuf mówiła, że musi coś zrobić. Katia zawsze czuła się wtedy porzucona. Lubiła Nuf, może dlatego, że dziewczyna była ulubienicą Usmana. Katia nie miała siostry i tęskniła za tym, by stać się częścią życia Nuf, móc wejść do jej sypialni, oglądać książki, które czyta, jej biżuterię, wyroby artystyczne czy ulubione pluszaki. Czy była bałaganiarą? Osobą schludną? W jakim łóżku sypiała? Jakiego koloru były ściany w jej sypialni? Czy miała osobistą służącą? Katia zdawała sobie sprawę, że we własnym pokoju Nuf czułaby się bardziej swobodnie, i miała nadzieję, że pewnego dnia, gdy będzie już żoną Usmana, runą dzielące je bariery i będzie mogła lepiej ją poznać.

Kiedy wjechali na most prowadzący do posiadłości, ścisnęło ją za gardło. Od początku bardzo chciała porozmawiać z kobietami, zapytać, co wiedziały o życiu Nuf. Jednak od tego strasznego poranka kiedy zidentyfikowała jej ciało w kostnicy, nie była w stanie poruszyć tematu zmarłej, żeby się nie natknąć na mur ciszy i łez. Miała nadzieję, że od pogrzebu minęło już dość czasu i sytuacja uległa zmianie.

Ahmad otworzył okna, wpuszczając do wnętrza lekki wietrzyk. Jechali teraz nad wodą i posiadłość właśnie znalazła się w zasięgu wzroku. Widok wznoszących się w oddali białych ścian zawsze mocno poruszał Katię, podobnie jak świadomość, iż pewnego dnia stanie się częścią tego wszystkiego. Oczywiście jeśli dzisiaj nie nadużyje gościnności rodziny.

Spędziła z kobietami wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, że ich życie toczy się w bawialni. Nie gotowały, nie zmywały ani nie prały, nie zajmowały się niczym poza przyjmowaniem gości, modlitwami i korzystaniem z wygod. Młodsze dzieci bawiły się w odległych pokojach pod

okiem dwóch filipińskich niań, podczas gdy ich matki spędzały ze starszymi dziećmi większą część dnia w klimatyzowanym salonie, dobrze oświetlonym pomieszczeniu o białych ścianach, z miękkimi sofami, oknami osłoniętymi żaluzjami, telewizorem i zawieszonymi na ścianach cytatami z Koranu. Rząd umieszczonych po jednej stronie pokoju okien wychodził na rodzinny meczet. Naprzeciw nich podwójne drzwi otwierały się na otoczony wysokim murem ogród pełniący też rolę patia. Znajdowała się tu fontanna, która wyglądała, jakby tryskała wprost ze skały, winorośl pięła się po pergoli, pod którą ustawiono wyściełane krzesła i ławy, zaś rząd drzewek cytrynowych w donicach przesycił powietrze świeżą wonią. Pomimo fontanny i zacienienia na patiu było zwykle zbyt gorąco, dlatego kobiety wolały pozostawać w domu. Nusra była w ciągłym ruchu, anonsując gości i odchodząc, by dopilnować gospodarstwa. Żony jej synów przyprawdzały z wizytą kuzynki lub przyjaciółki. Kiedy Nuf żyła, spędzała wraz z młodszą siostrą, Abir, większość czasu w bawialni. Służące nie oddalały się na długo, przebywały zawsze w pobliżu, gotowe napełnić dzbanki kawą, zabrać naczynia albo zastąpić je nowymi. Abir znęcała się nad pokojówkami, zasiadając przy stoliku do kawy i bawiąc się jedzeniem, podczas gdy one stały obok niepewne, czy powinny interweniować.

Zaznajomienie się z imionami krewniaczek narzeczonego zajęło Kattii trochę czasu. Pomocne okazało się to, iż zawsze siadywały na tych samych miejscach. W pokoju były cztery sofy ustawione w kwadrat. Szwagierki okupowały dwie boczne. Żona Fahda, Zahra, siadywała zwykle na lewej, mając obok siebie siostrę Fatimę. Czesła włosy dziewczyny, sprawdzała jej paznokcie albo czytała książkę. Sofa po prawej zarezerwowana była dla Nusry oraz jej młodszych córek. Murudż, najstarsza siostra Nuf, siadywała zwrócona plecami do drzwi, podczas gdy żona Tahsina, Fadiła, zajmowała miejsce naprzeciw niej, na środkowej sofie.

Wszedłszy tego popołudnia do pokoju, Katia uniosła nikab i odpowiedziała na liczne pozdrowienia. Sądząc po panującej w pomieszczeniu ciszy, musiała wejść w przerwie pomiędzy rozmowami. Oczy kobiet

zwróciły się natychmiast na nią i Katia poczuła się niepewnie, jakby miała przydepnąć sobie skraj abai lub potknąć się o Abir, nim zdoła dotrzeć bezpiecznie do sofy. Poruszając się ostrożnie, usiadła obok Zahry. Na szczęście podano kawę, co pozwoliło jej zająć czymś dłonie. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła, że telewizor w kącie jest jak zwykle włączony, pokazując widoki Mekki. Ściszone jedynie dźwięki.

— Nie pracujesz dzisiaj? — spytała Zahra.

— Wzięłam wolne popołudnie — odparła Katia.

— Będziesz musiała robić to częściej, gdy wyjdiesz za mąż — zauważyła Zahra, mrugając porozumiewawczo.

Katia uśmiechnęła się lekko, lecz żadna z kobiet się nie odezwała. Nie była w stanie ocenić, czy uwaga Zahry wprawiła je w zakłopotanie albo czy powinna rzucić w odpowiedzi zabawną ripostę. Nic nie przychodziło jej do głowy.

— Zatem, panno Przyszła Żono Małego Usmana, wybrałaś wreszcie suknię? — spytała Fadila.

Katia zdążyła już zauważyć, iż szwagierka jest tak podobna do męża z zachowania oraz budowy, że wygląda jak jego karykatura. Mieli takie same okrągłe, pyzate twarze i pełne usta, takie samo omdlewające spojrzenie. Oboje nosili dobrze skrojone nieskazitelne abaje. Siadywali, zajmując czujną wyniosłą postawę i spoglądając na innych, jakby byli ich dworzanami.

Fadila pytała o ślubną suknię, a Katia nawet nie zbliżyła się do decyzji. Prawdę mówiąc, każda suknia, która pasowała do stylu Katii, okazała się zbyt nudna albo zbyt tania. Choć był to jej ślub, odczuwała głęboką potrzebę, by zadowolić przyszłych teściów, a przynajmniej ich nie rozczarować.

Przed kilkoma tygodniami Nusra sprowadziła do domu krawcową. Kobieta przybyła z dwudziestoma sukienkami. Wszystkie okazały się

zbyt ostentacyjne i kosztowne, ozdobione cekinami i bizantyjskim haftem, złotem oraz frędzlami, a także całymi metrami satyny tudzież koronki. Kilka miało prawdziwe gorsety z fiszbinami, pozostałe zaś monstrualnej wielkości krynoliny. Katia czuła się w nich niczym posąg, coś, na co ludzie mają się gapić. Najgorsze zaś były kolory — musztardowy i jaskrawy róż, zieleń papryki i ryzykowny, rażący oczy pomarańcz. Chętnie wyjaśniłaby Nusrze, że suknie są zbyt krzykliwe, nie chciała jednak wydać się niewdzięczna. Wolałaby coś spokojniejszego, o barwie tamaryszkowej albo czerwieni beduińskiego pledu.

Kiedy odrzuciła suknie, Nusra zaczęła ją przeproszać.

— Z pewnością nie nadaję się do tego, aby polecać krawcową — powiedziała, wskazując swoje ślepe oczy.

Katia też przeprosiła, wyjaśniając, że potrzebuje trochę czasu, by się zastanowić, czego naprawdę chce.

— Jeszcze się nie zdecydowałam — odpowiedziała teraz Fadili. — Miałam nadzieję znaleźć coś prostego i eleganckiego.

Fadila poruszyła się na sofie. Był to milczący odpowiednik prychnięcia.

— Moja siostra jest krawcową — oznajmiła. — Powiedz, jaki kolor ci się podoba, a ona uszyje ci suknię.

Katia nie była w stanie wyobrazić sobie nic gorszego, jak zostać zmuszoną do włożenia sukni uszytej przez siostrę Fadili, kobietę, której nie widziała na oczy. Coś w głosie Fadili podpowiedziało jej, że ta nieczęsto występuje z tego rodzaju ofertą i nie należy wprost jej odrzucać.

— Dziękuję — powiedziała zatem. — Umówiłam się już z krawcową. To przyjaciółka mojej matki. Ale będę pamiętała o twojej propozycji.

Fadila wyglądała tak, jakby nie była pewna, czy Katia kłamie. W końcu skinęła łaskawie głową i rozmowa się urwała.

Kiedy w pokoju zapadła przedłużająca się, pełna napięcia cisza, Katia znowu poczuła, że tu nie pasuje. Nie była dość interesująca, by wzbudzić w tych kobietach choć odrobinę entuzjazmu. Rozpaczliwie zastanawiała się, jak przełamać lody, poruszyć w sposób niekrępujący temat Nuf, ale jej umysł jakby się zablokował. Sytuacja pogorszyła się jeszcze, gdy do pokoju weszła młodzieńka Huda, kuzynka Asz-Szarawich przybyła z Zahranu, by odbyć pielgrzymkę do pobliskiej Mekki. Przebywała w domu Asz-Szarawich od dwóch lat, odwiedziwszy w tym czasie Mekkę dwunastokrotnie. Kobiety z rodziny nie wydawały się ani trochę znużone przedłużającą się wizytą. Przeciwnie, wyrażały się o dziewczynie w samych superlatywach, nazywając ją najbardziej gorliwym pielgrzymem na świecie i prawą ręką Boga, podczas gdy Huda, jak zwykle skromna i uniożona, nie przestawała dziękować im za to, że umożliwiają jej przebywanie tak blisko świętego miejsca.

Przybycie Hudy wywołało drobne zamieszanie. Murudź zerwała się, by ją powitać. Huda uśmiechnęła się leciutko i powiedziała, że nadszedł czas modlitwy. I rzeczywiście, głos muezina wypełnił pokój. Dudnił ogłuszająco, dobiegając od strony okna, które wychodziło na stromą skałę górującą nad rodzinnym meczetem. Głośniki meczetu rozmieszczono na całej wyspie, dwa największe znajdowały się jednak na wprost kobiecej bawialni, pięć razy dziennie pokój wypełniał się więc religijnym zaśpiewem tak głośnym, że nie sposób było rozmawiać. Huda i Murudź weszły do przyległej łazienki, aby dokonać ablucji, podczas gdy pozostałe siedziały w milczeniu, nie patrząc jedna na drugą, z lekka zakłopotane tym, że pozostawiono je samym sobie. Mimo to nie uczyniły żadnego wysiłku, aby przyłączyć się do modlitwy.

Katia także czekała. Bywała już w podobnym położeniu. Gdyby była tu Nusra albo też gość nie należący do rodziny, wszystkie kobiety by się modliły. Ponieważ były same, robiły, co chciały.

Katia przyglądała się im w milczeniu. Jej dyskomfort brał się w znacznym stopniu z tego, iż zachowywały się tak sztywno. Teraz to

widziała. Dotąd ich wzajemne stosunki przypominały elegancki tańiec pozorów z formalnymi „dziękuję”, „cała przyjemność po mojej stronie” i „*al-hamdu li-Allah*”. W przyszłości miała spędzać z tymi kobietami wiele czasu, i to bez Usmana. Nie była zwolenniczką poślubiania mężczyzny z uwagi na jego matkę i siostry, chociaż jej przyjaciółki postępowały w ten sposób przez cały czas. Mąż nie był aż tak ważny. Nigdy nie było go w domu, a jeśli domostwo było obszerne, nie widywały go nawet wtedy, gdy nie wychodził. Nie, kiedy kobieta wychodziła za mąż, poślubiała przede wszystkim teściową, szwagierki, kuzynki. Katia powtarzała sobie, że z czasem docenią się wzajemnie, ich relacje staną się bardziej serdeczne, a przynajmniej łatwiejsze. Lecz tak niewiele łączyło ją z tymi kobietami! Nic tu nie przypominało jej domu, gdzie ojciec spędzał cały dzień w kuchni, gotując, paląc, czytając gazety i oglądając telewizję. W tej rodzinie nikt nie gotował ani nie czytał gazet. Służący robili to za nich. Usman obiecał Katii, że zamieszkają w mieście, zapowiedział już wszakże, iż będą odwiedzali często rodzinę. Będzie spędzała z nimi urlopy, sprowadzi tu swego ojca, a potem dzieci. Przyjdzie jej oglądać ten pokój częściej, niż była w stanie sobie wyobrazić.

Teraz zastanawiała się, co też o swojej rodzinie sądziła Nuf. Nuf, która chciała żyć pomiędzy psami, przenieść się do Ameryki, pójść do college'u i uprawiać seks przed zamążpójściem. Jak układały się jej stosunki z kobietami pokroju Hudy lub Murudź? Musiało jej być niełatwo, zwłaszcza odkąd wprowadziła się do nich Huda. Dziewczyna była o rok młodsza od Nuf, ale sto razy bardziej pobożna. Dziecko, o jakim każda religijna matka mogła tylko marzyć. A może obecność Hudy była błogosławieństwem, odwracała bowiem uwagę od Nuf, pozwalając jej realizować własne plany?

Na podłodze naprzeciw Katii siedziała z chłodnym wyrazem twarzy Abir. Była tak podobna do Nuf, że wyglądała jak jej bliźniaczka. Miała na sobie domową abaję, zwyczajną i czarną. Dłonie złożyła na kolanach w geście bezwiednej skromności. Otaczała ją aura wiecznego niezadowolenia, obca Nuf, a może Nuf po prostu lepiej ją ukrywała. Abir była jak

jej siostra. Młoda. Stanowiła dobrą partię. Przypominała Nuf nie tyle usposobieniem, ile pozycją w rodzinie. Krewni spoglądali na te dziewczęta z pewną dozą zaciekawienia: Jak potoczą się ich losy? Kogo poślubią?

Kobiety traktowały wszakże Nuf jak dorosłą, podczas gdy Abir nadal była dziewczęciem, które matka łajała za to, że bawi się jedzeniem. Nawet teraz spoglądała dziwnym wzrokiem na drzwi łazienki, może czując, iż powinna przyłączyć się do siostry i kuzynki, a może szydząc z nich w duchu, powodowana tajemniczymi, jej tylko znanymi pobudkami.

Huda i Murudż wyłoniły się z łazienki, podeszły do okna w kącie pokoju, rozwinęły dwa stojące tam dywaniki i zaczęły się modlić. Katia przyglądała się im od tyłu, rozmyślając o tym, jakie to zabawne, że Huda przybyła z wizytą i już nie wyjechała. Rodzina praktycznie ją adoptowała, tak jak kiedyś Usmana, choć jego historia była o wiele bardziej dramatyczna. Wspomniała, iż była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie jej o sobie opowiedział.

Asz-Szarawi nie znali tak naprawdę ojca Usmana, ale wiedzieli, że miał na imię Husajn i był robotnikiem sezonowym z południowego Iraku. Przebywał w Dżud-dzie od sześciu miesięcy, kiedy firma, która go zatrudniła, przestała wypłacać pobory. Nie mając wsparcia pracodawcy, nie mógł przedłużyć pozwolenia na pracę, a nie miał dość pieniędzy, by wrócić do Iraku. Po miesiącu zebrał już na ulicy w towarzystwie swego sześciolatniego syna. Abu Tahsin zobaczył ich pewnego dnia przez okno swej limuzyny, gdy jechał do pracy, i kazał zatrzymać samochód. Zabrał Husajna i jego syna do prowadzonego przez rodzinę domu pomocy, po czym upewnił się, że zostali nakarmieni i dano im nowe ubrania. Wysłał Usmana do miejscowej podstawówki i nawet postarał się, by Husajnowi odnowiono pozwolenie na pracę. Dał im dość gotówki, by wystarczyło na kilka dni, i zostawił ich własnemu losowi.

Tymczasem po dwóch dniach Husajn zmarł nagle w wyniku udaru cieplnego, którego się nabawił, chodząc po mieście w poszukiwaniu zajęcia.

Abu Tahsinowi tak bardzo zrobiło się żal chłopca, że rozpoczął natychmiast procedurę adopcyjną. Katia zastanawiała się często, co go do tego skłoniło. Nie była to decyzja pochopna, gdyż załatwienie wszystkich formalności zajęło półtora roku, nie dało się wszakże jej odwrócić: Usman był związany z rodziną na resztę życia. Co takiego zobaczył w chłopcu Abu Tahsin, że poruszyło jego serce? Czym Usman różnił się od innych bezdomnych dzieci? Tak czy inaczej była to piękna opowieść o człowieku i o tym, jak rzadko spotyka się tak spontaniczne uczucie połączone z nieprzemijającą szczodrością ducha.

Kiedy modlitwa dobiegła końca i kobiety wróciły na swoje miejsca, Murudż zaproponowała, aby zjedzono trochę owoców, zajęto się więc organizowaniem przekąski. Zahra podniosła słuchawkę i wezwała służącą. Huda poustawiała na tacy puste filiżanki oraz dzbanek. Abir skubała leniwie nitki wystające z sofy. Katia zastanawiała się, czy śmierć Nuf w ogóle je obeszła. Wydawały się spokojne i opanowane jak zawsze.

Zahra skończyła rozmowę i zwróciła się do Katii.

— Wydajesz się zmęczona — powiedziała. Pozostałe kobiety gawędziły i Katia poczuła się na tyle swobodnie, że mogła udzielić szczerzej odpowiedzi.

— Jestem zmęczona — przyznała. — Smutno tutaj bez Nuf.

Wzmianka o Nuf sprawiła, że rozmowy natychmiast ucichły. Nawet Abir otrząsnęła się z rozleniwienia.

— Bo to jest smutne — rzekła Zahra łagodnie. Kobiety zaczęły znowu rozmawiać, choć bez poprzedniego entuzjazmu. — Zastanawiałam się — mówiła dalej Zahra — czy zrezygnujesz po ślubie z pracy.

W pokoju zapadła znowu cisza i kobiety zwróciły się ku Katii, ciekawe, co odpowie. Katia wzruszyła ramionami.

— Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym z Usmanem.

— Ale na pewno będziesz chciała mieć dzieci.

— Tak. Oboje tego chcemy. — Nie była w stanie powstrzymać rumieńca, który wypłynął jej na policzki. Wiedziała, co zaraz nastąpi, co by powiedziała Zahra, gdyby nie siedziały w oficjalnej bawialni. „Lepiej zaczynij rodzić, póki nie jesteś za stara. Może już jesteś za stara! Czymże jest praca w porównaniu z macierzyństwem?”.

Lecz zamiast tego kobieta się uśmiechnęła i skinęła głową.

— Obyś miała ich tyle co Umm Tahsin.

— Dziękuję — odparła Katia, zastanawiając się, czy to co zamierza teraz powiedzieć, nie będzie w złym guście. — A jak się ma Nusra? Wyobrażam sobie, że to okropne stracić dziecko.

— Najgorsze, co może cię spotkać — zgodziła się z nią Zahra.

Na chwilę zapadło pełne szacunku milczenie. Katia umierała z chęci, aby wypalić: „Myślicie, że naprawdę uciekła?”. Powstrzymał ją cichy głos Hudy.

— Niech jej Bóg wybaczy. Powinna była się zastanowić.

Wyglądało na to, że nikt nie zamierza z tym polemizować. Katia zerknęła na kobiety. Siedziały ze wzrokiem utkwionym w dłoniach.

— To takie dziwne — powiedziała. — Bardzo długo sądziłam, że została uprowadzona.

Murudź pociągnęła głośno nosem i wyprostowała się na sofie.

— Nie. — Spojrzała wprost na Katię, napominając ją wzrokiem. — Powiem ci, co się wydarzyło. Moja siostra miała głowę nabitą fantazjami,

i to od dziecka! — kontynuowała podniesionym głosem. Pozostałe kobiety zdawały się z tym zgadzać. Fadila skinęła ledwie dostrzegalnie głową, a Abir westchnęła głośno, jakby chciała powiedzieć: „Cóż, przecież wszyscy o tym wiedzieliśmy!”.

— Uciekła z najbardziej skandalicznego powodu

— mówiła dalej Murudż. — Dla mężczyzny! Prawdopodobnie chłopca, którego poznała w centrum handlowym albo, niech Bóg ma nas w opiece, przez swego kierowcę. Zakochała się albo tak się jej wydawało, a kiedy uciekła, by się z nim spotkać, chłopak się nie pojawił. Zostawił ją, aby umarła na pustyni.

Fadila zerknęła na Katię, jakby chciała powiedzieć: „Po co poruszasz ten temat?”.

— Ten kierowca powinien zostać zwolniony! — prychnęła Murudż z oburzeniem.

— Jeśli macie powód tak sądzić — powiedziała cicho Katia — to czy rodzina nie powinna odszukać winowajcy?

— Jakkolwiek na to patrzeć — brnęła dalej Murudż — to ciągle ta sama stara historia. Wykorzystał ją, a potem porzucił. Tak właśnie się dzieje, gdy nie masz kontraktu małżeńskiego. Nuf nie była pierwszą dziewczyną, która się o tym przekonała!

— Tak — wymamrotała Zahra. — Próbowaliśmy się dowiedzieć, kim on był. Czy Tahsin nie..? — Spojrzała na Fadiłę, ta uniosła jednak dłoń, sygnalizując, że nie chce kontynuować tematu i jest zdegustowana tym, że rozmowa przyjęła taki obrót.

Katia, świadoma niechęci Fadili i Murudż, musiała zebrać całą odwagę, by zadać następne pytanie:

— Nikt nie wie, kim on jest?

Żadna nie odpowiedziała wprost, lecz Huda i Murudź wymieniły znaczące spojrzenia, po czym Huda zamknęła oczy i zaczęła szeptem się modlić.

— Ktokolwiek zrobił to mojej siostrze, zostanie osądzony w niebie — oznajmiła Murudź. Co powiedziawszy, usiadła znowu w swobodniejszej pozycji. Całe oburzenie zniknęło z jej twarzy i wydawała się teraz smutna, przybita nawet. Katia uznała to za bardziej szczerze niż cała perora, którą dziewczyna wygłosiła wcześniej.

Tylko Abir nadal wpatrywała się w gościa, ale kiedy Katia odpowiedziała jej spojrzeniem, zapukano nagle do drzwi. Abir zerwała się, by otworzyć. Do pokoju weszły trzy obce kobiety.

Katia poczuła, że ogarnia ją przygnębienie. Teraz nie mogło już być mowy o prywatnej pogawędce. Przybyłe były ewidentnie gośćmi. Kiedy uniosły nikaby, nikt ich nie poznał. Zakłopotane pozdrowiły kobiety w pokoju, po czym jedna się przedstawiła, wyjaśniając, że jej mąż przybył, by złożyć darowiznę. Dwie inne pozostały szczęśliwie anonimowe, lecz Katia domyśliła się, że i one towarzyszą mężom. Wszystkie były dobrze ubrane i najwidoczniej bogate. Miały torebki od Gucciego, buty na wysokich obcasach odsłaniały sporą część kostki i co najbardziej wymowne, ich abaje uszyte zostały z jedwabiu i skrojone w sposób sugerujący, że to co jest pod nimi ukryte, odznacza się elegancją. Jedna z kobiet miała nawet sztuczne paznokcie w jaskrawo-czerwonym kolorze. W porównaniu z tym uosobieniem mody kobiety Asz-Szarawich wyglądały, jakby wróciły właśnie z pustyni. Nie miały makijażu, jedwabnych abaj ani wysokich obcasów, a już na pewno nie malowały nigdy paznokci. Abir gapiała się na dłonie przybyłych z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Czy była zgorszona? Zdegustowana? Zazdrosna? Nim drzwi się zamknęły, wysliznęła się z pokoju.

Murudź poprosiła kobiety, aby usiadły. Katia wstała, oferując im swoje miejsce i grzecznie odrzucając protest. Dostrzegła okazję, aby się wymówić, i wyjaśniła, że musi wracać do pracy. Fadila spojrzała na nią

zaskoczona. Dopiero w połowie korytarza uświadomiła sobie, co było tego powodem: powiedziała przecież, że wzięła wolne popołudnie. Zaczzerwieniła się na myśl o tym, jak bezczelnie skłamała.

W końcu holu natknęła się na korytarz. Na lewo znajdowało się wyjście przeznaczone wyłącznie dla kobiet, po prawej zaś rozciągało się niezbadane królestwo kobiecej części domu — sypialnie, łazienki, kuchnie i szwalnie. Katia była tam tylko raz, podczas krótkiej wyprawy z Nusrą, od tego czasu nie widziała jednak tej części domu. Abir poszła zapewne właśnie tędy.

Teraz nie było tu nikogo. Katia skręciła w prawo i przemknęła przez hol, nasłuchując odgłosów nastoletniej aktywności. Czy będzie to skrzyp ołówka po papierze? Słaby dźwięk rockowej muzyki dobiegający ze słuchawek? Czy Abir słuchała w ogóle muzyki? Katia mogła sobie tylko wyobrazić, jak wygląda jej życie — sądziła, że tak, jak wyglądało kiedyś jej własne plus zdobycze nowoczesnej technologii.

Minęła otwarte drzwi i zobaczyła pustą łazienkę. Dalej znajdowało się kilka przejść. Skręciła w pierwsze i znalazła się we foyer, niezwykłym pomieszczeniu z kwadratowym stolikiem w rogu. Na stoliku leżał egzemplarz Koranu.

Zapukała delikatnie do drzwi. Nikt nie odpowiedział, otworzyła je więc ostrożnie i zajrzała do środka. Najpierw zobaczyła ścianę, a na niej pomalowane na niebiesko drewniane litery układające się w napis NUF. Zerknęła za siebie, by sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi, i wśliznęła się do środka.

Była to przestronna sypialnia. Na podłodze leżał błękitny dywan. Wyglądał jak rozległe morze z rozrzuconymi tu i ówdzie wysepkami sprzętów. Łóżko z białym baldachimem zdawało się unosić pomiędzy dwiema szafkami nocnymi. Ściany były gładkie i białe, pozbawione ozdób, jeśli nie liczyć drewnianych liter. Na toaletce stało kilka fotografii rodzinnych w ozdobnych złotych ramkach. Dwie palmy w donicach obok

drzwi łazienki wyglądały dosyć realistycznie. Mniejsze przedmioty — takie jak buty, pluszaki i szkatułki na biżuterię — zdawały się spływać w stronę jednego z kątów niczym szczątki rozbitego statku w porcie.

Nie było tu okien, tylko dwa świetliki. Przy łóżku stała lampa, a obok mały stolik do czytania z magazynem wystającym z niedomkniętej szuflady. Katia podeszła do łóżka. Deseń w serduszka wyhaftowany na poduszkach i miękkość białych bawełnianych prześcieradeł sprawiały wzruszająco dziewicze wrażenie. Delikatna moskitiera zdawała się wskazywać, że w łóżku sypia istota niewinna, słodka i wymagająca ochrony. Katia otworzyła szufladę, wyjęła magazyn i przekonała się, że jest otwarty na stronie z artykułem zatytułowanym: „Siedemdziesiąt siedem słów na określenie miłości”.

Odwróciła się i spojrzała instynktownie za siebie. Nikogo tam nie było. W każdej ścianie pokoju znajdowały się drzwi: wszystkie zamknięte. Katia podeszła do nich po kolei i przyjrzała się klamkom. Nie miały zamka. Ktoś mógł wejść w każdej chwili, nadchodząc z dowolnego kierunku. Mimo to Nuf czuła się tu na tyle swobodnie, żeby zostawić na wierzchu tego rodzaju artykuł. Jej rodzicom zapewne by się nie spodobał, chyba że byłby zatytułowany: „Siedemdziesiąt siedem imion Boga”. Usiadła na łóżku i spojrzała na artykuł. Może mając ślełą matkę, nastoletnia dziewczyna mogła robić, co jej się podobało.

Usłyszała jakiś dźwięk, a potem jedno z drzwi się otwarły. Katia zerwała się z łóżka, wpychając pod wpływem impulsu magazyn do torebki. Natychmiast tego pożałowała — teraz była także złodziejką.

W drzwiach stała Abir.— Co tu robisz?

— Ja... bardzo przepraszam. Szukałam ciebie i znalazłam to. — Wskazała na pokój.

Abir spojrzała w dół i zobaczyła magazyn wystający z torebki Katii.

— Dlaczego mnie szukałaś?

— Cóż, znudziło mnie siedzenie w bawialni, zobaczyłam, że się wymykasz, i pomyślałam... — Wzruszyła ramionami.

Abir wpatrywała się w nią tak, jak wpatrywałyby się każda nastolatka, szacując wzrokiem dorosłego, który zdaje się ją rozumieć, niepewna, czy to zrozumienie jest prawdziwe, obawiając się, że tak nie jest, i traktując je w każdym przypadku z odrazą. Katia napotkała jej wzrok. Dziewczyna miała na głowie chustę — widocznie się modliła — i przyciskała do piersi otwarty Koran. Musiała być w tym samym wieku co Huda.

— Którą surę czytałaś? — spytała Katia.

Abir opuściła księgę, zamknęła ją i położyła na stoliku nocnym. Usiadła niechętnie na łóżku.

— Prawdę mówiąc, tylko próbowałam czytać.

Katia poczuła, jak na pokój opada przygnębienie.

Zerknęła na fotografie na toalecie i zauważyła, że Abir nie została uwieczniona na żadnej z nich. Były tam cztery zdjęcia: dwa przedstawiały rodziców Nuf, trzecie zaś samą Nuf podczas przyjęcia urodzinowego młodszej siostry, krojącą tort i uśmiechającą się bez troski. Ostatnie ukazywało parę chartów saluki wymachujących radośnie ogonami.

— Przykro mi z powodu twojej siostry.

Abir nie zareagowała.

— Musiałyście być bardzo zżyte — naciskała delikatnie Katia.

Abir nerwowym ruchem przesunęła dłońmi po udach.

— Widziałaś jej ciało, prawda?

Katia usiadła ostrożnie obok dziewczyny.

— Tak, widziałam.

— I wiesz, jak umarła?

— Tak — odparła, spoglądając na swoje dłonie. Wiedziała, dokąd prowadzą te pytania. — Utonęła.

Abir przycisnęła dłoń do ust.

— Och.

— Przykro mi. — Najwidoczniej dziewczyna nie wiedziała, jak zginęła jej siostra. Czy rodzice uznali, że jest za młoda, aby powiedzieć jej prawdę? Czym jednak był wstyd związany z utonięciem w porównaniu z tym, że pochowano Nuf w pozycji sugerującej znacznie poważniejszy grzech cudzołóstwa? A może Abir nic nie zauważyła? Mimo to fakt, iż nie tylko przed nią ukrywano w rodzinie pewne sprawy, dodał Katii otuchy.

Dłonie Abir drżały i wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

— Nic nam nie powiedzieli. Wiem, że uciekła, zgubiła się na pustyni i umarła, ale nie znam szczegółów. A muszę wiedzieć. Ciągle się martwię... — Zacisnęła mocno dłonie i wepchnęła je między kolana. — Ciągle się zastanawiam... A jeśli ona... jeśli to nie był wypadek? Jeśli uciekła i nie chciała wrócić? Może wołała...

— Chcesz powiedzieć, że się zabiła? — podsunęła Katia.

Abir skinęła głową. Łzy popłynęły jej po policzkach.

— Nie chcę myśleć o tym, że jej dusza trafiła do piekła. Była moją siostrą. — Głos jej zadrżał i zaczęła płakać głośniej. Katia przewyciężyła impuls, aby otoczyć dziewczynę ramionami. Wiedziała, że nie byłoby to miłe widziane.

— Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło — powiedziała — lecz jestem przekonana, że Nuf nie zabiła się sama.

Abir przełknęła i spojrzała na Katię.

— Została uderzona w głowę — wyjaśniła Katia. — Cios jej nie zabił, pozbawił jednak przytomności, więc kiedy nadeszła woda, nie była w stanie uciec.

Twarz Abir pobladła.

— Nie rozumiem. Kto ją uderzył? Ktoś z nią był?

— Nie wiem. — Katia się zawahała. — Posłuchaj, Abir, przychodzi ci na myśl jakikolwiek powód, dla którego chciałaby stąd uciec?

Abir potrząsnęła głową.

— Wiem, że denerwowała się ślubem.

— Dlaczego?

Abir wzruszyła ramionami.

— Nie znała Kadiego zbyt dobrze.

— Rozmawiała z tobą kiedyś o ucieczce?

— Nie, tylko czasami, w żartach. — Abir otarła znów oczy. — A czy ona uciekła?

Katia znowu się zawahała.

— Nie wiem.

Abir zdawała się odzyskiwać równowagę. Usiadła prosto, ramiona już jej nie drżały. Wytarła nos rękawem.

Zapadła nieręczna cisza. Katia szukała przez chwilę właściwych słów, a potem powiedziała:

— Przepraszam, że zadawałam ci tyle pytań o Nuf. Wiem, że to nie przywróci jej do życia.

Abir skinęła głową.

— Żałuję, że nie miałam okazji poznać jej bliżej — dodała Katia.

Abir wstała i podeszła do drzwi w rogu pokoju. Otworzyła je, zapaliła światło i zachęciła gestem Katię, by się zbliżyła.

Zobaczyła garderobę zapchaną ubraniami. Były wszędzie — na wieszakach, stojakach, upchnięte w plastikowych szufladach, kufrach i na otaczających ściany półkach. Na półkach na buty stały rzędy pantofli. A wszystko czyste i starannie wyprasowane. Katia weszła zafascynowana do środka.

— No, no — wyszeptała. — Zawsze była tak dobrze zorganizowana?

— Nie, nic podobnego. Po pogrzebie matka zarządziła, żeby zrobiono tu porządek.

Katia bała się czegokolwiek dotknąć, lecz Abir zaczęła wyciągać ubrania i pokazywać je. A naprawdę było co oglądać. Prążkowany blezer wisiał obok uwodzicielsko czerwonego neglizju. Była też opinająca ciało suknia balowa z cekinami, puszysty różowy sweter i para różowych skórzanych spodni. Szorty i koszulki leżały w stosach na półkach, a bielizna — majteczki i przezroczyste staniczki — wydawała się śmiesznie wręcz skąpa. Po raz pierwszy Katia poczuła, że dane jest jej zobaczyć choć odrobinę osobowości kogoś z rodziny, czego tak brakowało jej w bawialni. Ta bogata szafa — ubrania warte były prawdopodobnie setki tysięcy riali — stanowiła sama w sobie fantastyczny świat, w którym Nuf mogła nosić męski blezer lub szorty. Były tam też oczywiście džinsy i tuzin czarnych spódniczek oraz niebieskich rozpinanych bluzek, które wyglądały jak typowy mundurek uczennicy prywatnej szkoły. Tuż obok wisiało sięgające podłogi miękkie białe futro.

Katia przystanąła porażona nagłym pragnieniem, żeby mieć takie futro i świat, w którym można by je nosić. Coś takiego mogłaby nosić jej imienniczka Rosjanka. Na wieszaku obok zauważyła rękawiczki, szalik, chustę i wielki futrzany kapelusz. Zanurzyła palce w jego miękkim otoku. Futro było chłodne i gładkie i przez najkrótszą z chwil Nuf stała obok

niej w garderobie, sięgając poprzez czas i przestrzeń, by dotknąć jeziora przejrzystego lodu albo szczytu lodowca.

Odwróciła się i zobaczyła, że Abir trzyma uroczyście wyglądającą jaskraworóżową sukienkę. Spódnica była tak szeroka, że suknia niemal na niej stała. Katia uświadomiła sobie, co ogląda.

— Jej suknia ślubna?

— Tak.

— Jest ekstrawagancka. — Katia rozejrzała się dookoła. — Zaczekaj chwileczkę: ile z tych rzeczy stanowi jej posag?

— To co po tej stronie i mniej więcej trzecia część tamtego. — Abir pokazała niemal wszystko, co było w garderobie interesującego. Katia spojrzała raz jeszcze na futro i poczuła ukłucie rozczarowania. Tych ubrań nie kupiła Nuf, zrobił to Kadi. Dziewczyna nabyła jedynie kilka abaj i dzinsów, trochę podkoszulków i około tuzina strojów domowych.

Katia wskazała ubrania stanowiące posag.

— Sądziłam, że sama je wybrała.

Abir potrząsnęła głową.

— Nie lubiła różowego.

Kadi oczywiście nie miał o tym pojęcia. Czy kupował ubrania w przekonaniu, że wszystkie kobiety lubią róż? A może tego właśnie pragnął: kobiety w różowym? Katia pomyślała o własnym posagu. Usman nadal go kompletował, lecz miała nadzieję, że będzie unikał tego rodzaju strojów, kuszących ciuszków, których jedynym przeznaczeniem było symbolizować coś, czym nosząca je osoba nigdy nie będzie.

Spojrzała na Abir i spostrzegła, że dziewczyna ma ochotę wyjść. Katia podążyła za nią do sypialni. Abir była znów chłodna i zdystansowana. Wzięła do rąk swój Koran.

— Lepiej już pójdę — powiedziała.

— Tak, oczywiście.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, po czym Abir odwróciła się, by wyjść.

— Bardzo mi przykro — powtórzyła Katia. Abir się obejrzała i pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „To nie twoja wina”. A potem wyszła z cichym szelestem abai.

TLR

ROZDZIAŁ 19

Katia zajrzała do laboratorium. Była pora obiadu. Przyłączyła się do innych pracownic w stołówce dla kobiet po to jedynie, by po piętnastu minutach wymówić się koniecznością skorzystania z toalety i wyjść. Przemknęła niezauważona z powrotem do laboratorium.

Kiedy się tam znalazła, usiadła natychmiast przy ladzie. Od ponad dwóch dni przygotowywała po cichu próbki DNA, wyodrębniając zmienne i mieszając je z roztworem polimerazy oraz prajmerów. Tego ranka włożyła próbki do termocyklera. Urządzenie potrzebowało kilku godzin, by je przebadać, a ona musiała być w pobliżu, gdy będą gotowe, by nikt inny nie wyjął ich przez pomyłkę.

Próbki były dwie: jedna pobrana od Erica, a druga od kierowcy Nuf, Muhammada. Przyglądała się, jak maszyna kończy pracę, zerkając z niepokojem na drzwi.

Ledwie starczyło jej czasu, by wepchnąć wydruki profili do torebki i ukryć dowody pozaprogramowej działalności, gdy do laboratorium wróciła Maddawi, a za nią Basma. Kobiety podjęły pracę, nie zastanawiając się nad tym, że zastały w pokoju Katię. Wydawały się zadowolone i kontynuowały jakby nigdy nic pogawędkę.

Katia odechnęła z ulgą i przystąpiła do przygotowywania próbek krwi ze sprawy, nad którą pracowała tego ranka. Spojrzała na torebkę. Nie miała czasu zerknąć na wydruki i teraz ciekawość nie dawała jej spokoju. Czy któraś z próbek odpowiada DNA dziecka Nuf? Będzie musiała poczekać, aż znajdzie się w domu, aby się tego dowiedzieć.

Wieczorem była wyraźnie roztargniona. Ojciec zorientował się, że coś jest na rzeczy, lecz kiedy zapytał, skłamała, że łapie ją przeziębienie.

Przez cały posiłek rozmyślała o Usmanie i zastanawiała się, jak mu powiedzieć, co odkryła.

Gdy zjedli, wezwała Ahmada. Po półgodzinie podjechał pod drzwi. Ojciec zaprosił go, by wszedł, i mężczyźni wdali się w pogawędkę, podczas gdy Katia wróciła do swego pokoju, by włożyć abaję i chustę. Nie uprzedziła ojca, że wychodzi. Liczyła na to, że jeśli pozwoli, by mężczyźni rozmawiali wystarczająco długo, powie mu o tym Ahmad. Ojcu trudniej będzie zakazać jej wyjścia, jeśli usłyszy o planach córki od Ahmada.

Po chwili ojciec zapukał do drzwi jej sypialni.

— Katiu — powiedział. Zorientowała się, że jest rozgniewany.

Otworzyła drzwi całkowicie ubrana.

— Wychodzę na chwilę.

— Wiem. Ahmad mi powiedział. Dokąd się wybierasz?

— Muszę się spotkać na krótko z Usmanem. Chodzi o jego siostrę.

Ojciec przyglądał się jej podejrzliwie.

— Nie możesz po prostu do niego zadzwonić?

— Wolałabym nie mówić mu o tym przez telefon. — Spojrzała błagalnie na ojca, lecz spochmurniał jeszcze bardziej. Zabroniłby jej wyjść, gdyby nie to, że w holu pojawił się Ahmad.

— Gotowa? — zapytał. — Załatwmy to szybko.

Katia miała ochotę go ucałować. Zawsze wiedział, co należy powiedzieć.

Ojciec odwrócił się do przyjaciela.

— Miej ją na oku — burknął.

Idąc korytarzem, czuła, że się jej przygląda. Ahmad skinął głową i demonstrując stanowczość, zaprowadził podopieczną do samochodu.

Kiedy jechali przez stare miasto, Katia gapiała się leniwie na wystawy suku, gdzie zamykano właśnie stragany, i na budynki wzniesione z koralowca wydobytego z raf Morza Czerwonego. Kusiło ją, aby wysunąć rękę przez okno i dotknąć któregoś, poczuć pod palcami jego szorstką powierzchnię, coś materialnego, co pozwoliłoby jej zapomnieć na chwilę o ludziach. O ojcu. O Nuf. Najirze. Salwie i Abd al-Azizie. A także o Usmanie.

Kiedy wjechali na parking wesołego miasteczka, Usman już tam był. Przyjechał srebrnym porsche z opuszczonym dachem. Miał na sobie rozpinaną niebieską koszulę, a jego włosy, gęste, kręcone i czarne, były krótsze, niż je zapamiętała. Lecz to nie ubiór, a coś w profilu mężczyzny, w tym, jak opierał dłoń na kierownicy, dziwnie ją poruszyło.

Wesołe miasteczko zamykało właśnie na noc podwoje. Urządzenia wyłączano jedno po drugim — najpierw diabelski młyn, potem kolejkę, a na końcu pomniejsze atrakcje. Katia poprosiła Ahmada, aby zaczekał, aż pogasną wszystkie światła, i dopiero wtedy przemknęła do samochodu narzeczonego. W ciemności trudniej było ją wypatrzyć, a dwa samochody stojące obok siebie na parkingu nieczynnego wesołego miasteczka wyglądały wystarczająco podejrzanie. W nocy policja religijna rzadko patrolowała ulice, mimo to Katia wołała nie ryzykować.

— Twój ojciec życzyłby sobie, aby dach pozostał opuszczony — powiedział Ahmad. — Ale oczywiście zrobisz, jak zechcesz.

Uśmiechnęła się do niego i wysiadła.

Kiedy wsunęła się na siedzenie pasażera, Usman nacisnął guzik podnoszący dach. Oczy miał wilgotne, jakby płakał, podejrzewała jednak, że jest po prostu zmęczony. Uniosła nikab. Ujął jej dłoń i pocałował.

— Jak dobrze cię widzieć.

Poczuła łaskotanie w brzuchu.

— Tęskniłam za tobą — przyznała, po czym zebrawszy się na odwagę, pocałowała go w policzek. Wypadło to wszakże dosyć niezręcznie. Z czasem pocujemy się swobodniej, powiedziała sobie w duchu, zwłaszcza gdy Ahmad nie będzie nas pilnował.

Usman przyjął pocałunek i ujął w dłoń jej twarz.

— Dobrze się czujesz? — spytała, przeczesując mu dłonią włosy.

— Tak.

— Podoba mi się twoja fryzura.

Uśmiechnął się.

— Chcesz się przejechać?

— Tak.

Pocałował Katię w czoło, puścił jej dłoń i włączył silnik. Wyjechali z parkingu. Usman zerkał co chwilę w lusterko wsteczne, aby się upewnić, że Ahmad za nimi nadaża. Jechali w milczeniu, pozwalając, by szum silnika wypełniał ciszę. Teraz gdy była z nim, Katię przeppełniało uczucie. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego wątpiła w słusność swego wyboru. Podejrzewała, że przyczynił się do tego stres, a także kilka dni, kiedy nie mogli swobodnie rozmawiać, choć nie ze swej winy. Bała się jedynie, czyjej lojalność, podsycana teraz widokiem spokojnych dłoni, melancholijnych oczu oraz kojąco znajomym piźmowym zapachem skóry Usmana, nie okaże się zbyt krucha.

Po dwudziestu minutach dotarli na mroczniejącą plażę na południe od centrum. Było tu kilka prywatnych enklaw. Podobnie jak pozostałe, tę również otaczał z trzech stron wysoki mur. W rogu znajdowały się wąskie metalowe drzwi. Weszli na piasek i zamknęli je za sobą. Przez żelazną kratę w furtce widzieli twarz Ahmeda oświetloną ekranem przenośnego odtwarzacza DVD.

— Co on tak ogląda? — zapytał Usman.

— Nielegalną kopię „Hur al-in”.

— Cóż to takiego?

Zaskoczyło ją, że Usman nie słyszał nigdy o „Hurysach”.

— To przebojowy dramat o atakach bojówek na amerykańskie osiedle.

— I dali mu tytuł „Hur al-in”?

— Opowiada o ludziach, którzy zginęli, i o napastnikach. Przypuszczam, że gdzieś tam musiały być i hurysy.

Usman się uśmiechnął i potrząsnął głową. W pobliżu wody ustawiono kabinę. Drzwi wejściowe zamknięto na łańcuch.

— To wasza plaża? — spytała.

— Tak, ale nie byłem tu od lat. Teraz mamy plażę na wyspie.

— Jest śliczna. — Bywała już na prywatnych plażach, jednak mur sięgał zawsze tak daleko w wodę, że kąpiący się niedaleko nie mogli zbliżyć się inaczej, jak tylko płynąc. Tu mur kończył się niemal na linii wody i choć nic nie wskazywało, żeby w sąsiedztwie ktoś przebywał, księżyc świecił tak jasno, rzucając na wodę blask, że nie czuła się na tyle swobodnie, aby zdjąć abaję. Usman zaproponował, żeby usiedli na piasku.

Ulokowali się tak blisko siebie, że stykały się ich nogi. Usman otoczył kolana ramionami i wpatrywał się w wodę z wyrazem twarzy, w którym potrafiła już rozpoznać tęsknotę. Kiedy się zorientował, że na niego patrzy, opuścił głowę.

— Chcesz popływać? — spytała.

— Nie, jestem wyczerpany.

— Nie wstrzymuj się z mojego powodu.

Usman westchnął.

— Wszystko w porządku. Jestem naprawdę zmęczony. Miałem przez cały dzień spotkania. Zawsze te spotkania! Żałuję, że nie mogę uciec!

— Nie mógłbyś wziąć wolnego?

— Nie w tym tygodniu. Ojciec przebywa nadal w szpitalu i pracujemy wszyscy za dwóch. — Pokręcił głową. — Nie wiem, jak sobie poradzimy, kiedy pewnego dnia, wybac mi, Boże, ojca zabraknie.

Wzmianka o ojcu sprawiła, że Katia pomyślała znowu o Nuf i próbkach DNA. Nie chciała przechodzić od razu do rzeczy, pozwoliła więc Usmanowi mówić. Lepiej było posłuchać go przez chwilę, ocenić, w jakim jest nastroju. Opowiadał o pracy i o pewnym darczyńcy, który zwykł kwestionować każdy wydatek, jaki uczyniła rodzina, choćby najmniejszy. Słuchała, śmiejąc się w odpowiednich momentach, ale w jej głowie panowała istna gonitwa myśli. „Wzmianka o Nuf zawsze tak go zasmuca. Boję się, że sprawię mu przykrość. Nie powinnam się bać! Jeśli ten związek ma funkcjonować, musimy rozmawiać szczerze. Powinien wiedzieć, jakie to ważne. Rozumiem jednak jego rozpacz...”.

— Wydajesz się roztargniona — zauważył w końcu.

Nie było to oskarżenie, lecz bezstronne stwierdzenie. Poczuła, że jej ulżyło.

— Przepraszam. Ja też się martwię o pracę. — Zauważyła, że patrzy na jej dłoń. Ujął ją od niechcienia i jął gładzić palce. — Widziałam się wczoraj z twoją siostrą Abir.

Uśmiechnął się.

— Słyszałem. — Jego palec zataczał teraz spirale na grzbiecie jej dłoni. Dopiero po chwili zorientowała się, że Usman coś wypisuje.

CHCESZ, BYŚMY SZYBKO SIĘ POBRALI? Odczytała. Uśmiechnęła się i chwyciła jego dłoń, aby wypisać odpowiedź. TAK.

Uściskał jej dłoń.

— To co tak martwi cię w pracy?

— Och, mój szef. To co zwykle — odparła. — Nawiasem mówiąc, udało mi się popracować dziś nad sprawą Nuf.

Zesztywniał tak nieznacznie, że ledwie dało się to zauważyć.

— Aha.

— Przepraszam, że trwało to tak długo, ale musiałam wykonać większość badań po godzinach.

— Mam nadzieję, że nie narażasz swojej posady? — Zmarszczył brwi.

— Raczej nie. — Spostrzegła, że jej nie wierzy. — Uwinęłam się błyskawicznie.

Zapadła niezręczna cisza. Puścił jej dłoń i westchnął, przeczesując dłonią włosy.

— *Ja Allah*. Nie pomyślałem o tym.

— Nie martw się — powiedziała.

— Nie, nie, powinienem przeprosić! Przepraszam! Nie przyszło mi na myśl, że będziesz musiała... nie wiem, zakradać się i robić coś po kryjomu. Bo tak to właśnie wygląda, czyż nie?

Nie mogła zaprzeczyć.

— Ależ ze mnie idiota! Katiu... — Uściskał jej dłoń. — Przepraszam.

— Nie przepraszaj. Chciałam to zrobić. — Odwzajemniła uścisk. — Posłuchaj, nie ma sprawy. Próbowałam po prostu określić profil DNA ojca dziecka

— powiedziała cicho. — Miałam nadzieję, że zdołam je powiązać z Muhammadem.

Uścisk jego dłoni osłabł.

— I co, pasuje?

— Nie. — Chciała powiedzieć mu o Ericu, ale wydało jej się, że to zbyt wiele. Nagle była już pewna, że Usman nic o nim nie wie. Jak mogłaby wyjaśnić to, co powiedział jej Najir? Że Nuf snuła plany ucieczki do Nowego Jorku? Spotykała się z Amerykaninem? Niebezpiecznie było o tym wspominać, zwłaszcza że Eric nadal powiązany był z rodziną. Nie mogę dziś mu powiedzieć.

— Masz innych podejrzanych? — zapytał Usman.

Zacisnęła zęby.

— Nie, zaczekaj — powiedział. — Nie musisz odpowiadać. Przepraszam. To nie należy do twoich obowiązków. Zachowałem się egoistycznie, nakłaniając cię do zajęcia się tą sprawą.

— Proszę, nie przepraszaj.

— Katiu. — Nagłe w jego głosie dało się słyszeć rozdrażnienie. — Doceniam, że jesteś tak oddana mojej siostrze, ale uważam również, że powinnaś myśleć przede wszystkim o swojej pracy.

Popatrzyła na niego speszona.

— To znaczy: nie każda kobieta ma dość odwagi, aby pracować — kontynuował. — Wiem, że już to mówiłem, lecz jestem z ciebie naprawdę dumny. I nie chcę, żebyś robiła coś, co mogłoby cię narazić na kłopoty.

— Zaufaj mi — odparła. — Jestem bardzo ostrożna.

Po chwili niezręcznego milczenia przytaknął, poczuła jednak, że się oddala. Było w jego spojrzeniu coś, co przypominało jej Nuf na chwilę przed tym, jak zamierzała się wymówić i odejść.

Znów zapadła cisza. Usman otoczył dłońmi kolana. Ta cisza, to jego oddalenie się były niczym nagana. Powiedziała sobie, że nie ma w tym nic osobistego, że Usman wyraża w ten sposób smutek i rozpacz, lecz jego ponury nastrój zatruwał atmosferę tak skutecznie, iż czuła, że między nimi nigdy nie będzie już tak jak przedtem.

— Przepraszam — powiedziała.

Jej słowa wyrwały go z zamyślenia.

— Nie przepraszaj. Posłuchaj: jestem wdzięczny za to, co już zrobiłaś i jak bardzo troszczyłaś się o Nuf. Udowodniłaś to. Wie m, że ci zależy. Ale co się stało, to się nie odstanie. Pomyśl, ile ryzykujesz. Nie możesz sprowadzić jej z powrotem. — Spojrzał na Katię. — Myślę, że pora to zakończyć.

Jego słowa tak ją zaskoczyły, że nie wiedziała, jak zareagować.

— Co mianowicie? — spytała.

— To. Badania, które przeprowadzasz. Doceniam twoją pomoc. Ja też chciałbym się dowiedzieć, co się przytrafiło mojej siostrze. Ale to niebezpieczne. A cała ta sprawa z dzieckiem... uważam, że tylko przysporzy wszystkim bólu. Co z tego, że się dowiesz, kto był jego ojcem? Nie zamierzamy nikogo karać, nie chcemy więcej cierpienia.

Wyglądał, jakby miał się rozplakać, i Katia pomyślała, jakie to musi być dla niego trudne: ukrywać przez cały czas uczucia.

— Wiem, że bardzo to przeżywasz — rzekła w końcu. — Nie chcę przysparzać ci bólu. Sądziłam jednak, że ten kto spłodził dziecko, może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Nuf.

— Wszystko możliwe — przyznał, zgarniając garść piasku — ale co z tego? Ktoś zostanie ukarany za to, że się zakochał? Że złamał zasady? — Mówił teraz podniesionym głosem i Katia nie reagowała, czekając, aż cisza go uspokoi. — Posłuchaj, moja rodzina próbuje pogodzić się z tym, że Nuf była w ciąży. Dalsze nowiny mogłyby się okazać niszczące. A na dodatek ryzykujesz utratę posady.

— Przepraszam — powiedziała. — Może niepotrzebnie się wtrącam...

— Nie wtrącasz się.

— Ojciec dziecka mógł ją skrzywdzić, a w takim razie czy nie byłoby lepiej, żebyście wiedzieli, kto nim jest?

— Jeśli moja rodzina woli wierzyć, że śmierć Nuf była wypadkiem, tymczasem tak powinno pozostać. — Uniósł dłoń, aby powstrzymać jej protest. — Tymczasem, powiedziałem. Jeśli dasz się złapać, nie wybaczę ci, że naraziłaś swoją karierę.

Odwróciła głowę, walcząc z kotłującymi się w niej emocjami. Chciała powiedzieć Usmanowi, że zachowuje się podejrzanie — jeśli wie, kim jest ojciec, jeśli go chroni, powinien jej wyjawić.

— Proszę, nie niszczyć swojego życia. — Ujął Katię pod brodę i delikatnie obrócił ku sobie jej twarz. Spojrzał jej wprost w oczy. — Nuf umarła — rzekł — ale ty żyjesz.

Skinęła głową, rozumiejąc — jeśli nie to co mówił, to przynajmniej jego intencje. Pocałował ją delikatnie i przytulił twarz do jej policzka, a potem, zamiast się cofnąć, zaczął ją całować ze wzrastającą namiętnością. Poczula spazm rozkoszy, kiedy otoczył ręką jej talię, lecz wtedy usłyszeli hałas — zabrzmiało to tak, jakby Ahmad opuścił szybę w oknie, gdyż dźwięki dobiegające z jego odtwarzacza nagle stały się głośniejsze. Odczytali je jako ostrzeżenie: „Wystarczy”. Usman cofnął dłoń i wyprostował się.

Jego słowa zaniepokoiły Katię. Czy naprawdę sądził, że ona prowadzi śledztwo po to, aby mu coś udowodnić? I dlaczego tak bardzo go martwiło, iż może stracić pracę? To ona powinna się tym przejmować. A jeśli po ślubie zdecyduje się odejść z laboratorium? Kiedyś będzie chciała mieć dzieci. Czy Usman wybaczy jej, jeśli rzuci pracę? Czy zrozumie? Nagle uświadomiła sobie, że nie rozmawiali dotąd o dzieciach — przynajmniej nie na tyle poważnie, by ją to usatysfakcjonowało — i poczuła się poważnie zaniepokojona.

Czuła także, iż rodzi się w niej zwątpienie. Zaskoczyło ją, że tak się upierał w kwestii pracy. Wiedziała, że niechętnie rozmawia o Nuf — zawsze miała wtedy wrażenie, że się oddala. W porównaniu z poprzednimi rozmowami dzisiejsza była jednak dla niego niczym katarsis. Coś było tego przyczyną i wolała nie spekulować, co właściwie. Zrobiło się późno, a ona miała już serdecznie dość zgadywania.

ROZDZIAŁ 20

Leżał pod nią. Długie ciemne włosy kobiety zakrywały mu twarz i pierś, łaskocząc w policzki. W pokoju było chłodno, jedynie tam gdzie jego skóra stykała się z jej skórą, czuł przyjemne ciepło. Śnił o tej kobiecie setki razy, lecz nigdy nie widział jej twarzy. Jej włosy, opadające ciemną kaskadą, zasłaniały wszystko, a kiedy sięgał, by je odgarnąć, odsuwała się. Zupełnie jakby sięgając ku niej, tak naprawdę ją odpychał. Im bardziej natarczywie starał się ją zobaczyć, tym szybciej kobieta znikła. Poprzednie doświadczenia nauczyły go, że jeśli chce kiedykolwiek ją schwytać, musi przestać jej pragnąć, zaniechać prób i pozwolić, aby jej włosy spowiły go w ciemności, a ciało poddało się emocjom chwili. Kiedyś zobaczy wreszcie twarz nieznajomej, tymczasem może się rozkoszować ciężarem jej ciała, miękkością skóry.

Otworzył oczy i przez chwilę wydawało mu się, że nadal śni. Jego członek pulsował i coś łaskotało go w policzki. A potem łódź zachybotła i uświadomił sobie, że ktoś jest na górze.

Usłyszał stukanie, a kiedy odrzucił prześcieradło i wstał, zobaczył pannę Hidżazi. Stała u szczytu drabinki, zaciskając w dłoni skraj abai.

— Najirze? — zawołała. — Jesteś tam?

Potykając się, ruszył ku łazience.

— Najirze? Przepraszam. Muszę z tobą porozmawiać. Próbowałam zadzwonić, ale twoja komórka nie działa. — Chwila niezręcznej ciszy. — Mogę wejść na chwilę?

Zatrzasnął drzwi łazienki i potarł dłońmi twarz. Nie widział panny Hidżazi od kilku dni i usiłował o niej nie myśleć.

— Schodzę — powiedziała, jak mu się wydawało, zdyszana.

Zerknął zza drzwi łazienki i zobaczył, że schodzi. Na moment mignęła mu jej kostka. Zatrzasnął pospiesznie drzwi.

— Przepraszam, że tak cię nachodzę — mówiła głośno — ale twój sąsiad mnie zauważył.

— I dlatego pani tu weszła? — zapytał.

— Powiedziałam, że jestem twoją siostrą.

— O, nie!

— Nie miałam wyboru. Posłuchaj, próbowałam do ciebie zadzwonić. Dlaczego nie włączyłeś komórki?

— Byłem zajęty. Czy Usman wie, że pani tu jest?

— To ważne. Sprawdziłam próbki, które przyniosłeś. W końcu udało mi się je zbadać i okazało się, że żaden z nich, ani Eric, ani Muhammad, nie był ojcem dziecka Nuf.

Zaniepokojony i niezdolny przyswoić sobie — przynajmniej chwilowo — tego co usłyszał, Najir odkręcił kran. Woda była ciepława i dziwnie śliska. Spojrzał na swoje odbicie: wyglądał na wyczerpanego. O której zasnął? Przez całą noc studiował mapy pustyni, szukając odwiertu, o którym wspominał Eric.

— Słyszysz mnie, Najirze? — Zabrzmiało to tak, jakby brakowało jej tchu. — Ktoś inny był ojcem.

Zebrał się w sobie, zdjął wiszącą na drzwiach galabiję i wciągnął ją przez głowę. Otworzył drzwi jedynie na tyle, aby się wysliznąć z łazienki, i zamknął je za sobą.

Kątem oka dostrzegł, że panna Hidżazi stoi odwrócona do niego plecami, za co był jej wdzięczny. Zrzucił domowy strój, podniósł z podłogi spodnie i znalazł na łóżku koszulę. Obie sztuki odzieży były mocno pogniecione. Ale i tak je włożył.

— Oznacza to, że musiał być trzeci mężczyzna — zawołała.

Kiedy wyłonił się po chwili z sypialni, znalazł ją stojącą w kuchence.

— Cóż, na pewno nie byłem to ja.

Parsknęła śmiechem i przycisnęła dłoń do ust skrytych za nikabem.

Najir zmarszczył brwi.

— Przepraszam — powiedziała.

— Nie powinna pani tu przychodzić — rzucił rozgniewany. — Popelnia pani grzech zina i dobrze pani o tym wie. Powiedziała pani Usmanowi, że się tutaj wybiera?

— Nie, ale...

— Dlaczego nie jest pani w pracy? Myślałem, że ma pani posadę.

— Wzięłam kilka godzin wolnego. Posłuchaj, naprawdę mi przykro, że ci się naprzykrzam. — Zabrzmiało to szczerze. Odwrócił wzrok. Choć miała na sobie nikab, nadal wolał nie patrzeć jej w oczy. — Potrzebuję jednak twojej pomocy w pewnej sprawie.

— Mianowicie?

— Chcę zbadać miejsce, które może być powiązane ze śmiercią Nuf.

— Po co jestem pani potrzebny? Ma pani kierowcę. I narzeczonego.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się do okna, skrzyżowała ramiona i zacisnęła dłonie na łokciach. Najir czekał, z każdą chwilą bardziej zaniepokojony.

— Usman nie życzy sobie, bym dłużej zajmowała się tą sprawą — odparła w końcu niepewnie. — Roz mawialiśmy o tym i powiedział, że ryzykuję utratę pracy.

Najir opadł z wolna na sofę i rozejrzał się w poszukiwaniu butów.

— A ryzykuje pani?

— Nie... No, może trochę. Lecz jestem bardzo ostrożna, a tu chodzi przecież o Nuf, o jego siostrę. Można by pomyśleć, że chętnie przyjmie pomoc, jeśli ktoś zechce mu ją zaoferować.

Najir czuł się rozdarty. Chciał jej powiedzieć, że nie ma sensu, aby skarżyła mu się na Usmana. Usman był jego przyjacielem i to się nie zmieni. Nie widział jej twarzy, ale spojrzenie Katii powiedziało mu, iż czuje się naprawdę zaniepokojona. Usman czy nie Usman, Najira ogarnęła współczucie.

— Wiem, że Usman chce się dowiedzieć, co spotkało Nuf — powiedział ostrożnie, unikając wyrażenia słowami myśli, która nasunęła mu się jako następna: „Może nie życzy sobie jedynie, byś ty się w to angażowała”. Może Usmanowi zaczęło w końcu przeszkadzać, że jego narzeczona pracuje i podchodzi do tej sprawy z niepożądaną u kobiety bezpośredniością. Zastanawiał się, czy powiedziała Usmanowi, że poszli razem do mieszkania Erica i do optometrysty.

— Jak pani sądzi, dlaczego poprosił, aby przestała się pani zajmować dochodzeniem? — zapytał.

Westchnęła.

— Nie wiem. Odniosłam wrażenie, że czuje się w związku z tym nieswojo.

— Powiedziała mu pani, że poszedłem z nią do mieszkania Erica?

— Powiedziałam, że przeprowadziliśmy razem drobne śledztwo — odparła. — Ale to było już jakiś czas temu. Zaniepokoił się dopiero wczoraj. Zawsze się denerwuje, gdy mówię o Nuf. Wczoraj mu wyjaśniłam, czego dowiedziałam się po przebadaniu próbek DNA. Wydaje mi się, że denerwuje go zwłaszcza, kiedy wspominam o ciąży, a wczoraj po prostu się rozgniewał. Powiedział, że martwi się o mnie. Zapewniłam, że

nie ma powodu, mimo to nalegał, abym przerwała badania. Powiedział, że jeśli tego nie zrobię, nie wybaczy mi, że naraziłam karierę zawodową.

Zaskoczyło to Najira. Rozumiał niechęć Usmana, mieli tu wszakże do czynienia z czymś znacznie poważniejszym. A to budziło podejrzenia. I coś jeszcze było nie tak: Usman się martwił, że Katia może stracić pracę. Czy naprawdę go to obchodziło? Czy on chciał, żeby pracowała?

Panna Hidżazi zdawała się czekać, co Najir odpowie. Choć mu to pochlebiali, wiedział też, iż ryzykuje, wypowiadając swoją opinię. Wstał, otworzył szafę i wyjął płaszcz.

— Nie potrafię wyjaśnić jego zachowania — powiedział.

— Nie sądzisz jednak, że jest dziwne?

Nie odpowiedział. Może Usman wiedział o zniknięciu siostry coś, czym nie chciał się podzielić z narzeczoną. Nie oznaczało to, że jest winien.

— Uważasz, że on mi nie ufa — stwierdziła.

— Tego nie powiedziałem.

— Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby się przekonać, że tak właśnie myślisz.

Mimo że poczuł się przez to nieswojo, fakt, iż potrafiła czytać z jego twarzy, nie patrząc na nią bezpośrednio, wywarł na nim wrażenie. Ramiona miała nadal buntowniczo skrzyżowane i przypomniało mu to jej wyrażające upór milczenie w biurze lekarza sądowego. Nie zamierza zrezygnować ze śledztwa, pomyślał. Nawet dla Usmana. Poczuł tę samą co wtedy mieszankę oburzenia i niechętnego szacunku. Była oporna i zbuntowana, lecz nie mógł kwestionować jej pobudek.

— Porozmawiam z nim — powiedział. — Bo tego właśnie pani chce, prawda?

Odwróciła się ku niemu, spuścił więc szybko wzrok.

— Tak, jeśli możesz. Ale chodzi nie tylko o to... — Odwróciła się z powrotem do okna. — Chciałabym mieć pewność, że nadal będziesz się tym zajmował.

Najir się zawahał.

— Chcę wiedzieć, co jej się przytrafiło. I uważam, że Usman myśli podobnie bez względu na to, co mu się teraz wydaje.

Wyglądała, jakby jej ulżyło. Opuściła rękę.

— To znaczy, że ze mną pojedziesz? To ważne. Potrzebuję twojej opinii.

Zawahał się znowu.

— Fachowej opinii — dodała, jakby to wszystko załatwiało.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

— Proszę dać mi tylko czas na poranną modlitwę.

Wyjaśniła mu, że pojedą do opuszczonego ogrodu zoologicznego. Poprzedniego wieczoru przeglądała gazetę i natknęła się na artykuł omawiający temat nielegalnego handlu szympanсами traktowanymi jak zwierzęta domowe. Choć było to w królestwie zakazane, interes kwitł. W artykule opisywano również pożałowania godne warunki, w jakich trzymano zwierzęta w pomniejszych ogrodach zoologicznych Dżuddy. Kiedy Katia przeglądała się zdjęciom bezwłosych wychudzonych szympanсів, przypomniała sobie smugę nawozu na nadgarstku Nuf oraz opinię wuja Najira. Samir stwierdził wówczas, iż zwierzę, od którego pochodził ten nawóz, uległo prawdopodobnie zatruciu. Nie odkryła jeszcze, skąd pochodził nawóz, ale czy jest lepsze niż zoo miejsce, by zacząć poszukiwania?

I tak oto Najir podążał znów za jej samochodem. Zjechał z autostrady i skierował się w głąb łądu opustoszałą drogą poprzecinaną pasmami szarego piasku. Z każdym kilometrem czuł się bardziej winny. Teraz działali już za plecami Usmana. Wmawiał sobie, że Usman zaaprobowałby ich pobudki — nieważne, co powiedział poprzedniego wieczoru narzeczonej. W głębi duszy Najir zdawał sobie jednak sprawę, jak wygląda prawda: zgodził się pojechać z panną Hidżazi, ponieważ jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność.

Wspomniał, iż panna Hidżazi powiedziała narzeczonemu, że poszli razem do mieszkania Erica i Usman nie poczuł się zaniepokojony. Oczywiście nie miał powodu się niepokoić — ufał Najirowi w tego rodzaju sprawach. Zabolało go wszakże, gdy sobie uświadomił, że jest to takie samo zaufanie, jakim król może obdarzać eunucha. Był czymś gorszym niż eunuch: nie brakowało mu żadnej części ciała, tylko tego czegoś, co czyniłoby z niego mężczyznę. Przypomniawszy sobie, jak Usman śmiał się z jego przygody na bazarze, jakby Najir był ostatnią osobą, która powinna zobaczyć kobiece ciało. Zupełnie jakby obca kobieta obnażyła się przed muftim. Im więcej o tym myślał, tym bardziej miał sobie za złe, że w ogóle się nad tym zastanawia.

Zaczęli się wspinać na szerokie strome wzgórze. Pył wzniesiony kołami samochodu utrudniał widoczność, jednak ze szczytu roztaczał się rozległy widok. Poniżej tuzin białych domków znaczył dno doliny, w pobliżu zaś płot z przerdzewiałego drutu odgradzał zachodnią część dawnego zoo.

Najir opuścił szybę i zaczerpnął głęboko oddechu. Nie zalaływało tu wielbłądzim łajnem, tamten zapach znał aż za dobrze. Tu śmierdziało jak w zoo. Musiał przyznać, że panna Hidżazi wykazała się inteligencją, skoro pomyślała o zbadaniu tego miejsca. Gdyby chodziło wyłącznie o rozrywkę, Nuf mogłaby pójść do każdego z tuzina ogrodów Dżuddy, lecz jeśli chciała spotkać się z kimś w tajemnicy, przyszlaby tutaj.

Stanęli na pustym parkingu w pobliżu placu zabaw, który wyglądał, jakby nie używano go od dziesięciu lat. Najir wysiadł z jeepa i zobaczył, że panna Hidżazi wyjmuje z bagażnika coś przypominającego skrzynkę na narzędzia. Jej kierowca pomagał, krzątając się dookoła i wykonując drobne czynności, takie jak przestawianie skrzynki czy zamknięcie bagażnika.

— Dziękuję, Ahmadzie — powiedziała panna Hidżazi odrobinę zniecierpliwiona. — Nie zajmie nam to wiele czasu.

Podeszła do Najira i razem zbliżyli się do starego wejścia: metalowej klatki w cieniu palmy. Umieszczona obok plakietka głosiła: **DZIECI MOGĄ WEJŚĆ Z OJCEM LUB MATKĄ, ALE NIE Z OBOJGIEM RODZICÓW. CHŁOPCY POWYŻEJ DZIESIĄTEGO ROKU ŻYCIA TRAKTOWANI SĄ JAK DOROŚLI.** Poniżej wypisano godziny, w jakich zoo mogli zwiedzać mężczyźni, kobiety, dzieci oraz wycieczki szkolne. Rozkład opracowany został tak, by poszczególne grupy nie stykały się ze sobą.

Najir obejrzał się i zobaczył, że kierowca wrócił już do klimatyzowanego samochodu. Fakt, że tak beztrudnie pozwolił podopiecznej oddalić się z obcym mężczyzną, drażnił Najira, chociaż zdarzyło się to już wcześniej. Ahmad też uznał widocznie, że Najir nie stanowi zagrożenia. Budził zaufanie, lecz jakoś go to nie pocieszało.

Kołowrót przy wejściu był zablokowany, Najir przeszedł więc górą i odwrócił się, by pomóc panie Hidżazi. Ona jednak podała mu skrzynkę i pokonała przeszkodę samodzielnie.

— Mogę zrobić to sam — powiedział.

Utkwiła w nim spojrzenie tak stanowcze, że aż się zarumienił, a potem odebrała od niego pospiesznie skrzynkę.

Skreśli w ocienioną palmami alejkę. Prowadziła wzdłuż budynków i pustych klatek, zaniedbanych fontann i połamanych ławek.

— Nuf miała nawóz na nadgarstku — rzekła panna Hidżazi.

— A jej kierowca na butach — odparł Najir, wspominając woń, jaką poczuł w mieszkaniu Muhammada.

— Och. Nie wspomniałeś o tym. — Zorientowała się, że Najir nie zamierza odpowiedzieć, i zapytała: — Gdybyś był Muhammadem, co mogłoby skłonić cię, byś przyszedł do zoo? Szukałbyś tu kogoś? Umówiłbyś się z kimś? — Weszli w cień pobliskiego budynku.

— Właściwe pytanie brzmi, co by pani zrobiła, gdyby była pani Nuf i przyszła do zoo. W jakim celu?

Zerknęła na niego nerwowo.

— Może po to, by spotkać się z mężczyzną.

Spowiał ich miły chłód, weszli bowiem w cień palm

otaczających wystawę poświęconą Serengeti. Pomiedzy klatkami i platformami dla zwiedzających leżało kilka zwierzęcych kości — fragment szyi żyrafy, czaszka dużego kota. Lwy, królowie sawanny, na pustyni były bez szans. Gorąco zabiło wszystkie.

Nie, pomyślał Najir, zabili je Saudyjczycy ogarnięci ambicją, by zbudować otwarty ogród zoologiczny w najmniej sprzyjającym klimacie świata. Sprowadzili zwierzęta, ale mało kto chciał je oglądać. Dlaczego miałyby być inaczej? Komu chciałoby się wlec w upale taki kawał drogi po to jedynie, by popatrzeć na kilka cierpiących zwierząt? Na pewno nie Saudyjczykom żywiącym nieustającą pogardę wobec wszystkiego, co stało w łańcuchu pokarmowym niżej od nich.

Delikatny powiew musnął skórę Najira, kiedy wchodzili do pawilonu gadów. Tu kości były bardziej interesujące. Zobaczył długi kręgosłup z większymi szczątkami dookoła, jakby wąż połknął swego towarzysza, a potem zdechł. Czy węże by przeżyły, gdyby opiekunowie zadali sobie

trud, aby je wypuścić? Plotka głosiła, że sprzedali łatwiejsze w hodowli zwierzęta do sklepu zoologicznego, a groźniejsze zostawili, by zdechły.

Wyszli z powrotem na alejkę, minęli klatki dla krokodyli i starą małą piarnię obrośniętą uschlą winoroślą. W oddali widać było szczyt góry, imitację Matterhornu, bez wątplenia miejsce, gdzie trzymano kozice.

— Zajrzyjmy tam — powiedziała Katia.

Najir wymamrotał coś na znak zgody.

Matterhorn stał cichy niczym grobowiec. Zbliżyli

się, zachwując ostrożność. Góra nie była tak wysoka, jak się wydawało z oddali — miała może z dziesięć metrów. U podstawy zobaczyli kwitnące rośliny.

— To chyba oleander — rzekł Najir.

— Tak — zgodziła się z nim. — Dziwne, że posadzono tę roślinę w miejscu, gdzie mogły ją skubać zwierzęta. — Przedarciu się przez krzaki, minęli niskie ogrodzenie otaczające górę i przecięli wąski pas trawy wyschniętej teraz na wiór. Rowki nawadniające dawno zasypał piach. Panna Hidzazi postawiła skrzynkę na ziemi i otworzyła ją. Wyjęła torebkę i pobrała próbkę oleandra, a także ziemi dookoła krzewu.

Kiedy pracowała, Najir okrążał górę. Pokryto ją zielonym i brązowym tynkiem, czubek pomalowano zaś na biało, co miało imitować śnieg. U podstawy znajdowało się wejście. Pociągnął ostrożnie za drzwi i zerknął do środka.

Wnętrze okazało się puste. Przez liczne szczeliny wpadało światło, ukazując brudną podłogę, białe ściany i zwinięty pled w kącie. Powietrze było wilgotne i ciężkie. Najir przyjrzał się podłodze. Tuż za wejściem dostrzegł w pyle szeroki ślad, jakby ktoś ostatnio tu pozamiatał. Ślad ciągnął się aż na zewnątrz i kończył przy splachetku trawy. W pyle nie było śladów stóp.

— Znalazłeś coś? — spytała panna Hidżazi.

— Kryjówkę — odparł.

Weszła do pomieszczenia.

— Pachnie tu... — zerknęła z wahaniem na Najira — ...seksem.

— Wiem — powiedział, przepaszając w duchu za to, że znów skłamał. Wszedł głębiej i zakrył rękawem nos. W jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe: skąd panna Hidżazi mogła znać ten zapach? Może była to część jej pracy, ale jak można się czegoś takiego nauczyć? Nagle uświadomił sobie, że są sami w bardzo niewielkim pomieszczeniu. W pomieszczeniu, gdzie pachniało seksem. Wyszedł czym prędzej na zewnątrz.

Panna Hidżazi także wyszła, trzymając w dłoniach pled. Rozwinęła go ostrożnie, uniosła i przyjrzała się powierzchni.

— Będę mogła coś z tego zdjąć.

Najir wrócił do wnętrza góry, zapalił latarkę i zbadał szybko ziemię, zatrzymując się dłużej przy pojedynczym kawałku żwiru. Panna Hidżazi wsunęła głowę przez drzwi.

— Coś jeszcze? — spytała,

Potrząsnął głową.

— Podłoga jest zbyt gładka, zważywszy, co się tu działo. Ktoś posprzątał. — Rozejrzał się dookoła, po czym zadowolony, że niczego nie przeoczył, opuścił wnętrze góry.

— Wezmę ten pled — powiedziała Katia. — Jeśli dopisze mi szczęście, będą na nim komórki skóry.

Najir zamknął drzwi.

— To może nie mieć związku z naszą sprawą. — Spostrzegł, że panna Hidżazi się uśmiecha, i zapytał:

— O co chodzi?

— Powiedziałeś: „z naszą sprawą”.

— Powiedziałem: „z tą” sprawą.

Rozbawiona podeszła do swojej skrzynki i wyjęła torbę na tyle dużą, by zmieścić się w niej pled. Następne pół godziny spędzili, przeszukując trawę wokół góry. Niczego jednak nie znaleźli. Kiedy skończyli, opuścili ekspozycję alpejską, minęli długi rząd klatek dla ptaków i ruszyli wąską ścieżką, która prowadziła do otaczającego teren płotu. Na szczycie ogrodzenia umieszczono drut kolczasty, lecz znajdująca się tam brama nie była zamknięta. Opuścili teren zoo i podążyli w dół stromą dróżką schodzącą ku dolinie po południowej stronie wzgórza. Temperatura szybko wzrastała i zaczęli się pocić.

— Muszę wiedzieć, co do tej pory odkryłeś — odezwała się panna Hidżazi. — Czy jeszcze o czymś mi nie powiedziałeś? Jeśli oboje będziemy znali wszystkie fakty, znacznie ułatwi nam to dochodzenie.

— Mówiłem poważnie: to nie jest nasze dochodzenie.

— W porządku. Jest coś, o czym mi nie powiedziałeś?

— Wspomniałem o znakach na nodze wielbłąda?

— Nie — odparła.

Zażenowany opowiedział o swoim odkryciu. Szła przed nim, potykając się od czasu do czasu, gdy ścieżka stawała się zbyt stroma.

— Zawsze uważałam całą tę sprawę z rzucaniem uroku spojrzeniem za dziwną — powiedziała. — A nawet śmieszna.

Najir nie odpowiedział.

— Myślę, że Nuf by się ze mną zgodziła — kontynuowała panna Hiddazi. — Nie znałam jej zbyt dobrze, rozmawialiśmy jednak kilka razy i wydawała się bardzo rzeczowa. Nie sądzę, aby wierzyła w duchy, dzinny i tym podobne.

— To jak pani sądzi, kto zrobił ten znak?

Wzruszyła ramionami.

— Kto był z nią na pustyni? Kto mógł z nią być? Wszyscy mają alibi. Rodzina była w domu. Usman powiedział, że kierowca Nuf robił z żoną zakupy. Co z Erikiem?

— Też ma alibi, sprawdziłem wczoraj wieczorem. Był przez cały dzień w pracy.

Zatrzymała się u stóp wzgórza.

— Tak jak ja to widzę, musiał być trzeci mężczyzna, ktoś, o kim jeszcze nie wiemy.

Doszli do okrągłego skrawka gruntu przy końcu drogi dojazdowej. Najir zauważył, że piach ma tu ciemnopomarańczowy odcień. Roztarł go między palcami i poczuł glinę.

— Wie pani, że wuj przeprowadził analizę piasku znalezionego w ranie na głowie Nuf? — powiedział. — Uważam, że ten tutaj pasuje.

Katia pobrała kolejną próbkę.

— Mogła więc zostać uderzona właśnie tutaj.

Najir spojrzał na rząd skarłowaciałych palm. Ich korony były na tyle gęste, że zapewniały odrobinę cienia. Za drzewami rosły bujnie krzewy, przerośnięte i splątane. Było to smutne, opuszczone miejsce. Nawet wiatr nie poruszał tu liśćmi. Tylko na gruncie pod palmami widać było ślady aktywności. Podeszedł do skraju polanki i jął się przyglądać śladom opon.

— Proszę nie podchodzić — ostrzegł.

Katia postawiła skrzynkę pod krzakami i rozejrzała się dookoła. Najir ruszył za tropem wzdłuż drogi. Próbował spojrzeć na ślady oczami Mutlaka, ale było ich zbyt dużo i nie potrafił wyodrębnić poszczególnych. Miejsce było widać mocno uczęszczane. Od śladów opon rozchodziły się w różne strony ślady stóp, lecz nie potrafił połączyć ich ze sobą.

Jeden zestaw opon wskazywał, że samochód zatrzymał się pośrodku polanki. Najir podążył wzdłuż niego aż do skraju drogi dojazdowej, gdzie samochód najwidoczniej zawrócił i skierował się znów ku zoo. I właśnie tam, w miejscu gdzie urywał się ślad, zauważył w krzakach metalicznie połyskujący przedmiot. Podeszedł bliżej i przekonał się, że to na wpół zagrzebana w ziemi puszka. Podniósł ją zawieszony.

— Najir? — Głos panny Hidzazi brzmiał dziwnie. Klęczała, wskazując coś na ziemi. — Myślę, że powinieneś tu przyjść.

Rzucił puszkę, podeszedł i zobaczył, że odgarnęła piasek, odsłaniając połamany różowy przedmiot. But. Szpilkę spłaszczoną kołem samochodu.

— To jej drugi but — powiedział, przyklękając, by pomóc wydobyć szpilkę. — Musiała go upuścić.

— Ale czyby tego nie zauważyła? Nie wróciła po niego?

Najir skinął głową. Nuf nie pozbyła się drugiego buta nawet na pustyni, gdzie szpilka była zupełnie bezużyteczna.

— Nie sędzę, by porzuciła go tu celowo.

— Chyba że próbowała zostawić ślad... — wyszeptała panna Hidzazi. — Musiała zostać uprowadzona.

Na myśl o ewentualnym odkryciu ogarnęło ich podniecenie. Najir chętnie by je podsycił, opowiadając o miejscu, gdzie znaleziono ciało Nuf, i o zaginionej kurtce. Wszystko to sugerowało, że w zniknięciu Nuf maczał palce ktoś z posiadłości Asz-Szarawich. Nie był jednak pewny,

czy zdoła się do tego zmusić, ponieważ stawiałoby to Usmana w roli pierwszego podejrzanego.

Spojrzał na ziemię.

— Widzi tu pani ślady krwi? — zapytał. — Nuf została uderzona w głowę, musiało być mnóstwo krwi.

— Niekoniecznie — odparła panna Hidżazi. — Większość znalazłaby się na jej twarzy oraz abai. Ale tutaj — wskazała fragment drogi — wygląda to tak, jakby ktoś zgarnął wierzchnią warstwę gleby. Jeśli była na niej krew, może próbowano ją usunąć.

— Ja powiedziałbym raczej, że coś tu ciągnięto — zauważył. — A jeśli została uderzona właśnie tutaj? Upadła, a porywacz musiał ją dźwignąć i zawlec do samochodu. — Podążył za tropem. Kończył się przy śladach opon. — Gdyby wyglądało to właśnie tak, czy wzdłuż ścieżki nie zostałyby ślady krwi?

— Nic takiego nie widzę — odparła panna Hidżazi — wezmę jednak kilka próbek i sprawdzę w laboratorium. — Wstała i wróciła do swojej skrzynki. Wsunęła ostrożnie but do torby na dowody, lecz zamiast schować ją od razu, powiedziała: — To dziwne, że zabrała te buty.

— Tak. Dlaczego nie zostawiła ich po prostu w ciężarówce?

— Może się obawiała, że upał uszkodzi skórę.

— Ludzie trzymają na desce rozdzielczej nawet Koran — odparł. — Poza tym mogła zaparkować w cieniu. — Nadal krążył dookoła, szukając śladów krwi.

— Może zostawiła je w ciężarówce — powiedziała panna Hidżazi. — But wypadł, gdy ktoś ją z tej ciężarówki wyciągał.

Oderwał wzrok od drogi i spojrzał na pannę Hidżazi.

— A drugi but... Jak go znaleziono?

— To znaczy?

— Widziała pani, czy był schowany w torbie?

— Nie. Nie było torby.

— To znaczy, że musiała schować szpilki do kieszeni — zauważył.
— Inaczej nie znaleziono by ich przy ciele. Woda pędziła z taką siłą, że zerwała jej buty, które miała na nogach.

— Tak — rzekła panna Hidżazi z namysłem. Schowała szpilkę do skrzynki i otrzepała abaję z pyłu. — Powiedzmy, że przyszła do zoo zobaczyć się z kimś, komu ufała na tyle, żeby spotykać się z nim sam na sam. Jak się tu dostała? Ciężarówką. Przyjechała tutaj i czekała.

— Dlaczego nie na parkingu?

— Prawdopodobnie wolą nie rzucać się w oczy. Była kobietą i choć miała na sobie męską abaję, ktoś mógł zauważyć kształty jej ciała. Osoba, z którą miała się spotkać, przyjechała własnym samochodem i oboje wysiedli. Tutaj. — Wskazała odciski stóp wokół śladów opon. — Te odciski są dość małe. Wygląda to tak, jakby osoba, z którą się spotkała, nie była wysoka. — Wyjęła ze skrzynki taśmę i zmierzyła odciski.

Najir obszedł ponownie teren.

— To mogą być te same odciski.

— Mają trochę inny wzór, choć są podobne. — Spojrzała na niego. — Rozmiar trzydzieści sześć. I wyglądają na męskie buty. — Podał jej zniszczoną szpilkę. Przyłożyła ją do śladu, spoglądając ze smutkiem na Najira. — Także trzydzieści sześć.

— Skoro zamierzała wymienić buty, prawdopodobnie na nią nie pasowały.

— Może skłamała — zauważyła panna Hidżazi.

— Mam but, który nosiła na pustyni — powiedział. — Jest w mojej łodzi. Zmierzę go wieczorem. A co z wielbłądem? Wygląda na to, że porywacz przywiózł zwierzę... — Zamilkł, uznając, że reszta jest oczywista: skoro to porywacz sprowadził wielbłąda, musiał mieszkać w posiadłości, a przynajmniej znać ją na tyle, by wiedzieć, jak ukraść półciężarówkę i wielbłąda.

Panna Hidżazi sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Nie wiemy, czy wielbłąd tu był.

— Wątpię, by ktoś porwał Nuf, a potem wrócił z ciałem dziewczyny na pace, żeby ukraść wielbłąda.

— Zgoda, to mało prawdopodobne. — Wyjęła ze skrzynki garść fiolek i wróciła do śladów. — Prawda wygląda tak, że nie wiemy, co łączyło Nuf z porywaczem. Mogła przyprowadzić wielbłąda sama w ramach zawartej z nim umowy. Kto wie? — Wydawała się zdyszana. Uklękła i pobrała dwie próbki ziemi. — Może uciekała, a ktoś próbował ją powstrzymać. Jeśli została uderzona tutaj, mogła uciec, kiedy się ocknęła. Może zachowała zdolność poruszania się, lecz była zdezorientowana. Wyjaśnialoby to, dlaczego zgubiła but, a potem wielbłąda.

— Wszystko możliwe — przyznał. — Nie wyjaśnia to jednak, gdzie się podziała ciężarówka. Nadal jej nie znaleziono. Gdyby Nuf pojechała nią na pustynię, samochód stałby gdzieś w pobliżu wadi.

— Ktoś mógł ukraść ciężarówkę na pustyni.

Powstrzymał się przed stwierdzeniem, że to mało

prawdopodobne. Lepiej nie sprzeczać się o samochód, skoro nie mają dość danych. Przyglądał się, jak panna Hidżazi odnosi próbki do skrzynki.

— Gdyby ktoś spotkał się tutaj z Nuf i pozbawił ją przytomności, samochód jego lub jej nadal by tu stał. Gdzie jest? — zapytał.

— Może porywacz go tu zostawił — powiedziała. — A potem wrócił i pozbył się auta.

Nie brzmiało to przekonująco, lecz nie zaprotestował.

— Jak Nuf dowiedziała się o tym miejscu? — zapytał, zmieniając nieco temat.

— Może powiedział jej Muhammad? Nie wspomniał o zoo, prawda?

— Nie — odparł Najir. Zalaatywało jednak od niego nawozem. Wykonał kolejne okrążenie, przyglądając się śladom.

Panna Hidzazi zamknęła skrzynkę.

— Znaleźliśmy dowody na to, że przebywali tu inni ludzie — powiedziała — niekoniecznie związani z Nuf. Uważam, że powinieneś wrócić do Muhammada. Może zdoła wyjaśnić, jak Nuf dowiedziała się o tym miejscu i czy była tu więcej niż raz. A także sprawę butów.

— Już go o nie pytałem.

— Ale pomyśl tylko: Nuf miała ze sobą buty. Może naprawdę chciała je wymienić. Potrzebowałaby Muhammada, żeby pojechał z nią do sklepu, i może dlatego przywiozła tu szpilki. — Spojrzała czujnie na Najira.

— Będziesz musiał znowu z nim porozmawiać. Pojadę z tobą.

— Nie — zaprotestował natychmiast.

— Tak.

— Nie. — Sądząc z wyrazu jej oczu, tylko pogarszał sprawę. — Będzie lepiej, jeśli pójdę do niego sam — wyjaśnił łagodniejszym już tonem. — Muhammad mi ufa i mam wrażenie, że znów się przede mną otworzy. Nie zrobi tego, jeśli i pani tam będzie.

Zgodziła się, acz niechętnie. Przez chwilę stali twarzą w twarz, zbyt zmęczeni i zgrzani, aby rozmawiać. Słońce paliło im głowy, a powietrze ciężkie było od pyłu. Gdzieś w oddali zaskrzeczał gniewnie ptak. Najir uświadomił sobie, że gapi się na nikab panny Hidżazi. Nie miał ochoty unikać jej spojrzenia. Wpatrywanie się w oczy kobiety, obserwowanie ruchów jej dłoni, odgadywanie kształtu ukrytego pod abają ciała wydało mu się nagle czymś normalnym i słusznym. Materiał był cienki, a że stała pod słońce, niemal widział prześwitujące przezeń ciało. Miała kształtne ramiona i wąską talię. Na chwilę oddał się fantazji, że Katia nie jest narzeczoną Usmana, ale po prostu kobietą, którą poznał. Zastanawiał się, czy ona fantazjuje na jego temat, i spojrzał jej w oczy, aby się o tym przekonać. Panna Hidżazi spoglądała jednak na niego podejrzliwie.

— Będę musiała powiedzieć o tym Usmanowi.

Poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka.

— O czym?

— O bucie.

O mało nie zemdlał z ulgi. Niech Bóg wybaczy mi grzeszne myśli!

— Nie możemy tego ukryć — dodała.

— Jeśli pani woli, może ja mu powiem.

Odwróciła się i zamrugała porażona słonecznym blaskiem.

— Tak byłoby chyba najlepiej. Może powiesz mu, że to był twój pomysł? Lepiej w ogóle o mnie nie wspominaj.

— Tego zrobić nie mogę.

Odwróciła się do niego plecami.

— Tak, masz rację. Nie chcę, żebyś kłamał. — Potarła czoło. — Jestem ci wdzięczna, że ze mną tu przyjechałeś. Mam nadzieję, że nie

wpłynie to na twoje stosunki z Usmanem. Nie chciałabym stać się przyczyną rozdźwięku między wami.

Za późno, pomyślał.

— Proszę się nie martwić.

— Wiesz, on dużo o tobie mówi. Uważa cię za bohatera.

Najir nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Może byłoby najlepiej, gdybyśmy razem poinformowali go, co znaleźliśmy. Na pewno inaczej by to odebrał, gdyby usłyszał o naszych odkryciach także od ciebie.

Najir skinął głową. Panna Hidżazi westchnęła znużona. Zamknęła skrzynkę i odwróciła się w kierunku wzgórza.

— Mam jeszcze półtorej godziny, nim będę musiała wrócić do pracy. Możemy porozmawiać o tym, co zamierzamy powiedzieć Usmanowi. Ahmad będzie musiał wkrótce odjechać. Zechcesz towarzyszyć mi podczas obiadu?

Mógłby podać dziesiątki powodów, dla których powinien odmówić, lecz nie był w stanie przezwyciężyć radosnego oczekiwania, jakie wzbudziła w nim ta perspektywa. Jednakże by zadośćuczynić zasadom, zmarszczył brwi i powiedział:

— Nie wiem, jak byłoby to możliwe.

— Znam pewne miejsce — powiedziała. — Jedź za mną.

ROZDZIAŁ 21

Wysiadł z jeepa wprost w lejący się z nieba żar. Wilgotne powietrze przepelnione miejskimi wyziewami niemal go dusiło. Zaparkowali na ostatnich dwóch miejscach niewielkiego parkingu w pobliżu Al-Baladu. Otoczony wysokimi apartamentowcami placyk był częściowo ocieniony, nie sprawiało to jednak wielkiej różnicy. Popołudniowe słońce wypaczało kontury przedmiotów, sprawiając, że wyglądały niczym pustynny miraż — samochody, chodnik, billboardy nad głową, wszystko zdawało się drgać w rozpalonym powietrzu. Samotna wyschnięta fontanna u szczytu alejki wyglądała, jakby wyrzucała w powietrze fale gorąca. Tylko budynki stały nietknięte: solidne konstrukcje z wapienia, z podzielonymi na kwatery oknami ciężkimi od żaluzji zatrzymujących żar.

W pobliżu przemknęła kobieta, zmierzając w kierunku alejki i rozglądając się gorączkowo, by sprawdzić, czy nikt za nią nie idzie. Widok samotnej kobiety na ulicy zaalarmował Najira. Jak one to robią, pomyślał, że poruszają się tak szybko, mając zasłoniętą twarz? Kobieta wśliznęła się w alejkę i zwolniła. Może spieszyła się, gdyż było jej gorąco.

Podszedł do samochodu panny Hidżazi. Przez krótką chwilę potrzebną, by przejść przez parking, koszula zwilgotniała mu od potu, a nogawki spodni przylepiły się do kostek. Pożałował, że nie ma na sobie arabskiego stroju.

Panna Hidżazi wyjęła skrzynkę z bagażnika i pożegnała się z Ahmadem. Kierowca zmierzył Najira twardym spojrzeniem, nim wsiadł na powrót do swego samochodu. Spojrzenie stanowiło na poły ostrzeżenie, aby traktował jego podopieczną z szacunkiem, na poły zaś wyraz solidarności.

— Wezmę to — powiedział Najir, wskazując skrzynkę.

— Nie trzeba. — Ruszyła w dół alejki.

Podążył niechętnie za nią. Czuł się jak dziecko pozwalające się prowadzić, lecz skoro nie znał miejsca przeznaczenia, nie mógł jej wyprzedzić. Mógłby co prawda iść obok, ale i to nie wydawało się właściwe. Wyobraził sobie, że Usman na nich patrzy. Nawet małżonkowie nie chadzali obok siebie: kobieta podążała na znak szacunku z tyłu.

Podszedł do panny Hidżazi, dopiero gdy wyszli z alejki. Skręciła w prawo i zwolniła, rozglądając się dookoła.

— To musi być gdzieś tutaj.

— Dokąd idziemy?

— Do jednej z tych restauracji dla rodzin, gdzie możesz zabrać na obiad niezamężną kobietę.

Słyszał o takich miejscach — kawiarniach, gdzie mężczyźni i kobiety mogli jeść razem, niekoniecznie w sali dla rodzin. Były to restauracje rodzinne, owszem, lecz kłopot w tym, że kobiety nie musiały zakrywać w nich twarzy, jedynie włosy. Jeszcze bardziej zaskakujące było zaś to, że mogły przychodzić tam same — mężczyzn wpuszczano, tylko gdy byli w towarzystwie kobiety. Najir słyszał, iż niektórzy wynajmowali dziewczęta z Filipin, aby pomogły im się dostać do tego rodzaju przybytku. Kiedy mężczyzna raz znalazł się w środku, mógł flirtować z każdą kobietą, którą tam spotkał. Były to więc głównie miejsca służące podrywaniu i Najir miał nadzieję, że to, do którego zmierzają, nie jest jednym z nich. Jak by wyjaśnił coś takiego Usmanowi?

Kiedy mijali wystawy, gdzie eksponowano perfumy oraz ozdoby, poczuł, że pocałował mu się dłonie. Czuł się głupio, szukając kawiarni, którą władze najprawdopodobniej zamknęłyby natychmiast po otwarciu. Ale po chwili zauważyli wiszący nad wejściem metalowy znak. THE BIG MIX — RODZINY MILE WIDZIANE, głosił napis.

— To tutaj — powiedziała panna Hidżazi, tłumiąc podekscytowanie.

Zatrzymał się.

— Nie sędzę, żeby to było...

— Nie martw się — odparła, sprawiając wrażenie z lekka rozbawionej. — To nie takie miejsce, jak myślisz.

Nim zdążył odpowiedzieć, minęła wejście i zaczęła się wspinać po wąskich drewnianych stopniach. Podążył za nią, zastanawiając się, czy nie zmierza wprost w pułapkę. Wyobrażał to sobie tak: panna Hidżazi uznała, że jest samotny, niezręczny w kontaktach z kobietami i nie ma rodziny, która mogłaby zaaranżować dla niego małżeństwo. Umyśliła więc sobie, że go tu ściągnie, mając nadzieję, że między nimi zaiskrzy. Jeśli tak właśnie myślała, nie mogła bardziej się pomylić.

Na górze weszli do poczekalni o ścianach ze szkła.

— Moja przyjaciółka już tu była — wyjaśniła panna Hidżazi. — Powiedziała, że jedzenie jest znakomite.

Powitał ich szef sali i wprowadził do restauracji.

Pomieszczenie stanowiło olbrzymich rozmiarów atrium ze szklanym dachem o kształcie kopuły i działającą fontanną pośrodku. Słońce, przefiltrowane przez wysokie okna, znaczyło jasnymi plamkami niebieski dywan i liczne stoły o szklanych blatach. Za nimi szerokie schody prowadziły na antresolę, gdzie wydzielono bardziej intymne kąci osłonięte palmami w donicach. Szef powiedział, że mogą usiąść, gdzie chcą, więc panna Hidżazi poprowadziła go na antresolę. Stojący tam stolik dla dwojga zdawał się wprost na nich czekać. Najir rozejrzał się dyskretnie. Na sali znajdowało się niewielu mężczyzn. Siedzieli dosyć daleko i zajęci byli jedzeniem.

Panna Hidżazi postawiła skrzynkę na podłodze, usiadła przy stoliku i uniosła nikab. Nie mając wyboru, usiadł naprzeciwko, zastanawiając się, jak zdoła przetrwać obiad, mając przed sobą jej obnażoną twarz. Lecz Katia nie patrzyła na niego. Wpatrywała się w innych gości: w mężczyzn, kobiety — wszystkie z odsłoniętymi twarzami — i dzieci.

— Nie wierzę własnym oczom — powiedziała. — Od niepamiętnych czasów chciałam tu przyjść już choćby po to, aby się przekonać, że to miejsce naprawdę istnieje.

Najir też się rozglądał, omijając spojrzeniem twarze kobiet i skupiając uwagę na mężczyznach. Wyglądało na to, że na sali nie ma kawalerów, wszyscy obecni tam mężczyźni siedzieli z żonami i dziećmi. Wydawali się szczęśliwi i odprężeni. Najwidoczniej nie przeszkadzało im, że ich żony mają odsłonięte twarze. Zaryzykował i spojrzął na jedną i drugą niewiastę. Zauważył, że zachowują się przyzwoicie. Większość miała na sobie abaje oraz chusty i skupiała uwagę na rodzinie. Poczul ulgę zmieszaną z zaskoczeniem tym, iż tak nowoczesna restauracja wypełniona jest dobrymi ludźmi, zachowującymi się właściwie.

Kątem oka dostrzegł, że panna Hidżazi się uśmiecha. Przez dobrą chwilę zachwycała się zastawą i podziwiała głośno żyrandol, a on uświadomił sobie z zadowoleniem, że pomimo całej swej niezależności pozostała kobietą chronioną przed światem.

Potem uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu jest w restauracji z kobietą. Był to oczywiście kamień milowy, jednak poczucie winy nie pozwalało mu w pełni rozkoszować się sytuacją. Wsunął dłoń do kieszeni i dotknął fałszywego aktu małżeństwa. Mógłby wpisać w pustą rubrykę nazwisko panny Hidżazi, lecz nawet to budziło w nim poczucie winy.

— I co myślisz? — spytała.

Wyjął dłoń z kieszeni.

— Przyjemny lokal.

— I jest tu chłodno — zauważyła. — Nie zimno, jak w wielu sklepach z klimatyzacją, ale przyjemnie chłodno. A teraz najlepsze: możesz sam nałożyć sobie jedzenie.

— Zaraz przyjdę — zapewnił.

Zerknęła na niego spod oka, lecz pospieszyła sama do bufetu. Gdy tylko odeszła, wyjął misjar i sięgnął do kieszeni po długopis. Uświadomił sobie, że trzymał misjar przez tyle lat, spodziewając się użyć go w jakiejś znaczącej chwili, a teraz wszystko działo się tak niespodziewanie. Był z kobietą, która pozostanie dlań absolutnie nieosiągalna. Umieszczenie jej nazwiska w rubryce wydawało się niemal grzechem. Nie tego pragnął.

Poskładał dokument, schował go na powrót do kieszeni i ruszył za nią do bufetu.

Pozostał tam dobrych dwadzieścia minut, podziwiając szeroki wybór owoców i pasztecików, serwowanych na gorąco kanapek, mięs z różną jarzyn i ryżu. Były też jogurty i lody. Dziesięć rodzajów herbaty. Kawa, czarna i po amerykańsku. Gorąca czekolada. Zimna czekolada. Lód. Lód! Pełne jego wiadra rozstawiono strategicznie pośród półmisków. Kiedy wrócili w końcu do stolika, panna Hidżazi nie posiadała się z radości.

— Mogłabym przychodzić tu codziennie — powiedziała, rozkładając serwetkę i chwytając za widelec.

Najir próbował wyobrazić ją sobie w tym miejscu z Usmanem. Była tak uszczęśliwiona, że jej dobry nastrój mógłby się udzielić także jemu. Może podobało mu się w niej właśnie to, że swoją beztroską potrafi rozwiązać jego przygnębienie. Wyobraził ich sobie, jak przychodzą tutaj latami, najpierw sami, a potem z dziećmi. Ciekawe, czy byłyby wówczas równie szczęśliwa?

Ośmielił się spojrzeć na jej twarz i dostrzegł dziecięcy zachwyty. Tego rodzaju uczucie mogłoby zapewne przetrwać. Uśmiechnęła się, niezupełnie do niego, ale ot tak, z czystej radości, i nagle Najir wyobraził sobie, że to on przychodzi tutaj z panną Hidżazi, otoczony ich dziećmi, stając się adresatem tego szczodrego uśmiechu. Przestraszyło go to, lecz i wprawilo w zachwyty. Wybacz mi, Panie, pomyślał zaraz. Jestem grzesznym, samolubnym człowiekiem. Nic takiego by się nie wydarzyło, gdybym miał żonę.

— Chyba możemy bezpiecznie założyć, że została porwana — powiedziała panna Hidżazi, wracając do tematu Nuf.

— Możliwe.

— Ale kto mógłby zrobić coś takiego? — Wsunęła do ust porcję jedzenia. — Może powinniśmy podejść do sprawy inaczej. Co się okazało najgorsze ze wszystkiego, co zrobiła Nuf? To, że zaszła w ciążę. Kogo najbardziej wytrąciłoby to z równowagi?

— Jej bliskich, gdyby o tym wiedzieli.

— Załóżmy, że wiedzieli. W noc poślubną Kadi by się przekonał, że oblubienica nie jest dziewicą. Rozwiódłby się z nią. Może rodzina wywozła więc Nuf na pustynię, aby oszczędzić sobie wstydu.

— To mało prawdopodobne — stwierdził Najir.

— To nie byłoby to samo co zabójstwo dla uratowania honoru — kontynuowała panna Hidżazi. — Gdyby udało im się przekonać wszystkich, że dziewczyna uciekła, nikt by ich nie winił. Uznano by, że próbowała uniknąć po prostu zamążpójścia. — Zamilkła na chwilę, żując pracowicie.

— Jak mogliby zrobić coś takiego, nie zabijając jej? — zapytał. — A gdyby dziewczynie udało się przetrwać na pustyni i wrócić, co wtedy?

— Masz rację.

Spekulacje sprawiły, że poczuł się nieswojo. Widać to zauważyła, jedli bowiem przez chwilę w milczeniu. Najir również brał pod uwagę porzucenie na pustyni, podobnie jak jego wuj, ale ilekroć próbował sobie to wyobrazić, wydawało mu się po prostu śmieszne, niczym scena z farsy: paru kulturalnych dżentelmenów z klasy wyższej próbuje zmusić wielbłąda, by wszedł na ciężarówkę; starają się nie powalać przy tym kosztownych butów do wypraw na pustynię po tym, jak walnęli przed chwilą siostrę w głowę kawałkiem rury, nie plamiąc drogich koszul

krwią. Nie sądził, żeby byli zdolni do zamordowania siostry, a już na pewno nie dla „honoru”.

— Powiedz mi, co naprawdę sądzisz o tej sprawie — poprosiła.

Najir, przyłapany w chwili nieuwagi, nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

— Daj spokój. Nic cię nie niepokoi?

— Cóż, tak. — Milczał przez chwilę, zbierając myśli. — Nuf zamierzała wyjść za Kadiego jedynie po to, aby się wydostać z kraju. Właśnie to o nie daje mi spokoju. Zamierzała go porzucić podczas miodowego miesiąca.

Uśmiech Katii znikł.

— Wiem, że to okropne. Musiała być zdesperowana.

— Jest pani w stanie wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby porzuciła męża i uciekła z jakimś Amerykaninem? Jej rodzina dostałaby szału. Kto wie, jak by postąpili z Muhammadem? Straciłby pracę w najlepszym razie. Rodzina wysłałaby zapewne kogoś, aby odszukał Nuf i sprowadził ją do domu. Nie sądzi pani, że on o tym wiedział? I Nuf także?

Panna Hidżazi przytaknęła.

— Wygląda na to, że kierowca i opiekun Nuf troszczył się o jej dobro bardziej niż o swoje.

— Albo spodziewał się coś uzyskać.

— A może po prostu było mu jej żal?

— Dlaczego? — zapytał. — Miała wszystko. Pozwalano jej jeździć na skuterze. Zapewniano eskortę, by mogła chodzić po sklepach. Wiem, że miała własne pieniądze.

Mina panny Hidżazi świadczyła, że nie podziela jego oceny.

— Nie mogła mieć jedynej rzeczy, na której naprawdę jej zależało! Nie chcieli posłać jej do szkoły, wątpię także, aby spodobał im się pomysł, by pracowała, zwłaszcza ze zwierzętami. Nie rozumiesz tego, prawda? Nuf miała wszystko, co pozwalał jej mieć ojciec.

Otarł twarz serwetką.

— Większość ludzi byłaby zadowolona, mając choć połowę tego, co miała Nuf.

— Nic podobnego.

Katia mówiła cicho, lecz ton jej głosu wyraźnie się zmienił. Teraz był w nim spokój, ale i przekonanie. Najir przygotował się na odparcie argumentów, które niechybnie zaraz usłyszy.

— Wyobraź sobie, że nie możesz pojechać na pustynię — powiedziała. — A nawet wyjść z domu bez zgody kogoś z rodziny. Masz pieniądze i rzeczy, ale gdybyś chciał coś przedsięwziąć, nie udzielono by ci na to zgody. Jedyne co mógłbyś zrobić, to ożenić się i mieć dzieci.

Najira kusilo, aby powiedzieć jej, że niczego więcej nie pragnie, lecz nie to stanowiło przedmiot sporu.

— Nie sądzę, żeby zmuszali ją do zamążpójścia — rzekł, starając się zachować spokój. — Zgodziła się, by je zaaranżowano.

— Przecież to bez znaczenia — odparła panna Hidzazi. — Gdyby nie wyszła za mąż, i tak nie mogłaby spełnić swoich marzeń. Pozwalano jej spełnić jedynie te, które akceptowała jej rodzina. Miała być dobrą córką lub żoną.

— I to aż tak ją rozgniewało, że uciekła?

Panna Hidzazi przestała jeść i tylko bawiła się tym, co miała na talerzu.

— Tak sądzę.

— I z zemsty planowała porzucić narzeczonego. Przypuszczam, że chciała w ten sposób wymierzyć policzek rodzicom.

Katia milczała.

— Zamiast po prostu wyjechać — kontynuował — postanowiła wciągnąć w całą tę awanturę narzeczonego. Nie dbała o to, że złamie mu serce. Albo że zawiedzie rodziców. Mogła wyjechać na własną rękę, miała przecież dość pieniędzy. Mogła zapłacić komuś, by przemycił ją do Egiptu. Nie zajęłoby to nawet doby. — Uświadomił sobie, że przemawia zbyt zapalczywie, i zamilkł na chwilę, aby się uspokoić. — To co sobie zaplanowała, wydaje się okrutne.

Panna Hidżazi przytaknęła, nie podnosząc oczu.

— Masz rację. Mogła załatwić to inaczej. — Utkwiła wzrok w szklance z wodą.

Zamilkli na chwilę i to milczenie denerwowało Najira, zdawało się bowiem rzucać cień na całe otoczenie.

Powoli zaczęli znowu jeść. Spojrzał na jej dłonie, wyobraził sobie, jak głaszcze Usmana po policzku, i bardzo się zawstydził.

Spojrzał na innych gości, mężczyzn. Ludzie zachowują się przyzwyczajenie jedynie na pokaz, w głębi duszy pragną zapewne, tak jak on, rzeczy, które nie są dla nich. Wstydził się, że podziwia dłonie panny Hidżazi. Dowodziło to, iż kobiety i mężczyźni nie są w stanie po prostu się przyjaźnić. Czy właśnie dlatego stworzono prawa oraz zasady? Mężczyźni i kobiety zajmują w świecie inne miejsca. To nie człowiek tak zdecydował, lecz Bóg. Kimże on jest, żeby to odrzucać? Zachowuje się jak jakiś niewierny.

Panna Hidżazi dostrzegła widać, że zmienił mu się nastrój. Zerknęła na niego spłoszona.

— Nie jest ci mimo wszystko żal Nuf? — spytała.

Skinął głową.

— Jest. Nadal uważam jednak, że zamierzała postąpić okrutnie. Czy pani też by tak zrobiła? Czy poślubiłaby pani mężczyznę po to tylko, żeby uzyskać wizę wyjazdową?

— Nie wiem.

— Proszę dać spokój. Tyle zachodu, by pójść do szkoły? Mamy tu szkoły dla dziewcząt, o czym doskonale pani wie.

Następne słowa nie przyszły jej łatwo, mimo to powiedziała:

— Wyszłabym za męża, gdyby miało mi to zapewnić upragnioną wolność. Gdybym była Nuf, mogłabym postąpić tak jak ona.

Najir jął się zastanawiać, czy panna Hidżazi to właśnie robi, czy wychodzi na Usmana, by zyskać wolność, jaką miała Nuf: pieniądze, opiekę i możliwość buszowania do woli po sklepach. I czy mając to, stanie się taka jak Nuf — niezadowolona pomimo bogactwa, głodna dalszych swobód, niedbająca o rodzinę ani o męża, a jedynie o siebie i o zaspokojenie swoich zachcianek. Bo właśnie tym jest to wszystko, uświadomił sobie nagłe. Zachciankami.

— Możesz się mylić — powiedziała panna Hidżazi. — Może Nuf naprawdę kogoś kochała. Może kochała ojca swego dziecka i chciała być z nim.

— Tak pani myśli?

— Wiesz, fakt, że wybierała się do Ameryki, świadczy tylko o tym, że chciała być jak amerykańskie dziewczęta, a nie że była dziwką.

— Ale... — zająknął się. — Zaszła w ciążę!

— Może z mężczyzną, którego naprawdę kochała.

— W porządku, może się zakochała — zgodził się — i uciekała nie po to, by pójść do szkoły, ale przecież w takim wypadku nie byłaby aż

tak zbuntowana, jak się pani wydaje. Może chciała być jednak żoną i matką.

Spojrzał na nią i zauważył, że nie przyszło jej to do głowy, a może zaskoczyła ją własna niekonsekwencja.

— Cóż — powiedziała — to że kobieta pragnie być żoną i matką, nie oznacza automatycznie, że nie chce pracować zawodowo.

Wpatrywała się w niego uparcie. Na sekundę ich spojrzenia się spotkały. Dostrzegł w jej oczach prośbę o to, by ją zrozumiał, i nagle cały jej upór wydał mu się niezręczną próbą ukrycia wrażliwości, jakiej nie zauważył w niej przedtem. Poczł instynktowną chęć, aby ją chronić.

— Czy tego właśnie pani chce? — zapytał, odwracając wzrok. — Być żoną i pracować?

— Tak — odparła. — Właśnie tego.

— A jeśli mąż nie będzie sobie życzył, by pani pracowała? — zapytał.

— Chcę mieć męża, który uszanuje moje życzenia.

Najir się zawahał, nim zadał kolejne pytanie.

— A jeśli tak się nie stanie? Jeśli powie, że zgadza się, by pani pracowała, a po ślubie zmieni zdanie? Jeśli powie, że życzy sobie, aby została pani w domu i zajmowała się dziećmi?

Zerknęła na niego ostrożnie.

— Może zapragnę tego samego, gdy przyjdą na świat dzieci. Chcę mieć po prostu możliwość wyboru.

Nie wydawała się zakłopotana faktem, że mówi o Usmanie. Zajęła się na powrót jedzeniem, a Najir zamilkł, pogrążony w nieprzyjemnych rozważaniach. Usman postępował jak inni narzeczeni: obiecywał, że zapewni przyszłej żonie to, czego pragnęła najbardziej. Żakiet. Pracę. Luk-

susowy dom. Najir nie był w stanie zliczyć, ileż to razy znajomi mężczyźni chwalili się, jak sprytnie oszukują swoje żony. Wszystkie te kłamstwa, przekupstwa, wymówki, przeprosiny. Nie lubił słuchać, jak mówią: „Ta stara krowa nie zamyka nigdy jadaczki”. Albo: „Sprowadzę do domu drugą żonę, zobaczymy, co wtedy powie”. I: „Zrobię jej kolejne dziecko, to ją zajmie”. Jeśli choć część tego, co mówili, była prawdą, kobiety nie robiły nic innego, tylko nieustająco się uskarżały. Tkwiły w domu znudzone i przestraszone. A kiedy mężczyźni wracali, atakowały ich prośbami i błaganiami, wystawnymi posiłkami, obietnicą seksu w zamian za przejażdżkę, trochę gotówki, wyprawę do sklepu, na piknik, dokądkolwiek. Niektóre żony się nie skarżyły, były zadowolone ze swego życia, lecz wiele było złych małżeństw i czasami Najirowi się wydawało, że prawdopodobieństwo uwikłania się w tego rodzaju związek jest w jego przypadku bardzo duże. Zaobserwował jednak, że mężczyźni, którzy narzekali najwięcej, nie są tymi, których mógłby podziwiać. Wszystkie te kłamstwa i manipulacje wpływały negatywnie na jego opinię. Postanowił, że sam nie będzie traktował żony w ten sposób.

Czasami sądził, że tak naprawdę wcale nie chce się żenić, że pozostaje kawalerem z wyboru. Dlatego poczuł się zaskoczony odkryciem, że spojrzenie na twarz panny Hidżazi działa na niego aż tak kojąco, uciszając wir emocji. Przeżuwała jedzenie podekscytowana czymś, co właśnie przyszło jej do głowy. Miał chęć zapytać ją, co to takiego, nalegać, by mu powiedziała, mimo iż znowu rodziło się w nim poczucie winy. Na Boga, miło byłoby ją zapytać. Choć raz się nie zastanawiać, co też może to oznaczać. Chciałbym mieć taką możliwość.

— Możliwość wyboru — rzekł na głos, zaskakując samego siebie.

— Właśnie — odparła, uśmiechając się z wdzięcznością. — Myślę, że Nuf też tego pragnęła.

— Sądziła, że Ameryka jej to zapewni?

Katia wzruszyła ramionami. Najir pomyślał, że mogą sobie spekulować do śmierci, a i tak nie dowiedzą się prawdy. Fakt, że nie zna jej też nikt inny, wielce go zasmucał. A jeśli ojciec dziecka nie kochał Nuf, nie wiedział, że dziewczyna jest w ciąży, albo w ogóle go to nie obchodziło?

— Nie powiedziała mi pani, czy na ciele były ślady przemocy.

Przestała jeść.

— Nie, nie było śladów gwałtu.

— Dlaczego nie powiedziała pani tego w biurze lekarza sądowego?

— Pomyślałam, że będziesz ją oceniał — odparła, obrzucając go nerwowym spojrzeniem.

Skinął głową zaskoczony tym, że prawidłowo odczytał jej intencje.

— Czy jest jeszcze coś, czego pani nie powiedziała? Z obawy, że mogłoby mi się to nie spodobać?

Zawahała się na moment.

— Nic nie przychodzi mi do głowy.

Jej wahanie sprawiło mu przykrość. Uważała, że jest przesadnie surowy, a był przecież człowiekiem rozsądnym, wrażliwym i przyzwoitym. Jeśli wydawał się nadmiernie skłonny do wydawania ocen, to wyłącznie dlatego, że cenił wartość tradycji. Zabolało go także, iż kiedy na niego patrzyła, zdawała się oddalać, zamykać w sobie.

— Uważa pani, że jestem surowy w ocenach — powiedział — ale nie powie mi pani, że nie wierzy ani trochę w ten system. Myślę, że jest inaczej. Został przecież stworzony, by chronić kobiety. Wszystkie te nakazy dotyczące stroju i zachowania, abstynencji seksualnej przed ślubem... czy nie stworzono ich po to, by zapobiegać tego rodzaju przypadkom?

— Owszem — przytaknęła. — W teorii. Musisz jednak przyznać, że czasami te *same* zasady mogą doprowadzić do sytuacji, których ludzie boją się najbardziej. — Była zdenerwowana. Nie potrafiła zapanować nad dłońmi, złożyła je więc i opuściła na kolana. — Myślę, że właśnie to przytrafiło się Nuf.

Dziwiło go, że nie spogląda na niego z góry, nie karci go spojrzeniem. Obawiała się jego opinii, to zaś oznaczało, iż liczy się z tym, co Najir myśli. Ogarnęło go silne poczucie winy. Miał ochotę przeprosić — nie tyle za to, co powiedział, ile za sposób, w jaki to zrobił: chłodny i surowy.

— Przepraszam — rzekł zatem. Spojrzała na niego.

— Ma pani rację. Nic nie jest doskonałe. Ani system, ani zasady.

Przytaknęła zaskoczona tak bardzo, że nie była w stanie się odezwać. Wiedział, że zrozumiała, czego dotyczą przeprosiny. Po chwili spojrzała znowu na niego.

— A co z tobą? Nie powiedziałaś mi o czymś?

Natychmiast pomyślał o kurtce Usmana. Zawahał się, nie wiedząc, czy może o tym wspomnieć. Nie chciał, by Usman wyglądał na winnego, ani by ona się zaniepokoiła.

— Jest coś... — zaczął świadom, że w jego głosie słychać zdenerwowanie. — To może być ważne. — Przemógł się i opowiedział o kurtce Usmana i wadi. Panna Hidżazi słuchała spokojnie, a kiedy skończył, zmarszczyła brwi.

— Od jak dawna o tym wiesz?

— Och — odparł wzburzony — od kilku dni?... Nie pamiętam dokładnie.

Przyjrzała mu się i odwróciła wzrok. Wiedział, że jest jej przykro, i czuł się okropnie.

— Nie musisz niczego przede mną ukrywać — powiedziała. — Robię to, co robię, bo wierzę, że potrafię znieść prawdę. Jest dla mnie ważna.

Najir uświadomił sobie, że Katia ma rację. Była ambitna w swoich poszukiwaniach, lecz nie chodziło jej o siebie. Postępowała wbrew życzeniom Usmana, prawdopodobnie narażała się na utratę posady, poświęcała czas oraz energię, a nagrodą za to mogła być jedynie prawda. Było mu głupio i pomyślał, że ludzie jak on pozbawieni rozumu nie powinni prowadzić dochodzenia.

Skończyli posiłek w milczeniu. Panna Hidżazi zdawała się pogrążona w rozmyślaniach, a on chciał wiedzieć, o czym myśli, choć błagał jednocześnie w duchu Boga, aby wybaczył mu ten grzech. Wybacz mi, Panie. Wolno mi grzeszyć, czyż nie? Lecz to są niebezpieczne grzechy. Wybacz mi.

Zapłacił za obiad, a potem odprowadził Katię do biura lekarza sądowego, gdzie sztywno się pożegnali. Dopiero gdy się oddalił, uświadomił sobie, że nie ustalili, co powiedzą Usmanowi.

ROZDZIAŁ 22

Gdy tylko wjechali na wyspę, poczuła, że dopada ją znużenie. Ahmad zatrzymał się przed wejściem do rezydencji, lecz Katia się nie poruszyła.

— Wolałaby pani, żebym odwiózł ją z powrotem do domu? — zapytał.

Katia uświadomiła sobie, że zmęczył ją nie tyle ten dzień, ile poprzednie dwa tygodnie. Odkąd zaginęła Nuf, żyła jak w gorączce, próbując wypełniać codzienne obowiązki, jakby nic się nie zmieniło, chociaż zmieniło się wszystko. Jej uczucia względem rodziny splotły się w ciasny węzeł podejrzliwości, generując nieprzerwany strumień wątpliwości oraz zmartwienia, stanowiący, teraz to widziała, powód jej wyczerpania nerwowego. Jeśli Nuf nie uciekała po prostu przed małżeństwem, oznaczało to, że ktoś w rodzinie wiedział, co się wydarzyło. Wróciła myślami do jedynej osoby, którą znała na tyle, by móc ją oceniać: do Usmana. Najwidoczniej to on znał siostrę najlepiej. Nie była w stanie opędzić się od prześladowających ją myśli. Mimo woli zastanawiała się, czy Usman porwał Nuf, zwabił ją na pustynię, uczestniczył w przygotowaniu skomplikowanego planu. Albo wynajął kogoś, by porwał siostrę. Odkrył, że była w ciąży, i umówili się, że zniknie na jakiś czas. Dowody? Było ich dosyć i każdy pasował: błoto, zaginiona kurtka, but. Gdyby to Usman zorganizował uprowadzenie, pomyślałby o wszystkim. Zaś dowód, który mógł się okazać niezbity, leżał w zasięgu jej ręki. Wystarczyło po niego sięgnąć.

— Katia?

— Przepraszam. Nie, nie chcę wracać do domu. Muszę coś załatwić, lecz nie powinno mi to zająć dużo czasu. — Otworzyła drzwi i wysiadła.

Ahmad także wysiadł. Wyjął z bagażnika jej skrzyneczkę z przybarami do pobierania próbek i obdarzył Katię tym swoim nieznośnie współczującym spojrzeniem.

— Dzięki, Ahmadzie. — Wyjęła ze skrzyneczki kilka torebek i wacików, a resztę zostawiła w bagażniku. — Zaraz wracam.

Przy drzwiach powitała ją młodsza siostra Nuf, Dzanna. Uśmiechnęła się skromnie i zaprowadziła Katię do bawialni dla kobiet, gdzie Nusra piła akurat herbatę w towarzystwie grupki niewiast. Katia rozpoznała kilka ciotek Usmana. Zahry i Fadili wśród nich nie było.

— Katia. — Nusra się uśmiechnęła i wstała, by ją powitać.

Katia zaniepokojona, że Nusra natychmiast ją poznała, a także widokiem jej szklistych oczu, pozdrowiła przyszłą teściową cokolwiek sztywno. Nie bardzo wiedziała, co zrobić z rękami. Kobiety gapiły się na nią, bez wątpienia rozmyślając o tym, co za głupiec z tego Usmana, iż bierze sobie za żonę kobietę tak starą jak Katia. W wieku dwudziestu ośmiu lat była zaledwie o kilka lat młodsza od najmłodszej z nich, ale nie wyglądała nawet w połowie tak staro. Kobiety miały siwe włosy, liczne zmarszczki, większość była też otyła. Nic dziwnego, skoro siedziały przez cały dzień beczynnie. Fałdy tłuszczu zwisały im z ramion, zniekształcały talię, tak że ich sylwetki przypominały kształtem sofy, na których z takim upodobaniem przesiadywały. Katia spuściła zakłopotana wzrok.

Nusra wprowadziła ją do towarzystwa i zaproponowała herbatę. Nie mogła odmówić, przycupnęła zatem na skraju sofy i siedziała, milcząc, póki jedna z kobiet nie zapytała:

— To jak, Katiu, jesteś podekscytowana zamążpój- ściem?

Pytanie miało złowróbną wymowę. A gdyby odpowiedziała przecząco? I co to właściwie znaczyło: podekscytowana? Czym? Perspektywą poprawy warunków materialnych? Uprawiania seksu? A może kobieta

miała na myśli ceremonię: jedzenie, całą tę pompę? Byłyby zaszokowane, gdyby wyznała im prawdę: jej podekscytowanie niemal zanikło stłumione przez śmierć Nuf oraz reakcję Usmana na to, co się wydarzyło. Zaczynała wątpić, czy pobiorą się wcześniej niż za kilka miesięcy. Usman potrzebował czasu, żeby opłakać siostrę. Nie należało go zmuszać, by teraz świętował. Nie mogła jednak tego powiedzieć: uznałyby, że zwarłowała. Kobieta w jej wieku powinna brać, co się nadarza.

— Tak — odparła. — Tak, jestem bardzo podekscytowana.

— Chyba trudno brać ślub teraz, po tej tragedii?

— Cóż... — Katia spojrzała na kobiety. Ich twarze wyrażały sceptycyzm. — Tak, śmierć Nuf położyła się cieniem na wielu sprawach. Przeżywamy trudne chwile.

— Nie myśl o tym — wtrąciła się Nusra. — Już po wszystkim. Będziesz miała mnóstwo czasu, żeby się smucić, gdy będziesz starsza. Teraz otwiera się przed tobą przyszłość. — Rozłożyła dłonie jak płatki kwiatu. — Ciesz się z tego.

Katia uśmiechnęła się, czując, że się rumieni.

— Dziękuję.

Kobiety odwróciły z wolna wzrok, kierując go ku niewidocznemu centrum kręgu, aby kontynuować rozmowę o dzieciach, wnukach i niekończącym się strumieniu zmartwień oraz problemów trapiących wszystkie matki. Katia usiadła wygodniej na sofie. Czuła się tak, jakby udało jej się coś przetrwać. Kiedy kobiety gawędziły, wróciła myślami do pytań, na które nie znalazła dotąd odpowiedzi. Po chwili uświadomiła sobie, że zebrane w pokoju kobiety nigdy nie będą zmuszone zastanawiać się nad tym, co trapiło ją — nad dowodami, miejscem zbrodni, skomplikowanymi motywami — to zaś co stanowi przedmiot ich zainteresowania, nie będzie interesowało jej.

Wspomniała obiad w towarzystwie Najira i to, jak się wobec niej zachowywał. Zaskoczyło ją, jak dalece zmieniła o nim zdanie. Nie uważała go już za apodyktycznego muftiego przekonanego o tym, że ma zawsze rację, ale za jednego z tych mężczyzn, którzy świadomi fizycznej siły, rozwijają w sobie pewien rodzaj wrażliwości, połączonej w przypadku Najira z pełną wdzięku osobowością. Teraz wiedziała już, dlaczego Usman go polubił. Najir nie był ani trochę apodyktyczny, przeciwnie, zdawał się człowiekiem miłym, wrażliwym, bystrym i odpowiedzialnym. I był też jedyną osobą, z którą mogła rozmawiać szczerze o sprawie Nuf.

Weszła służąca, niosąc tacę ciasteczek daktylowych. Jedna z ciotek spróbowała słodyczy, po czym roześmiała się zachwycona.

— Zdziwiasz mnie, Nusro! — wykrzyknęła śpiewnie. — Są znakomite!

Był czas, gdy Katii tego rodzaju egzystencja wydawała się atrakcyjna, lecz im bliżej poznawała te kobiety, tym dobitniej uświadamiała sobie, że nie chce być taka jak one: ograniczona i nudna, zaabsorbowana mało ważnymi szczegółami łatwego życia. Jak dotąd godziły się z tym, że Katia ma posadę, a któraś z ciotek zapytała ją nawet o pracę, chociaż straciła szybko zainteresowanie i powróciła do rozmowy o dzieciach. Katia próbowała myśleć o Usmanie, o tym, że akceptuje jej wybory i wspiera ją. Wyobrażała sobie, że spodobała mu się właśnie dlatego, iż w niczym nie przypomina kobiet z jego otoczenia.

— Nie wyglądasz dobrze — zauważyła jedna ze starszych ciotek.

— Skąd, wszystko ze mną w porządku — odparła Katia, prostując się. — Jestem po prostu zmęczona.

— Mam nadzieję, że to nie nerwy — wtrąciła inna.

— Nie, nic podobnego. — Odstawiła filiżankę na stolik i zwróciła się do Nusry. — Przepraszam, że odwiedzam was, kiedy jestem tak wyzuta z energii. Chciałam się po prostu przekonać, jak sobie radzicie.

Nusra, doświadczona w kwestii taktownego opuszczania towarzystwa, zacisnęła wargi i skinęła stanowczo głową.

— Naprawdę mi przykro — powiedziała Katia, zdając sobie sprawę, że musiała popełnić okropną gafę. Nie wiedziała tylko jaką.

— Nie mam pretensji o to, że wpadłaś tylko na chwilę — odparła Nusra — nie chcę odsyłać cię też zbyt szybko do świata, który aż tak podkopuje ci siły. Może byś tak chwilę odpoczęła? Mogę polecić służącej, żeby zaprowadziła cię do gościnnej sypialni.

— Och, nie chciałabym sprawiać kłopotu.

— To żaden kłopot. — Nusra wstała i strzeliła palcami, przywołując czekającą w gotowości służącą.

— Proszę nie sprawiać sobie kłopotu — zaprotestowała Katia.

— Nonsens. Alijo, zaprowadź Katię do którejś z gościnnych sypialni i dopilnuj, by miała wszystko, czego jej trzeba.

— Tak, sajjido.

Katia westchnęła.

— Dziękuję, Umm Tahsin.

— Ależ nie ma za co. — Nusra ujęła przyszłą synową za rękę i skierowała ku drzwiom.

Katia, wdzięczna za okazaną troskę, wyszła za służącą do holu.

— Posłuchaj, chciałabym zostawić gdzieś abaję, jeśli to możliwe — powiedziała.

— Dobrze, proszę mi ją dać. — Dziewczyna wyciągnęła rękę.

— Nie, nie, wolałabym zrobić to sama. W ten sposób kiedy zechcę wyjść, będę wiedziała, gdzie jej szukać.

— Tak, proszę tędy.

Poprowadziła Katię korytarzem ku wejściu. Z holu wąskie drzwi prowadziły do garderoby. Służąca zapaliła światło. Na wieszakach czekały tu na właścicieli dziesiątki abai oraz chust. Odwróciła się, by pomóc Katii.

— Mogę zrobić to sama — powiedziała Katia. — Tak naprawdę chciałabym, żebyś przyniosła mi szklanek wody. — Pochyliła się ku dziewczynie i wyszeptowała: — Muszę wziąć aspirynę.

— Ach tak, oczywiście. — Służąca uśmiechnęła się delikatnie, skłoniła lekko i wyszła.

Gdy tylko zniknęła, Katia zamknęła drzwi na klucz. Rozłożyła swoją abaję na podłodze i rozejrzała się dookoła. Abaje mężczyzn wisiały po jednej stronie pomieszczenia, a kobiet po drugiej. Przeszła na męską stronę, opadła na czworaki i zaczęła przyglądać się bacznie podłodze w poszukiwaniu włosów. Znalazła ich całe mnóstwo i pochowała do torebek. Nieważne, do kogo należały, chciała mieć po prostu próbki DNA wszystkich mężczyzn, którzy bywali ostatnio w domu Asz-Szarawich, łącznie ze służącymi.

Muhammad nie był ojcem dziecka Nuf, podobnie jak nie był nim Eric. Nie miała innych tropów. Zebranie włosów z podłogi stanowiło jej ostatnią nadzieję. Nie pozna w ten sposób nazwiska ojca, lecz dowie się, czy kochanek Nuf miał wstęp do domu, a jeśli udowodni, że tak było w istocie, będzie mogła przepytwać Usmana w kwestii gości, którzy odwiedzili dom w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Wstała i popatrzyła na abaje. Do tej pory starannie unikała nawet wzmianki o tym, że to któryś z braci mógł zapłodnić Nuf. Woląca nie myśleć o czymś tak okropnym, czuła jednak, iż nie powinna odrzucać żadnej ewentualności tylko dlatego, że się jej nie podoba.

Nie wiedziała, co mężczyźni z rodziny noszą w domu, lecz знаła ich chusty i abaje. Abaja Tahsina była nieskazitelnie biała z wystawnym złotym obszyciem, Fahd nosił starą i podniszczoną, Usman zaś bla-

bieską. Znalazła pierwsze dwie i przyjrzała się im w poszukiwaniu włosów. Pobrała próbki i pochowała je do torebek. Podeszła do abai Usmana i zawahała się. Nie była pewna, czy jej wahanie spowodowane zostało obawą, iż zachowuje się niełojalnie, czy raczej lękiem, że Usman może się okazać winny. To powinno być proste, pomyślała. Zbada próbkę i wykaże, iż Usman nie sypiał z siostrą. Znalazła trzy włosy i schowała je do torebki.

Posortowała spiesznie próbki i opatrzyła je etykietami, a potem chwyciła swoją abaję i otworzyła drzwi. Korytarz był pusty. Uznawszy, że nie pora przejmować się konsekwencjami pospiesznego odwrotu, ruszyła ku wyjściu.

— Katia?

Zatrzymała się raptownie, odwróciła i zobaczyła Nusrę. Kobieta stała obok drzwi garderoby.

— Co ty tu robisz, Katiu?

Odrzuciła szybko pomysł, aby udawać kogoś innego. Z Nusrą to nie miało szansy się powieść.

— Tak, Umm Tahsin, przepraszam. Chyba się zgubiłam.

— Gdzie Alija? Miała cię zaprowadzić do pokoju. — Głos kobiety był łagodny, pytający.

Katia uznała, że powinna się wytłumaczyć.

— Przepraszam. Chciałam po prostu wyjść na chwilę z bawialni. Czasami czuję się tam bardzo onieśmielona.

Nusra milczała przez chwilę, a potem podeszła do Katii i wyciągnęła ku niej dłoń.

— Rozumiem — powiedziała. — To musi być dla ciebie trudne. Nie masz jednak powodu się martwić. Nie oceniamy cię.

Katia poczuła przyływ ulgi. Wtedy drzwi wejściowe otwarły się i usłyszała męskie głosy. Wyszarpnęła zza kołnierzyka skraj chusty i zakryła nim twarz, pozostawiając tylko oczy. Do holu wszedł Usman w towarzystwie innego mężczyzny. Zerknął na nią przelotnie i zwrócił się do matki.

— *Aj, ummi?*

Nusra się uśmiechnęła i otworzyła ramiona. Pocałował ją w czoło i przedstawił swojego przyjaciela. Katia stała jak wrośnięta w ziemię. Powoli docierała do niej bolesna prawda: Usman jej nie poznał i wziął prawdopodobnie za służącą. Wpatrywała się weń intensywnie, pewna, że nie ośmieli się spojrzeć jej w oczy, nie w obecności matki. Nie rozpoznał jej oczu, dłoni trzymającej chustę ani nawet torebki. Nie spojrzał na nią po raz drugi. Powinna być zadowolona, cieszyć się, iż narzeczony nie gapi się na obce kobiety, ale serce przestało jej bić i patrzyła na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

W obecności matki wydawał się miłszy, łagodniejszy i bardziej otwarty. Tak otwarty, jakim nie widziała go nigdy, kiedy był z nią. Świadomość tego sprawiła jej dotkliwy ból. Nusra również zachowywała się inaczej. Głos miała teraz wyższy, a twarz rozpromienioną. Najbardziej uderzające było zaś to, że jej ruchy stały się nagle bardziej niepewne, jakby oślepla dopiero wczoraj i polegała na synu, że ją poprowadzi.

Czekała, by Nusra coś powiedziała. Może: „Spójrz, Katia jest tutaj” albo: „Nie poznajesz własnej narzeczonej?”. Nusra jednak po prostu odeszła, prowadząc Usmana i jego gościa ku bawialni dla mężczyzn i zostawiając Katię stojącą niczym słup soli w holu, z sercem przełamanym na pół i leżącym na podłodze, zastanawiającą się, kto jest bardziej ślepy, Nusra czy jej syn.

Poszli sobie. Odwróciła się raptownie i pomaszerowała wprost do drzwi, żywiąc rozpaczliwą nadzieję, że nikt jej nie zauważy. W głowie miała pustkę, ciało stężało i sztywne niczym kowadło. Gdzieś w jej wnętrzu

trzu zaczynały nabrzmiewać mroczne emocje: szok, smutek, nieodparta chęć, żeby wybuchnąć śmiechem i śmiać się, nim zacznie w końcu płakać. Ledwie dotarła do samochodu, łzy popłynęły strumieniem.

Ahmad wyskoczył z auta, objął Katię i trzymał, pozwalając wypłakać się na swoim ramieniu i zachowując pełne współczucia milczenie. Gdy się uspokoiła, szumem otarł jej łzy i pomógł wsiąść do samochodu.

Stolik do kawy był wystarczająco duży, aby zmieściły się na nim wszystkie dowody. Ułożyła je starannie rzędami: błoto z nadgarstków Nuf i z zoo, cedrowe wióry i piasek z rany na głowie, komórki skóry z koca znalezionego w zoo, próbki DNA i odpowiadające im analizy wydrukowane na białym papierze. Zanim usiadła, przebrała się w ulubioną domową abaję, zaparzyła filiżankę mocnej kawy i spięła włosy. Była gotowa do pracy. Zaczęła od skatalogowania dowodów, próbując odtworzyć wydarzenia poprzedzające śmierć Nuf.

Ziemia z ogrodu zoologicznego odpowiadała tej z ramienia Nuf — w obu stwierdzono ślady toksyny z oleandra. Nie było próbki gruntu zmieszanego z krwią, jednak obecność nawozu wystarczała, aby wykazać, że Nuf — nie tylko jej but — pojawiła się w zoo, zanim zniknęła.

Pled przyniesiony z zoo okazał się bardziej interesujący. Znalazła na nim komórki dwóch osób: Nuf oraz ojca jej dziecka. Pasowały idealnie. Nuf uprawiała zatem w zoo seks, lecz nie z Muhammadem ani nie z Erikim.

Sięgnęła po próbki DNA zebrane w domu Asz-Szarawich. Czując przyływ brawury, zbadała je pośpiesznie i posegregowała już w pracy. Salwa i pozostałe pracownice leżały w domu z grypą, wystarczyło jej więc półtora dnia, aby uporać się ze wszystkimi. Wróciła do domu w kojącym towarzystwie Ahmada — mieszkanie było puste, gdyż ojciec grał tego dnia w karty z przyjaciółmi — i nie spiesząc się, zjadła obiad. Zdawała sobie sprawę, iż odwleka chwilę, gdy będzie mogła zapoznać się z wynikami. Leżały teraz przed nią, wypalając dziurę w stole.

Odstawiła filiżankę i wzięła do rąk stos wydruków. Włosy z garderoby Asz-Szarawich, z tego siedem męskich. Z pewnością gdzieś pośród wydruków z tej partii znajduje się odpowiedź, której szuka.

TLR

ROZDZIAŁ 23

Obudziły go odgłosy porannej krzątania w marinie. Tupot stóp na molu. Warkot włączanych silników. Głosy weekendowych żeglarzy wykrzykujących polecenia, brzęk butelek wkładanych do metalowych lodówek wypełnionych lodem. Od czasu do czasu dobiegał go także znajomy łopot niewielkiego żagla uderzającego o maszt „Fatimy”. Oznaczał, że wieje silny wiatr i zapowiada się doskonały dzień na żeglowanie.

Zastanawiając się mgliście, czyby nie wypłynąć, zaparzył kawę, po czym stanął wsparty o kuchenkę i rozejrzał się dookoła. W kabinie panował bałagan. Kończył mu się zapas wody, zalegał też dwa dni z opłatą za miejsce w marinie. Wiedział bez sprawdzania, że nie ma już czystych ubrań. Na domiar złego w jego myślach panował taki chaos, że nie był w stanie przypomnieć sobie, dlaczego powinien porozmawiać znowu z kierowcą Nuf i co właściwie odkryli z panną Hidżazi w zoo. Łopot żagla nad głową brzmiał teraz niczym werbel nawołujący do działania. Zapomniawszy o kawie, umył się nad kuchennym zlewem, chwycił dywanik i wyszedł na pokład, aby się pomodlić.

Poranek spędził, sprząając kabinę. Zrobił też pranie i wniósł zaległą opłatę. Na dworze było stosunkowo chłodno, przebywanie w zamkniętym pomieszczeniu nie okazało się więc szczególnie dotkliwe. Gdy skończył, uświadomił sobie, że jego myśli także uległy uporządkowaniu. Dowody, które zebrał w poprzednim tygodniu, zaczęły znowu mieć sens. Właściwie dręczyło go tylko jedno: dlaczego Nuf wepchnęła szpilki do kieszeni?

By odpowiedzieć sobie na to pytanie, musiał wpierw odkryć, kiedy przebrała się w białą abaję. Jeszcze na wyspie? Musiała to zrobić, nim wsiadła do ciężarówki. Gdyby wyjeżdżając, miała na sobie czarny strój, prawdopodobnie zostałaby zatrzymana na autostradzie. Lecz jeśli opuściła wyspę, siedząc za kierownicą pika- pa ubrana w białą abaję, dlaczego

nie położyła po prostu butów na siedzeniu pasażera? Po co było upychać je w kieszeniach?

Może na wyspie musiała się przemykać i nie chciała, by zobaczono ją z butami w dłoni. Wyjął rzeczy Nuf i rozłożył na stole. Abaja miała kieszenie wystarczająco głębokie, by dało się wepchnąć w nie szpilki, choć obcas trochę wystawał, a tkanina była tak cienka, że jaskrawy róż nieco przez nią prześwitywał. Prawdopodobnie lepiej było schować szpilki do kieszeni, niż nosić w ręce. Lecz czemu ich nie zapakowała do plastikowej torby?

Czy wepchnęła buty do kieszeni, a potem o nich zapomniała? Doświadczenie ostatnich dni podpowiadało mu, że trudno zapomnieć o tym, iż ma się w kieszeni but na dwunastocentymetrowym obcasie. Zresztą nawet gdyby zapomniała na chwilę o szpilkach, dlaczego nie wyjęła ich, kiedy przyjechała do zoo — lub podczas jazdy? Na pewno jej przeszkadzały. Aby to sprawdzić, wsunął buty do kieszeni domowej galabii i usiadł na sofie. Musiał jednak natychmiast wstać, aby się nie pokaleczyć.

Buty nie miały sensu. Bardziej niż cokolwiek innego przemawiały za tym, że Nuf uciekła — nie potrafił jakoś sobie wyobrazić porywacza upychającego szpilki w kieszeni swojej ofiary.

Uporawszy się z porządkami, pośpieszył do Kilo Seven. Kiedy wjechał w alejkę przed domem Muhammada, zobaczył, że sudańskie handlarki składają maty. Zaparkował w zacienionym miejscu, po czym wysiadł i spojrzał na swój cień. Był krótki i wskazywał południowy zachód. Wkrótce trzeba będzie odmówić modlitwę zuhr. Skierował się szybko ku domowi, gdzie mieszkał Muhammad. Miał nadzieję, że go zastanie.

Muhammad odpowiedział na dzwonek natychmiast, jakby stał za drzwiami i szykował się do wyjścia. Ubrany był w dobrze skrojone drogie spodnie i niebieską satynową koszulę. Kiedy napotkał spojrzenie Najira, poczuł się ewidentnie onieśmielony. Onieśmienie przerodziło się w podszyty obawą szacunek, szacunek zaś w skruchę.

— Marhaba, Muhammadzie.

— Właśnie wychodziłem.

— O tej porze otwarte są tylko meczety. Jesteś człowiekiem pobożnym, czyż nie?

— Tak. — Muhammad przełknął mocno. — Oczywiście.

— Więc może się pomodlimy? — Najir ruszył przed siebie. Muhammad zamknął drzwi i podążył niechętnie za gościem.

— Znalazłem Erica — poinformował go Najir.

— I co powiedział?

— Nie jest podejrzany, przynajmniej na razie.

— Rozumiem. — Muhammad wydawał się zirytowany.

Głos muezina przerwał ciszę i Najir ruszył w kierunku źródła dźwięku, prowadząc towarzysza płataniną wąskich uliczek, gdzie sprzedawcy opuszczali właśnie metalowe kraty i gasili światła w sklepach.

Znaleźli meczet wciśnięty pomiędzy fryzjera a zrujnowaną czynszówkę. Jedno i drugie zdawało się pogrążone w letargu. Mężczyźni w milczeniu wchodzili do meczetu. Ocierali czoła z potu, jakby to była krew. Zdjęli buty i weszli do świątyni. Przecisnęli się przez tłum otaczający fontannę, mamrocząc własną intencję. Przy fontannie panował taki tłok, że musieli chwilę zaczekać.

Kiedy dostali się wreszcie w pobliże wody, Muhammad zachęcił Najira, by pierwszy zanurzył w niej dłonie — być może okazując mu w ten sposób szacunek. Pozostali mężczyźni dokonywali ablucji w milczeniu, zajęci swoimi myślami. Obmywszy twarz, Najir powiedział:

— Byłem w zoo.

Muhammad nie przerwał ablucji, Najir spostrzegł jednak, że się zawahał.

— Znalazłem tam drugi różowy but — kontynuował. Muhammad nadal nie miał nic do powiedzenia. Najir zanurzył palce w wodzie i potarł nimi uszy. — Znalazłem też pomieszczenie we wnętrzu góry. — Wyprostował się i zobaczył, że dłonie Muhammada drżą. Jego uwagi podziały. Kiedy wchodzili do sali modlitewnej, Muhammad był już blady jak prześcieradło.

Modlitwa nie przyniosła Najirowi ukojenia. Czuł się winny, że wykonuje dzieło Boga, sabotując rytuał. Trudno, powiedział sobie, Bóg zrozumie. Tuż obok Muhammad recytował podniesionym głosem:

— Wybacz mi i okaż zmiłowanie. Czyż nie jesteś Miłosierny i Litościwy?

Kiedy skończyli odmawiać modlitwę i wstali, Muhammad zaczął znów na Najira. Wrócili do fontanny, gdzie mężczyźni zgromadzili się, by porozmawiać. Muhamamd sądził najwidoczniej, że Najir wyprowadzi go na zewnątrz, jednakże Najir nie miał ochoty opuszczać jeszcze świątyni. Poprowadził swego towarzysza ku niszy za fontanną, gdzie usiedli na kamiennej ławie wbudowanej w mur. W pobliżu znajdowali się inni, ale szum wody zagłuszał rozmowę.

— Ktoś spotykał się z Nuf w zoo — powiedział Najir — i uważam, że byłeś to ty. Wyczułem na twoim ubraniu zapach nawozu, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

Muhamamd zbladł jeszcze bardziej. Najir wiedział, że nie on jest ojcem dziecka Nuf — wykazały to testy DNA — postanowił jednak przycisnąć chłopaka.

— Wiem, że tam chodziła — wymamrotał Muhammad.

— Po to, żeby spotykać się z tobą.

— Nie—wyszeptał.

— Ktoś uprawiał z nią w zoo seks — powiedział Najir głośniej. — Zapewne tam doszło do zapłodnienia.

— Przysięgam, że to nie...

— O ile wiem, jesteś jedyną osobą, która wiedziała o zoo.

— To nie jest tak, jak pan myśli! — zaprotestował gwałtownie Muhammad. Stojący w pobliżu mężczyźni obejrzeli się, zniżył więc głos, próbując opanować emocje. — No dobrze. Spotykałem się z nią w zoo, bo chciała, żebym załatwiał dla niej różne sprawy.

— Nie zawoziłeś jej tam?

— Nie. — Muhammad skrzyżował ramiona. — Przyjeżdżała sama.

Najir czuł, że zaraz usłyszy coś ważnego.

— Jak się tam dostawała? — zapytał podekscytowany.

— Miała motocykl. Umiała na nim jeździć. Jeździła z siostrą całymi dniami po posiadłości.

— I wyjeżdżała sobie tak po prostu z wyspy, na oczach wszystkich?

— Nie, trzymała motocykl na stałym lądzie, gdzieś na plaży. Wsiadała na skuter wodny, dopływała nim do brzegu i przesiadała się na motocykl. — Zerknął nerwowo na Najira. — Lubiła jeździć na motocyklu, ponieważ dawało jej to poczucie swobody. Inaczej bym ją zawoził.

— Skąd wiedziałeś, kiedy wybiera się do zoo?

Muhammad westchnął głęboko.

— Dzwoniła do mnie rano i mówiła, o której mam się z nią spotkać. Zwykle stanowiłem po prostu jej alibi. Jeśli powiedziała matce, że wybiera się na zakupy, musiałem stawić się w zoo z torbami pełnymi ubrań.

Nie obchodziło jej, co w nich jest. Nie była materialistką. Bardziej pragnęła jeździć na motocyklu, niż się stroić.

Najir skinął chłodno głową. Przynajmniej wyjaśniało to, dlaczego Nuf zabrała do zoo buty.

— Zamierzała dać ci różowe szpilki — powiedział — żebyś je dla niej wymienił.

Muhammad skinął ponuro głową.

— Widziałeś się z nią w dniu, kiedy zniknęła.

— Nieprawda! — syknął Muhammad, spoglądając nerwowo na stojących w pobliżu mężczyzn. — Zadzwoiła do mnie rano i powiedziała, żebym spotkał się z nią w zoo, ale gdy tam dotarłem, jej nie było.

— Która to mogła być godzina?

— Mieliliśmy spotkać się o jedenastej. Trochę się spóźniłem, ale nie było po niej śladu.

— Nie spotkałeś się z nią, więc dlaczego wyczułem na twoich butach woń nawozu?

Muhammad się wzdrygnął.

— Odkąd zniknęła, jeździłem od czasu do czasu do zoo sprawdzić, czy nie znajdę tam czegoś, co pomogłoby mi zrozumieć, co się z nią stało.

Najir się wyprostował i skrzyżował ramiona na piersi.

— Znalazłeś coś?

— Nie. — Ze spuszczonego wzrokiem i zaciśniętymi w pięści, złożonymi na kolanach dłońmi Muhammad wyglądał jak chłopiec, którego złajano i ukarano.

— Nie znalazłem nawet tego buta.

- Był na drodze dojazdowej zagrzebany w ziemi,
- Szukałem tam!—wyszeptał.

Najir musiał co i rusz przypominać sobie, że to nie Muhammad był ojcem dziecka Nuf. Wiedział jednak o wyprawach dziewczyny do zoo, spotykał się z nią potajemnie, okłamywał rodzinę od miesięcy, może nawet lat, a kiedy Nuf zniknęła, nie powiedział nikomu, co wie. Nie mógł być bardziej winny. Kiedy spotkali się w jego mieszkaniu, zdawał się wierzyć, iż postępował słusznie: nie zdradził tajemnic Nuf, bo chciał ją chronić. A przecież wiedząc to, co wiedział, nie mógł się uważać za uczciwego. Musiał coś z tego mieć. Może chodziło o przyjemność dzielenia sekretów z piękną kobietą, a może o bunt przeciwko Asz-Szarawim, których nie lubił. A może jego motywy były bardziej przyziemnej natury: gdyby Nuf go nie potrzebowała, nie miałby po co stawiać się do pracy.

Najir wpatrywał się w fontannę, myśląc intensywnie. Nagle zrozumiał, dlaczego Nuf wepchnęła buty do kieszeni. Musiała dopłynąć do brzegu na skuterze pozbawionym miejsca na bagaż. Bezpieczniej było schować buty do kieszeni, niż płynąć z reklamówką zwisającą z nadgarstka.

- Co z motocyklem? — zapytał. — Gdzie go trzymała?

Muhammad potrząsnął głową.

— To był jej sekret. Szukałem go, ale zmieniała kryjówki. — Otarł pot z brody i pogрузzył się w ponurym milczeniu.

- Jak przetransportowała motocykl z wyspy na stały ląd?

— Niech mi Bóg wybaczy. — Przymknął oczy. — Nie mam pojęcia. Proszę posłuchać: nie wiem, gdzie trzymała pojazd ani jak często zmieniała miejsce jego ukrycia. Rodzina ma na własność spory kawał plaży, to wszystko, co wiem. Spytałem ją o to, ale nie chciała powiedzieć. Przyznała tylko, że prócz niej o motorze wie tylko jedna osoba, prawdopodobnie któryś z jej braci. Bo jak inaczej zdobyłaby klucz?

— Klucz?

— Do furtki na prywatnej plaży.

— W porządku. Powiedziała, kto dał jej klucz?

— Nie. — Muhammad zmarszczył brwi. — Myślę, że Usman.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Zastanawiam się nad tym od tygodni i doszedłem do wniosku, że to musiał być Usman. Z innymi braćmi prawie nie rozmawiała.

Najir potarł brodę.

— Wkładała męską abaję, kiedy przesiadała się na motocykl?

— Tak. I kask, by nikt nie zobaczył jej twarzy. Rękawice, żeby ukryć dłonie.

— Nikt nie zauważył, że opuszcza posiadłość ubrana jak mężczyzna?

— Nie. Zawsze wychodziła w czarnej abai. Dopiero na łądzie przebierała się w białą. Proszę posłuchać, rozmawialiśmy o tym. Mówiłem jej, że ryzykuje, ale twierdziła, że robi to jedynie od czasu do czasu, dla zabawy. Poza tym i tak mnie nie słuchała.

— A ty nie powiedziałeś o jej zachowaniu rodzinie.

Muhamamd skrzyżował ramiona i zacisnął wargi.

Najir znał już odpowiedź — Muhammad nie zdradziłby rodzinie sekretów Nuf, tak jak nie wspomniałby o nich policji. Jego postępowanie rozgniewało Najira. Zadaniem eskorty było strzec kobiety, nie rozpieszczać ją. Wspomniał ulubione powiedzonko wuja: „Jeśli nie jesteś w stanie okazać stanowczości, nie powinieneś mieć dzieci”.

— Dlaczego im nie powiedziałeś? — zapytał chłodno.

Muhammad otarł pot z czoła.

— Kiedy przyjechałem do zoo, motocykla tam nie było. Czekałem przy wejściu służbowym ponad godzinę, a potem wszedłem do środka, ale tam też jej nie znalazłem. Wróciłem zatem do miasta, sądząc, że zmieniła zdanie. Uznałem, że jeśli będzie mnie potrzebowała, zadzwoni.

— Tak, lecz kiedy się dowiedziałeś, że zaginęła, nie przyszło ci do głowy, że rodzina chciałaby wiedzieć, dokąd wybierała się Nuf, nawet jeśli sądziłeś, że się tam nie pokazała?

Muhammad się zarumienił.

— Proszę posłuchać, sprawdziłem całe zoo, nie znalazłem jej i nic nie wskazywało, że w ogóle tam była. Nie wiedziałem, w jaki sposób mogłoby to pomóc...

— Głos mu się załamał, zdradzając, że jednak czuje się winny. — Naprawdę nie sądziłem, że przyjechała tego dnia do zoo.

Najir stłumił uczucie frustracji wywołane egoizmem Muhammada i jego głupotą.

— Co ją skłoniło, by w ogóle wybrała się do zoo?

— zapytał.

— Chciała obejrzeć stare ekspozycje, mówiłem panu, że lubiła zwierzęta. — Głos mu drżał. — Przysięgam, że nie widziałem się z nią tamtego dnia. Przysięgam w obliczu Boga.

Najir ledwie stłumił prychnięcie. Ludzie często przysięgali w obliczu Boga, najczęściej szczerze, lecz przysięga Muhammada nie przekonała go. Był jedyną osobą, której Nuf ufała, mimo to nie zrobił nic, by ją odnaleźć. Gdyby powiedział bliskim dziewczyny o jej wyprawach do zoo, może zdołaliby poskładać kawałki układanki szybciej. Kto wie, może nawet znaleziono by ją żywą.

— Ufała ci — powiedział. — Musiała powiedzieć, z kim zamierza się spotkać.

Na twarz Muhammada wypłynął z wolna rumieniec, rozlewając się na szyję i kark.

— Uznałem, że spotka się z Erikiem. — Próbował zachować spokój, ale głos drżał mu z gniewu.

I nagle Najir uświadomił sobie, co było tego przyczyną: Muhammad nie troszczył się po prostu o Nuf, lecz był o nią zazdrosny. Obawiał się, że sypia z Erikiem.

— Więc może spotykała się z nim, kiedy traciłeś ją z oczu.

Muhamamd wydawał się wściekły. Najir przypomniał sobie jego piękną żonę, ich dziecko, domowe szczęście. Nie był w stanie wyobrazić sobie, by Muhammad mógł sypiać z Nuf, teraz jednak wiedział, że był w niej zakochany, a przynajmniej tak mu się wydawało. Na pewno ją idealizował i pozwolił, by nakłoniła go do pomocy w niebezpiecznych eskapadach: ucieczce, jeździe na motocyklu, spotykaniu się z obcymi mężczyznami w odludnych miejscach. Teraz nie dziwiło go już, że Muhammad kłamał, zatrzymując dla siebie prawdę o Nuf. Niemniej zaskoczyła go zaborczość kierowcy i opiekuna. Jak mógł oczekiwać uczciwości od Nuf, skoro sam oszukiwał w pewien sposób swoją żonę?

Nagle Najira ogarnął wstyd. Nie należało prowadzić tego rodzaju rozmowy w meczecie. Wstał raptownie.

— Przepraszam — powiedział Muhammad. — Powinienem być powiedzieć panu wszystko już przedtem.

— Nie mnie cię oceniać. — Najir nakazał mu gestem, by wstał. Muhammad posłuchał i ruszył za Najirem ku wyjściu.

Nim doszli do ulicy, Najir był już tak pogrążony w rozmyślaniach, że ledwie mógł skupić uwagę na czymkolwiek innym. Zmusił się jednak, aby zapytać:

— Czy żona wie o twoich uczuciach względem Nuf?

Zażenowanie widoczne na twarzy Muhammada starczyło za odpowiedź.

— Rozumiem — zauważył Najir. —*Ma as-salama.*

TLR

Był w połowie kwartału domów, kiedy przypomniał sobie coś jeszcze. Odwrócił się i zobaczył, że Muhammad nadal stoi przed meczetem. Wydawał się... osierocony.

— Dlaczego Nuf chciała kupić okulary, skoro ich nie potrzebowała?
— zapytał.

Na twarzy Muhammada malowało się teraz nie tyle zagubienie, ile wstręt do samego siebie.

— Miały dopełnić przebrania — wyjaśnił. — Przygotowała torbę ubrań, które zamierzała nosić w Nowym Jorku. Planowała zostawić Kadiego w bibliotece, kupiła więc strój, który miał ją upodobnić do bibliotekarki.

— Co jeszcze było w tej torbie?

— Peruka, brązowy kostium, buty na obcasach. Zamierzała włożyć też okulary.

Najir obrzucił go ostatnim, wyrażającym niesmak spojrzeniem i wrócił do jeepa.

Wyjechał z miasta i skierował się ku wyspie Asz- -Szarawich. Słońce zalewało szosę oślepiającym blaskiem, roztopiając asfalt, a po prawej ocean zdawał się pogrążony w letargu. Minął zjazd na most i jechał dalej, póki nie dotarł nad białą szeroką plażę, popularną wśród surferów i położoną na południe od posiadłości. Kiedy pływał latem na swojej łodzi wzdłuż wybrzeża, często ją mijał, jednak obecność wielu mniejszych łódek tudzież surferów zniechęcała do bliższego przyjrzenia się miejscu.

Zaparkował jeepa na skraju piasku, pod kępą palm. Morze było spokojne i gładkie jak stół, nikt więc nie surfował. Po lewej piasek rozciągał się jak okiem sięgnąć, natomiast po prawej znajdował się dziwny skalisty obszar, a za nim seria prywatnych enklaw otoczonych wysokim murem,

który sięgał dobre dziesięć metrów w głąb morza. Rodziny przychodziły tutaj w poszukiwaniu prywatności, aby kobiety mogły się wykapać. W pobliżu nie było ludzkich siedzib, a w murach umieszczono żelazne furtki zamknięte na kłódki.

Jeśli Nuf wydostawała się z wyspy na skuterze wodnym, musiała podpływać właśnie tutaj. Sprzyjały temu nie tylko prądy morskie, ale i fakt, że było to najbliższe wyspy miejsce, gdzie dało się bezpiecznie wylądować. Pozostała część wybrzeża była skalista. Nie sądził także, by chciało jej się wyciągać za każdym razem skuter z wody — wygodniej było zostawić go w bezpiecznym miejscu, za murem odgradzającym prywatną plażę.

Chcąc dostać się do ogrodzonej części plaży, należało przebyć w pierw skalistą część wybrzeża. Lawirowanie pośród sterczących czarnych skał zajęło mu dobrych piętnaście minut. Kamienie zostały tu najwidoczniej zwiezione, nie był jednak w stanie wyobrazić sobie, w jakim celu. Może bogaci właściciele plaż próbowali zniechęcić w ten sposób surferów. Gdy dotarł w końcu do pierwszego muru, był zdyszany, podrapany i niemal tak ogłupiał z wysiłku, że gotów wskoczyć w ubraniu do morza i wrócić wpław na swoją łódź, porzucając jeepa.

Mur był już mocno zniszczony. W wielu miejscach tworzące go kamienie wypadły, szczyt zaś wieńczyła mieszanina piasku, pyłu i ptasich odchodów. Najpierw przeszedł się brzegiem i obejrzał furtkę. Była solidna, zamknięta i nie do pokonania. Wrócił zatem wzdłuż muru, szukając otworu na tyle dużego, by zdołał się przezeń przecisnąć. Niczego takiego nie znalazł, poza tym przeciskanie się nie należało do jego mocnych stron. Wolał atak w pozycji wyprostowanej.

Mur był tak wyszczerbiony, że wspięcie się nań nie nastęczało większych problemów. Gdy dotarł na szczyt, wyprostował się i rozejrzał. Miał przed sobą rząd kamiennych ścian odgradzających pasy piasku dziesięciometrowej szerokości. Tuż pod sobą miał jedną z prywatnych plaż.

Uświadomił sobie, że spenetrowanie wszystkich w poszukiwaniu — czego właściwie? Kabiny? Małego mola? — zajęłoby mu tydzień. Prawdopodobnie kabina i molo znajdowały się na każdej z plaż. Zresztą nie był wcale pewien, czy nawet dysponując czasem, zdołałby się wspiąć na tyle ścian, choćby i wyszczerbionych.

Zszedł z muru, żeby zbadać pierwszą enklawę. Była pusta, mimo to rozejrzał się bacznie dookoła. Nuf mogła wybrać właśnie tę plażę. Była ostatnia w szeregu. Pierwsza natomiast stykała się niemal z drogą na moście prowadzącą do posiadłości Asz-Szarawich. Nuf nie wybrałaby tamtej enklawy, gdyż leżała zbyt blisko domu. Musiałaby dojechać główną drogą do autostrady, a to wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem. Każdy kto wjeżdżałby akurat do posiadłości, mógłby ją zobaczyć. Wybrałaby ten koniec plaży. Przynajmniej on tak by postąpił.

Nie znalazł nic w tej enklawie, wdrapał się więc na mur dzielący ją od następnej i spojrzał w dół. Zobaczył mały skiff przywiązany do metalowego haka. Wyglądał, jakby nie używano go od dziesięcioleci. Obok stała wiekowa kabina kąpielowa, podniszczona i przytulna. Poczul, że ogarnia go podniecenie. Niemal widział smukłą postać Nuf w czerni przecinającą fale na żółtym skuterze i dokującą przy tej właśnie plaży. Zszedł z muru.

Badając piasek, spostrzegł szereg krzyżujących się śladów. Niektóre były na tyle małe, że mogły należeć do kobiety. Wyszarpnął z kieszeni różową szpilkę i przyłożył ją do śladów. Okazało się, że przynajmniej trzy pary odcisków pasują wielkością do stopy Nuf. Wiele kończyło się przy kabinie.

Dostępu do wnętrza broniły zamek oraz zasuwka umieszczone na metalowej płycie. Obszedł kabinę dookoła, szukając innego wejścia, chatka nie miała jednak nawet okien, wrócił zatem do drzwi. Zamek był solidny, lecz kiedy szarpnął, usłyszał trzask pękającego drewna, po czym cała metalowa płyta — z zasuwą i zamkiem — znalazła się w jego ręce. Drzwi stanęły otworem.

Pchnął je ostrożnie i zajrzał do środka. To co zobaczył, sprawiło, że aż zagwizdał z radości. Pośrodku pomieszczenia stał błyszczący czarny motocykl wsparty elegancko na nóżkach.

Obok wejścia wypatrzył biwakową latarnię i podparł nią drzwi, otwierając je szerzej. Słońce oświetliło wąską przestrzeń, pustą, zakurzoną, pachnącą z lekka kremem do opalania. Na gwoździu wbitym w ścianę wisiał koszyk. Znalazł w nim szminkę, trochę pudru, tonik i pudełeczko cukierków o smaku kardamonu. Obok koszyka wisiała biała abaja, a przy niej hełm z wetkniętą do środka parą rękawic. Na podłodze, na wpół ukryty pod skrajem abai, leżał stary plan miasta. Podniósł go i przeczytał notatki na marginesie naniesione ładnym kobiecym pismem: „Druga w lewo za światłami, potem prosto drogą gruntową”. Ktoś zakreślił też krąg wokół zoo.

Nuf. Potarł kark, gdyż przeszył go nagły dreszcz. Wyobrażał ją sobie wiele razy, lecz nigdy tak wyraźnie. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dziewczyna stanie zaraz na progu kabiny. Wyszedł i rozejrzał się dookoła, na poły spodziewając się, że ktoś tam będzie. Plaża była pusta, mimo to wrażenie czyjejś obecności pozostało.

Potarł dłonią twarz i wrócił do kabiny. Motocykl był smukły i elegancki. Obchodził go właśnie dookoła, kiedy usłyszał głośny trzask i noga wpadła mu w dziurę, gdzie załamała się deska. Wyciągnął ją i zobaczył skraj czegoś czarnego. Przedmiot spoczywał na cienkiej warstwie piasku. Pochylił się, pociągnął za złamaną deskę i odkrył, że pod spodem znajduje się niewielka pusta przestrzeń, jakby schowek. Leżał tam czarny notes nie większy od jego dłoni. Tak go to zaskoczyło, że nie od razu po niego sięgnął, jakby się bał, że notes zamieni się w starą cegłę lub kawał przegniłego drewna. Ale nie, nadal tam leżał: niewielka książeczka w podniszczonej skórzanej oprawie. Usunął delikatnie piasek i wyjął ją ze skrytki.

Zobaczył dochodzące z lewej strony światło. Przybliżywszy twarz do podłogi, stwierdził, że pusta przestrzeń ciągnie się w głąb na długość męskiego ramienia. Ktoś wsunął tu prawdopodobnie notes z zewnątrz.

Otworzył go i przekonał się, że ma przed sobą pamiętnik zapisany gęsto niczym komentarze do Koranu tym samym eleganckim pismem, jakie widział wcześniej na planie miasta.

— Wybacz mi, Panie. — Otworzył notes na chybił trafił i zaczął czytać.

W imię Boga Miłościwego i Wszystkowiedzącego, o mało się dziś nie zabiłam, ale zbyt się bałam, by zrobić to naprawdę. Nie miałam odwagi patrzeć na swoją krew. Wsiadłam więc na skuter i jeździłam jak szalona. Wreszcie skończyło mi się paliwo i zostałam sama pośrodku morza. Nadal widziałam wybrzeże, ale robiło się ciemno i pomyślałam, że zginę tu przypadkowo. Uświadomiłam sobie WTEDY, że tak naprawdę nie chcę umrzeć, a tylko uciec. Tak bardzo się ucieszyłam, kiedy to sobie uświadomiłam! Jednocześnie bardzo się bałam, że MOGĘ zginąć, i to przez głupotę. I wtedy, niczym niebiański posłaniec, pojawił się ON. Przybył łodzią przy dźwięku rogu, z reflektorem i kimś jeszcze i wyciągnął mnie z wody. Wybacz mi, Panie, rozplakałam się, przywarłam do niego i nie puściłam go, póki nie zabrał mnie do domu. I nawet nie zapytałam, jak mnie odnalazł!

Najir pomiął kilka stron i zaczął znów czytać.

Wybacz mi, Panie, wiem że nie powinnam go kochać, wiem, że to mnie uwięźe i będę żałować potem do końca życia, lecz moje ciało za nim tęskni. Nie mogę przestać o nim myśleć. Pamiętam wszystko, co zrobił, choćby było najmniej ważne. Chciałabym się wpatrywać bez końca w jego uśmiech, słuchać jego głosu, tak łagodnego, przesyconego pewnością siebie i inteligencją. Tęsknię za jego dotykiem. On o tym wie, ale nie robi

nic. Nie może. Podobnie jak ja. Sprowadziłoby to na mnie jeszcze więcej cierpienia i byłoby niebezpieczne — także dla niego.

Oderwał wzrok od tekstu. O kim pisała Nuf? Musiał to być ktoś, kto miał łódź albo przynajmniej do niej dostęp — to mógł być każdy. Pływanie łódką stanowiło popularną rozrywkę, zwłaszcza w letnie noce, kiedy duchota mocno dawała się we znaki i tylko na wodzie można było zaznać odrobiny chłodu. Który mężczyzna popłynąłby za nią na morze?

Panna Hidzazi miała rację. Musiał być ktoś trzeci. Najir przejrzał parę kolejnych stron pamiętnika, ale nie znalazł imienia ukochanego Nuf, jedynie dalsze wynurzenia dające upust frustracji oraz tęsknocie. Postanowił, że przeczyta pamiętnik później, gdy będzie miał jaśniejszy umysł. Wetknął notes do kieszeni.

Wstał, by przyjrzeć się motocyklowi. Pokrywała go solidna warstwa pyłu. Schowek na rękawiczki był otwarty, lecz pusty i zbyt mały, by można wepchnąć doń parę butów. Obejrzał kierownicę, pedały, siodełko i wszystkie inne miejsca, których mogła dotyczyć, już choćby po to, aby się upewnić, że niczego nie zaniedbał. W oponach tkwiła gruba warstwa piasku wciśniętego w żłobkowania. Postukał palcem i trochę piasku spadło mu na dłoń. Był delikatny, w odcieniu najjaśniejszego beżu. Taki jak na pustyni.

Kiedy wstał, jego wzrok padł na umieszczone na baku logo. Logo Hondy. Przesunął palcami po znajomym znaku: ptak z pojedynczym skrzydłem, rozpostartym i wyciągniętym w bok. Wszystkie pióra zostały starannie odwzorowane. I wtedy to zobaczył.

— Na Boga, co za głupiec ze mnie! — Dotknął jeszcze raz logo. Pięć piór rozmieszczonych równie starannie jak znaki na nodze wielbłąda. Przyjrzawszy się bliżej, dostrzegł na logo ślady sierści i krwi. Prawdopodobnie zostawił je tam wielbłąd.

Nagle wszystko stało się jasne. To w ten sposób morderca wrócił z pustyni. Nuf przyjechała do zoo na motorze. Zabójca spotkał się tam z

nią, pozbawił ją przytomności i załadował do ciężarówki. Wprowadził na pakę motocykl oraz wielbłąda i pojechał do wadi. Słońce sprawiło, że metalowy znak rozgrzał się na tyle, żeby poparzyć wielbłąda — stąd linie na jego nodze. Zabójca porzucił na pustyni Nuf, wielbłąda i ciężarówkę, a potem wskoczył na siodełko i wrócił na plażę.

Najir wyszedł z kabiny i jął się wpatrywać w piasek. Kilkanaście par śladów prowadziło od kabiny do wody i trochę mniej do furtki. Jedno było przynajmniej jasne: zostawiwszy tutaj motocykl, morderca mógł odejść w dowolnym kierunku.

Wyjął z kieszeni miswak i zaczął żuć. Chociaż zabójca nie zostawił ewidentnych śladów na piasku, zostawił inny trop: był nim fakt, że w ogóle przyprowadził tutaj motocykl. Najwidoczniej znał Nuf na tyle, by wiedzieć o plaży oraz kabinie wystarczająco dużej, by ukryć w niej motocykl. Właśnie o tym by wiedział ktoś śledzący Nuf na morzu. Lecz dokąd się udał, zostawiwszy w kabinie motocykl?

Najir podszedł do linii wody. Nie było tu skutera, jedynie mała łódka. Rozejrzał się w poszukiwaniu wiosł, ale ich nie znalazł. Muhammad powiedział, że Nuf korzystała ze skutera, aby się dostać na plażę. Usman twierdził zaś, że służący znaleźli skuter Nuf zacumowany w przystani na wyspie tego popołudnia, gdy zaginęła. Zatem ktokolwiek zostawił tu motocykl, musiał wrócić skuterem na wyspę. Czy zrobił to, próbując się pozbyć dowodu, że Nuf bywała na plaży? A może dlatego, że tylko w ten sposób mógł wrócić do domu?

Spojrzał na plątaninę śladów i uznał, że czas zadzwonić po Mutlaka.

Później tego samego popołudnia obaj wdrapali się na mur. Kiedy Mutlak zobaczył piasek, gwizdnął cicho.

— Dużo się tu działo — zauważył, zacierając z upodobaniem ręce.

Przez kilka następnych minut Najir chodził po plaży w ślad za przyjacielem, przysłuchując się każdemu „hm” i próbując wyczytać coś z twa-

rzy Mutlaka. Malował się na niej jednak tylko wyraz głębokiego skupienia.

— Ty tu byłeś — zauważył Mutlak. — I twój przyjaciel Usman. Lecz nie w tym samym czasie.

Najir już miał zapytać, skąd Mutlak zna ślady Usmana, ale przypomniał sobie, że znaleźli je też w obozie na pustyni.

— Był tu przed tobą — kontynuował Mutlak. — To są jego odciski. Bardzo świeże. — Ślady były głębokie, a kiedy Najir wyodrębnił je od innych, dostrzegł coś jeszcze. — To dziwne, że ludzie zostawiają głębsze ślady na piasku w nocy.

Najir pomyślał, że Usman musiał przyjść tu z Katią lub z którąś z sióstr.

— Uważasz zatem, że byli tu w nocy?

— Powiedziałbym, że było już ciemno.

— Poznajesz jeszcze jakieś ślady, które były też na pustyni? — zapytał Najir.

— Tak. Usman nie przyszedł tutaj z dziewczyną z pustyni. Była tu przed nim. Spójrz. — Wskazał ślad prowadzący od nabrzeża do kabiny i drugi, od kabiny do furtki. Jeśli pominąć wielkość, ślady wyglądały zupełnie inaczej. Gdy Najir o tym wspomniał, Mutlak wzruszył jedynie ramionami. — Musiała zmienić buty w kabinie. Od kabiny do furtki szła, prowadząc motocykl, tutaj są ślady opon. Do jazdy na motorze potrzebowała zapewne solidniejszych butów.

Najir nie wiedział, co powiedzieć. Ufał Mutlakowi.

— Tak czy inaczej — stwierdził przyjaciel, wskazując odciski stóp obok śladów opon — to są te same ślady co na pustyni.

— Nuf opuściła więc plażę na motocyklu — powiedział Najir. — Kto przyprowadził go z powrotem? Jest teraz w kabinie.

Mutlak zaczął znów krążyć. Wyodrębnił ślad pozostawiony przez wracający na plażę motocykl, ale odciski stóp wokół niego zostały zdeptane. Ostał się tylko jeden, należący do Nuf.

Mutlak okrążał ślad, przyglądając mu się uważnie z różnych stron. Ukląkł nawet, przycisnął twarz do piasku i spojrzał na ślad z boku. Po czym wstał, otarł policzek i zawyrokował:

— To odcisk Nuf. Przyprowadziła z powrotem motocykl.

— Jesteś pewien? — zapytał Najir zaskoczony.

— Tak.

— Znalazłeś dowód na to, że została uprowadzona właśnie stąd?

— Nie. Przynajmniej na razie. — Mutlak zaczął znów krążyć, przykucając od czasu do czasu, wodząc po śladach palcami, dotykając to podszwy, to znowu obcasów i badając konsystencję piasku. Najir przyglądał się temu z podziwem. Mutlak był niczym ratownik znający doskonale teren poszukiwań, tylko że w jego przypadku terenem był krajobraz w miniaturze. Ze wzgórzami i dolinami poszczególnych odcisków. Zaiste w tym, że Bóg zsyła z nieba pokarm, ożywia ziemię, gdy ta zamiera, a także w zmianie siły oraz kierunku wiatrów są znaki dla ludzi, którzy potrafią je dostrzec i zrozumieć. Boga można było poznać po znakach, jakie zostawiał, a krajobraz świata był jednym z największych; krajobraz Mutlaka natomiast, mniejszy i będący dziełem człowieka, miał własne sekrety.

Mutlak nie poczynił dalszych odkryć, lecz był w stanie potwierdzić to, co Najir już wiedział: że Nuf nie została porwana z plaży i że to ona po raz ostatni przyprowadziła tu motocykl.

Czując, jak opuszcza go nadzieja, jął rozpatrywać alternatywne teorie.

— Czy to możliwe, że się tu z kimś spotkała? — zapytał. — Może przyprowadziła motocykl i wsiadła do czyjegoś samochodu.

— Nic na to nie wskazuje. Prawdę mówiąc, najświeższy ślad prowadzi ku wodzie. Myślę, że wsiadła do łodzi.

Najir wspomniał fragment pamiętnika. Nuf poznała tajemniczego mężczyznę na łodzi. Możliwe, że porywacz przyplłynął łodzią, lecz skoro tak, gdzie podział się skuter? Czy porywacz pozbył się także tego pojazdu? A może Nuf wróciła jakoś na wyspę?

Nic nie było już jasne, a jedyna dobra teoria — zakładająca, że Nuf została uprowadzona w zoo — waliła się w gruzy w świetle nowych dowodów. Mutlak spostrzegł zatroskanie Najira, a kiedy przyjaciel wyjaśnił mu powód swego zmartwienia, zaproponował, że pojedzie z nim do zoo, by jeszcze raz przyjrzeć się śladom. Najir zgodził się z wdzięcznością.

ROZDZIAŁ 24

Następnego dnia Najir przyjechał na wyspę uzbrojony w pudełko daktyli z targu w Baładzie, gdzie nadal drylowano je ręcznie, układano warstwami w geometryczny wzór i owijano w ozdobną złotą folię. Zaparkował przed domem i ostrożnie wziął pudełko z przedniego siedzenia. Było ciepłe, dość ciężkie i chętnie by je zatrzymał — nie dlatego, że przyszła mu nagle chęć na daktyle albo dla urody opakowania, ale ponieważ jego dzisiejsza wizyta nie miała nic wspólnego ze szczodrością. A skoro tak, ofiarowanie prostego i ładnego podarku zakrawało na oszustwo.

Przy drzwiach powitała go kobieta ubrana w czarną domową suknię i nikab, zza którego widać było tylko jej oczy. Spojrzał na dłonie kobiety i przekonał się, że paznokcie ma skromnie przycięte, a wokół palców sznur paciorków modlitewnych. Pochyliła szybko głowę, wsunęła dłonie w rękawy i powitała Najira słowami „*Ahlan wa-sahlan*”. Odwrócił wzrok.

— Przepraszam — powiedziała głosem cichym i unizonym. — Mogę zaprowadzić pana do bawialni.

— Nie, nie. Wystarczy, jeśli powiesz któremuś z braci, że Najir asz-Szarki czeka przy drzwiach.

Cofnęła się o krok i wyszeptała:

— Proszę, *ahlan wa-sahlan*. Proszę się rozgościć. Zna pan drogę do bawialni, może pan pójść sam. — A potem, jakby zawstydzona własną śmiałością, odwróciła się i umknęła.

Patrzył, jak odchodzi. Kiedy zniknęła, wszedł do holu i zamknął drzwi. Kiedy spięty szedł korytarzem, zastanawiał się, czy kobieta pomyśli o tym, by zawiadomić mężczyzn o przybyciu gościa.

Po dziesięciu minutach w drzwiach pojawiła się okryta nikabem niewiasta, niosąc tacę z zastawą do kawy. Wydawała się zdenerwowana. Zawahała się w progu, a dłonie trzymające tacę drżały. Zamiast postawić tacę przy drzwiach, weszła do pokoju i ruszyła z nią ku Najirowi. Była drobnej budowy, a taca, zastawiona filiżankami, misą z daktylami i miedzianym dzbankiem, ciężka. Na domiar złego podłoga zarzucona była poduszkami, ktoś zostawił też na dywanie otwartą książkę, kolejną tacę z naczyniami i talie kart. Najir wstał pospiesznie i wyciągnął ręce po tacę, nie był jednak w stanie zapobiec temu, by kobieta nie nastąpiła na poduszkę.

— Ja Rabb! — pisnęła, potykając się. Chwycił dwie filiżanki, nim ześliznęły się z tacy.

Zobaczył jej dłonie i zorientował się, że to ta sama dziewczyna, która powitała go u wejścia. Podała mu tacę. Wziął ją, dając jej czas, by mogła unieść nikab. Gdy to zrobiła, aż się cofnął.

Dziewczyna wyglądała niemal jak Nuf.

Zarumieniła się mocno, wzięła od Najira tacę i pochyliła głowę. Najir zamrugał kilka razy i odwrócił wzrok. Nie był w stanie długo się wstrzymać i znów na nią spojrzał. Widział tylko zdjęcie Nuf, lecz nadal miał przed oczami widok jej ciała w prosektorium.

— Wybacz mi, proszę. Jesteś... Asz-Szarawi.

— Tak. Mam na imię Abir.

— Siostra Nuf. — Ta na skuterze. Sądził, że to ją widzieli tamtego dnia z Usmanem, ale nie miał pewności. Była jedyną siostrą w wieku zbliżonym do Nuf.

Nie mógł oderwać od dziewczyny wzroku, a im dłużej się jej przyglądał, tym łatwiej było mu śledzić spojrzeniem zarys jej skroni, policzka i szczęki w poszukiwaniu cech różniących ją od Nuf. Tak przynajmniej

sobie wmawiał. Choć wiedział, że to niemądre, wydawało mu się, że ją zna i że ona powinna znać jego.

Po chwili dziewczyna się uspokoiła, odrzuciła kopnięciem poduszki i postawiła tacę na podłodze. Przyklękła i naląła Najirowi kawy. Podając mu filiżankę, splonęła rumieńcem. Najir uświadomił sobie, że natrętnie się jej przygląda.

Położyła dłonie na kolanach.

— Ojciec powiedział, że jest pan człowiekiem przyzwoitym.

Wszystko w nim krzychało: bo jestem!

— Człowiekiem pustyni — dodała, zerkając pospiesznie na twarz Najira. Tak, może była taka sama jak Nuf, gotowa poślubić przyzwoitego mężczyznę po to, aby porzucić go dla mrzonki. Ta myśl otrzeźwiła Najira. Uniósł filiżankę z kawą zadowolony, że ma czym zająć ręce. Podobna do siostry czy nie, wiedział, że jej obecność daje mu szansę, aby dowiedzieć się czegoś o Nuf, nie był jednak w stanie wymyślić dobrego pytania. Te zaś, które przychodziły mu do głowy, wydawały się z gruntu niewłaściwe. Spojrzał na dziewczynę i dostrzegł w jej oczach lęk.

— Proszę mi wybaczyć — wyszeptwała. — Nie mam zwyczaju zbliżać się w ten sposób do mężczyzn. Proszę, niech mi pan uwierzy, robię to tylko dlatego, że muszę. Nasze życie się zmieniło, odkąd Nuf odeszła. Zostałyśmy uwięzione na wyspie, nie wolno nam już wyjeżdżać na stały ląd. Moi bracia boją się, że skończymy jak Nuf. Tak nam powiedzieli, choć naprawdę obawiają się po prostu, że dowiemy się czegoś, czego wiedzieć nie powinniśmy. — Usłyszał w jej głosie panikę i rozbudziło to w nim instynkt opiekuńczy.

— Czego mianowicie?

— Przepraszam, chodzi jedynie o to... słyszałam, że próbuje pan się dowiedzieć, co się jej przydarzyło. Nie pytałabym i przykro mi, że poruszam ten temat, ale...

— Niepotrzebnie. Proszę mówić dalej, panno... Asz-Szarawi.

Zaczerpnęła głęboko oddechu.

— Panna Hidzazi była tutaj, wypytywała o Nuf. Chciałam jej powiedzieć, co wiem, ale nie mogłam. — Spojrzała na swoje dłonie.

Miał ochotę spytać, dlaczego zataiła informacje przed panną Hidzazi, a zdecydowała się ujawnić je obcemu mężczyźnie, obawiał się jednak, że czar pryśnie i dziewczyna ucieknie. Milczenie się przedłużało i cisza zaczęła go denerwować.

— A co wiesz? — zapytał łagodnie.

Dziewczyna umknęła w panice spojrzeniem, przesuając je z tacy na kolana Najira, jakby starała się powstrzymać narastające przerażenie.

— Nuf pokłóciła się z naszym bratem tego dnia, kiedy zniknęła — powiedziała w końcu.

Najir poczuł, że ściska mu się żołądek.

— Z którym?

— Z Usmanem.

Próbował zachować obojętną minę, lecz serce waliło mu jak oszalałe.

— To była poważna kłótnia — mówiła dalej dziewczyna. — byli w kuchni i kłócili się. Nie słyszałam o co, ponieważ mówili z początku szeptem. Zamierzali wyprowadzić psy, ale potem zaczęli na siebie wrzeszczeć. To co mówili, nie miało dla mnie sensu. Nuf pobiegła w końcu do swego pokoju, a Usman został. Wydawał się zaszokowany. A potem za nią poszedł.

— I co było dalej?

Spojrzała na drzwi. Zauważył, że drżą jej dłonie.

— Zaczęło się spokojnie, nadal sprzeczcali się szeptem, potem zaczęli mówić głośniej. Nuf wrzeszczała. Nie wiem, co robił Usman. Stałam za drzwiami, nie mogłam więc ich widzieć.

— Co takiego mówili? — zapytał Najir.

— Coś o... nie rozumiałam. Usman mówił, że nie pozwoli, by to się stało. Odpowiedziała mu, a on się rozgniewał. Odniosłam wrażenie, że chciała coś zrobić, a Usman nie chciał, by to zrobiła. Nie wiem, o co chodziło. Był wściekły, a Nuf wydawała się przestraszona.

— I co dalej? Jak to się skończyło?

— Nuf wybiegła z pokoju, a Usman za nią. Ona... — Panna Asz-Szarawi zamilkła i przycisnęła dłoń do ust. — Miała krew na ręce. Wybiegła z domu kuchennymi drzwiami. Myślałam, że zabrała psy na plażę. Nadeszła moja matka i spytała, co się dzieje. Usman powiedział, że nic wielkiego, że Nuf denerwuje się ślubem. A ona mu uwierzyła.

— Nie powiedziałaś jej prawdy?

— I tak by mnie nie wysłuchała. Nie po tym, co powiedział Usman.

Najir wyprostował się, zdjęty lękiem i mocno zakłopotany. Usman nie wspomniał o kłótni, poza tym trudno mu było wyobrazić sobie przyjaciela aż tak wytraconego z równowagi. Musiał być po temu dobry powód. Co Nuf mu powiedziała? Wyznała, że jest w ciąży? Opowiedziała o planach wyjazdu do Nowego Jorku? Po co miałyby to robić?

— Rozumiem teraz, dlaczego nie wspomniałaś o tym panie Hidżazi — powiedział. — To było z twojej strony bardzo roztropne.

Skinęła nerwowo głową. Od strony holu dobiegło ich głuche tąpnięcie, nikt jednak nie wszedł.

— Mogę zapytać o coś jeszcze?

Spojrzała niespokojnie na drzwi.

— Tak.

— Widziałaś, by Nuf wchodziła do pokoju Usmana? A dokładniej: czy mówiła kiedykolwiek o jego kurtkach?

Abir zamrugła zakłopotana.

— Nie, nie przypominam sobie. Dlaczego?

— Bo jedna zginęła.

Zmrużyła oczy i przez chwilę się zastanawiała.

— Tak, przypominam sobie teraz, że jej szukał. Służąca pytała nas, czy jej nie widzieliśmy. Nie zauważyłam, by Nuf kiedykolwiek wchodziła do jego sypialni, ale to dziwne, rzeczywiście wspomniała pewnego razu o jego kurtce, zanim zniknęła. Rozmawialiśmy o jej posagu. Bardzo chciała zobaczyć, jakie żakiety i kurtki wybrał dla niej Kadi. Powiedziała coś w rodzaju: mam nadzieję, że dostanę kurtkę do wypraw na pustynię, taką jak ma Usman. Pomyślałam wtedy, że jest podekscytowana nowymi strojami. Chciała mieć po jednej sztuce każdego rodzaju, choćby nigdy nie miała ich włożyć. Teraz wydaje mi się, że było to dziwne.

Najir się wyprostował.

— Czy zniknęło jeszcze coś poza kurtką i wielbłądem?

— Tak. — Zerknęła na niego, lecz szybko odwróciła wzrok. — Nuf zabrała swoje złoto. Dlatego uznałam, że uciekła.

— Jaka była jego wartość?

Abir zamilkła.

— Moi bracia nic o tym nie wiedzą.

— Nie powiem im.

Skinęła głową.

— Prawie dwa miliony riali, wliczając kamienie szlachetne.

Wysokość kwoty zaszokowała Najira. Za dwa miliony riali można było przeżyć wygodnie kilka lat.

— Dlaczego nie powiedziałaś o złocie braciom?

— Pomyślałam, że je zabrała, i nie chciałam pogarszać sprawy. To byłoby tak, jakbym ją zdradziła. A potem, gdy dowiedziałam się, że znaleziono ciało...

— Przełknęła głośno i zamilkła na chwilę. — Bałam się powiedzieć braciom, ponieważ przyszło mi do głowy, że Nuf może wcale nie uciekła. A jeśli ktoś porwał ją i ukradł kosztowności? Bałam się wspomnieć o tym matce, bo gdyby powiedziała braciom... A jeśli Us... jeśli on wiedział, co przydarzyło się Nuf? Wiem, że to szaleństwo. — Wyprostowała ramiona i wyszeptała:

— Nie może pan zdradzić nikomu, czego się ode mnie dowiedział.

— Nie zrobię tego — zapewnił ją pospiesznie. — Pozwól, że zapytam jeszcze o coś. Czy Usman mógł mieć dostęp do jej sejfu?

Zaczęła drzeć, niezdolna przemówić. Patrzył przerażony, jak łzy spływają jej po policzkach. Sięgnął do kieszeni po chustkę, choć wiedział, że nie ma jej przy sobie.

Nagle usłyszeli zbliżające się kroki. Panna Asz-Szarawi opuściła błyskawicznie nikab. Akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi.

Wszedł Tahsin, a za nim Fahd. Najir próbował się opanować, lecz nikt nie zauważył, że jest wytracony z równowagi. Tahsin wyglądał, jakby właśnie zjadł i miał ochotę się zdrzemnąć. Popatrzył na bałagan na podłodze, a potem zobaczył Najira i jego spojrzenie pojaśniało.

— Jak się masz, bracie? — Ruszył przez pokój, zerknąwszy od niechcienia na siostrę. Pomknęła ku drzwiom, ale Fahd chwycił ją za ramię.

— Hola!—zawołał.

Tahsin się odwrócił.

— Kto to?

— Twoja siostra! — Fahd trzymał teraz mocno Abir za ramię. — Co ty tu robisz?

— Podaję kawę — wymamrotała.

— W domu jest setka służących, a ty podajesz kawę? — Fahd sięgnął do nikabu dziewczyny, wywinęła mu się jednak i uciekła. Ruszył za nią. Ich głosy rozbrzmiały w holu.

— Pokazałaś mu twarz?

— Podawałam tylko kawę i daktyle!

— I jakież to jeszcze słodkości miałaś mu do zaoferowania?

Tahsin odwrócił się do Najira.

— Przepraszam — powiedział. — Usiądź, proszę.

— Dziękuję.

— Rozgość się.

Najir wziął ze stołka pudełko daktyli i podał je Tahsinowi. Mężczyzna przyjął prezent, dziękując lekkim skinieniem głowy.

— Wiem, że lubisz kandyzowane — rzekł Najir. — A te są nowe. Mają w środku brzoskwinie.

— Dziękuję, usiądź, proszę. — Tahsin zacisnął wargi i otworzył pudełko. — Wyglądają wspaniale. Proszę, poczęstuj się.

Najir wziął daktyl i żuł owoc przez chwilę mechanicznie, rozmyślając gorączkowo. Wrócił Fahd. Zjadł kilka daktyli i poinformował Najira, że spodziewają się Usmana dopiero za kilka godzin. Nieobecność przyjaciela sprawiła mu niespodziewaną ulgę. Pogawędzili jeszcze przez chwilę niezobowiązująco. Wyszedł najszybciej, jak tylko było to możli-

we.

TLR

ROZDZIAŁ 25

To niewiarygodne, jak działa umysł dziewczyny. Odsunął na bok pamiętnik i wstał, pocierając oczy. Dziennik wydawał się dłuższy niżli komentarz do Koranu i nie było w nim nic poza obsesyjnymi wyznaniem oraz romantycznymi wyobrażeniami przyszłości. Przeczytał go z równie obsesyjnym zainteresowaniem, szybko i uważnie, starając się skończyć jak najprędzej, gdyż postrzegał to jako niedopuszczalne wtargnięcie, naruszenie prywatności osoby zmarłej.

Przedtem nie wiedział o Nuf zbyt dużo, była dla niego niczym kobieta, którą mija się na ulicy. Teraz usłyszał wreszcie jej głos, był w stanie wyobrazić sobie jej działania i sposób myślenia. Postrzegał ją jako osobkę niedużą, acz silną, o stanowczych, a zarazem łagodnych gestach. Lubiła miętowe cukierki, czarne wstążki i nie przeszkadzało jej, że się ubrudzi. Kochała zwierzęta — wszystkie, ale szczególnie swoje psy, Szamsa i Saldza. Trzymała je w stajni i co dzień wyprowadzała na spacer. A także rysowała, opisując części ich ciała eleganckim charakterem pisma. Robiła też liczne notatki dotyczące się zachowania ulubionych zwierzaków, naukowe uwagi, z których dumny byłby nawet Samir.

Poza tym pisała głównie o mężczyźnie, który ją uratował, zabierając na swoją łódź. Nie dało się odgadnąć jego tożsamości. Choć bardzo uważała, by nie wymienić imienia ukochanego, trochę go jednak opisała. Miał w sobie ukryty żar, był tajemniczy i inteligentny. Ratując ją, zachował się jak bohater. Nie był to ktoś, komu by się zwierzała, raczej osoba, przed którą skrywała pewne sprawy i widywała ją rzadko. Zatem nie Muhammad. Najir domyślał się, że Nuf rozmawiała z Muhammadem, czuli się w swoim towarzystwie swobodnie i dobrze się znali. Mężczyzna, o którym pisała, był romantycznym nieznajomym. ,

Pomimo wyznań i frustracji wylewającej się z kart pamiętnika nadal czegoś tu brakowało. Elementu, który zmienił dziewczęce fantazje w niebezpieczną beztroskę. Pod wieloma względami — gdy chodziło o jej uczucia, sekretne spotkania, plany na przyszłość — Nuf była zdecydowanie zbyt ufna. Płaciła Ericowi, ale Najir nie znalazł nigdzie wzmianki na temat umowy, pisała tylko o „przyjaźni” i „zaufaniu”. Dała mu z góry połowę pieniędzy i wręczała od czasu do czasu pewne kwoty dodatkowo. Czy musiała uciekać aż do Nowego Jorku? Nie mogła realizować swych marzeń w inny sposób, bliżej domu, w bardziej bezpiecznym miejscu? Była beznadziejną romantyczką czy właśnie w domu nie czuła się bezpiecznie?

Nie znalazł wzmianki o sekretnych rozmowach telefonicznych z Kadim. Zdziwiło go to, zwłaszcza że Nuf nie szczędziła detali, opisując swój zakazany romans. Gdyby to Kadi był kochankiem Nuf, rozmowy telefoniczne stanowiłyby najmniejszy z jej grzechów. Chyba że Kadi skłamał i narzeczeni się spotykali. Niemniej instynkt podpowiadał Najirovi, że nie Kadi był kochankiem Nuf. Wzmianka na jego temat znajdowała się tylko pod koniec pamiętnika: „Przyjęłam dziś oświadczenia Kadiego. Przeraza mnie myśl, że mam za niego wyjść, lecz to jedyny sposób”.

Jedyny sposób, żeby co? Opuścić kraj zapewne. I dlaczego? Ponieważ Kadi był na tyle naiwny, że nie podejrzewał oszustwa, na tyle godny zaufania, iż można było się spodziewać, że dotrzyma obietnicy i zabierze Nuf do Nowego Jorku.

Mieszanka mdlącego romantyzmu i chłodnej kalkulacji wprawiała Najira w zakłopotanie. Ale znalazł w pamiętniku coś, co zwróciło jego uwagę. Na górze jednej ze stron Nuf napisała „77 słów na określenie miłości”. Pod spodem widniały rzeczony słowa wraz z objaśnieniami, wykalfigrafowane eleganckim charakterem pisma. Hubb oznaczające miłość, ale i nasienie; iszk, uwikłanie, lecz także bluszcz oplatający drzewo; hawa, sympatia, pociąg, ale i błąd; fitna, namiętność i pożądanie, a także

chaos; hujam, wędrowanie po pustyni, będąc spragnionym; sakan, spokój, i izz, szlachetna miłość. Potem lista stawała się bardziej mroczna, pojawiały się określenia takie, jak zniewolenie, pomieszanie i nieszczęście,, a nawet depresja, smutek i rozpacz, znajdując kulminację w fana, niebycie. Strona stanowiła swego rodzaju dzieło sztuki ozdobione w rogach kwietnym motywem, z napisem wykaligrafowanym na górze, w równej odległości od brzegów: „W imię Boga Sprawiedliwego i Miłosiernego”. Każde słowo zostało przepisane w sposób idealny, każdy znak diakrytyczny umieszczony dokładnie tam, gdzie być powinien. Najira zaskoczyło, że było to jedyne miejsce w pamiętniku nawiązujące jawnie do islamu i filozoficznej interpretacji miłości. Zatem Nuf nie była tylko zadurzona bez pamięci nastolatką.

Jednakże najbardziej uderzył Najira tytuł. Choć można by dyskutować, czy wszystkie wypisane poniżej słowa odnoszą się rzeczywiście do miłości, z pewnością opisywały stan ducha osoby zakochanej. Bogactwo słownictwa jeszcze boleśniej uzmysłowiło Najirowi, jak niewiele było w jego życiu romantycznych przeżyć. Czy to możliwe, że jest tyle rodzajów miłości, a człowiek może umrzeć, nie poznawszy nawet połowy z nich? Wpatrywał się przez kilka minut w stronę z listą i doszedł w końcu do wniosku, że Nuf pragnęła właśnie tego — poznać wszystkie rodzaje miłości, chociaż niektórych lepiej byłoby unikać.

Stał w kambuzie, czekając, aż zaparzy się kawa. Zrobił sobie przerwę w czytaniu i zasiadł przy kuchennym stole otoczony mapami morskimi i pustyni. Kiedy się nudził lub był za bardzo zmęczony, by zająć się czymś innym, często wpatrywał się w mapy, przywołując dobre wspomnienia i znajdując spokój ducha, jaki zapewnić może jedynie pustka. Ale dziś rozłożył mapy, by lepiej wyobrazić sobie wyprawę Nuf do dziczy, jakby nanosząc miejsca, gdzie zniknęła i zmarła, zyskiwał szansę znalezienia brakującego kawałka.

Przyjął, że Nuf opuściła posiadłość, opływając wyspę od zachodu. W ten sposób nie musiałyby przepływać pod oknami bawialni dla kobiet, a

one nie usłyszałyby ryku silnika jej skutera. Dobiła do brzegu na stałym lądzie i zmieniła ubranie. Wyjęła buty z kieszeni czarnej abai i wsunęła je do białej. Następnie pojechała motocyklem do zoo, rozkoszując się swobodą.

Odkrycia Mutlaka w zoo przewróciły wszystko do góry nogami. Znalazł odciski stóp Nuf na drodze dojazdowej. Znaleźli tam też ślady walki, tak wszakże zdeptane i pomieszane, że nie sposób było stwierdzić, kim był napastnik. Wyglądało na to, że Nuf upadła w pobliżu krzewów — i prawdopodobnie zgubiła różową szpilkę. Ślady ciągnięcia zdawały się nie mieć związku ze sprawą, ponieważ w pewnej chwili Nuf się podniosła i ruszyła o własnych siłach do ciężarówki. Może nie było walki, a Nuf jedynie zemdląła, na przykład z powodu ciąży? Sprawę gmatwał dodatkowo fakt, iż Mutlak znalazł na drodze ślady opon motocykla tuż obok śladów pozostawionych przez ciężarówkę. Był to ten sam model motocykla co pozostawiony w kabinie.

Mutlak wyodrębnił też w zoo odciski stóp Usmana, ale nie było ich na drodze dojazdowej. Znajdowały się tylko przed wejściem do pomieszczenia w sztucznej górce. Poza śladami Usmana były tam również odciski stóp innego mężczyzny, lecz Mutlak ich nie rozpoznał.

Usman bywał więc w zoo, tropiciel nie potrafił jednak określić, czy przebywał tam, kiedy uprowadzono Nuf. Grunt wokół Matterhornu był suchy, pokryty pyłem i nie tak łatwo było cokolwiek z niego wyczytać. Może Usman wiedział o wyprawach Nuf do zoo i śledził siostrę. Nie musiał wspominać o czymś takim Najirowi, chociaż z pewnością byłoby to użyteczne. Przyznanie, że Nuf bywała w zoo, mogłoby sprowokować wszak niewygodne pytania, na przykład o to, co tam robiła, a Usman z pewnością chciał chronić siostrę. Wydawało się, że takie rozumowanie ma sens.

Poza tym nic nie wydawało się sensowne. Sądząc po śladach, Nuf przyjechała do zoo na motocyklu. Wróciła nim do kabiny i tam go zostawiła. Z plaży popłynęła prawdopodobnie skuterem na wyspę. Jeszcze

bardziej prawdopodobne się wydawało, że to ona wykradła ciężarówkę. Lecz potem wróciła do zoo. Mutlak był absolutnie pewien, że ślady motocykla i ciężarówki powstały tego samego dnia. Po co miałyby tam wracać? Aby poszukać zaginionego buta? Czytając pamiętnik, dowiedział się, że bywała w zoo regularnie, by odczytywać ślady pozostawione przez zwierzęta. Może pojechała tam w poszukiwaniu spokoju i ukojenia.

Tyle że spotykała się z kochankiem właśnie tam.

Najir zaniósł kawę do stołu i spojrzął raz jeszcze na mapę. Zatrzymał wzrok na wadi i pomyślał o rzeczach, których brakowało na miejscu przestępstwa. O torbie, w której Nuf ukryła strój bibliotekarki — miał ją Muhammad. O okularach, których nie zdążyła odebrać. O kluczu do mieszkania w Nowym Jorku. Gdyby zamierzała wtedy uciec, powinien był znaleźć którąś z tych rzeczy w pobliżu ciała. Tymczasem znalazł jedynie różową szpilkę. Stanowiła pretekst, aby wydostać się z domu. Wyszła rano z butami, lecz potem wróciła do posiadłości, wykradła ciężarówkę oraz wielbłąda i pojechała znowu do zoo, taszcząc przez cały ten czas jeden but. Dlaczego but, a nie którąś z pozostałych rzeczy?

Wszedł do łazienki i przemył oczy. Piekły, jakby ktoś nasypał mu piasku pod powieki. Były też zaczerwienione, a obraz zamglony. Może powinienem pójść do tego zwariowanego doktora, pomyślał.

Usiadł znowu w kambuzie i wziął do rąk dziennik. Ostatnia część — mniej więcej jedna trzecia całości — zawierała głównie obserwacje dotyczące się psów. Nie było tu wzmianek o ucieczce do Ameryki ani żadnych imion. Romantyczne fragmenty przesycone były jeszcze intensywniejszym bólem, Nuf wydawała się mniej zagubiona. Już raczej chora z nieodwzajemnionej miłości. Cierpiąc, zwróciła się ku zwierzętom, znajdując pociechę w odkrywaniu tajemnic ich zachowania. Niemniej często wspominała swoją miłość. „Widziałam go dzisiaj i to, jak na mnie patrzył, zepchnęło mnie w najciemniejsze otchłanie piekieł. Umrę, jeśli to będzie trwało”. To, czyli co? zastanawiał się. Przynoszący cierpienie flirt? Z kim?

Dotarł do ostatniej strony. Były tu tylko dwa akapity. Pismo nie było już tak staranne, tekst sprawiał wrażenie pisanego w chwili szalonego podekscytowania.

Nie jestem już dziewczyną. Zrobiłam to. MYŚMY to zrobili. Najdziwniejsze jest zaś, że wcale tego nie żałuję. Byłam głupia, że tak się bałam. Boże, omal nie popełniłam największego grzechu, odbierając sobie życie! Teraz wiem, że wszystko czego tak się bałam, to jedynie początek czegoś pięknego. Po raz pierwszy czuję, że naprawdę żyję. I pomyśleć, że wcale się tego nie spodziewałam! Sądziłam, że między nami wszystko skończone. Unikał mnie, a kiedy się spotykaliśmy, nawet na mnie nie patrzył. Sądziłam, że zrezygnował. Lecz kiedy przyjechałam do zoo, czekał koło góry, gdzie trzymano kiedyś kozice. Ależ mnie zaskoczył! Spytałam, jak mnie znalazł. Nie mówiłam nikomu, dokąd jeżdżę! Powiedział, że się domyślił, nie zdradził jednak, co naprowadziło go na trop. Byłam zdenerwowana, więc mnie objął. O mało nie zemdlalam z zaskoczenia, a wtedy mnie pocałował! Próbowałam protestować, ale powiedział: „Serce mówi mi, że tego chcesz”.

Obiecał, że nigdy nie przestanie mnie kochać, nieważne, dokąd pojedę ani za kogo wyjdę. Rozplakałam się, a wtedy wziął mnie na ręce i wniósł do wnętrza góry. Było tam ciemno i panował chłód. Przez cały czas przeproszał, że nie pojechaliśmy gdzieś, gdzie byłoby bardziej luksusowo i romantycznie, lecz skoro wiedział, że kocham to miejsce, żadne nie byłoby lepsze.

Najir zamknął z wolna pamiętnik i odłożył go na stół. Przymknął obolałe powieki, po policzku spłynęła mu zdradziecka łza. Choć Nuf zmarła tak młodo, zdążyła poznać przynajmniej jeden rodzaj miłości, jedno jej imię.

Łódź zakołysała się nagle, zwiastując przybycie gościa. Najir zamrugał, zmrużył oczy i wytarabanił się z jadalni, żeby spojrzeć w górę drabiny. Ciemny kształt przesłonił otwór luku i wiedział już, że to panna Hidżazi.

— Najir? — zawołała dziwnie piskliwym głosem.

Popatrzył na zegar. Była 21.30 — niezbyt późna pora jak na wizytę towarzyską, ale i tak niezwykła. Wszedł po drabinie, spojrział jej w oczy i zobaczył, że są opuchnięte od łez i zaczerwienione.

— Coś się stało? — zapytał. Potknęła się, więc ją podtrzymał, ochraniając przed upadkiem. — O co chodzi?

— Możemy porozmawiać?

— Tak, proszę wejść. — Zszedł pierwszy i pozostał u dołu drabiny na wypadek, gdyby znów się potknęła. Zaskoczony uświadomił sobie, że serce mocno bije mu w piersi.

Weszła do kabiny i omal nie osunęła się na podłogę. Chwycił ją pośpiesznie za ramiona i podprowadził do sofy. Wylądowała na niej z impetem, jakiego nie spodziewałby się po tak szczupłej kobiecie. Skuliła się z bólu, ukrywając twarz w dłoniach.

Zagryzł wargę i rozejrzał się dookoła. Powinien ją uspokoić, ale jak? Wszedł do kambuza, zastanawiając się, czy zaparzyć więcej kawy, uznał jednak, że lepsza będzie herbata. Panna Hidżazi skuliła się tymczasem na sofie, podciągając kolana do piersi, obejmując je rękami i chowając twarz w abai. Szlochała cicho. Kiedy herbata była gotowa, nalał napój do kubka i postawił przed nią na stole.

— Proszę się napić — powiedział, siadając obok na sofie.

Zaczerpnęła głęboko oddechu i uniosła głowę. Po chwili opuściła nogi, poprawiła strój i usiadła prosto. Uniosła nikab i wzięła do rąk kubek z herbatą.

Najir odwrócił wzrok, by nie wprawiać jej w zakłopotanie.

— Wiem już, kto jest ojcem dziecka — powiedziała.

Nie był w stanie się powstrzymać — musiał na nią spojrzeć. Wyraz twarzy kobiety mówił wszystko. Usman.

— Nie jest tak naprawdę jej bratem. — Zaśmiała się sucho. — Lecz nigdy bym nie przypuszczała...

Zaszokowany Najir nie był w stanie się odezwać.

— Odkryłam również, że krew i komórki skóry za paznokciami Nuf są jego. Pamiętasz rany obronne? Była w nich krew.

— Usmana?

Skinęła głową i zalała się znowu łzami. Najir wziął od niej kubek i odstawił. Zaskoczyło go, że jest tak spokojny. Otoczył pannę Hidzazi ostrożnie ramieniem, na wpeł spodziewając się, że się skrzywi lub go odepchnie, ona odwróciła się jednak i przywarła do niego jak dziecko.

— Usman sypiał z własną siostrą! — załkała.

Uniósł drugie ramię i zamknął ją w uścisku. Nie czuł się tak niezręcznie, jak można by sądzić. Szlochała niepowstrzymanie, a on czekał, zastanawiając się, czy nie zalatuje od niego czosnkiem, czy powinien był powiedzieć coś innego i jak to się skończy. Nie był też w stanie przypomnieć sobie, dlaczego był kiedyś wobec niej tak surowy. Drżała, a on kołysał się w przód i w tył, szepcząc: Ism Allah, ism Allah. W tej jednej chwili kiedy zalała się łzami, wszelkie bariery pomiędzy nimi zniknęły bezpowrotnie.

Przestała wreszcie płakać i odsunęła się — powoli, bardzo powoli.

— Tak mi przykro — powiedziała.

— Niepotrzebnie. — Cofnął ręce i patrzył, jak rozwija dolną część chusty, by wytrzeć nią nos.

— Wiesz, co mawiała moja matka? — zapytała. — Kiedy widzisz, że kobieta wyciera nos chustą, rozwiedź się z nią.

Najir uśmiechnął się krzywo.

— A wiesz, co jest najzabawniejsze? Mój ojciec nie chciał, bym poślubiła Usmana. — Wytarła nos i wetknęła chustę za kołnierz. — I pewnie miał rację. Uratowałam się w ostatniej chwili. Gdybym za niego wyszła, i tak by mnie nie kochał. Może mnie też by zabił!

— To że sypiał z Nuf, nie oznacza jeszcze, że ją zabił.

— A jak wyjaśnisz, że miała za paznokciami komórki jego skóry?

— Może szarpali się, zanim ją uprowadzono.

— I zrobił to ktoś inny? Daj spokój. Usman miał motyw: nie chciał, by się wydało, że Nuf jest z nim w ciąży. Był zazdrosny, bo miała wyjść za innego. Dowiedział się o Ericu, o planach ucieczki do Nowego Jorku i to doprowadzało go do szaleństwa. Wiedział o niej wystarczająco dużo, aby ją porwać i stworzyć pozory, że uciekła. Znał też pustynię, przynajmniej na tyle, by wiedzieć, dokąd ją zabrać, ponieważ nie miał odwagi sam jej zabić. Wolał, aby zrobiła to za niego pustynia, bo wtedy nie czułby się tak winny.

Najirowi trudno było sobie wyobrazić Usmana porywającego Nuf, uderzającego ją w głowę i wywożącego na pustynię. Lecz Katia się nie myliła: miał motyw oraz sposobność. Skoro jednak sam ją porwał, dlaczego tak uparcie starał się wykryć sprawcę?

— Rozmawiałaś z nim już? — zapytał.

— Nie. — Pociągnęła nosem. — Zrobię to jutro, kiedy trochę się uspokoję. — Najir skinął głową. — Przepraszam, że przyszłam i zwaliłam ci to na głowę.

— I tak bym się dowiedział. — Wspomniał pamiętnik. Teraz rozumiał już, dlaczego Nuf nie wymieniła imienia kochanka. Osoby, które mogły znaleźć i przeczytać dziennik, byłyby w najwyższym stopniu zgorzzone, gdyby się dowiedziały, kto nim jest. Prawdę mówiąc, byłyby zgor-

szone niemal wszystkim, jednak Nuf chroniła Usmana, utrzymując jego tożsamość w tajemnicy.

Na samą myśl o tym ciarki przebiegły mu po grzbiecie.

Zerknął na pamiętnik. Chętnie opowiedziałby Katii, co w nim znalazł, lecz nie chciał, by przeczytała wynurzenia Nuf. Nie dzisiaj, a może nawet nigdy. Wstał, zebrał mapy oraz wykresy i wsunął pomiędzy nie dziennik. Wyniósł stertę papierów do kambuza i położył na kapitańskim biurku.

Katia podciągnęła znów nogi na sofę i objęła kolana ramionami. Wyglądało na to, że się chwilowo uspokoiła. Znalazł w łazience pudełko chustek i postawił na stole. Przyniósł z sypialni poduszkę. Podziękowała i przycisnęła poduszkę do piersi. Wszedł do kambuza i zajął się parzeniem kolejnej partii herbaty, dając jej czas, aby się opanowała. Gdy wrócił z dzbankiem, uśmiechnęła się do niego, choć widać było, że przychodzi jej to z trudem.

— Dziękuję, Najirze. Wiem, że czujesz się niezręcznie.

— Nie — odparł. — Ani trochę. — Usiadł i zaczął nalewać herbatę.

Po godzinie wyszedł na pokład. Katia spała snem sprawiedliwego na sofie. Uznał, że lepiej jej nie budzić. Przyniósł sobie kilka starych pledów i rozłożył je na pokładzie, podkładając pod głowę starą kamizelkę ratunkową w charakterze poduszki. Łódź kołysała się rytmicznie i poza delikatnym chlupotem fal uderzających o dziób świat wydawał się niewiarygodnie cichy i spokojny. Wszystko odeszło, pograżając się w niepamięci — Nuf, Usman, nienarodzone dziecko. Teraz mógł myśleć już tylko o Katii.

ROZDZIAŁ 26

Dziesięć minut później pojawił się kierowca i opiekun Katii. Szedł wzdłuż mola, stąpając ciężko i wykrzykując jej imię. Niemal natychmiast wygramoliła się na pokład, przyciskając dłoń do ust.

— Nic mi nie jest, Ahmadzie! Przepraszam, zaraz ci wszystko wyjaśnię!

Najir wstał i spojrzał na łodzie sąsiadów. Nikt nie zareagował na krzyki, a on przeklął się w duchu za to, że sprawia mu to aż taką ulgę.

— Katiu — prychnął Ahmad, ledwie panując nad gniewem. — Próbowałem się do ciebie dodzwonić!

Zeszła na molo.

— Bardzo mi przykro.

— Obiecałaś, że nie wyłączysz komórki. Ojciec szaleje ze zdenerwowania. To cud, że nie zadzwonił jeszcze na policję!

— *Wa-Allahi*. — Wyjęła pośpiesznie komórkę i zadzwoniła do ojca.

Najir przyglądał się, jak rozmawia, próbując zignorować podejrzliwe spojrzenie kierowcy.

— Nic się nie wydarzyło — powiedział w końcu. — Proszę nie myśleć...

— Ja nie myślę — odpalił kierowca.

— Nie zrobiłbym nic...

Kierowca prychnął i ruszył mołem ku nabrzeżu.

Gdy Katia wyszła, Najir uświadomił sobie, że i tak nie zaśnie. Zaparzył więc kawę i usiadł w kabinie zdany na pastwę własnych myśli. Wyobrażenie Usmana kochającego się z Nuf napawało go odrazą. Widział, jak spotykają się przypadkowo w cichym zakątku posiadłości, po czym przerażeni i zakłopotani uciekają pośpiesznie w przeciwnych kierunkach. I jak kapitulują, ulegając požądaniu, spotykają się w zoo, pośród woni potu i seksu. A potem ostatnia odsłona: Usman dowiaduje się o planach ucieczki i postanawia je zniweczyć. Następuje cios w głowę, porzucenie na pustyni. W najlepszym razie przyjaciel kłamał i oszukiwał. W najgorszym — zabił Nuf. I choć wszystko, co Najir odkrył, napawało go przerażeniem, poczuł też ulgę. Teraz Katia na pewno nie wyjdzie za Usmana.

Wybacz mi, Panie, podłe myśli! Zamknął oczy i próbował przedstawić to sobie jako odosobnione wydarzenie, nie mrok w duszy Usmana, ale potknięcie, jakie może się zdarzyć każdemu mężczyźnie. Usman był w trudnej sytuacji. Kiedy mężczyzna zakochuje się w siostrze, zostaje uwięziony w jej życiu. Nie może przestać się z nią widywać ani odwracać za każdym razem wzroku. Nawet dla niego, Najira, mogłoby się to okazać ponad siły. Znał Katię od niedawna, a już miewał na jej temat rozpustne myśli. Gdyby musiał mieszkać z nią pod jednym dachem, wiedząc, że nie jest jego rodzoną siostrą, może również popadłby w grzech.

Lecz Usman stanowił wręcz wzór przyzwoitości, był człowiekiem tak skromnym pomimo otaczającego bogactwa, że Najir czuł się bardzo zawiedziony. Czy ludzie są dobrzy jedynie na pokaz? Czy w sercu wszyscy są grzeszni? Nawet najbardziej przyzwoici mężczyźni są zawsze o włos od utraty kontroli. A Katia — ufał jej tylko dlatego, że chciał, czy skłaniało go do tego pożądanie? Skoro nie można już ufać mężczyźnie takiemu jak Usman, jak mógłby zaufać kobiecie?

Nagle uświadomił sobie, że Katia odeszła, być może na zawsze. Niezręcznie byłoby się z nią kontaktować. Teraz gdy uwolniła się od Usmana, stała się mniej osiągalna niż kiedykolwiek dotąd.

Po bezsennej nocy nastał pusty dzień. Za bardzo znużony, żeby do-
kądś pojechać, Najir zszedł w porze obiadu na parking i kupił sobie u
ulicznego sprzedawcy szawarmy. Udało mu się uniknąć spotkania z Ma-
dżidem, ale spokojny powrót na łódź i panująca tam atmosfera dusznej
izolacji tylko pogłębiły dręczące go uczucie pustki. Nigdy wcześniej nie
czuł się tak otepiały i pozbawiony celu. Dopiero po jakimś czasie uświa-
domił sobie, że doświadcza oto przemożnego, potężnego i obezwładnia-
jącego lęku przed rozmową z Usmanem. Wolałby raczej rzucić się do
morza. Wiedział jednak, że jeśli nie zobaczy się z przyjacielem, nie bę-
dzie w stanie niczym się zająć.

Po południu wybrał się więc na wyspę. Przy wejściu powitał go ka-
merdyner i zaprowadził do bawialni dla mężczyzn, gdzie siedział już
Tahsin w towarzystwie wyraźnie zdenerwowanego Kadiego. To dziwne,
że Kadi tu jest, pomyślał Najir. Czy był zaprzyjaźniony z braćmi? Powie-
dział wcześniej Najirowi, że odwiedził dom Asz-Szarawich tylko raz,
kiedy poprosił o rękę Nuf. Usman nigdy o nim nie wspominał, przynajm-
niej do czasu zniknięcia Nuf.

Siedząc teraz naprzeciw mocno zbudowanego Tah- sina, wyglądał
niczym smukły podrostek. Trzymał w drżących dłoniach filiżankę z her-
batą, zbyt zdenerwowany, by pić. Czoło błyszczało mu od potu. Kiedy
zobaczył Najira, wyraźnie się odprężył. Może przyszedł jedynie po to, by
złożyć rodzinie kondolencje.

Tahsin powitał Najira i poprosił, by wszedł. Najir uściśnął dłoń Ka-
diego i usiadł obok chłopaka, zastanawiając się, co też aż tak wyprowa-
dziło go z równowagi.

— Rozmawialiśmy właśnie o przyszłości — powiedział Tahsin.

Kadi uśmiechnął się nerwowo, rozlewając herbatę. Najir wierzył te-
raz, że naprawdę pokochał Nuf za to, że nie zachowywała się sztywno ani
oficjalnie. W bawialni domu Asz-Szarawich wydawał się bowiem dziw-
nie nie na miejscu.

— Możemy porozmawiać o tym później — zauważył Tahsin.

Drzwi się otwały i pojawili się w nich Fahd i Usman, prowadząc ojca, Abu Tahsina.

Tahsin zerwał się i usunął pośpiesznie z podłogi poduszki. Trójka mężczyzn weszła do pokoju, poruszając się powoli niczym minutowa wskazówka zegara. Abu Tahsin przedstawiał widok godny pożałowania. W ciągu kilku zaledwie tygodni żywotny i towarzyski mężczyzna skurczył się niczym suszona śliwka. Zwiotczały mu ramiona, pierś się zapadła, a na twarzy przybyło zmarszczek. Ledwie mógł ustać o własnych siłach i widać było, że z trudem się porusza. Nie zauważył gościa, póki nie znalazł się tuż przy nim.

— To Najir, ojciec — powiedział Tahsin. — Najir asz-Szarki.

— Achchch... — dobyło się gdzieś z głębi gardła Abu Tahsina.

— Do usług, Abu Tahsin — powiedział Najir zaszokowany.

— Hahhhmmm.

Najir się cofnął, by umożliwić mu przejście. Wspomnił z sentymentem pewien dzień, kiedy stał obok Abu Tahsina ponad Wadi Jawwa w pobliżu Abu Arisz, przyglądając się, jak starszy mężczyzna celuje ze strzelby do stadka przelatujących bocianów. Było późne popołudnie, słońce otulało go złocistą poświatą, uwydatniając ciemny odcień skóry. Najir przypomniał sobie trzask wystrzału, niesamowity krzyk bocianów i proch unoszący się w powietrzu niczym nitki białego jedwabiu. Abu Tahsin odwrócił się wtedy do Najira i powiedział głosem silnym i dudniącym jak grom: „Ptaków na niebie jest tyle, że wprost nie sposób je policzyć, a mimo to każdy podąża swoim szlakiem. Jak myślisz, czy to znak dla roztropnego mężczyzny?”.

Najir odparł, że tak, zapewne. Wówczas myślał tylko o oczywistym znaczeniu słów Abu Tahsina, powiedziane jest bowiem w Koranie: to że Bóg istnieje, można poznać po znakach, jakie odciska w tajemniczej

strukturze Wszechświata. Jednak tu, w bawialni, odkrył nowy znak: znie-
dołężnienie spowodowane wiekiem, ciemne i przewidywalne jak noc.

Usman spojrział na Najira i szepnął, przechodząc:

— Lekarz mówi, że ojciec powiniem obejść dom trzy razy w ciągu dnia. Zapobiegnie to skrzepom.

Najir skinął ze smutkiem głową. Abu Tahsin wyraźnie nie był już sobą.

Tahsin skinął na Fahda, aby zamienił się z nim miejscami. Bracia wyprowadzili ojca przez drzwi na taras.

Po chwili Usman wrócił. Spojrzeli wszyscy na drzwi, spodziewając się zapewne, iż Abu Tahsin podąża za synem. Usman popatrzył na nich zakłopotany i poprosił, aby usiedli, kładąc kres niezręcznej sytuacji. Lecz dziś jego gościnność wydała się Najirowi wymuszona. Zaniepokoiło go to, zwłaszcza gdy uświadomił sobie, że ich przyjaźń umiera przytłumiona chłodną, odstręczającą stosownością oficjalnie akceptowanego zachowania. Usman także to wyczuł, unikał bowiem spojrzenia Najira. Wszyscy usiedli.

Najir próbował się nie gapić, na próżno jednak. Nie był w stanie ode-
rwać od Usmana wzroku. Przyjaciel się nie ogolił. Ubranie miał pomięte,
a cerę poszarzałą z braku snu. Fahd zapytał Kadiego o sklep jego ojca i
Kadi zaczął mówić o butach, księgach rachunkowych, pracownikach i
handlu zagranicznym. Najir czekał, z każdą chwilą bardziej niespokojny.
Czuł się śmiesznie wręcz wyobcowany. Nie był w stanie uczestniczyć w
rozmowie ani jej zrozumieć. Musiał sobie przypominać, że to Usman jest
oszustem i kłamcą i że to on powinien się wstydzić swoich postępów.

Nagle Usman wyciągnął rękę, chwycił pudełko z daktylami i podsu-
nął je Najirowi.

— Poczęstuj się, proszę.

— Nie, dzięki. — Najir dotknął brzucha.

— Proszę, weź choć jeden.

Najir uniósł dłoń.

— Doprawdy, lepiej nie.

Kadi i Fahd nie słuchali, pogrążeni w rozmowie.

— Wydajesz się blady — zauważył Usman.

Najir ujął w palce materiał koszuli i powachlował się nim.

— To pewnie z gorąca.

— Uwierzysz, taki upał, a ja znalazłem swoją kurtkę!

— Gdzie była?

— Z tyłu szafy.

— Sprawdzałeś tam, kiedy jej szukałeś? — zapytał Najir.

— Tak mi się wydawało. — Usman stracił zainteresowanie. Wziął garść daktyli i wstał, postępując z wysiłku. — Tak czy inaczej, jest ci gorąco. Przejdziemy się?

Najir zaszokowany ujawnieniem faktu, iż jemu, znakomitemu pustynnemu przewodnikowi, może być gorąco, zaprotestował, mamrocząc coś pod nosem, i wyszedł za Usmanem do holu. Mijali w milczeniu ciemne korytarze i puste pokoje, póki nie dotarli do drzwi prowadzących na taras. Usman wprowadził Najira na wąską loggię z widokiem na morze. Zdezorientowany Najir uświadomił sobie, że nie był dotąd w tej części domu. Grunt opadał tu niebezpiecznie w stronę klifu. Jedyne kamienny mur na skraju patia chronił ich przed upadkiem na znajdującą się sto metrów niżej skalistą plażę.

Usman poprowadził go wzdłuż loggii i wskazał wąskie drzwi na końcu.

— Uwaga na schody.

Zeszli ociekającą wilgocią metalową klatką schodową, tak wąską, że szeroki w ramionach Najir ledwie się w niej mieścił. Powietrze miało kleisty chemiczny posmak. Na końcu schodów były błyszczące szklane stopnie. Z dołu dochodziło przefiltrowane przez szkło niebieskawe światło. Najir szedł ostrożnie, walcząc z lękiem. Nagle dostrzegł pod nogami jakiś ruch: falowanie wodorostów oraz ukwiałów, nagły błysk jaskrawo ubarwionej ryby. Weszli do morskiego akwarium i stanęli pośrodku olbrzymiej szklanej groty, która tonęła w fosforyzującej poświacie. Ze wszystkich stron otacza! ich ocean pełen morskich stworzeń pograżonych w smutnej izolacji. Było tu chłodniej, mimo to Najir nadal odczuwał duszności, jakby ciężar skały i wody napierał mu na pierś. Czuł się tak, jakby wszedł do lochu.

— Robi wrażenie — wymamrotał. — Twoja rodzina to zbudowała?

Usman potrząsnął głową i ruszył przed siebie. Szli w milczeniu, przyglądając się różnym gatunkom ryb. Najir rozpoznał ryby motyle, a Usman wskazał mu niebiesko nakrapianego trygona. Najir przyglądał się posłusznie, jak ryba odpływa, myślami wrócił jednak do sceny z pamiętnika opisującej, jak Usman uratował Nuf na morzu. A potem wizję zastąpił inny obraz: Usman chwyta siostrę za nadgarstki, uderza w głowę i porzuca jej ciało na dnie wadi. Był to przerażający widok i Najir poczuł się — dość samolubnie — zdradzony. Człowiek nie zna swojego przyjaciela, póki się nie dowie, do czego ów przyjaciel zdolny jest w gniewie.

Czy Usman, ze swoim respektem dla tradycji i honoru rodziny, naprawdę mógłby tak postąpić? Mógłby dopuścić się cudzołóstwa, porwania, a może nawet zabójstwa? Mężczyzna stojący obok niego w akwarium, wyglądał, jakby to jego uprowadzono.

— Usiądź. — Wskazał Najirowi metalową ławkę ustawioną przodem do największej szklanej ściany. Usiedli obaj. Stado czarno nakrapianych ryb łuszczowatych zmieniło pośpiesznie kierunek, przestraszone inten-

sywnym światłem. Usman przyglądał się im zatopiony w ponurych rozmyślaniach.

Najir skrzyżował ramiona, by ukryć, iż drżą mu dłonie.

— Myślałem, że tylko król ma podwodne akwarium.

— Ten dom należał kiedyś do rodziny królewskiej.

— Ach, tak. — Wygładził poły koszuli. Czuł, że wyznanie wisi w powietrzu.

— Bracie, przykro mi, że cię w to wciągnąłem — powiedział Usman. Zabrzmiało to szczerze, jednak coś w głosie przyjaciela sprawiło, że Najir odwrócił głowę.

— Rozmawiałem rano z Katią. Powiedziała mi...

Najir się zawahał.

— Przepraszam. Zamierzałem ci powiedzieć, że się z nią widziałem.
— Usman przyglądał mu się dziwnie.

— Zjedliśmy razem obiad. I pojechaliśmy do zoo.

— Ach, do zoo...

— Zdaję sobie sprawę, że powinienem był powiedzieć ci wcześniej.

Usman roześmiał się smutno.

— Nie musisz przeproszać. Mam na sumieniu większy grzech niż ty.

Najir podzielał tę opinię, mimo to czuł, że musi jakoś pocieszyć przyjaciela.

— Grzech to zawsze grzech.

— Doceniam wszystko, co zrobiłeś, Najirze.

Słowa brzmiały pusto, pozbawione znaczenia, jakby Usman miał już absolutnie dość przestrzegania reguł oficjalnego zachowania. Najir czuł,

że wystarczy delikatne pchnięcie, a mur pęknie i Usman zacznie w końcu mówić.

— Przychodziłem tu często z Nuf—zaczął ze wzrokiem utkwionym w morskie stworzenia za szybą. Przyłożył dłoń do ust i przez chwilę wydawał się skruszony, lecz gdy ją opuścił, jego twarz miała gorzki, zamknięty w sobie wyraz. — Zanim się zaręczyła.

Najir poczuł, że drży mu powieka.

— Musiało ci być trudno.

Usman nie odpowiedział. Może uznał, że tak oczywiste spostrzeżenie nie wymaga odpowiedzi. W końcu podniósł głowę.

— Uwielbiała, kiedy opowiadałem jej o rybach. Była tu jedna, która stała do nas podpływała. Jakiś strzępiel, a z nimi jest tak, że wszystkie przychodzą na świat jako samiczki, dopiero kiedy podrosną, niektóre zmieniają się w samce. — Parsknął krótkim śmieszkiem. — Nuf uwielbiała o tym słuchać. Powiedziała, że chciałaby być jak ta ryba i zmienić się kiedyś w mężczyznę.

Najir poczuł przyływ tego samego, przenikającego na wskroś smutku co wcześniej w kabinie na plaży. Siedział w milczeniu, czekając.

— Powiedziałem o wszystkim mojemu ojcu — kontynuował tymczasem Usman. Zaśmiał się gorzko. — Co za błąd. Powiedziałem, że chcę poślubić Nuf. Uznał, że żartuję, a ja nie wyprowadziłem go z błędu. W końcu zaczął chyba podejrzewać, że mówiłem poważnie, i to odkrycie nappełniło go niesmakiem. Na tyle dużym, że kiedy pojawiła się Katia, nie dbał o to, że pochodzi z biedniejszej rodziny ani że jest starsza. Chciał już tylko, bym się ożenił. Poczyniliśmy zatem konieczne ustalenia. Ale z Katią popełniłem największy błąd ze wszystkich. — Zamilkł, zmagając się ze sobą. — Traktowała mnie jak przyjaciela, a ja nie powiedziałem jej, co naprawdę mam w sercu.

— I że jej nie kochasz?

Usman potrząsnął głową.

— Nie tak, jak kochałem Nuf.

Najir poczuł toksyczną mieszankę ulgi, poczucia winy i wzbierającego gniewu. To że Usman zakochał się w siostrze, nie było już tak odrażające; bladło w porównaniu z tym, jak postąpił z Katią. Wykorzystał ją — najpierw aby zamydlić oczy rodzinie, a potem by pocieszyła go po stracie, pomogła uleczyć złamane serce. Nie obchodziło go, że złamie przy tym jej serce. Może wykorzystał zaręczyny, aby ukarać Nuf za to, że ośmieliła się zaręczyć z kimś innym. Najir przypomniał sobie bazar i stos smutnych ślubnych prezentów przeznaczonych, by spocząć gdzieś na dnie zapomnianej szafy.

— Twój ojciec wiedział zatem, co czujesz — zauważył.

— Do pewnego stopnia. Nie powiedziałem mu wszystkiego.

— Wiedział, że Nuf urodzi twoje dziecko?

— Sądzę, że się domyślał.

Najir czuł, że to co Usman powie za chwilę, wyjaśni kwestię, która niepokoiła go najbardziej: czy przyjaciel porwał siostrę. Bał się o to zapytać, uznał jednak, że musi wiedzieć.

— To dlatego zatrudniłeś prywatnego detektywa? By dowieść rodzinie, że nie ty ją uprowadziłeś?

Usman siedział nieporuszony. Wyglądał, jakby popadł w stan katatonii.

— Bo ją porwałeś.

Usman zamknął oczy. Spod powiek wypłynęła mu pojedyncza łza, zostawiając na policzku mokry ślad. Najir odwrócił wzrok. — Przykro mi — powiedział Usman. — Wiem, co myślisz. — Po chwili nabrzmiałego cierpieniem milczenia, kiedy to nawet ryby zdawały się płynąć wolniej,

podniósł głowę. — Przyznaję, że ją kochałem, lecz uwierz mi, bracie, nie wiem, co się wydarzyło. Niemal oszalałem, próbując się tego dowiedzieć. Tropy prowadziły donikąd. Nic nie odkryłem... — Głos mu się załamał. Umilkł, aby po chwili kontynuować. — Zatrudniłem detektywa, bo nie wiedziałem, co się wydarzyło, i tak wygląda prawda.

— Nuf miała siniaki na nadgarstkach.

Usman potrząsnął głową.

— Nie porwałem jej.

— Znaleźliśmy na przegubach komórki twojego naskórka.

Usman wydawał się zakłopotany. Może z powodu użycia przez Najira liczby mnogiej. Nawet jeśli sprawiło mu to przykrość, nie dał nic po sobie poznać.

— Szarpaliśmy się, zanim została uprowadzona. — Przełknął głośno. — Powiedziała mi, że zamierza uciec w Nowym Jorku od męża. Nie mogłem w to uwierzyć.

— Więc ją chwyciłeś?

— Nie, byłem zbyt zaskoczony. Powiedziałem, że planuję wspólne życie. Zapewniłem, że możemy się przeprowadzić do Nowego Jorku. Dam jej wszystko, pozwolę robić, co zechce, ale ona... — Zamilkł na chwilę. — Nie chciała. Pragnęła zacząć od nowa.

— Jak to się stało, że chwyciłeś ją za nadgarstki?

— Błagałem, żeby została. Czulem, że rozpacz rozdziera mi duszę. Ona także płakała. Zaczęła mnie bić. Chwyciłem ją za rękę, by ją powstrzymać, lecz okazało się to niełatwe. — Podwinął rękaw i pokazał kilka białych linii ciągnących się od nadgarstka do łokcia. Mogły pochodzić od zadrapań, które niemal zdążyły się zagoić. — Ona też mnie podrapała. Musiałem ją powstrzymać. Była jak oszalała. Nie zdawałem sobie sprawy, że ją zraniłem.

— Dlaczego aż tak się zdenerwowała?

Usman opuścił spokojnie rękaw.

— Kiedy uświadomiłem sobie, że mówi poważnie i naprawdę nie chce, bym z nią pojechał, powiedziałem coś, czego nie powinienem był mówić. Zagroziłem, że ją powstrzymam. Nie miałem na myśli porwania, jedynie to, że powiem o jej planach ojcu. — Ukrył twarz w dłoniach i potrząsnął głową. — Przeprosiłem ją i zapewniłem, że nie zamierzam jej zdradzić. Bo nie zamierzałem. Nie chciałem tylko, by wyjechała.

Najir skinął głową. Nie był pewny, czy może wierzyć Usmanowi, lecz poruszyła go szczerłość jego wyznania.

— Spotykałeś się z nią w zoo.

— Tak. Miejsce było odludne, a ona je lubiła.

— Jak często?

Usman się zawahał.

— Raz w tygodniu.

— Pojechała do zoo tego dnia, kiedy zniknęła — powiedział Najir.

Usman spojrzał na niego.

— Jesteś pewien?

— Tak. Znaleźliśmy jej but, a na drodze służbowej za ogrodem ślady stóp. No i ślady na ciele. Piasek w ranie na głowie pasował do tego z drogi. Na nadgarstku miała ślady nawozu. Jednego nie rozumiem. Pokłóciliście się tego ranka, a potem pojechała do zoo. Po co miałyby kłamać, że chce wymienić buty, i jechała do zoo, skoro się tam z tobą nie umówiła?

Czekał, lecz Usman milczał, wpatrując się w ocean za szybą.

— Nie wiem — wyszeptał w końcu.

— Czy to możliwe, by pojechała spotkać się tam z kimś innym?

— Skąd, absolutnie. Pewnie chciała... sam nie wiem. Pożegnać się z tym miejscem? — Przycisnął dłoń do oczu. — Przypominało jej wspólne chwile.

— Kto jeszcze mógł wiedzieć, że tam bywała?

Usman westchnął.

— Nie mam pojęcia. Mogła powiedzieć Muhammadowi. Mówiła mu wszystko.

— A ktoś z rodziny?

— Nie powiedzialaby nikomu z krewnych, to by było zbyt ryzykowne.

— Miała jakieś przyjaciółki?

Potrząsnął głową.

— Owszem, ale nie była typem osoby, która zwierzyłaby się przyjaciółce z czegoś tak intymnego. Najswobodniej czuła się z psami.

— Jak dotąd jesteś jedyną osobą, która mogła wiedzieć, dokąd Nuf zamierzała się udać. — Najir bardzo się starał, by w jego głosie nie było słychać przeświadczenia, iż uważa Usmana za winnego, lecz sprawa wydawała się oczywista. Tylko Usman wiedział o zoo i tylko on miał motyw, aby pojechać za Nuf tamtego dnia. Dopiero co się pokłócili i rozgniewana Nuf wypadła z domu. Prawdopodobnie wybiegł za nią, by wyprostować sprawy albo powstrzymać ją przed wyjazdem do Nowego Jorku.

— Dokąd poszedłeś po kłótni? — zapytał.

Usman skrzyżował ramiona ciasno na piersi.

— Byłem zbyt wytrącony z równowagi, żeby tu zostać — powiedział. — Wybrałem się na przejażdżkę. A kiedy po kilku godzinach wróciłem, jej już nie było.

— Jeździłeś sam?

— Tak.

— Rozumiem.

— Wiem. Chciałbym przedstawić ci jakiś dowód, ale nie mogę. A twoje zaskoczenie całym tym bałaganem... Ja też tak się czułem. I nadal czuję. Przyznaję: nie wnikałem zbyt głęboko w istotę sprawy. — Złączył palce i dźgał nimi powietrze przy każdym słowie. Najir dostrzegwał w tym geście wstyd i gniew. — Nie miałem dość odwagi. I Nuf mi nie pozwalała. Całymi miesiącami starałem się ją uszczęśliwić, sprawić, żeby się otworzyła, zaufała mi. — Zacisnął wargi. — A kiedy powiedziałem wreszcie, że ją kocham, odepchnęła mnie jeszcze bardziej stanowczo. A ja, do diabła — głos mu się załamał — nadal ją kocham. — Odwrócił się, wycierając gniewnym gestem ślady łez z policzków.

Najir spojrział znowu na szybę. Właśnie przepływał za nią błazenek, krążąc tam i z powrotem z maniackalnym wręcz uporem. Gdzieś ponad ich głowami wyłączył się generator i zapadła cisza. Najir, nieprzywykły omawiać sprawy sercowe, zatonął we własnych myślach. Czekał, by przyjaciel się odezwał.

— Nigdy bym jej nie skrzywdził — rzekł w końcu Usman. — Choć może ci się to wydawać odrażające, kochałem ją. Nosila moje dziecko.

Najir wrócił do jeepa. Czuł, jak wsącza się weń bezsilność. Była niczym piasek w klepsydrze, wypełniając mu ciało i duszę, aż wreszcie nie pragnął już niczego, jak tylko wrócić na łódź, wypłynąć w morze i znaleźć spokojne miejsce gdzieś w dole wybrzeża. Rzucić kotwicę. Łowić ryby. Tak, będzie wędkował i leżał na słońcu, obserwował surferów, mewy i przepływające mimo łodzie. Tylko tego było mu trzeba. Kilku ryb i spokojnego miejsca pozwalającego zapomnieć, że Usman nie zapytał o postępy w śledztwie. Zbyt wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Dlaczego znaleźli ciało Nuf tak blisko ich dawnego obozowiska? Jak to się stało, że przewożono jednocześnie motocykl i wielbłąda? Czy Nuf mogła

wprowadzić je na ciężarówkę bez pomocy? Gdzie się podział samochód? Gdyby Usman naprawdę nie wiedział nic o porwaniu, czy nie chciałby poznać odpowiedzi na te pytania?

Gdy wsiadał do samochodu, dostrzegł błysk czerni i zobaczył kobietę wysiadającą z zaparkowanej w pobliżu toyoty. Katia. Zaskoczyła go jej odwaga, to, że przybyła, aby od razu stawić czoło Usmanowi. Kiedy zobaczyła Najira, zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

— Witaj — powiedziała.

Pozdrowił ją, lecz widać zabrakło jej słów i na dłuższą chwilę zapadła między nimi niezręczna cisza.

— Dziękuję — powiedziała w końcu — za wszystko, co wczoraj dla mnie zrobiłeś.

— Nie ma za co. — Miał ochotę powiedzieć coś więcej, ale nic nie przychodziło mu na myśl. Nic nie wydawało się właściwe. Czuł się nieznośnie wręcz skrepowany. Nie wiedząc, co innego mógłby zrobić, pożegnał się i wsiadł pospiesznie do samochodu. Katia odwróciła się równie szybko i ruszyła w kierunku domu.

ROZDZIAŁ 27

Łódź podskakiwała miarowo na fali. Najir siedział na pokładzie z wędką w dłoni, wpatrując się w morze. Nagle z lewej dobiegł go ryk silnika. Bez wątpienia był to skuter. Rzeczywiście, po chwili zobaczył pojazd, a na nim kobietę w bikini. Dwa mizerne skrawki materiału wyglądały jak ścinki zebrane z podłogi u krawca. Opadną z niej, jeśli choćby kichnie. Prowadziła skuter niedbale jedną ręką, drugą wciskając guziki telefonu komórkowego. Nie odwrócił wzroku, ale wpatrywał się w kobietę buntowniczo. Czekał, zastanawiając się, kiedy uświadomi sobie, że jest obserwowana. Lecz najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Zbytńio absorbowowała ją komórka. Smukłe brązowe uda kobiety nie podnieciły go. Mógł myśleć tylko o tym, że skuter płoszy mu ryby.

Dwa dni na wodzie sprawiły, że nabrał dystansu do wydarzeń, jakie rozegrały się w ciągu kilku ostatnich tygodni. Tego ranka był wreszcie w stanie pomyśleć o swojej rozmowie z Usmanem. Z perspektywy czasu to co przyjaciel mu powiedział, wydawało się absurdalnie fałszywe. Usman uderzył Nuf w głowę, zawlókł na pustynię i tam zostawił. A że nie znaleźli na drodze odcisków jego butów? Mogły zostać zatarte podczas walki. Nawet Mutlak by się z tym zgodził.

Tylko dlaczego Usman to zrobił? By rozładować gniew? Dlaczego nie poszukał innego sposobu — dlaczego nie starał się zapomnieć, żyć dalej? „Ci którzy wierzą, cierpią na wygnaniu i walczą z całych sił w imieniu Boga, ryzykując życie i majątek, znajdą w Jego oczach najwyższe uznanie". Prawdziwa święta wojna to nic innego jak rezygnacja z dóbr oraz pragnień, kiedy wymaga tego życie, gdy upieranie się przy nich byłoby czymś złym i prowadzącym na manowce. Lecz Usman nie zrezygnował i stał się kłamcą. Czy jego miłość do Nuf też była kłamstwem?

Najir zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Jak postąpić? Teoretycznie mógł zwrócić się do policji, sędziów albo do meczetu i ludzi zaj-

mujących się prawem religijnym, ale skoro biuro lekarza sądowego orzekło, że Nuf zginęła w wypadku — nie było więc nawet sprawy, którą można by zamknąć — jakie miałyby szanse, domagając się sprawiedliwości od systemu tak łatwego do skorumpowania? Nawet dowody, jakie zebrali z Katią, nie wystarczyłyby, aby wykazać, że to Usman uprowadził siostrę lub zadał cios, który pozbawił ją przytomności i przyczynił się do tego, że utonęła w wadi. Najir dopuszczał jednak możliwość, że myli się co do Usmana, i napełniało to jego serce nadzieją.

Oczywiście mógłby oskarżyć Usmana, dowodząc, że popełnił grzech zina — a dokładnie że cudzołożył. Lecz w takim wypadku to krewni zaproponowaliby karę, która wcale by karą nie była — a jeśli już, ucierpiałby nie tyle Usman, ile reszta rodziny. Wyobraził sobie twarz Nusry, gdyby się dowiedziała, że Usman utrzymywał intymne stosunki z Nuf. Jeśli chodzi o niego, wolałby oszczędzić starszej kobiecie takiej wiedzy. Można by oskarżyć Usmana również o kazirodztwo, ale i ten zarzut by się nie ostał. W sensie technicznym nie popełnił bowiem kazirodztwa, a nawet gdyby sąd uznał, że w świetle prawa był jednak bratem i krewnym Nuf, Najir uważał za nieludzkie karanie człowieka za to, że się zakochał albo przynajmniej sądził, że jest zakochany.

Mógł zrobić tylko jedno — wyruszyć na uświęconą tradycją prywatną świętą wojnę: zerwać przyjaźń z Usmanem, traktując to jako milczący, choć z pewnością boleśnie odczuty protest przeciw postępowaniu przyjaciela.

„Pan jest wszechogarniający w Swoim przebaczeniu”,^{*6} napisano w Koranie, lecz można zyskać przebaczenie tylko wówczas, gdy człowiek popełni grzech nieświadomie i natychmiast wyrazi skruchę. Przebaczenie nie jest dla tych, którzy popełniają wciąż od nowa ten sam grzech, póki śmierć nie położy kresu ich przewinom.

⁶ *Werset 53, 32.

A jednak w Koranie napisano również, że Bóg jest miłosierny i często wybacza.

Skuter się oddalił i Najir usłyszał dobiegający z dołu sygnał komórki. Zaniepokojony odłożył niespiesznie wędkę, zszedł po drabince i przerzucił przez chwilę szpargały na biurku, szukając przeklętego urządzenia. Telefon dzwonił, póki nie otworzył klapki i nie usłyszał trzasków.

— Najir? Tu Katia.

— Cześć.

— Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale zastanawiałam się nad twoim pytaniem. Pamiętasz? Zapytałeś mnie w restauracji, czy oszukałabym męża tak, jak zamierzała to zrobić Nuf. Odparłam wtedy, że tak, zapewne bym to zrobiła, i nadał tak myślę, musiałabym jednak być zdesperowana, a nie jestem. Właśnie o to chodzi: nie sądzę, bym kiedykolwiek była zdesperowana. Nie aż tak.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Katia westchnęła.

— Przepraszam, że tak do ciebie dzwonię. Pewnie myślisz, że zwa-riowałam. Ale to mnie prześladowało. Uważam, że trzeba być zdesperowanym, by kogoś oszukiwać. Nuf oszukiwała Usmana. Do ostatniej chwili nie powiedziała mu o Ericu ani o planach pozostania w Nowym Jorku. I właśnie dlatego aż tak się rozgniewał: ponieważ to przed nim ukryła. Jest jeszcze coś. Myślę, że Nuf chciała wyjechać właśnie z powodu Usmana, dlatego, że wstydziła się swoich uczuć. Mogła zostać i mieć wszystko, czego by zapragnęła. Lecz Usman też by tu był. Nieważne, kogo by poślubiła i co by zrobiła, i tak musiałaby się z nim widywać.

Najir przypomniał sobie fragment pamiętnika. Buszując gorączkowo w stercie papierów na biurku, znalazł notatnik, otworzył go i przerzucał kartki, póki nie znalazł krótkiego akapitu, który nie miał przedtem dla

niego sensu: „Nie mogę tu zostać — pisała Nuf. — Nie zniósłabym tego. To uczucie zawsze by tu było. Nie uciekłabym od niego, nie tutaj”.

Kiedy to pierwszy raz przeczytał, pomyślał, że Nuf pisze po prostu, iż czuje się zniewolona, lecz Katia miała rację. Chodziło zapewne o jej uczucia wobec Usmana.

— Co dokładnie chcesz mi powiedzieć? — zapytał.

— Nuf była na tyle zdesperowana, że chciała uciec do Nowego Jorku. Widać naprawdę kochała Usmana. I przerażało ją to jak diabli.

— Zgoda.

— Była wystarczająco zdesperowana, by uciec, nie sądzę jednak, by Usman był na tyle zdesperowany, żeby ją zabić.

Najir zamknął pamiętnik i usiadł. Wyobraził sobie Katię, jak siedzi za jakimś biurkiem, tak jak on siedział za stołem, i oboje zastanawiają się, jak by tu rozgrzeszyć Usmana. Wiedział, co myśli Katia: ma nadzieję, że Usman ją kochał, a nie kochał Nuf. Było to smutne. Nie mógł się powstrzymać, by jej nie współczuć, i to bardziej niż sobie, ponieważ on potrafił przynajmniej stawić czoło okropnej prawdzie.

Katia zaśmiała się bez śladu wesołości.

— Usman nie miał w sobie aż tyle ze zwierzęcia. Czy ma to sens?

Nie odpowiedział.

— Wierz mi, to prawda.

Uświadomił sobie, że nie wspomniał dotąd Katii o pamiętniku. Teraz nie mógł już tego zrobić. Nuf odmalowała w nim bowiem mężczyznę, który nie był może zwierzęciem, ale kochankiem zdesperowanym na tyle, by śledzić obiekt swego pożądania na morzu i pojechać za nim do zoo. Umilkli oboje i na chwilę zapanowała niezręczna cisza. Najir nie wiedział, jak ją przerwać.

— Najirze?

— Tak.

— Powiedz, proszę, co myślisz.

Zawahał się.

— Niektóre rzeczy mogą zmienić mężczyznę w zwierzę — rzekł w końcu — nawet jeśli normalnie taki nie jest.

Kolejna przerwa zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

— Myślisz, że próbuję go po prostu usprawiedliwić — powiedziała. — Nic podobnego. Przypomnij sobie: to on zatrudnił prywatnego detektywa. I posłał cię na pustynię.

— A także próbował powstrzymać ciebie przed wykonaniem analizy DNA.

— Właśnie — odparła. — Nie chciał, aby się wydało, że był ojcem dziecka. Z oczywistych powodów.

Chciał się jednak dowiedzieć, co spotkało Nuf na pustyni, ponieważ tego nie wiedział.

Najir musiał przyznać, że wyjaśnia to brak konsekwencji w postępowaniu przyjaciela.

— Może masz rację — przyznał, próbując stłumić dziwaczną mieszankę podekscytowania i rozczarowania. Może Usman nie był jednak winny. — Skoro nie on, to kto zabił Nuf?

— Nie wiem. Kto był wystarczająco zdesperowany?

Przerabiał to już tyle razy... Kto chciał uciszyć Nuf?

Z jakiego powodu? Brakowało mu tropu, za którym mógłby podążyć. Po raz kolejny unosił się na morzu przypuszczeń, oddalając się coraz bardziej od zrozumienia sprawy.

— Rozmawiałam z Usmanem — powiedziała Katia z wahaniem w głosie. — Przeprosił mnie i myślę, że był w tym szczery.

— Wyobrażam sobie.

— Postanowiliśmy jednak, że odwołamy ślub.

Żołądek podszedł Najirowi do gardła.

— Przykro mi to słyszeć.

— Cóż, tak... — Westchnęła z rezygnacją. Miało to stanowić dowód, że sobie radzi, a zdradziło tylko, jak bardzo zagubiona się czuje. Przynajmniej on tak to odebrał.

Od tej chwili rozmowa zaczęła się rwać. Wymienili uwagi na temat pogody na morzu i łowienia ryb. Opowiedział Katii o motocyklu w kabinie oraz o plątaninie śladów znalezionych w zoo. Lecz kiedy tak brnął, prześladowało go uczucie, że powinni rozmawiać raczej o Usmanie. Może obawiał się zadać pewne pytania, wstąpić bez lęku na terytorium uczuć, którego nie znał i nie rozumiał? Własna ignorancja przerażała go; cieszył się, że Katia woli rozmawiać o rybach. Dopiero gdy się rozłączył, przyszło mu do głowy, że wcale nie chciała rozmawiać o Usmanie i że pogawędka na temat pogody przyniosła jej wystarczające ukojenie. Taką przynajmniej miał nadzieję.

W nocy leżał na pokładzie, poddając się delikatnemu kołysaniu. Rozmyślał o Fatimie i uświadomił sobie, że w sumie najbardziej go dotknęło, iż ukrywała prawdę, nie była w stanie powiedzieć mu, że spotyka się z innymi mężczyznami, zabiegając jednocześnie o jego względy. Kłamstwa Usmana nie były aż tak osobistej natury, mimo to bolały i nagle zaczął się zastanawiać, czy on też tego nie robi, czy nie okłamuje innych. Czego nie mówił tym, na których mu zależało? Święta wojna przeciwko Usmanowi nagle wydała mu się tchórzostwem. Stał pośród haniebnej ciszy, strojąc się w piórka fałszywej pobożności. Wspomniał fragment Koranu: „My zesłaliśmy wam ubranie, aby zakrywało waszą

nagość, i ozdoby; lecz szata bogobożności jest lepsza".*⁷ Powiada się, że Bóg stworzył człowieka wolnego od zła i wstydu, ale kiedy ten splamił się grzechem, jego myśli i uczynki zaczęły być jak strój, który zakrywał go i równocześnie obnażał, pokazując, kim naprawdę jest. Najir wiedział, że gdyby był człowiekiem szczerym, przestałby zamykać oczy na winę Usmana. Stawiłby mu czoło i wytknął nagi grzech.

TLR

⁷*Werset 33, 32.

ROZDZIAŁ 28

Stojąc przed frontem domu Asz-Szarawich, na dziedzińcu z białego marmuru zabarwionego na łososiowo przez zmierzch, przyglądał się, jak czerwone łono zachodu zagarnia świat. Dom wyglądał najpiękniej właśnie o tej porze, gdy blady cynober przenikał przez chmury, nadając morzu barwę, od której wzięło swą nazwę. Podziwiał detale, których wcześniej nie zauważał: elegancką krzywizną płytek na dachu, skomplikowany wzór ściany broniącej dostępu do klifu, delikatne żyłkowanie marmuru pod stopami.

Wietrzyk załopotał połą jego bladoniebieskiej abai, przynosząc dobiegający od strony stajen kojąco znajomy zapach nawozu. Przypomniał sobie pewien werset koraniczny i wyrecytował go po cichu:

Na niebo i na gwiazdę nocną!

A co ciebie pouczy, co to jest gwiazda nocna?

To jest gwiazda przenikająca.

*Każda dusza ma nad sobą stróża!**⁸

Miał nadzieję, że nad nim też czuwa anioł stróż.

Odwrócił się i przemknął pod oknami, szukając dróżki prowadzącej w dół, do stajen. Chciał przyjrzeć się raz jeszcze wielbładowi. To ostatnia szansa, pomyślał. Było tu ciemniej, niż się spodziewał, miał jednak latarkę. Jej światło wystarczyło, by mógł zejść bezpiecznie po stopniach.

Dolny dziedziniec był pusty. Blask padający z okien domu oświetlał go wystarczająco, zgasił zatem latarkę i podszedł do wrót. Były otwarte.

⁸ *Werset 86,1-4.

Wśliznął się do stajni. Po chwili zapalił znowu latarkę, osłaniając szkieleko stuloną dłonią. Nic się nie poruszyło. Zaczął iść przejściem pomiędzy boksami, kierując się ku ostatniemu po lewej. Zerknął do środka przez szparę w drewnie i zobaczył, że wielbłądzica Nuf śpi. Zawahał się, nie wiedząc, czy powinien ją przebudzić. Jeśli się przestraszy, może obudzić pozostałe zwierzęta. Usłyszał, że zwierzę się porusza. Przycisnął więc usta do drewna i zagwizdał cicho, bardzo cicho. Zerknął znów do środka. Wielbłąd się przesunął.

I wtedy usłyszał za sobą szelest. Odwrócił się gwałtownie i skierował światło latarki na długie przejście. Nic się nie poruszyło. Czekał. Wreszcie, nie słysząc dalszych odgłosów, nie wyczuwając obecności drugiej osoby, odwrócił się znowu ku drzwiom boksu.

Wielbłąd nie spał. Najir otworzył ostrożnie drzwi i wszedł do boksu. Wyciągnął rękę i potarł uszy zwierzęcia. Wielbłądzica wtuliła pysk w jego bark, a wtedy przesunął dłoń niżej, w dół jej szyi i grzbietu. Wreszcie jego palce odnalazły znak na nodze. Zbadał go raz jeszcze. Miał kształt logo Hondy.

Nie przestawał gładzić wielbłąda, który pochrząkiwał z zadowolenia, domagając się uwagi. Z zewnątrz dobiegł go kolejny odgłos. Brzmiał jak szelest abai. Odwrócił się i przez chwilę nasłuchiwał. Zaciekawiony wysliznął się z boksu i zamknął za sobą drzwi. Szelest się powtórzył. Gdy Najir zamarł w bezruchu, dźwięk ucichł. Teraz wyczuwał czyjąś obecność. Ktoś stał na słomie pomiędzy nim a wrotami. Zgasił latarkę, by oczy przywykły mu do ciemności, i postąpił niepewnie w przód. Jeden krok, potem drugi. Coś nadal szeleściło. Ruszył w kierunku, skąd dobiegał dźwięk, trzymając się jak najbliżej drzwi boksów. Gdy tylko poczuł ciepło ludzkiego ciała, zapalił nagle latarkę, kierując ją w miejsce, gdzie spodziewał się zobaczyć twarz intruza. Okazało się, że to kobieta. ii

Zamrugła i cofnęła się przestraszona^ Rozpoznał córkę stajennego opiekującego się wielbłądami. Wielki brązowy siniak nad okiem zdążył już zblednąć, ale nadal był widoczny. Choć głowę zakrytą miała chustą,

jej twarz pozostawała odsłonięta. Nie odwróciła się, lecz stała cierpliwie, pozwalając Najirowi się przyglądać. Przyzwoitość zwyciężyła. Skierował światło latarki w dół, nie spuszczając wzroku z twarzy dziewczyny.

— Jak zarobiłaś tego siniaka? — spytał.

Twarcz dziewczyny ściągnęła się — uznał, iż ze zdenerwowania. Uniosła drżący palec i skinęła nim na Najira. Nie poruszył się, zaskoczony. Dziewczyna nie przestawała go przyzywać. „Chodź za mną”, mówił jej gest.

Posłuchał targany ciekawością. W połowie przejścia zatrzymała się i położyła dłoń na skoblu drzwi boks. Zaczekała, aż Najir zbliży się z latarką.

Otworzyła drzwi i odgrodziła się nimi od Najira. Stał, wpatrując się w pusty boks, podczas gdy dziewczyna czekała, przytrzymując drzwi palcami.

— Co... — Chrząknął. — Co mam zrobić?

Westchnęła, a przynajmniej tak mu się zdawało.

— Proszę zajrzeć do środka — wyszeptała.

Zakłopotany zajrzał do boks. Oświetlił ściany latarką. Na tylnej wisiał gruby szary brezent, poza tym boks był całkiem pusty.

— Na podłodze — powiedziała.

Światło latarki zabłysło na metalowym uchwycie klapy w podłodze. Pochylił się i odgarnął słomę. Zamek ustąpił z cichym skrzypnięciem. Podniósł klapę i zobaczył niewielki schowek. W środku znajdował się worek z czarnego aksamitu wielkości damskiej torebki. Wyjął go i rozwiązał sznurek.

Torba pełna była kosztowności: pierścionki i bransoletki, kolczyki i naszyjniki, wszystko wykonane z dwudziestoczerokaratowego złota. Ru-

biny i diamenty zabłysły w świetle latarki. Większość przedmiotów opatrzona była inicjałem N. Zamknął torbę i wyszedł z boksu.

Dziewczyna nadal przytrzymała drzwi. Choć chętnie zobaczyłby jej twarz, uznał, że lepiej pozostawić sprawy tak, jak są.

— Kto umieścił tutaj ten skarb? — zapytał. Nie odpowiedziała. — Powiedz mi. Kto cię uderzył? Czy było to w dniu, kiedy zniknęła Nuf?

Cisza. Niemal chwycił za drzwi, lecz nie chciał jej przestraszyć.

— Kto to był? — zapytał łagodnie.

— Nie wiem — wyszeptała.

— Przecież mi ufasz.

Nie odpowiedziała.

— Zaufałaś mi na tyle, żeby mnie tu przyprowadzić, więc zaufaj raz jeszcze.

Palce trzymające drzwi zniknęły. Usłyszał, że dziewczyna odchodzi, kierując się ku wyjściu.

Nusra asz-Szarawi stała przed drzwiami wejściowymi, ledwie widoczna w półcieniu pomiędzy mrokiem wieczoru a światłem padającym z holu. Usłyszała, że nadchodzi, i odwróciła się ku niemu.

— Najir — powiedziała.

Przycisnął torbę do ciała, mając nadzieję, że Nusra nie usłyszy brzęku biżuterii.

— Dobry wieczór, Umm Tahsin.

— Gdzie byłeś? — spytała. — Słyszałam silnik twojego jeepa, lecz ty się nie pojawiłeś.

Najir się zatrzymał.

— Poszedłem zerknąć wpierw na wielbłądy.

Zaśmiała się cicho, ujęła go pod ramię i skierowała w stronę domu.

— Może i nie urodziłeś się beduinem — powiedziała, poklepując go po piersi — ale na pewno masz w sobie beduińskiego ducha.

— Dziękuję — wymamrotał.

— Zaprowadzę cię do bawialni.

Przeszedł z drzeniem przez drzwi. Skoro Umm Tahsin wiedziała, że tu jest, kto jeszcze go zauważył?

Kiedy znaleźli się w domu, puściła ramię Najira i skinęła na niego, by poszedł za nią. Miał znajomym korytarzem, prowadzącym do męskiej bawialni, powiodła go w głąb domu korytarzami ciemnymi jak jej ślepotą. Najir musiał zwolnić i poruszać się ostrożnie. Chciał spytać, dokąd go prowadzi, ale zabrakło mu odwagi, by przerwać ciszę. Przez jedną okropną chwilę zastanawia! się nawet, czy Nusra nie wciąga go w pułapkę.

Wyszli na otoczony wysokim murem dziedziniec. W górze migotały gwiazdy. W powietrzu unosiła się mgiełka wody z fontanny. Minęli kolejne drzwi i ruszyli wąskim korytarzem ku przestronnej galerii, która zdawała się nie mieć specjalnego przeznaczenia. Nusra zatrzymała się raptownie, zaskakując go.

Ujęła Najira mocno pod ramię.

— Może i nie widzę — powiedziała — wiem jednak, i to lepiej niż inni, co się dzieje w moim domu. — Pochyliła się i stała teraz tak blisko, że czuł ciepło jej ciała. — Wiedziałam, że zszedłeś do stajen.

Nie poruszył się. Blask stojącej w pobliżu świecy rzucał długie cienie na policzki Nusry, potęgując wyraz niezadowolenia na twarzy kobiety.

— Słyszałam, jak schodzisz w dół, a teraz wyczuwam na tobie jej zapach — syknęła, wzmacniając uścisk. — Ma na imię Asja. Zamiast niszczyć jej reputację, lepiej się z nią ożeń.

Najir, który wstrzymywał od dobrej chwili oddech, wypuścił powietrze z płuc.

— Proszę, Umm Tahsin. Jestem przyzwoitym mężczyzną.

Uniosła z uporem brodę, a on poczuł, że się rumieni.

— Tak czy inaczej, czas już, byś się ożenił.

Najir nie był w stanie się odezwać. Po długiej chwili niezręcznej ciszy puściła w końcu jego ramię. Cofnęła się i wyprostowała, przybierając zwykłą pełną godności postawę.

— Skoro już mowa o małżeństwie... — powiedziała. — Czy Usman przekazał ci nowiny?

— Nie, a o co chodzi?

Odwróciła się i ruszyła przodem.

— Nasza córka Abir wychodzi w przyszłym miesiącu za mąż.

— Gratulacje.

— Poślubi swego kuzyna Kadiego, młodzieńca, który miał się ożenić z Nuf.

— Cóż, to bardzo dogodne. — To dlatego Kadi był niedawno w domu Asz-Szarawich. Najir wspomniął twarz chłopaka, jakże młodą i udręczoną.

— Tak, i roztropne. — Zatrzymała się przy drzwiach bawialni. — Abir będzie dla niego odpowiednia.

Jej słowa zawisły złowroźnie w powietrzu. Czy Abir była bardziej odpowiednia niż Nuf? Umm Tahsin otworzyła drzwi i nakazała mu gestem, by wszedł.

— Sprawdź, czy Usman wrócił już do domu, ale nie sądzę, żeby tak było. Tymczasem przyślę służącą z herbatą.

Wyszła, nie powiedziwszy więcej ani słowa.

Najir rozejrzał się po pokoju. Dwie kraty okienne zniknęły, na parapetach ustawiono zapalone świece. Migotały, rzucając na pokój złoty blask. Usiadł na sofie i czekał z niepokojem, wyobrażając sobie powrót Usmana i to, jak będą się czuli zakłopotani. Wszystko co zaplanował, wydało mu się nagle zbyt drastyczne. „Wiem, że zabiłeś siostrę. Uderzyłeś ją, wywiozłeś na pustynię i porzuciłeś. A potem czekałeś, aż umrze”. Czy jednak pewność przy braku dowodów nie była po prostu przejawem grzesznej pychy?

Sięgnął do kieszeni i wyjął worek ze złotem Nuf. Może Usman ukradł je i schował, by uniemożliwić siostrze ucieczkę. Ale jak poznał szyfr do sejfu, w którym je przechowywała?

Potrzebuję twojej pomocy, Panie. Rozjaśnij, proszę, moje myśli. Wspomniał miejsca, które badali: zoo, apartament Erica, kabinę na plaży. Czy coś przeoczył? Drobnny szczegół, który nie pasował do całości? Pomóż mi, Panie. Pomóż dojrzeć ten szczegół. Zamknął oczy i spróbował oczyścić umysł, lecz myśli galopowały jedna za drugą, nie dając się powstrzymać. A jeśli nie było żadnego szczegółu? Może zabójca nie zostawił śladu? Tropu, za którym można by podążyć?

Jedna rzecz nie dawała mu spokoju. Plan miasta na wpół ukryty pod abają w kabinie na plaży. Dlaczego aż tak mnie to prześladowa? zastanawiał się. Plan jak plan. Najwidoczniej Nuf posługiwała się nim, by trafić do zoo. Wsunął dłoń do kieszeni i dotknął paciorków różańca. Zamknął

oczy i nadal się modlił. Modlitwa rozwijała się niczym hipnotyzujące senne marzenie z powtarzającym się prostym refrenem:

O Boże, moje Światło, mój Przewodniku

Ukaż mi ziarno prawdy

Daj serce lwa

I oczy sokoła. .

Powtarzał właśnie refren po raz piąty, gdy drzwi otwarły się ze skrzyknięciem i do środka weszła kobieta. Najir otworzył szeroko oczy zaskoczony: czarna abaja, nikab, a wreszcie dłonie. To musiała być Abir. Wstał.

Tym razem dotarła bez przeszkód do stolika i postawiła na nim tacę. Nie unosząc zasłony, napełniła filiżankę i podała ją Najirowi, rozlewając zaledwie odrobinę. Zaskoczyło go, że jest tak zręczna i pewna siebie. Nie taką ją zapamiętał.

— Ćwiczyłam — powiedziała. — Proszę być ostrożnym, jest gorąca.

Wziął filiżankę, usiadł i uświadomił sobie, że wpatruje się w rękaw jej abai. Nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Nie chodziło o plan miasta — plan był nieważny. Chodziło o abaję, pod którą był schowany.

O białą męską abaję pozostawioną w kabinie.

Przedtem wydawało mu się normalne, że tam wisi. Nuf nosiła męską abaję, jeżdżąc na motocyklu. Jednak Muhammad powiedział, że opuszczała wyspę odziana w czarny strój, przebierała się dopiero na plaży. Umierając, miała na sobie białą abaję, gdzie podziela się zatem czarna? I skąd w kabinie wzięła się kolejna biała?

Kto jeszcze mógł nosić białą abaję, a potem zostawić ją na plaży?

Odkrycie zaskoczyło go, przydając pewności siebie, choć jednocześnie zastanawiał się, jak mógł być tak tępy. Spojrzał na Abir, zastanawiając się, dlaczego przyszła. Chciała wyciągnąć od niego informacje czy obawiała się, że powie o czymś Usmanowi?

— Chyba wiem, co się przytrafiło twojej siostrze — powiedział spokojnie.

Abir cofnęła się i objęła ramionami, lecz dostrzegł w jej oczach niepokój.

— Myślę, że ty także coś o tym wiesz — dodał.

Skłoniła głowę gestem, w którym nauczył się rozpoznawać fałszywą skromność.

— Skąd miałabym wiedzieć?

— Znalazłem to. — Postawił torbę na stole.

Abir wpatrywała się w worek z zaskoczeniem, by udąć po chwili, że go rozpoznaje. Istny popis nieudolnego aktorstwa.

— To torba na klejnoty Nuf? — spytała chrapliwym szeptem. Przyklękła przy stole, uniosła nikab i otworzyła torbę. Zajrzała do środka, po czym przewróciła oczami i jęknęła z niemal autentyczną rozpaczą. — Po co miałaby zostawiać to w domu? — spytała, przyciskając torbę do piersi.

— Skąd wiesz, że zostawiła ją w domu?

Abir zbladła.

— Dość już tego udawania — powiedział. Na twarzy Abir zaskoczenie mieszało się z wrogością. — W ogóle nie wyjęła torby z sejfów — kontynuował zachęcony tym, że fragmenty układanki trafiają precyzyjnie aa swoje miejsce. — Ty to zrobiłaś. Zabrałaś kosztowności, by pomyślano, że Nuf uciekła. Wiedziałaś, że jeśli zniknie, ktoś się zainteresuje, czy za-

brała złoto. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie poszukałaś lepszej kryjówki.

— Myśli pan, że ja...? — parsknęła nieprzekonywająco. Przełknęła, zamrugła i potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić muchę. Na chwilę w jej oczach pojawił się strach, lecz zaraz zniknął zastąpiony chłodną pewnością siebie, tak charakterystyczną dla Asz-Szarawich. — Myli się pan — powiedziała po prostu. — Nie mam pojęcia, co się przytrafiło...

— Dość. — Uniósł dłoń. — Kłamstwo tylko powiększa twoje winy. Wiem, co zrobiłaś.

Musiała dostrzec w jego spojrzeniu podekscytowanie, gdyż postarała się opanować emocje. Odłożyła torbę na stół i próbowała wstać. Nie była jednak w stanie. Za bardzo się trzęsła.

— Nie wie pan, o czym mówi — powiedziała, lecz Najir widział, że się boi.

— Jak słyszałem, wychodzisz za męża. Za narzeczonego Nuf.

— Nie jest jej narzeczoną — zaprotestowała znacznie gwałtowniej, niż się spodziewał.

— Zamierzał ją poślubić.

— Ale jej nie kochał — prychnęła. — Ani ona jego. Najir dostrzegł na twarzy dziewczyny gniew i postanowił zaryzykować.

— Miała wszystko, czyż nie? Wszystko, czego pragnęłaś.

— Nie wiem. — Zmarszczyła brwi.

— Byłaś zazdrosna o to, że ma poślubić Kadiego. Chciałaś za niego wyjść, lecz było to niemożliwe. Nuf była starsza, mogła więc wybierać.

— Nie kochała go. — Abir objęła się ramionami, mimo to nadal drżała. W jej oczach zabłyśły łzy.

— Wiedziałam, co wyprawia — stwierdziła z gniewem.

— Wykradała się z domu, żeby uprawiać seks z Muhammadem.

— Tak ci powiedziała?

— Jak inaczej mogłaby zajść w ciążę? To ohydne, co robiła! Chciała wyjść za Kadiego, ponieważ pewnego dnia będzie bogaty, a także dlatego, że nie obchodziłoby go, gdyby wzięła sobie kochanka.

Bez wątpienia mówiła, co myśli. Jej emocje były niczym rozgrzany do czerwoności piec, a łzy wypalały ślad na policzkach. Jak dotąd Najir rozumował prawidłowo. Jednak od tego miejsca zaczynały się spekulacje oparte na wątpych poszlakach i wyobraźni.

— Może opowiedziałabyś mi, co się wydarzyło?

— zaproponował. — W Koranie powiada się, że tym, którzy szczerze żałują, będzie wybaczone.

Utkwiła wzrok w podłódze, przymknęła oczy i potrząsnęła dumnie głową.

— W porządku — powiedział Najir. — Oto co myślę. Zaplanowałaś całe przedsięwzięcie. Trochę czasu musiało zająć zebranie potrzebnej wiedzy: o tym, jak dostać się na pustynię, którą ciężarówkę wybrać, jak ukraść wielbłąda... Mnóstwo pracy. Sądzę, że wiedziałaś, iż siostra spotyka się z kimś w zoo.

Otworzyła oczy i spojrzała na Najira z mieszaniną ciekawości i strachu.

— Czy to cię oburzało? Przyprawiało o mdłości? — zapytał.

— Spotykała się z Muhammadem! — prychnęła Abir.

— Mam dla ciebie nowiny — powiedział. — To nie był Muhammad. Sypiała z kimś innym.

— Z kim?

Najir zamilkł, rozkoszując się tym, iż wreszcie zaczyna znajdować odpowiedzi, nawet jeśli trudno mu było porzucić przekonanie, że winowajcą jest Usman.

— Cofnijmy się trochę w czasie — rzekł. — Chciałaś pozbyć się Nuf, żeby samej wyjść za Kadiego. — Oczy Abir zabłyśły, uniósł więc dłoń, by ją powstrzymać. — A może próbowałaś ochronić go przed siostrą. W tym celu należało sprawić, by wszyscy uwierzyli, że Nuf uciekła. Najlepiej było zabrać ją na pustynię. Nikt by jej tam nie znalazł. Ale by uznano, że Nuf uciekła, musiałaś ukraść wielbłąda.

Spojrzała na Najira z oburzeniem na twarzy, co jednak tylko dodało mu otuchy.

— Niełatwo ukraść tak duże zwierzę, zwłaszcza w biały dzień, ale ty znałaś tę wielbłądzicę, była ulubienicą Nuf i prawdopodobnie ci ufała. Nietrudno było zatem nakłonić ją, by weszła na pakę ciężarówki. Jak to zrobiłaś? Wprowadziłaś ją po trapie? Tym samym, po którym wprowadziłaś potem motocykl Nuf?

Na wzmiankę o motocyklu Abir straciła na chwilę pewność siebie, lecz opanowała się szybko i pozostała niewzruszona.

— Każdy mógł ukraść wielbłąda — powiedziała.

— Owszem, zwłaszcza że to trudne zadanie dla dziewczyny tak drobnej jak ty. Zastanawiałem się, jak sobie poradziłaś. To spokojne zwierzę, niemniej... — Uświadomił sobie, że Abir nie zamierza nic wyjaśniać, kontynuował zatem: — Sądzę, że najłatwiej było wprowadzić wielbłądzicę po trapie z desek. Na podwórku przed stajnią było ich mnóstwo. Zabrałaś ciężarówkę z parkingu przed domem. To nic trudnego, zważywszy, że bracia trzymają kluczyki w garderobie obok drzwi wejściowych. Podjechałaś pod stajnię i wprowadziłaś wielbłąda na pakę. Wzięłaś też metalową rurkę ze stosu leżącego za drzwiami. Nie zauważył cię nikt poza córką stajennego, uderzyłaś ją więc w głowę i pozbawiłaś przytomności.

Abir wydawała się dziwnie zadowolona, zaraz spuściła jednak wzrok — dobrze wytrenowany odruch — by ukryć dumę. Jej spokój i pewność siebie zirytowały Najira. Musiał popełnić błąd.

— Nie, oczywiście, że nie... — powiedział z namysłem. — Okazałaś się na tyle bystra, żeby ukraść wielbłąda, kiedy w pobliżu nie było nikogo. Córka stajennego przyłapała cię, kiedy chowałaś złoto? — W oczach Abir zabłysnął gniew i wiedział już, że się nie myli. — Było to tego samego dnia, kiedy uprowadziłaś Nuf?

Nie odpowiedziała.

— To i tak bez znaczenia. Wprowadziłaś wielbłąda na ciężarówkę. Miałaś broń, tę rurkę. Wciągnęłaś trap na pakę. Teraz potrzebowałaś już tylko Nuf, a dobrze wiedziałaś, gdzie jej szukać. Musiała ci powiedzieć, że spotyka się z kimś w zoo.

— Sama się dowiedziałam.

— Jak?

— To że wiedziałam, iż postępuje źle, nie znaczy jeszcze, że ją zabiłam.

Najir stłumił zniecierpliwienie.

— Jak się dowiedziałas?

— Popłynęłam za nią pewnego dnia na plażę i znalazłam w kabinie plan miasta z zaznaczonym zoo. Kiedy wróciła, popłynęłam tam po raz drugi, wzięłam motocykl i pojechałam sama do zoo. — Wysunęła do przodu brodę w ewidentnym przekonaniu o słuszności swego postępowania. — Znalazłam w motocyklu prezerwatywy.

— Nadal nie wiedziałaś, z kim się spotyka. — Spojrzał na dziewczynę, żeby ocenić jej reakcję, dostrzegł jednak tylko przekonanie o własnej moralnej wyższości. — Dotarłaś do zoo przed Nuf — ciągnął — i za-

czekałaś tam na nią. Kiedy podjechała na motocyklu, znokautowałaś ją. W jaki sposób?

Abir milczała.

— Teraz kiedy się nad tym zastanawiam — kontynuował — ciekawi mnie, jak mogłaś mieć pewność, że Nuf nie przyjedzie z kochankiem. Bo chyba nie zamierzałaś porwać obojga?

— Widzi pan — powiedziała, spoglądając na Najira ze złośliwą satysfakcją w oczach — pańska teoria nie ma sensu.

— Musiałaś zaplanować to tak, by dotrzeć na miejsce, nim zjawi się tam jej kochanek, albo przyjechać, jak już sobie pójdzie. Wiedziałaś, że Nuf jeździ do zoo sama, rozkoszując się chwilą swobody na motocyklu... — Mówiąc, obserwował bacznie twarz Abir. — Wiedziałaś, że spotyka się tam z Muhammadem i że wysyła go po sprawunki, które miały zapewnić jej alibi.

— Muhammad jest głupi — oznajmiła.

— Wracała do domu z torbami ciuchów, których nie nosiła?

— Wracała, cuchnąc jak zwierzę. — Wrogość w głosie Abir sprawiła, że poczuł przyływ złośliwego triumfu. Ta dziewczyna nosiła w sobie potężny ładunek szalonego gniewu. To on skłonił ją, aby zabiła siostrę. Nawet jeśli dotąd się nie załamała, w jej zbroi pojawiło się pęknięcie.

— Mogłaś więc podejrzewać, że w pewnej chwili Muhammad zostawi ją i pojedzie zrobić zakupy — mówił. — Dopisało ci szczęście i kiedy przyjechałaś, Nuf była sama. Muhammad prawdopodobnie jeszcze tam nie dotarł. Lecz nadal się zastanawiam, jak pozbawiłaś Nuf przytomności? Zaparkowała motocykl na drodze dojazdowej, więc wprowadzenie go do ciężarówki zajęło ci ledwie chwilę. A co potem? Przyczaiłaś się w krzakach i skoczyłaś na nią? A może wcześniej rozmawiałyście? — Przyglądał się bacznie twarzy Abir, żeby sprawdzić jej reakcję, dostrzegał jednak tylko rezerwę. — Chyba nie. Trudno byłoby ci wytłumaczyć, skąd

się tam wzięłaś, zwłaszcza że przyjechałaś ciężarówką, a na pace znajdował się nie tylko wielbłąd, ale i motocykl Nuf. Nie, zaatakowałaś z zaskoczenia. Wyskoczyłaś z krzaków. — Dotknął skroni w miejscu, gdzie na głowie Nuf była rana. — To dlatego otrzymała cios w bok głowy. Dosłownie ją znokautowałaś, tak że nie odzyskała przytomności, nawet kiedy zaczęło padać. Ale wybiegam za bardzo w przód. Upadła. Znaleźliśmy ślady świadczące, że zaciągnęłaś ją do ciężarówki.

Abir miała minę, jakby tolerowała połajankę starszawego wujka.

— To zabawne — kontynuował. — Specjalista od śladów pomylił twoje odciski, wyglądało więc na to, że Nuf się ocknęła i wstała. Widzieliśmy jednak twoje ślady. Na drodze i na plaży.

— Pańska historyjka jest śmieszna.

— To także twoja historyjka. — Spozrzegł, że się zarumieniła, kuł więc żelazo, póki gorące. — Musiałaś jakoś dostać się na pustynię. To także zaplanowałaś. Ukradłaś kurtkę brata z mapami i GPS-em i nauczyłaś się z nich korzystać. Należało wyszukać miejsce, gdzie nikt nie znajdzie Nuf, pomyślałaś więc sobie, że najlepiej będzie zostawić ją blisko miejsca, gdzie obozował niedawno Usman, ponieważ GPS doprowadzi cię tam i pomoże wrócić. Urządzenie było już zaprogramowane i choć jest zaawansowane technicznie, to nie na tyle, byś nie nauczyła się go obsługiwać. Kiedy dotarłaś na miejsce, odjechałaś bezpiecznie kawałek i porzuciłaś ciało Nuf w miejscu, gdzie trudno byłoby je znaleźć. W ten sposób została sama pośrodku pustyni, ty zaś wróciłaś wzdłuż wadi do obozowiska, a stamtąd, posługując się GPS-em, do domu. Nie sprawiło ci to trudności, prawda?

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem i poznał, że ją uraził. Jej duma zaczynała się ujawniać. Jedyłą oznaką niedawnej skromności pozostały wciśnięte pod pachy dłonie.

— Kiedy dotarłaś na pustynię, podjechałaś do wadi i zepchnęłaś Nuf z przedniego siedzenia. Może nie wiedziałaś nawet, że to wadi. Po prostu

dogodne zagłębienie w ziemi, gdzie trudno zauważyć leżącego człowieka.

— Wiem, co to wadi — wypaliła urażona.

— Wypchnęłaś ją więc z ciężarówki i porzuciłaś w wadi. A potem odjechałaś, kierując się... Dokąd? Może w górę wyschniętego koryta? Musiałaś znaleźć miejsce, gdzie mogłabyś zostawić wielbłąda, na tyle odalone, by zwierzę nie odnalazło Nuf.

Abir uparcie milczała.

— Wróciłaś później do miasta i pozbyłaś się ciężarówki. Wybrałaś dobrą kryjówkę, ponieważ dotąd nikt jej nie znalazł. Potem wsiadłaś na motocykl i pojechałaś do centrum. Posłużenie się maszyną Nuf było sprytne, przyznaję. Zostawiłaś jednak ślad. Logo umieszczone na motocyklu wypaliło znak na nodze wielbłąda.

Po twarzy Abir przemknął cień strachu.

— I co z tego?

— Moim zdaniem stanowi to oczywisty dowód, że wielbłąd i motocykl znajdowały się przez jakiś czas obok siebie w ciasnej przestrzeni — ciągnął. — Gdzieś, gdzie panowała bardzo wysoka temperatura. — Abir wyglądała, jakby miała chęć się odezwać, zmilczała jednak. — Cała wyprawa zajęła ci raptem... ile? trzy godziny? Pół godziny na dotarcie do zoo, godzina drogi na pustynię, pół na porzucenie ciała i kolejna na dojazd do kabiny. Wróciłaś, zanim ktokolwiek zorientował się, że cię nie ma, a kiedy podpłynęłaś na skuterze, wszyscy uznali, że zabawiałaś się w ten sposób od kilku godzin. Gdy o tym myślę, uważam za zdumiewające, że dałaś radę przeprowadzić coś takiego sama. Jesteś tylko dziewczyną.

— Nie wie pan nic o dziewczynach — odpaliła.

Uwaga zabolęła go bardziej, niż chciałby przyznać, lecz odepchnął na bok osobiste uczucia i skupił wzrok na twarzy Abir. Teraz dostrzegał

w niej bezwzględność właściwą mordercom. Nie wiadomo, czy sprawił to sposób wychowywania przez Asz-Szarawich dzieci czy Abir już taka się urodziła, czuł, że robi mu się niedobrze. Ledwie protestowała podczas rekonstrukcji wydarzeń, i choć wcześniejszy wybuch zdradził mu, że motywem zabójstwa była zazdrość, to milczenie dziewczyny bardziej go niepokoiło. Świadczyło bowiem, że się nie mylił. Sądząc po nieobecnym wyrazie jej oczu, nie odczuwała wyrzutów sumienia. Uzbrajała się po prostu wewnątrz, skrywając prawdę za kurtyną swej kobiecości i zasłaniając się prawem do milczenia.

— Gratuluję — powiedział z goryczą. — Nie do wiary, że udało ci się przeprowadzić coś takiego i nabrać wszystkich.

— Ludzie są głupi.

Siedział przez chwilę spokojnie, opanowując gniew.

— Jeśli tak, to ty też jesteś głupia. Pomyślałaś o wielu rzeczach, lecz zapomniałaś o jednym.

— Ach tak?

— O ubraniu. Kiedy wróciłaś do kabiny, musiałaś się pozbyć białej abai, tej, którą się posłużyłaś, aby udawać mężczyznę. Powiesiłaś ją więc na haku.

Duma zniknęła z twarzy Nuf, podobnie jak buntowniczy upór.

— Gdyby Nuf uciekła — powiedział — czy na haku nie wisiłaby teraz czarna abaja?

Abir odzyskała kontenans, zakrywając nim twarz niczym zasłoną.

— To może być czyjokolwiek abaja.

— Moim zdaniem jej obecność dowodzi, że ktoś był w kabinie po tym, jak Nuf zniknęła. Ta osoba ukradła jej czarną abaję, by ukryć fakt,

że tam była. Zostawiła jednak białe okrycie, którego w kabinie być nie powinno. Kto mógłby zrobić coś takiego?

— Nie mam pojęcia.

Najir czuł, że traci cierpliwość. Pochylił się, zbliżając twarz do twarzy dziewczyny.

— Ty. Ty zostawiłaś Nuf na pustyni, by tam umarła. Wolałabyś pewnie myśleć, że był to wypadek, lecz po tym jak zdzieliłaś ją w głowę i zostawiłaś nieprzytomną, nie była w stanie wydostać się z wadi, gdy przyszła powódź. Nie miała szans przeżyć. Utonęła. Wmawiasz sobie, że to nie twoja wina, iż nie ocknęła się na czas, aby wyjść z wadi? Więc powiem ci, że nawet gdyby to zrobiła, upał i słońce i tak by ją zabiły. Nie zostawiłaś jej wielbłąda, ciężarówki ani nawet butelki z wodą. Porzuciłaś ją tam na pewną śmierć.

Abir wpatrywała się w niego z pogardą równą tej, z jaką on spoglądał na nią, milczała jednak.

— Ze wstydem przyznaję — kontynuował — że nie przyszło mi na myśl, iż czegoś takiego może dokonać kobieta. Oczywiście dowodzi to mojej ignorancji. Nie byłem w stanie tego sobie wyobrazić. — Zaczerpnął oddechu, aby się uspokoić, lecz na próżno. — I wszystko to z powodu Kadiego? Domyślam się, iż nie wiedziałaś, że Nuf zamierzała go porzucić podczas miesiąca miodowego?

Abir nie próbowała ukryć, jak bardzo zaszokowała ją ta wiadomość.

— Tak — zapewnił. — Przygotowywała się, aby zamieszkać w Nowym Jorku. Znalazła nawet kogoś, kto miał ją przechować do czasu, aż znajdzie sobie jakieś lokum.

— To nieprawda!

— Przeciwnie. — Nie odczuwał satysfakcji, przyglądając się, jak jest zaszokowana. Rozgniewało go to jeszcze bardziej. — Nie chciała być z Kadim. Pragnęła kogoś innego. I czegoś innego.

Abir przygryzła wargi tak mocno, że czekał tylko, aż pojawi się krew.

— Zamierzała poślubić Kadiego dla pieniędzy — powiedziała, choć bez przekonania. — Nie zrezygnowałaby z niego tak po prostu.

— Jesteś pewna?

Abir wydawała się przerażona, lecz nie budziło to w nim współczucia, już raczej niesmak. Czy siostry dokuczały sobie do tego stopnia, by mogło to zrodzić silną nienawiść? Dotąd nic o tym nie słyszał. Katia mogłaby wiedzieć więcej, zgadywał jednak, że Abir jest po prostu niezwykle skryta. Odwrócił wzrok i utkwił go w tacy z naczyniami.

— Nie wierzę, że spotykała się z kimś jeszcze — powiedziała Abir. — Wymyślił pan to, żeby mnie zdenerwować.

— Był ktoś jeszcze — zapewnił ją Najir. — Ktoś, kogo kochała o wiele mocniej niż Kadiego. Nie powiem ci, kim on jest, ponieważ sądzę, że przyniosłoby to wszystkim jedynie cierpienie. — A tobie dałoby okazję, byś mogła obwinić kolejną osobę, dodał w myśli.

— Nie zmienia to faktu, że wykorzystywała Kadiego. — Głos Abir brzmiał teraz piskliwie. — Okłamywała go i sypiała z innym!

Najir skinął głową, przyznając jej niechętnie rację.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego musiałaś ją zabić. Mogłaś nie dopuścić do ślubu, zdradzając Kadiemu, co się dzieje.

Abir przysiadła na piętach. Ścisnęła dłońmi uda, wbijając mocno palce w materiał abai. Coś w mimice jej twarzy zdradziło Najirovi, że trafił w sedno. Wyprostował się, spoglądając z zainteresowaniem na dziewczynę.

— A może by ci nie uwierzył? — wyszeptał.

— Oczywiście, że by uwierzył — zaprotestowała bez przekonania.

— Może kochał Nuf tak bardzo, że nie dbałby o to, iż go zdradzała.

— Nieprawda! — krzyknęła. — Nie uwierzyłby mi, lecz tylko dlatego, że nie potrafi myśleć źle o innych!

— Ale nie jesteś tego pewna — kontynuował. — A co by było, gdybyś ostrzegła go przed Nuf, a on powiedziałby sobie w duchu: „Ta Abir chyba zwariowała!”?

— Nie jestem wariatką!

— Tylko jedno mogłoby się okazać gorsze — zauważył. — Gdyby ci uwierzył, a mimo to zdecydował się poślubić Nuf.

— Nie zrobiłby tego!

— Ale dręczy cię, że nie wiesz, jak by postąpił, prawda?

Siedziała, wpatrując się w Najira z wściekłością, lecz nie robiło to już na nim wrażenia.

— Rozmawiałaś z Nuf? — zapytał.

Parsknęła suchym śmiechem.

— Z Nuf nie da się rozmawiać. Myśli tylko o sobie!

Użycie czasu teraźniejszego sprawiło, że Najirowi ciarki przebiegły po kręgosłupie.

— A próbowałaś?

— Tak — prychnęła. — Lecz ona nie słuchała. Zamierzała doprowadzić do ślubu bez względu na wszystko. — Skrzywiła się z pogardą. — Powiedziałam jej, że wiem, co robi, i że chcę wyjść za Kadiego, a ona nie ma prawa go poślubić. Wie pan, co wtedy zrobiła? — Spojrzała na Najira z wyzwaniem w oczach. — Nic. Po prostu jej to nie obchodziło.

— A ty ją znienawidziłaś.

— Tak. — Choć nadal doskonale nad sobą panowała, przemawiała ze szczerością, która wzbudziła w Najirze współczucie. Rozumiał, co czuła, nie był jednak w stanie pojąć działań, do jakich te uczucia doprowadziły. Nie rozumiał ich ani trochę.

— W pewnym sensie jestem teraz bardziej ślepy niż kiedykolwiek — powiedział, zerkając na Abir. — Znam prawdę, mimo to nadal nie wiem, co jest słuszne.

Abir zastygła, jej ciało stężało z napięcia.

— Nie wyda mnie pan — powiedziała. — Wie pan, co by mi zrobili. — Nagle wstała. Chwyciła drżącymi rękoma torbę z kosztownościami i uniosła ją ostrożnie. — Poza tym nie ma pan dowodu — dodała. Opuściła nikab i odwróciła się ku drzwiom.

— Zaczekaj. — Najir także wstał. Sięgnął do kieszeni. — Zamierzałem przekazać to rodzinie. — Wyjął pamiętnik Nuf. — Znalazłem go w kabinie na plaży.

Abir wpatrywała się w pamiętnik skamieniała ze zgrozy.

— To jej dziennik. Sądzę, że bliscy chcieliby mieć coś, co by im przypominało Nuf.

Abir wyciągnęła rękę, lecz Najir cofnął dłoń. Ich spojrzenia się spotkały.

— Nie jest dla ciebie — powiedział.

Abir się odwróciła i potykając się, wyszła z pokoju. Nie próbował jej zatrzymać, pewny, że nie ucieknie daleko. Żałował tylko, że nie zobaczy jej miny, gdy uświadomi sobie, że wszystko skończone.

Ledwie kroki dziewczyny ucichły w oddali, sięgnął do kieszeni i wyjął następny przedmiot: papierowego bociana. Dotknął ogona ptaka. Fi-

gurka zachowała kształt, mimo iż nosił ją tak długo. Zamierzał przekazać pamiętnik i bociana Usmanowi, lecz wolał nie zostawiać ich w miejscu, gdzie mogłyby wpaść w ręce Abir. Schował pamiętnik i bociana z powrotem do kieszeni.

Świece zdążyły się wypalić. Zza okna dobiegał szum fal rozbijających się o skały poniżej. To zabawne, że przebywając na wyspie, nie słyszał tego odgłosu nigdy przedtem, nie na tej wysokości. Otworzył drzwi na taras i wyszedł w noc.

Usłyszał dźwięk zapalanego silnika. Skuter. Czuł, że powinien kogoś powiadomić — zadzwonić na policję, a może nawet do narzeczonego Abir. Przynajmniej położyłby w ten sposób kres jej planom małżeńskim. Nie miał jednak odwagi. To co mu powiedziała, osłabiło jego determinację. Chociaż bezwzględność dziewczyny nadal budziła w nim gniew i niesmak, w zasadzie Abir się nie myliła: wiedział, co z nią zrobić. Ale tak naprawdę powstrzymywała go świadomość, czym byłoby to dla rodziny.

Narastało w nim coś potężniejszego, jakiś mur osłabiający siłę jego przekonań. Bolało go, że zaczyna odczuwać sympatię wobec kobiet takich jak Nuf, uwięzionych w pułapce swego życia, zmuszonych podporządkować się zasadom skromności, ograniczyć aktywność do spraw domowych. Takie życie odpowiadało być może żonom Proroka, lecz nie kobietom z tego świata, pragnącym się uczyć, podróżować i pracować, mieć więcej marzeń i możliwości ich spełnienia. Bronił się przed uczuciem, że jego świat się rozpada, niemniej właśnie tak się działo i nie mógł nic na to poradzić — mógł jedynie obserwować proces przemian z bolesnym, gorzkim uczuciem straty.

Podszedł do marmurowej balustrady i sięgnął znów do kieszeni. Było tam jeszcze coś. Jego stary misjar. Rubryka, gdzie należało wpisać nazwisko żony, pozostawała pusta, a litery jego nazwiska zaczynały już blaknąć. Wpatrywał się przez chwilę w dokument, przesuwając palcem po załamaniach papieru, podziwiał pieczęć. Wyglądała tak autentycznie... To był bardzo porządny misjar.

Silnik skutera zawarczał głośniej, gdy pojazd przemknął pod tarasem. Widział odbicie jego światła tworzące na wodzie kształt półksiężyca. Obserwował, jak zatacza pętle, jeżdżąc w kółko. Warkot silnika rozlegał się echem w ciszy. Najir wyjął zapalniczkę i zapalił ją pod misjarem. Delikatny powiew wywołany płomieniem sprawił, że papier zaszeleścił. Zawahał się świadom, jak trudno byłoby mu zdobyć kolejny. Wiedział jednak, że i tak nigdy się nim nie posłuży.

Pewnym ruchem zbliżył zapalniczkę do skrajki dokumentu, a potem patrzył, jak zajmuje się ogniem i zaczyna rozpadać. Puścił nadpalone resztki. Wiatr porwał je i uniósł. Przefrunęły ponad balustradą, po czym opadły w dół, ku morzu.

TLR

ROZDZIAŁ 29

Popołudniami, gdy z nieba lał się żar, w wesołym miasteczku bywało zazwyczaj pustawo, zwłaszcza w dzień powszedni. Najirowi powiedział o tym miejscu jego przyjaciel Azim, zapewniając, iż doskonale nadaje się na spotkanie z kobietą. W pozostałych tego typu przybytkach na północnym skraju Corniche panowała ścisła segregacja, ten był jednak przeznaczony dla rodzin, ludzie uznają więc zapewne, że przebywający tam kobieta i mężczyzna są małżeństwem. Było tu trochę nudno, lecz dało się rozmawiać, a ze szczytu diabelskiego młyna roztaczał się wspaniały widok na morze.

Po dwóch dniach samotnego żeglowania Najir zacumował w marinie i włączył telefon komórkowy. Okazało się, że Katia dzwoniła do niego aż dwa razy. Pierwsza wiadomość była krótka i brzmiała oficjalnie: „Zadzwoń, proszę”. Druga zdradzała chęć zjedzenia smacznego posiłku: „Co sądzisz o tej rodzinnej restauracji?”.

Z początku fakt, że tak po prostu do niego zadzwoniła, zaszokował Najira, ale jego oburzenie stopniało wkrótce niczym lód w lecie. Był podekscytowany, że się doń odezwała. Kiedy oddzwonił, wydawała się zadowolona. Zaniepokoiło go to, a zarazem ucieszyło. Umówili się w wesołym miasteczku. Nalegał, by przyjechali osobnymi samochodami i żeby Katii towarzyszył jej kierowca.

O pierwszej następnego popołudnia stał przy wejściu do wesołego miasteczka. Minęło go kilka rodzin — wychodziły, gdyż dla dzieci było tu już zbyt gorąco. Twarze kobiet, którym towarzyszyli nieodmiennie mężczyźni, pozostawały szczelnie zasłonięte. Przyszło mu na myśl, że mężczyźni wcale nie muszą być mężami bądź krewnymi tych kobiet. Przyglądał się więc uważnie parom, starając się zgadnąć, jakiego rodzaju

wież ich łączy. Czasami dzieciaki zwracały się do rodziców, wołając „mamusiu” albo „tatusiu”, lecz były tu także pary bez dzieci. Przyglądał się im szczególnie uważnie, zapamiętując pozy i gesty, ton głosu. Zauważył, że większość ze sobą nie rozmawia. Wydawali się znużeni, gotowi w każdej chwili wyjść. Jeden z mężczyzn rozmawiał z kobietą w sposób sugerujący zażyłość. Inny mówił coś do żony, nie zadając sobie trudu, by na nią spojrzeć. Najir próbował sobie wyobrazić, że mógłby przemawiać w ten sposób do Katii, ale nie potrafił.

Wreszcie przyjechała. Rozpoznał jej sylwetkę, gdy tylko minęła bramę, jeszcze zanim zobaczył Ahmada. Na chwilę ogarnęła go panika. Przestraszył się, że Ahmad nie przyjechał. Lecz zaufany opiekun wkrótce się pojawił. Jego siwe włosy błyszczały w słońcu. Gdy Katia podeszła bliżej, zauważył, że uśmiecha się pod nikabem.

— Witaj, Najirze — powiedziała. — Miło cię widzieć.

— I ciebie także.

Ahmad podszedł i uściskał mu dłoń. Skierowali się we trójkę ku diabelskiemu młynowi, Katia jednak zatrzymała się przy stoisku z lodami i Najir zrobił tosamo. Uznał, że kupno lodów to znakomity pomysł. Problem polegał tylko na tym, jak donieść przysmak do miejsca, gdzie Katia mogłaby unieść nikab i go zjeść. Kupno lodów, a potem biletów na karuzelę, wejście na nią i zaczekanie, aż ruszy, musiało zająć przynajmniej trzy minuty. W panującej temperaturze żadna zamrożona substancja nie miała szans przetrwać. Najir wyjaśnił problem sprzedawcy, który zdawał się nie rozumieć, w czym rzecz. Kiedy to w końcu pojał, zaproponował, iż pożyczycy im przenośną lodówkę oraz pojemnik z lodem. "Włożyli lody do lodówki, obiecali, że wkrótce ją zwrócą, i ruszyli ku diabelskiemu młynowi.

W trzy minuty później siedzieli już obok siebie w otwartym wagoniku. Z tyłu, w następnym, tkwił Ahmad, czytając gazetę. Pracownik luna-parku, nawykły do widoku bezdzietnych par zachowujących się jak dzie-

ci, poinformował ich, że mogą jeździć, póki nie zawołają, że mają dość, po czym odszedł, zapewniając Katii prywatność, by mogła unieść nikab.

Gdy koło ruszyło, musnął ich lekki wiatr. Wyjęli lody. Najir nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerknąć przy tym na twarz Katii. Nie różniła się zbyt wiele od tej, jaką widział ostatnio, chociaż spodziewał się, że zobaczy na niej wyraz smutku.

Czekał zdenerwowany, nie mogąc zmusić się do jedzenia, i patrzył, jak roztopiony lód ścieka mu po dłoni. Któreś z nich musiało się w końcu odezwać, nie miał jednak pojęcia, co powiedzieć. Nic nie przychodziło mu do głowy. Kiedy znajdowali się na samej górze, spoglądał na morze, gdy opadali, patrzył na swojego loda. Morze i lód, morze i wanilia, aż wreszcie Katia zdobyła się na odwagę i zapytała:

— To jak, widziałeś się ostatnio z Usmanem?

Choć lód coraz bardziej się topił, Najir wpatrywał się uparcie w morze.

— Nie widziałem go od dnia, kiedy spotkaliśmy się na parkingu.

— Ach tak. — Krótka pauza, kilka liźnięć. — Nadal się przyjaźnicie?

Musiał zastanowić się nad odpowiedzią, odgadnąć, co stoi za pytaniem Katii: ciekawość? A może zazdrość? Nie był już pewien niczego, mimo to odpowiedział:

— Tak, nadal uważam go za przyjaciela.

— Ale nie jesteście już tak... blisko.

Zauważył, że lód Katii wysuwa się z wafelka. Jeszcze chwila i odpadnie mu wierzchołek.

— Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami. Była to najżałośniejsza próba nonszalanckiego zachowania, jaką widział kiedykolwiek, wystarczyła jednak, by czubek lodu spadł jej na nogę, spłynął w dół po łydce i wylądował na bucie.

— *Ja Allah!* Nie mogę w to uwierzyć! — Potrząsnęła stopą i lód wyleciał z wagonika. Poszybował nad budką obsługującego młyn pracownika i uderzył z głośnym plaśnięciem o chodnik.

Najir nie był pewien: roześmiać się czy zmarszczyć brwi, ale Katia wyglądała na speszoną, zaproponował jej więc swojego lodu. Zawahała się, po czym wzięła wafelek.

— Dzięki.

Wytarł palce o abaję, niestety, tylko zrobiły się od tego bardziej lepkie. Zapadło milczenie. Powiedział już Katii o rozmowie z Abir, choć przez telefon nie zdołał odczytać jej reakcji. Wydawała się jedynie zbita z tropu. Zastanawiał się, co czuje teraz, lecz bał się zapytać.

— A tak przy okazji — powiedziała — zdecydowano się wszcząć jednak śledztwo w sprawie Nuf.

Spojrzał na nią.

— Doprawdy?

— Tak. Pokazałam kierownicze to, co udało nam się odkryć, i przekazałam próbki pobrane z ciała. Poszła z nimi do swego szefa, a on otworzył dochodzenie. Kierownik wydziału właśnie zaakceptował jego decyzję.

— I co się teraz stanie?

— Przyślą policjantów, by przepytali rodzinę. — Wzruszyła ramionami. — Asz-Szarawi mają wpływy, mogą spróbować ukrećić łeb sprawie. Rozmawiałam też jednak z Nusrą.

Spojrzał na nią z ciekawością.

— I co jej powiedziałaś?

— O naszym odkryciu w zoo. To znaczy mam na myśli but. A także to, że mamy powody podejrzewać Abir: chodzi o pozostawioną w kabinie abaję i zaginione kosztowności.

— Założę się, że znów je ukryła.

— Nie wiem. W trakcie rozmowy Nusra zapewniła mnie, że nie miała pojęcia, co się wydarzyło, i obiecała współpracować ze śledczymi.

Najir podziwiał odwagę Katii: nie tylko zdobyła się na to, aby przekazać zebrane przez nich dowody swoim zwierzchnikom, ale porozmawiała też z Nusrą, która straciła niedawno jedną córkę, a teraz miała stracić następną.

— Zdziwiasz mnie — powiedział.

Katia stłumiła uśmiech.

— Szef pozwolił sobie też zatelefonować do Kadiego i ostrzec, że przeciwko jego narzeczonej toczy się śledztwo.

Najir się uśmiechnął.

— Nie ma to jak twórcze podejście do sprawiedliwości.

— Ja też tak uważam. Nie wiem, co się stanie z Abir, jeśli uznają, że jest winna. Pewnie spędzi jakiś czas w więzieniu.

— Myślę, że na to zasłużyła.

— Chciałabym także nadmienić, że w wydziale przydałby się ktoś taki jak ty. Nie zastanawiałaś się nad tym, by podjąć pracę dla rządu?

Najir wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

— Nie. — Czy właśnie po to chciała się z nim spotkać?

— Dlaczego nie?

— To nie jest dobry pomysł.

— Och, daj spokój. Jesteś dobrym detektywem. Lepszym niż kilku...

— Nie lubię widoku zwłok — przerwał jej szybko.

Przestała lizać loda.

— Ach tak, prawda. Teraz sobie przypomniałam. — Uśmiechnęła się.

— To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony.

— Jednak z pewnością zdołałbyś przewyciężyć tę niechęć — dodała, tłumiąc śmiech.

— Posłuchaj, nie mogę zostać zbyt długo. — Zażenowany wyjął kawałek lodu i spróbował oczyścić sobie nim dłonie.

— Dlaczego? — Wydawała się rozczarowana i świadomość tego sprawiła mu przyjemność.

— Umówiłem się na badanie oczu.

— Ach, doskonale. Pójdę z tobą. U tego lekarza?

— Tak. Nie musisz ze mną iść.

— Ale chcę. — Liząc loda, przyglądała mu się przez chwilę. Najir uznał, że jakoś dziwnie. — Potraktuj mnie jak zawodową eskortę, na wypadek gdyby kobiety spróbowały ci się narzucać. Pomyślą, że jestem twoją żoną.

Poczuł, że się rumieni. Czyste wariactwo.

— Kobiety mi się nie narzucają.

— Owszem, tylko ty nie zwracasz na to uwagi.

— Tak się cieszę, że państwo wrócili! — Doktor Dżahiz poprowadził ich korytarzem do gabinetu. — Powiedział pan, że pustynia podrażnia panu oczy?

— Tak. — Najir podprowadził Katię do krzesła przy drzwiach, a potem cokolwiek niezgrabnie usadowił się na fotelu pacjenta. — Pewnie przez pył pogorszyło mi się widzenie.

— Oczywiście. — Dżahiz przyciemnił światło i na ścianie pojawiła się tablica z rzędami liter. — Zawsze ten pył!

Najir wpatrywał się przez chwilę w tablicę, lecz odkrył, że nie jest w stanie przeczytać żadnej z liter.

— Prawdę mówiąc, najgorzej widzę w mieście. Na pustyni bez trudu dostrzegam wszystko.

W przyległym pokoju zadzwonił telefon. Lekarz przeprosił i wyszedł.

Gdy zniknął za drzwiami, Katia uniosła nikab, skrzyżowała nogi i położyła na kolanach złączone dłonie. Chce czegoś, pomyślał Najir, zastanawiając się, skąd o tym wie. Nie widział przedtem, by tak się zachowywała, ale jej gesty wydawały się uniwersalne, jak ten oznaczający dławienie się.

— Chciałabym cię zaprosić w przyszłym tygodniu na kolację. Planujemy z ojcem małe przyjęcie, zaledwie na kilka osób. Chciałabym, żebyś też przyszedł.

Najir uniósł brwi w wyrazie grzecznego zainteresowania, czując, jak ściska mu się żołądek. Kolacja? Z jej ojcem? Nie, nie był jeszcze gotowy. Nie na coś takiego.

— To by dużo dla mnie znaczyło — powiedziała wyraźnie zakłopotana. — Wiem, że takie zaproszenie może ci się wydać dziwne, lecz będą też inni goście, a ojciec chciałby cię poznać.

Najir skinął głową. A może było to drżenie?

— Jak już powiedziałam, będą też inni goście. — Katia uniosła brwi.

Od strony poczekalni dobiegał podniesiony głos Dżahiza:

— Lepiej niech pan natychmiast odstawi te krople! Nie, ciepłych okładów też nie. Na Boga, oko jest spuchnięte! Kto to widział, przykładać ciepły kompres na opuchliznę!

Katia czekała na odpowiedź. Nie zdoła się wymigać. Nie tylko chciała, by poznał jej ojca, ale również jego przyjaciół. Najir zaczął rękawem o aparat do badania wzroku i przez chwilę ostrożnie się uwalniał. Dało mu to czas, aby się zastanowić. Głos Dżahiza znów wypełnił ciszę:

— Tak, niech pan przyłoży trochę lodu. Coś panu powiem, jeśli znajdzie pan na tej przeklętej pustyni kostkę lodu, która przetrwa na tyle długo, żeby zmniejszyć opuchliznę, następnym razem zaoferuję panu okulary słoneczne Gucciego po obniżonej cenie... Tak, ma pan moje słowo. Gucciego!

— Kiedy ma się odbyć to przyjęcie? — zapytał Najir.

— W czwartek wieczorem.

— Cóż, w czwartki jadam zwykle kolację z wujem.

— Ach tak.

— Chętnie bym przyszedł, ale wuj byłby rozczarowany. Nie ma nikogo poza mną i...

— Rozumiem. — Skinęła głową. — Naprawdę.

Zamiast czuć ulgę, poczuł się tak, jakby ją zawiódł.

— Może spróbuję z nim porozmawiać — zaproponował.

— Doskonale — odparła i uśmiechnęła się.

Wrócił lekarz i Katia opuściła nikab. Dżahiz usiadł na obrotowym krześle i potoczył się ku Najirowi, pracując nogami niczym dziarski krab.

— Proszę oddychać spokojnie — powiedział. — Nie będzie bolało.

Najir posłuchał zadowolony, iż może się zająć czymś innym. I choć doktor rzucał od czasu do czasu uwagi w rodzaju: „Na Boga, minus pięć w lewym oku! Chyba niełatwo panu czytać, he?” — badanie przebiegło tak spokojnie, że wręcz się odprężył. W pokoju było cicho, panował półmrok. Skomplikowane przyrządy, z którymi lekarz obchodził się delikatnie i w pełnej szacunku ciszy, dawały poczucie, że wszystko będzie dobrze. Doktor sprawi, że Najir zacznie widzieć lepiej. Dzięki niech będą Bogu, wszystko da się naprawić, jeśli weźmie się do tego odpowiednia osoba.

Minus pięć!

Przypomniał sobie nogę wielbłąda i to sprawiło, że zaczął myśleć znów o Usmanie, o jego rozpaczliwej miłości do Nuf i o uczuciach dziewczyny. Chciała być jak strzępiel. Lecz Nuf, o której myślał, była już wolna, pędziła autostradą na harleyu-davidsonie ubrana w upodabniający ją do owada hełm, rękawice ze skóry aligatora i białą męską abaję. Materiał łopotał jej wokół kostek, gdy wyprzedzała traktory i SUV-y, mknąc niczym szalony beduin na wielbłądzie epoki kosmicznej.

Dżahiz wstał i zgasił litery.

— Zaczniemy od okularów. Przygotowanie szkieł nie powinno zająć więcej niż godzinę. Może zbadałbym w tym czasie pańską siostrę?

Najir zerknął na Katię. Poruszyła leciutko głową. Odczytał ten gest jako odmowę.

— Nie, dziękuję — powiedział, schodząc ze stołka.

— Wie pan — nalegał Dżahiz, zerkając chytrze — niewiele kobiet nosi okulary. Mężczyźni im to uniemożliwiają. Tylko kobiety nowoczesne i o silnym charakterze przychodzą do mnie na badanie.

Choć Katia twarz miała zakrytą, a dłonie wsunięte głęboko w rękawy, Najir wyczuł, że się zawahała. Obróciła się z wolna ku niemu, jakby chciała powiedzieć: „Może to nie taki zły pomysł”.

— W końcu — mówił dalej Dżahiz — nosząc przez cały dzień nikab, kobiety chcą przynajmniej widzieć świat. I to wyraźnie, przyjacielu, wyraźnie.

Najir spojrzał na nikab Katii unoszony lekkim oddechem. Chciała coś powiedzieć, nad czymś się zastanawiała...

— Myślę — powiedział — że ona już teraz widzi doskonale.

Wyobraził sobie, że się do niego uśmiechnęła.